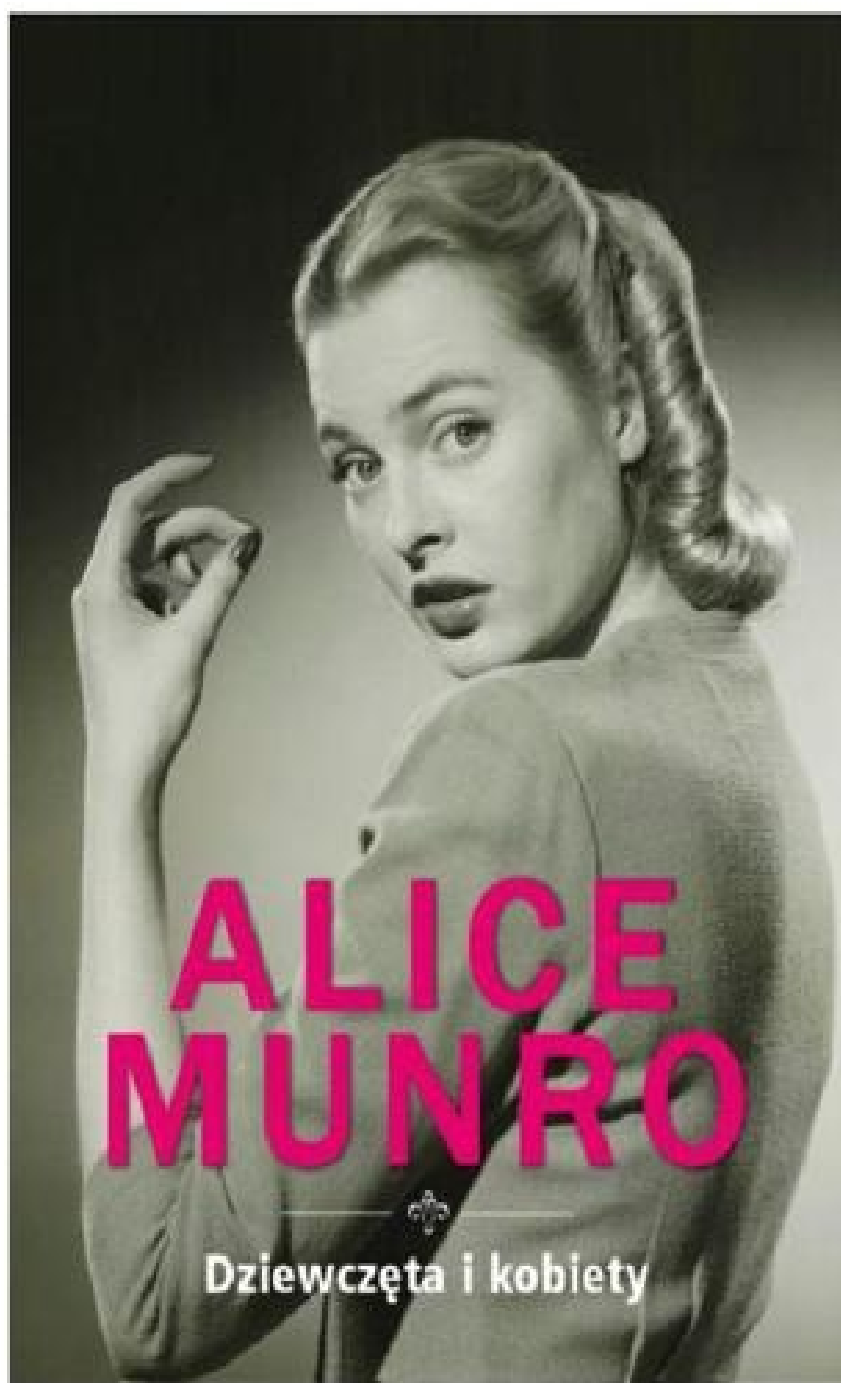


Alice Munro



Dziewczęta i kobiety



ALICE MUNRO



Dziewczęta i kobiety

Table of Contents

[Droga na Moczary](#)

[„Następcy żywego ciała”](#)

[Księżniczka Ida](#)

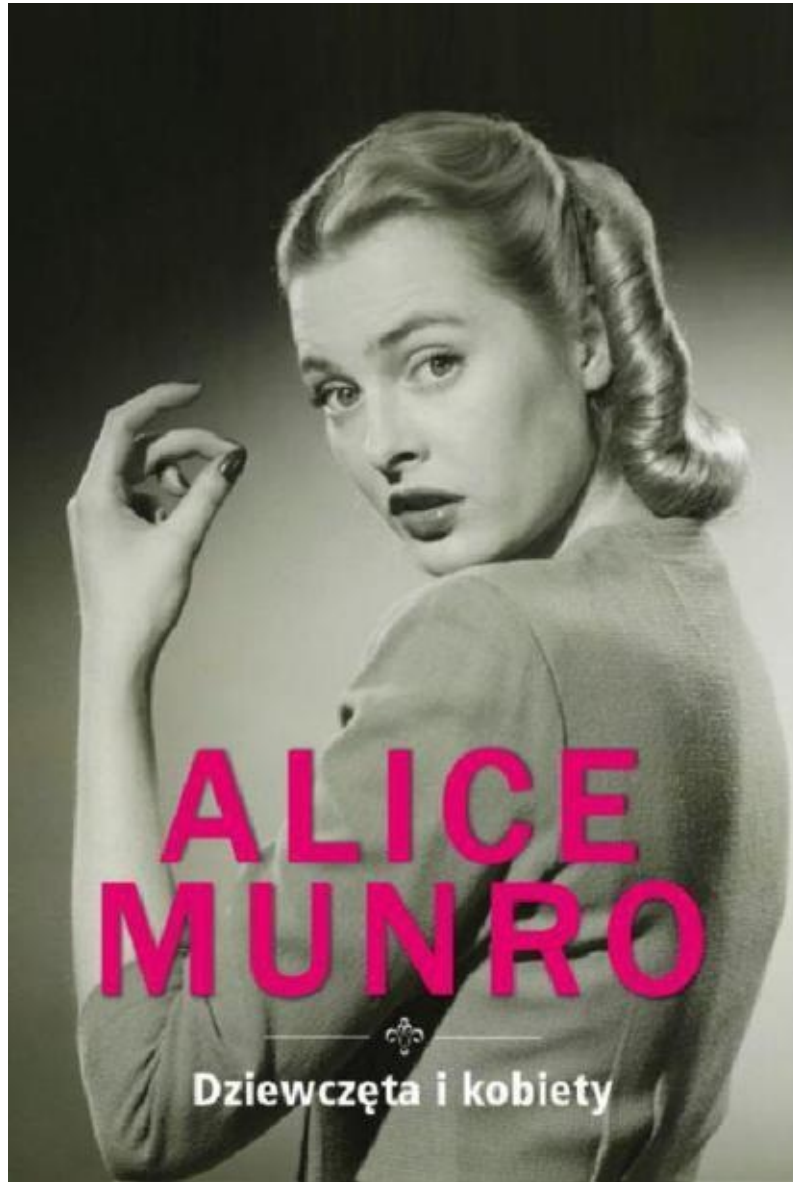
[Wiek wiary](#)

[Przemiany i ceremonie](#)

[Żywoty dziewcząt i kobiet](#)

[Ochrzczenie](#)

[Epilog. Fotograf](#)



Alice Munro

DZIEWCZĘTA I KOBIETY

Dla Jima

Droga na Moczary

Spędzaliśmy dnie nad Wawanash, pomagając wujkowi Benny'emu w łowieniu ryb. Łapaliśmy dla niego żaby. Goniliśmy je, tropiliśmy, niepostrzeżenie podkradaliśmy się do nich błotnistym brzegiem pod wierzbami i w bagnistych zagłębieniach pełnych ostrej trawy, która zostawiała na naszych bosych stopach drobne, niewidoczne na pierwszy rzut oka ranki. Stare żaby dobrze wiedziały, że nie powinny wchodzić nam w drogę, nam jednak wcale nie zależało na nich. Szukaliśmy smukłych zielonych młodych - soczystych niedorostków, chłodnych i oślizłych. Ściskaliśmy je delikatnie w dłoniach, a potem wrzucaliśmy do wiaderka po miodzie, przykrywając wiekiem. Czekwały tam, aż wujek Benny założy je na haczyk.

Nie był on naszym wujkiem, ani też niczym.

Stawał w pewnym oddaleniu w płytkiej brunatnej wodzie, gdzie muliste dno ustępuje miejsca kamykom i piaskowi. Przez całe życie i wszędzie, gdzie tylko się pojawiał, niezmiennie ubrany był w gumki, ogrodniczki i zrudziałą czarną marynarkę zapinaną na guziki. Nie nosił koszuli, więc pod jego szyją czerwieniał zawsze trójkąt grubej skóry, lekko obwiedziony bielą. Filcowy kapelusz na jego głowie zdobiły wąska wstążka i dwa piórka, całkiem ściemniałe od potu.

Nie odwracał się nigdy, a jednak zawsze wiedział, czy któreś z nas wchodzi do wody.

- Dzieciaki, jak chcecie się pluskać w błocie i straszyć ryby, idźcie sobie gdzie indziej, wynocha z mojego brzegu!

Brzeg wcale nie był wujka. Akurat miejsce, w którym zwykle łowił,

było nasze. Ale nie myśleliśmy o tym. Według niego rzeka, zarośla i całe mokradła Grenoch stanowiły wujka własność, bo znał je lepiej niż ktokolwiek inny. Twierdził, że jest jedynym człowiekiem, który przeszedł przez moczary wzdłuż i wszerz, i nie zadowala się krótkimi wycieczkami po ich obrzeżach. Mawiał, że są tam ruchome piaski, które mogą pochłonąć na raz dwutonową ciężarówkę. (Oczami wyobraźni widziałam, jak połyskują srebrzyście, bo pomyliły mi się z żywym srebrem.) Opowiadał, że w rzece są dziury, które w środku lata dochodzą do dwudziestu stóp głębokości - i obiecywał nam je pokazać, ale tego nie zrobił.

Obrażał się już nawet na cień zwątpienia.

- Jak któreś z was tam wpadnie, to wtedy uwierzycie.

Miał gęste czarne wąsy, srogie oczy i szczupłą twarz o drapieżnym wyrazie. Nie był tak stary, jak można by sądzić po jego ubraniu, zaroście i obyczajach. Należał do ludzi, którzy stają się niezłomnymi ekscentrykami jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia. Każde jego zdanie, przepowiednię lub pogląd przepełniała żarliwość. Pewnego dnia, patrząc na tęczę w naszym ogrodzie, zawołał:

- Wiecie, co to jest? To boskie przyrzeczenie, że nigdy nie będzie drugiego potopu!

Zadrzał na doniosłość tej obietnicy, tak jakby właśnie została złożona, a on sam był jej zwiastunem.

Ilekoć złowił ryby, które chciał (okonie wrzucał z powrotem do wody, a zostawiał klenie i redfiny, twierdząc, że redfin jest smaczny, ale pełen ości jak poduszczyk igieł), gramoliliśmy się z cieniściego koryta rzeki i ruszaliśmy przez pola w stronę jego domu. Owen i ja z łatwością szliśmy na bosaka przez ściernisko. Czasem kilka kroków za nami biegł nasz nietowarzyski pies Major. Jakąś milę dalej, na skraju zarośli, które zmieniały się w moczary, stał dom wujka Benny'ego - wysoki i srebrzysty, ze starych niemalowanych desek, do cna wypłowiałych latem, z ciemnozielonymi, spękanyymi i

poszarpanymi roletami zaciągniętymi we wszystkich oknach. Zarośla za domem były czarne, rozgrzane, gęste od ciernistych krzewów i nieprzeniknione od rozedrganych owadzich konstelacji.

Między zaroślami a domem było kilka zagród, w których wujek zawsze trzymał jakieś schwytane zwierzęta - półoswojoną złotą fretkę, parę dzikich norek, rudą lisicę z rozerwaną we wnykach łapą. Lisica kuląła, wyła po nocach i nazywała się Księżna. Szopów wujek nie zamykał. Mieszkały sobie w ogrodzie i na drzewach, potulniejsze od kotów, i żeby dostać coś do zjedzenia, podchodziły pod drzwi. Lubiły gumę do żucia. Do domu zbiegały się też wiewiórki, odważnie siadały na parapetach i buszowały w stertach gazet na werandzie.

W ziemi pod murem domu było także coś w rodzaju kojca, a właściwie płytki wykop, z pozostałych trzech stron ogrodzony deseczkami wysokości około dwóch stóp. Tam wujek Benny trzymał żółwie. Któregoś lata porzucił wszystko, żeby ich nałapać. Powiedział, że sprzeda je pewnemu Amerykaninowi z Detroit po trzydzieści pięć centów za funt.

- Robi się z nich zupę - rzekł, pochylając się nad żółwią zagrodą.

Przykry los zwierząt cieszył go tak samo jak ich oswojanie i karmienie.

- Zupa z żółwi!!!

- Dla Amerykanów - odparł, jakby wyjaśniało to sprawę. - Ja bym jej nie tknął.

Amerykanie nie zjawili się nigdy, albo też nie zapłacili wujkowi tyle, ile żądał, a może po prostu wcale nie istnieli. Tak czy inaczej plan się nie powiódł. Minęło kilka tygodni. Ilekroć ktoś wspomniał o żółwiach, wujek Benny przybierał obojętny wyraz twarzy i mówił: „E, ja już tym sobie nie zawracam głowy”, z takim politowaniem, jakby cała ta sprawa należała do zamierzchłej przeszłości.

Siadając na ulubionym krześle tuż przy drzwiach naszej kuchni - a zwykł siadać tam w pośpiechu, tak jakby nie chciał nas kłopotać, jak gdyby za chwilę miał odejść - wujek Benny zasypywał nas szczegółami jakiegoś przedsięwzięcia, zawsze niezwykłego, na którym ludzie z okolicy, z południa kraju albo z pobliskiego kantonu Grantly zarabiali krocie. Hodowali szynszyle. Hodowali papużki nierozłączki. Zarabiali po dziesięć tysięcy dolarów rocznie, nawet nie kiwając palcem. Myślę, że wujek Benny przez cały czas pracował u mojego ojca, choć przedtem nie miał żadnej stałej pracy - ponieważ ojciec hodował srebrne lisy, co było przedsięwzięciem trochę niebezpiecznym i niecodziennym, nosiło rys groźny i wytworny, zawierało niezrealizowaną nadzieję na bogactwo.

Wujek czyścił ryby na swoim ganku i kiedy miał ochotę coś przekąsić, szybko smażył sobie rybkę na patelni, okopconej i lepkiej od wiekowego tłuszczu. Jadał prosto z patelni. Bez względu na to, jak jasno i gorąco było na zewnątrz, w jego domu zawsze paliła się - zwisająca z sufitu - jedna goła żarówka. Nieprzeniknione zwały rupieci i brudu pożerały światło.

Wracając od wujka, Owen i ja nieraz próbowaliśmy wyliczać przedmioty, które przechowywał w domu albo w samej tylko kuchni.

- Dwa tostery, jeden z drzwiczkami i drugi taki, że kromkę kładzie się na górze.

- Fotel samochodowy.

- Zwinięty materac. Akordeon.

Nigdy jednak nie udało się nam zliczyć nawet połowy jego dobytku i dobrze o tym wiedzieliśmy. Rzeczy, które zapadły nam w pamięć, spokojnie mogłyby zniknąć i nikt by się tym nie przejął. Było to po prostu kilka rozpoznawalnych przedmiotów, które wyróżniały się na tle istnego pandemonium, nieprzebranej masy ciemnych gnijących dywanów, linoleum, części mebli, wnętrzości jakiejś maszyneryi, gwoździ, drutu, narzędzi i

różnych przyborów. Był to dom, w którym niegdyś, przez cały okres małżeństwa, mieszkali rodzice wujka Benny'ego. (Przez mgłę przypominam sobie, jak starzy, ociężali i na wpół ślepi siedzą na ganku w słońcu, opatuleni w grube warstwy rozlatujących się ubrań.) Tak więc część nagromadzonej w domu materii stanowiło bodaj pięćdziesiąt lat życia rodzinnego. Ale na tę graciarnię składały się również cudze przedmioty jednorazowego użytku, rzeczy, które wujek dostawał i przynosił do domu, a czasem nawet taszczył z wysypiska śmieci w Jubilee. Mawiał, że chce je zreperować, by nadawały się do użytku, i sprzedać. Gdyby mieszkał w mieście, prowadziłby pewnie wielki sklep ze starzyzną; spędziłby całe życie wśród stosów brudnych mebli, zużytych sprzętów, wyszczerbionych naczyń i zasmolonych fotografii cudzych krewnych. Cenił śmieci za sam fakt istnienia i tylko udawał - przed samym sobą i przed innymi - że pragnie przywrócić im użyteczność.

Najbardziej jednak lubiłam w domu wujka stare gazety piętrzące się na ganku - i one nigdy mnie nie nudziły. Nie kupował ani „Herald-Advance” z Jubilee, ani miejskiego dziennika, które trafiały do naszej skrzynki z jednodniowym opóźnieniem. Nie prenumerował „Family Herald” ani „The Saturday Evening Post”. Jego gazeta przychodziła raz w tygodniu i zawsze była źle wydrukowana, miała szorstki papier i nagłówki wysokie na sześć cali. Stanowiła dla wujka jedyne źródło informacji o świecie zewnętrznym, bo rzadko zdarzało mu się mieć działające radio. Był to świat odmienny od tego, o którym moi rodzice czytali w gazetach albo słuchali w porannych wiadomościach. Nagłówki nie miały nic wspólnego z wojną, która właśnie się zaczęła, ani też z wyborami, falami upałów albo wypadkami, lecz brzmiały następująco:

OJCIEC KARMI ŚWINIE BLIŹNIACZKAMI

NA ŚWIAT PRZYSZŁO DZIECKO MAŁPA

DZIEWICA ZGWAŁCONA NA KRZYŻU

PRZEZ ROZSZALAŁYCH MNICHÓW

KOBIETA WYSŁAŁA TORS MĘŻA W PACZCE

Przysiadalam na skraju zapadniętego ganku i czytałam, muskając stopami goździka brodatego, którego zasadziła pewnie mama wujka. W końcu wujek powiedział:

- Jak chcesz, możesz sobie wziąć te gazety. Już wszystkie przeczytałem.

Ja jednak wpadłam na lepszy pomysł. Czytałam coraz prędzej, prędzej, ile tylko dało się spamiętać, a potem rozkołysana biegłam w słońce na ścieżkę prowadzącą do naszego domu, przez pola. Wprost rozsadały mnie i przyprawiały o zawrót głowy rewelacje o złu, jego różnorodności, o tym, jak bywa wymyślne i przerażająco swawolne. Ale im bardziej zbliżałam się do domu, tym szybciej te obrazy blakły. Dlaczego prosty mur budynku, błada wyszczerbiona cegła, cementowy stopień przed drzwiami do kuchni, wiszące na gwoździach balie, pompa, krzew bzu o liściach w brunatne plamki podawały w wątpliwość, że jakaś kobieta posłała przyjaciółce w Karolinie Południowej tors męża zawinięty w świąteczny papier?

Nasz dom stał przy końcu Drogi na Moczary, która biegła na zachód od sklepu Buckle'ów. Ten rozklekotany drewniany sklepik, tak wąski, że przypominał postawione na boku tekturowe pudło, beładnie pokryty metalowymi i malowanymi reklamami mąki, herbaty, płatków owsianych, napojów bezalkoholowych i papierosów, zawsze oznaczał dla mnie, że jestem na skraju miasteczka. Chodniki, latarnie uliczne, równe rzędy cienistych drzew, wózki mleczarzy i lodziarzy, wanienki dla ptaków, rabaty, werandy z wiklinowymi krzesłami, z których panie obserwowały ulicę - wszystkie te cywilizowane, upragnione rzeczy kończyły się i szłam do domu (z Owenem, wracając ze szkoły, albo z matką, wracając ze sprawunków w sobotnie popołudnia) przez szeroką, krętą Drogę na Moczary bez cienia, który rzucał sklep Buckle'ów, wśród pól postrzępionych zielskiem i żółtych od mleczy, dzikiej gorczycy lub nawłoci, w zależności od pory roku. Zabudowa była coraz rzadsza i sprawiała wrażenie bardziej zaniedbanej, biednej i osobliwej niż domy w miasteczku: tu ktoś pomalował mur do połowy i porzucił pracę, zostawiając drabinę, ktoś inny znów nie zakrył blizn po - wysokim na trzy stopy - wyburzonym ganku, albo zapomniał o schodach do frontowego wejścia, niektóre okna były zasłonięte poźółkłymi gazetami - zamiast rolet.

Droga na Moczary nie była częścią miasteczka, ale też nie była częścią wsi. Zakole rzeki i mokradła Grenoch odcinały ją od reszty kantonu, do którego nominalnie należała. Prawdziwych gospodarstw rolnych nie było. Grunty wujka Benny'ego zajmowały powierzchnię piętnastu akrów, a działka Potterów dwadzieścia, przy czym posiadłość wujka sięgała zarośli. Synowie Potterów hodowali owce. My mieliśmy dziewięć akrów i hodowaliśmy lisy. Większość ludzi miała jeden czy dwa akry i jakiś żywy inwentarz, zazwyczaj krowę i kury, a czasem coś dziwniejszego, czego nie spotyka się w zwyczajnym gospodarstwie. Synowie Potterów mieli stadko kóz, które wypuszczali, by pasło się przy drodze. W kamienistym rogu pola skubał trawę jakby żywcem wyjęty z Biblii szary osiołek Sandy'ego Stevensona, kawalera. Przedsiębiorstwo mojego ojca nie wyróżniało się tu szczególnie.

Mitch Plim i chłopcy od Potterów trudnili się przy Drodze na Moczary przemytem alkoholu. Mieli diametralnie różne charaktery. Młodzi Potterowie byli pogodni, acz wybuchowi, kiedy się napili. Raz podwieźli Owena i mnie ze szkoły swoją furgonetką. Siedzieliśmy z tyłu i strasznie nas wytrzęsło, bo jechali tak szybko, że co chwila podskakiwaliśmy na wybojach. Gdy dowiedziała się o tym matka, musiała wziąć głęboki oddech. Mitch Plim mieszkał w domu, którego okna zasłaniały gazety. Nie pił, cierpiał na reumatyzm i z nikim nie rozmawiał. Jego żona wychodziła sprawdzać skrzynkę na listy o wszelkich porach dnia i nocy, w obszarpanej podomce, boso. Ich dom zdawał się ucieleśniać tak wielkie zło i tajemnicę, że bałam się spojrzeć na niego choćby ukradkiem i zawsze mijałam go ze wzrokiem utkwionym przed sobą, żeby opanować odruch ucieczki.

Przy Drodze na Moczary mieszkało też dwoje głupków. Pierwszym był Frankie Hall.

Mieszkał ze swoim bratem, Louie'em, który pokątnie reperował zegary i zegarki w niemalowanym sklepie z krzywą fasadą obok sklepu Buckle'ów. Był gruby i blady jak rzeźba z mydła. Przesiadywał w słońcu pod brudną wystawą, na której sypiały koty. Drugim głupkiem była Irene Pollox. Mniej delikatna i durna od Franka, goniła dzieci na drodze i przewieszając się przez furtkę, piała i wymachiwała ramionami jak pijany kogut. Tak że przechodzenie pod jej domem też było niebezpieczne i ktoś wymyślił rymowanekę, którą znali wszyscy:

Irene, jak będziesz mnie gonić,

To pożałujesz, bo cię powieszę

Za cycuszki na rajskiej jabłoni.

Powtarzałam ją, ilekroć przechodziłam tamtędy z matką, oczywiście zawsze zmieniając „cycuszki” na „nóżki”. Skąd wzięła się ta rymowanka? Znał ją nawet wujek Benny. Irene miała siwe włosy - nie ze starości, tylko taka już się urodziła - i skórę białą jak gęsie pierze.

Droga na Moczary była ostatnim miejscem na świecie, w którym chciała mieszkać matka. Gdy tylko dotykała stopą chodnika w miasteczku i unosiła głowę, szczęśliwa, że wchodzi w cień, zostawiając w tyle upalną Drogę, emanowało od niej poczucie ulgi, poczucie nowego sensu. Po drobne sprawunki wysyłała mnie do sklepu Buckle'ów, ale prawdziwe zakupy robiła sama w miasteczku. Czasem kiedy mijałyśmy sklep, Charlie Buckle kroił mięso na zapleczu. Widząc jego postać za ciemną zasłoną, jak częściowo ukryty element mozaiki, kłaniałyśmy się i przyspieszałyśmy kroku w nadziei, że nas nie zobaczy.

Matka poprawiała mnie, gdy mówiłam, że mieszkamy przy Drodze na Moczary. Powtarzała, że mieszkamy na jej końcu, tak jakby mogło to coś zmienić. Potem okazało się, że Jubilee to także nie jej miejsce, na razie jednak trzymała się go z nadzieją i radością i pilnowała, by ją dostrzegano - głośno pozdrawiając panie, które spoglądały na nią ze zdumieniem, ale i uprzejmie, kiedy wchodziła do mrocznej pasmanterii, rozsiadała się na jednym z wysokich stołków i wołała, by ktoś łaskawie zechciał podać jej szklankę wody po męczącym marszu w kurzu i upale. Wtedy jeszcze towarzyszyłam jej bez zakłopotania,

szczęśliwa, że tyle się dzieje.

Przy Drodze na Moczary nie lubiano matki. Z jej mieszkańcami nie rozmawiała tak przyjaźnie jak w miasteczku, tylko z surową grzecnością, dobierając słowa w dziwnej ostentacji. Z żoną Mitcha Plima - która, o czym wtedy nie wiedziałam, pracowała swego czasu w burdelu pani McQuade - nie rozmawiała wcale. Wszędzie, w każdej sytuacji stawała po stronie biednych, Murzynów, Żydów, Chińczyków i kobiet, nie znosiła jednak pijaństwa, ani też rozwiązłości, wulgarnych słów, życia z dnia na dzień i nieuctwa, musiała więc wyłączyć ludzi z Drogi na Moczary z grupy najuboższych i ciemniejących - nędzarzy, których przecież tak kochała.

Ojciec był inny. Cieszył się powszechną sympatią. Lubił Drogę na Moczary, choć prawie w ogóle nie pił, nie był rozwiązły seksualnie ani nie używał wulgarnego słownictwa, a cenił pracę i całe życie harował jak wół. Czuł się tutaj bardzo dobrze, podczas gdy w towarzystwie mężczyzn z miasteczka, w towarzystwie każdego, kto chodził do pracy w koszuli i krawacie, zawsze zachowywał się ostrożnie, nieco wyniośle, pełen lęku przed obelgą, uzbrojony we właściwe niektórym ludziom ze wsi subtelne wycucie pozu. Wychowywał się (jak matka, która całkiem usunęła to z pamięci) na farmie w głębi kraju, ale i tam - w świecie sztywnych zasad, dumnej biedy i monotonii życia - czuł się nieswojo. Droga na Moczary spełniała jego wymagania w zupełności, a za przyjaciela starczał mu wujek Benny.

Matka przywykła do wujka Benny'ego. Jadał z nami codziennie o dwunastej, z wyjątkiem niedziel. Zawsze przyklejał swoją gumę do zucia do rękojeści widelca, a pod koniec posiłku odklejał tę niebieskoszarą kulkę i pokazywał nam zdobiący ją grawerunek, tak ładny, że szkoda było wkładać ją z powrotem do ust. Herbatę nalewał sobie na spodek i dmuchał na nią. Nabitym na widelec kawałkiem chleba wycierał talerz do czysta, jak kot. Wnosił do kuchni zapach, który na swój sposób lubiłam - woń ryb, zwierząt futerkowych i bagna. Pamiętając o swoich wiejskich obyczajach, nigdy sam nie częstował się jedzeniem, ani też nie brał dokładki, i robił to dopiero po trzeciej zachęcie.

Opowiadał rozmaite historie, w których prawie zawsze działo się coś niewyobrażalnego dla mojej matki - jak choćby tę o małżeństwie Sandy'ego Stevenson.

Sandy Stevenson ożenił się z grubą kobietą z południa, z zagranicy, która miała pontiaka i dwa tysiące dolarów na koncie. Była wdową. Ledwie zamieszkała z Sandym przy Drodze na Moczary, kilkanaście lat wcześniej, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Tego dnia o zmierzchu naczynia same rozbijały się o podłogę. Gulasz wleciał z piecyka i rozbryznął się po ścianach kuchni. Sandy zbudził się w nocy z wrażeniem, jakby bódł go koziół, lecz kiedy zajrzał pod łóżko, nie było tam niczego. Najlepszą koszulę nocną jego małżonki coś rozerwało na dwoje i zawiązało na sznurze zasłony okiennej. Wieczorem, gdy chcieli spokojnie usiąść i pogawędzić, rozległo się stukanie w ścianę, tak głośne, że nie słyszeli własnych myśli. W końcu żona powiedziała Sandy'emu, że wie, kto to robi. Jej nieżyjący mąż, wściekły, że poślubiła innego. Poznała go po stukaniu, bardzo charakterystycznym. Próbowali go lekceważyć, ale na nic się to zdało. Postanowili wybrać się na przejażdżkę samochodem, licząc, że to zniechęci męża. Ale on wyruszył razem z nimi. Na dachu. Tłukł się, walił w dach pięściami, kopał i trząśł autem tak mocno, że Sandy nie mógł utrzymać go na drodze. Wreszcie Sandy'emu puściły nerwy. Zjechał na pobocze i kazał żonie sięść za kierownicą, zamierzając wrócić do domu pieszo albo autostopem. Poradził jej, by udała się w swoje strony i starała się o nim zapomnieć. Kobieta wybuchnęła płaczem, ale też zgodziła się, że to jedyne wyjście.

- Chyba w to nie wierzysz? - spytała pogodnie matka, tłumacząc, że to zbieg okoliczności, wybujała wyobraźnia i autosugestia.

Wujek Benny rzucił jej groźne spojrzenie pełne politowania.

- Idź i zapytaj Sandy'ego Stevensona. Widziałem sińce. Widziałem na własne oczy.

- Jakie sińce?

- Tam, gdzie to coś go bodło.

- Dwa tysiące na koncie - rzekł w zadumie ojciec, by powstrzymać sprzeczkę. - To się nazywa kobieta! Powinieneś rozglądnąć się za taką,

Benny.

- I tak właśnie zrobię - odpowiedział wujek, podejmując żartobliwie poważny ton ojca - gdy tylko się na to zdobędę.

- Przydałaby ci się taka babka.

- Wciąż sobie to powtarzam.

- Pytanie: gruba czy chuda? Grube na ogół świetnie gotują, ale bywają łakome. No ale co drugi chuderlak też to robi, nigdy nie wiadomo. Gdybyś trafił na grubą, która się częściowo żywi własnym tłuszczem, to trochę zaoszczędzisz. Sprawdź, czy ma zdrowe zęby, a jeśli już nie ma własnych, to musi mieć porządną sztuczną szczękę. Najlepiej, żeby nie miała też wyrostka ani woreczka żółciowego.

- Mówicie, jakby chodziło o kupno krowy - rzekła matka.

Ale tak naprawdę nie przejęła się tym; zdarzały jej się nieprzewidywalne chwile pobłażania - co później zatraciła - gdy jej rysy zdawały się łagodnieć, a zwykłe ruchy, jak podnoszenie talerzy, wprowadzie nadal miały w sobie wyższość, ale i swobodę. Wtedy jeszcze była pełniejsza i ładniejsza, niż stała się potem.

- Tylko nie daj się nabrać - ciągnął z powagą ojciec. - Zawsze może przecież skłamać, że woreczek i wyrostek ma wycięte, niech więc ci pokaże blizny.

Wujek Benny czknął, poczerwieniał, zaśmiał się cicho i zwiesił głowę nad talerzem.

Któregoś dnia siedziałam na ganku u wujka Benny'ego i czytałam.

- Umiesz pisać? - zapytał, opróżniając blaszany czajniczek z herbacianych fusów, które ściekały po balustradzie. - Od kiedy chodzisz do szkoły? W której jesteś klasie?

- Gdy znowu zacznie się szkoła, będę w czwartej.

- Wejdz do środka.

Podprowadził mnie do stołu w kuchni, zdjął z niego żelazko, które naprawiał, i rondel z dziurawym dnem, następnie przyniósł świeży blok listowy, butelkę atramentu i wieczne

pióro.

- Poćwicz sobie trochę.

- Co mam pisać?

- Nieważne. Chcę tylko zobaczyć, jak ci idzie.

Napisałam jego pełne nazwisko i adres: Benjamin Thomas Poole, Droga na Moczary, Jubilee, Hrabstwo Wawanash, Ontario, Kanada, Ameryka Północna, półkula zachodnia, Ziemia, układ słoneczny, wszechświat. Czytając mi przez ramię, wujek Benny spytał:

- Jak to się ma do Nieba? Nie zaszłaś za daleko. Czyżby wszechświat nie był jeszcze otoczony Niebem?

- Wszechświat oznacza wszystko. Więcej nic nie istnieje.

- No dobrze, skoro jesteś taka mądra, to co znajduje się na jego końcu? Musi tam coś być, bo inaczej nie miałby końca. Musi istnieć jakiś kraniec, prawda?

- Nie ma - odparłam z wahaniem.

- Owszem, jest. Niebo.

- A gdy się dotrze na skraj Nieba, to niby co tam będzie?

- Nigdy się tam nie dotrze, ponieważ tam jest Najwyższy! - odrzekł triumfalnie wujek, przyglądając się mojemu pismu, które było drżące i niepewne. - Każdy odczyta to bez trudu. Siadaj. Napiszesz dla mnie list.

Wujek Benny umiał dobrze czytać, ale pisać nie potrafił. Mówił, że w szkole był nieustannie bity przez nauczycielkę, która w ten sposób chciała wtłuc mu do głowy tę umiejętność, i chociaż ją za to szanował, jej usiłowania okazały się daremne. Gdy musiał do kogoś napisać, zwykle prosił o to moją matkę albo ojca.

Pochylił się nade mną, sprawdzając, co napisałam na górze: „Droga na Moczary, Jubilee, 22 sierpnia 1942 roku”.

- Świetnie! Doskonale! Zaczynaj: „Droga Osobo”...

- Zaczynając od „Drogi”, podaje się imię - powiedziałam. - Chyba że list jest oficjalny i wtedy pisze się „Szanowny Panie” albo „Szanowna Pani”. Czy to oficjalny list?

- I tak, i nie. No pisz: „Droga Osobo”.

- Jak ma na imię? - chciałam dociec. - Mogłabym przecież je napisać.

- Nie znam jej imienia - zniecierpliwiony wujek przyniósł gazetę, tę swoją, otworzył na ostatniej stronie, na rubryce ogłoszeń, która nigdy mnie nie ciekawiła, i podetknął mi pod nos.

„Osoba z dzieckiem poprowadzi gospodarstwo panu w spokojnym domu poza miastem. Bardzo lubi życie na wsi. Ewentualne małżeństwo”.

- To ta osoba, do której piszę, więc po co miałbym nazywać ją inaczej?

Poddałam się i zrobiłam tak, jak chciał, opatrując nagłówek starannym dużym przecinkiem. Zaczęłam pisać list z odstępem, tak jak nas uczono.

- Droga Osobo - rzekł z brawurą wujek Benny - piszę ten list...

... piszę ten list w odpowiedzi na to, co zamieściłaś w gazecie, którą dostaję pocztą. Jestem mężczyzną trzydziestosiedmioletnim i mieszkam samotnie na własnych piętnastu akrach na końcu Drogi na Moczary. Mam porządny dom o kamiennych fundamentach. Stoi on tuż przy lesie, tak że zimą nigdy nie brakuje drewna na opał. Jest tu porządna studnia, głęboka na sześćdziesiąt stóp, i zbiornik na wodę. W lesie jest więcej jagód, niż da się zjeść, i są dobre ryby w rzece i można by było zrobić dobry ogród warzywny, jakby się dało odstraszyć króliki. Mam lisa w kojcu koło domu, a także fretkę i dwie norki, i wokół zawsze pełno szopów, wiewiórek i pręgowców. Twoje dziecko będzie mile widziane. Nie piszesz, czy to dziewczynka, czy chłopak. Jak chłopak, to mógłbym go wyuczyć na dobrego trapera i myśliwego. Pracuję u człowieka, który chowa srebrne lisy na ziemi obok. Jego żona jest wykształcona, gdybyś chciała ją odwiedzić. Mam nadzieję, że wkrótce mi odpiszesz.

Z poważaniem

Benjamin Thomas Poole

Po tygodniu nadeszła odpowiedź.

Szanowny Panie Poole,

piszę w imieniu mojej siostry, Madeleine Howey, aby Pana powiadomić, że chętnie rozpatrzy ona Pańską ofertę i jest gotowa przyjechać, kiedy to Panu odpowiada, po pierwszym wrześniu. Jakie są połączenia autobusowe lub kolejowe z Jubilee? Gdyby wolał Pan przyjechać do nas, u dołu strony podaję adres w pełnym brzmieniu. Trafi tu Pan bez trudu. Dziecko siostry to nie chłopiec, tylko półtoraroczna dziewczynka. Ma na imię Diane. Niecierpliwie oczekując listu, pozostaję z poważaniem

Mason Howey

ulica Chalmersa 121, Kitchener, Ontario

- Hmm, widzę tu pewne ryzyko - stwierdził ojciec, kiedy wujek Benny pokazywał nam list przy kuchennym stole. - Skąd pewność, że jej właśnie pragniesz?

- Obejrzę ją sobie, co mi szkodzi?

- Wygląda na to, że braciszek chętnie by się jej pozbył.

- Weź ją do lekarza, zbadaj - powiedziała stanowczym tonem matka.

Wujek odparł, że zrobi to na pewno. Czym prędzej załatwił, co należy. Kupił

sobie

nowe ubrania i pożyczył samochód. Wyjechał do Kitchener wczesnym rankiem, w jasnozielonym garniturze, białej koszuli, zielono-czerwonooranżowym krawacie, ciemnozielonym pilśniowym kapeluszu i brązowo-białych butach. Przedtem skrócił włosy, przyciął wąsy i wziął kąpiel. Wyglądał osobliwie - blado i żałośnie.

- Głowa do góry, Benny! - pocieszał go ojciec. - Nie jedziesz na egzekucję. Jak coś ci się nie spodoba, razdwa wracaj do domu.

Matka i ja ruszyłyśmy przez pola z mopem, miotłą, szufelką, mydłem i proszkiem do szorowania. Ale matka nigdy dotąd nie była w kuchni wujka i załamała się na jej widok. Zaczęła wyrzucać rzeczy na ganek, po chwili jednak stwierdziła, że to beznadziejne.

- Trzeba byłoby wykopać dół, aby to pomieścić - powiedziała i usiadła na schodach, podpierając brodę kijem szczotki jak czarownica z jakiejś bajki. - Gdyby to nie było zabawne, zapłakałabym się tutaj na śmierć - dodała ze śmiechem. - Wyobraź sobie, jak ona tu przyjedzie... Nie wytrzyma tygodnia. Wróci do Kitchener choćby na piechotę. Albo rzuci się do rzeki.

Starannie wyszorowałyśmy stół, dwa krzesła i podłogę pośrodku kuchni. Przetarłyśmy kuchenkę papierowymi torebkami po chlebie i zmiotłyśmy pajęczyny z żarówki. Nazbierałam nawłoci i wstawiłam je do dzbanka na środku stołu.

- Okien nie myjemy - oświadczyła matka. - Nie ma sensu jeszcze doświetlać tego pandemonium.

Gdy wróciłyśmy do domu, powiedziała:

- Z całego serca współczuję tej kobiecie.

Po zmroku wujek Benny położył klucze na stole. Spojrzał na nas jak ktoś, kto powraca z długiej podróży pełnej tyłu przygód, że nie sposób je opisać, ale mimo to należy podjąć taką próbę.

- I jak? Poradziłeś sobie? - spytał ojciec zachęcająco. - Nie miałeś problemów z autem?

- Nie, żadnych. Raz tylko pobłądziłem, ale zorientowałem się dość szybko.

- Skorzystałeś z mojej mapy?

- Nie. Zobaczyłem człowieka na traktorze, zapytałem o drogę, no i kazał mi zawrócić.

- Czyli trafiłeś bez przeszkód?

- Taaa, trafiłem bez przeszkód!

- Myślałam, że przyprowadzisz panią Howey na herbatę - wtrąciła matka.

- Jest trochę zmęczona po podróży, a poza tym musi ułożyć dziecko do snu.

- Dziecko! - rzekła matka ze skruchą. - Zupełnie o nim zapomniałam! Gdzie będzie spało?

- Coś wymyślimy. Chyba gdzieś mam kołyskę, tylko trzeba ją będzie zreperować. - Zdjął kapelusz, odsłaniając czerwone wgniecenie na zalanym potem czole, i oznajmił: - Wiedzcie, że nie ma już pani Howey. Odtąd nazywa się Poole.

- No, Benny, gratulacje. Wszystkiego dobrego! Zdecydowałeś się od razu, kiedy ją zobaczyłeś, tak?

Wujek Benny zaśmiał się nerwowo.

- Zebrali się tam wszyscy. Przystosobieni na ślub. Przygotowali się, jeszcze zanim przyjechałem. Zamówili księdza, kupili obrączki i migiem załatwili u jakiegoś gościa pozwolenie. Od razu wyczułem, że są przygotowani. Na ślub. Nie zapomnieli o niczym.

- Więc jesteś żonaty, Benny.

- Mhm, nie inaczej.

- No to teraz będziesz musiał przedstawić nas pannie młodej - powiedziała dzielnie matka.

Fraza „pannie młodej” zabrzmiała w jej ustach tak cudownie, że natychmiast wyobraziłam sobie długi biały welon, kwiaty i uroczystość - rzeczy nie do pomyślenia w naszych stronach. Wujek odparł, że to zrobi. Że zrobi na pewno. Że zrobi to na sto procent, kiedy tylko żona ogarnie się po podróży.

Ale nie zrobił. Madeleine nie pojawiała się u nas. Matka sądziła, że wujek będzie teraz jadać kolacje w swoim domu, lecz on jak zwykle przychodził do naszej kuchni. Na pytania matki: „Co u żony?”, „Jak tam sobie radzi?”, „Zna ten typ kuchenki?”, odpowiadał twierdząco, ale jakoś mętnie, chichocząc i kręcąc głową.

- Chciałabyś coś zobaczyć? - zapytał mnie któregoś dnia pod wieczór, skończywszy pracę.

- Co takiego?

- Przyjdź, to się przekonasz.

Owen i ja poszliśmy za wujkiem przez pola. Na skraju ogrodu odwrócił się i zatrzymał nas.

- Owen chce zobaczyć fretkę - powiedziałam.

- Następnym razem - odparł wujek. - Zostańcie tutaj - przykazał, ruszając w stronę domu.

Po chwili wyłonił się z niego, z małą dziewczynką na ręku. Ogarnęło mnie rozczarowanie - to ją chciał mi pokazać. Posadził małą na ziemi. Przechyliła się, zakołysała i podniosła wronie pióro.

- Powiedz, jak masz na imię - rzekł z perswazją wujek. - Jak masz na imię? Di-ane? Przedstaw się dzieciom.

Milczała.

- Jak chce, umie ładnie mówić. Umie powiedzieć „mama”, „Benny”, „Diane” i „piciu”. Prawda? Piciu?

Na ganek wyszła dziewczyna w czerwonej kurtce.

- Chodź tu!

Czy zwracała się do Diane, czy do wujka Benny'ego? Jej głos zabrzmiał groźnie. Biorąc dziecko na ręce, wujek szepnął do nas:

- Biegnijcie do siebie. Fretkę możecie przyjąć obejrzeć kiedy indziej.

I skierował się do domu.

Potem widzieliśmy dziewczynę, też w tej czerwonej kurtce, z daleka, jak zmierza do sklepu Buckle'ów. Szła z rękami w kieszeniach, z odchyloną głową, krokiem ostrym jak nożyczki. Wreszcie matka poznała ją - w tym też sklepie. Ogromnie jej na tym zależało. Spozrzęła przed drzwiami wujka z Diane w ramionach i zapytała go, co tam robi.

- Czekamy sobie na mamusię - odpowiedział.

Więc matka weszła do środka i stanęła przy ladzie za dziewczyną, kiedy Charlie Buckle wypisywał jej kwit.

- Pani Poole, nie mylę się, prawda? - zagadnęła ją matka i przedstawiła się.

Dziewczyna nie odezwała się słowem. Widziała ją doskonale i słyszała, co mówi, ale nie odpowiedziała. Charlie Buckle spojrzał na matkę.

- Na pewno jest pani zajęta; trzeba się przecież zadomowić. Proszę nas odwiedzać, kiedy tylko pani zechce.

- Drogą zwirową chodzę tylko wtedy, kiedy już naprawdę muszę.

- Można przejść polami - odrzekła matka, byle mieć ostatnie słowo przed odejściem.

- To jeszcze dziecko - poinformowała ojca. - Podejrzewam, że ma siedemnaście lat, nie więcej. Nosi okulary. Jest bardzo szczupła. Nie jest głupia. Nie dlatego chcieli się jej pozbyć. Ale jest psychicznie chora lub na

granicy obłędu. Biedny Benny. Niemniej trafiła idealnie. Jak ulał wpasuje się w Drogę na Moczary!

O dziewczynie zaczęło się robić głośno. Raz zapędziła Irene Pollox do jej własnego ogrodu, później po schodach do domu, powaliła ją na kolana i chwyciła oburącz za te dziecinne białe włosy. Tak mówili ludzie.

- Nie chodź tam - ostrzegła matka. - Odżałuj sobie tę fretkę. Nie chcę, żeby komuś coś się stało.

Ale i tak poszłam. Nie zabrałam Owena, boby się wygadał. Stwierdziłam, że zastukam do drzwi i bardzo grzecznie spytam, czy mogę poczytać gazety na ganku. Nim jednak dotarłam do schodów, drzwi otworzyły się i wyszła Madeleine z uchwytem do pokrywy kuchenki. Być może usłyszała mnie, podnosząc pokrywę, i nie wzięła go celowo, jednak wyglądała z nim w ręku jak z orężem. Miała twarz podobną do Diane, szczupłą, bladą. Nie od razu na mnie popatrzyła. Nie od razu też wpadła w gniew. Musiała go sobie przypomnieć, ponownie zebrać siły. Już z jej pierwszego spojrzenia wyczytałam, że nie mogę liczyć na nic poza furiją. Najwidoczniej miała w repertuarze tylko złość i milczenie. Ruszyła po schodach w moją stronę, wykrzykując:

- Czemu przychodzisz mnie szpiegować? Czego szukasz w moim domu? Lepiej się stąd wynoś!

Zafascynowana, cofnęłam się przed nią, tak na wszelki wypadek, bez pośpiechu.

- Gnojek z ciebie! Mały szpiegujący gnojek! Wstrętny gnojek i szpieg, wiesz?

Miała krótkie, rozczochrane włosy, a płaski profil jej młodego ciała okrywała obdarta wzorzysta sukienka. Jej gniew sprawiał wrażenie przemyślanego, wyreżyserowanego jak w teatrze. Chętnie zostałabym dłużej,

żeby ponapawać się tym widowiskiem, ale też - gdy uniosła uchwyt nad głowę - było jasne jak słońce, że jeśli zechce, rozbije mi nim czaszkę, to znaczy: jeśli uzna, że wymaga tego scena. Pilnuje się, pomyślałam, i w każdej chwili może przestać, zobojętnieć albo zacząć chełpić się jak dziecko: „Ale cię nastraszyłam! Nie wiedziałas, że to wygłupy, prawda?”.

Żałowałam, że nie mogę opowiedzieć o tym zajściu w domu. Mieszkańcy Drogi na Moczary mówili o Madeleine nieustannie. Raz coś rozdrażniło ją w sklepie i rzuciła w Charlie'ego Buckle'a pudełkiem tamponów. („Całe szczęście, że akurat nie trzymała puszek syropu kukurydzianego!”.) Wujek Benny żył pod nieustannym gradem wyzwisk i to bardzo donośnych. „Wzięłaś sobie Tatarkę, prawda, Benny?” - pytali go ludzie, a on śmiał się cicho i przytakiwał, zmieszany, tak jakby odbierał gratulacje. Po pewnym czasie sam zaczął opowiadać anegdoty. Żona wyrzuciła przez okno czajnik, bo nie było w nim wody. Pocięła nożyczkami jego zielony garnitur, który włożył tylko raz, z okazji ślubu. Nie wiedział, co jej w nim przeszkadza. Groziła, że podpali dom, bo kupił jej papierosy złej marki.

- Myślisz, że pije, Benny?

- Nie. Nigdy nie przynoszę do domu alkoholu. Sama sobie przecież nie kupi, a nawet gdyby, to i tak bym od niej wyczuł.

- Zbliżasz się do niej na tyle, by wyczuć cokolwiek, Benny?

Wujek zwieszał głowę, chichocząc.

- Podchodzisz do niej aż tak blisko? Na pewno rzuca się jak tygrysica. Musisz ją kiedyś związać, jak będzie spała.

Gdy wujek Benny przychodził do nas, aby oporządzać lisy, zabierał ze sobą Diane. On i ojciec pracowali w piwnicy. Zdejmowali skóry z martwych zwierząt, wywracali je na drugą stronę i rozciągali na długich deskach, żeby schły. Diane chodziła w tę i z powrotem po schodach do piwnicy albo siadała

na ich szczycie i obserwowała pracę. Nie odzywała się do nikogo poza wujkiem Bennym. Podejrzliwa wobec zabawek, ciasteczek, mleka i w ogóle wszystkiego, co jej dawaliśmy, nigdy nie marudziła ani nie płakała. Dotykowi lub pieszczotom poddawała się ostrożnie, leciutko drżąc z przestachu, a serce jej biło jak serduszko ptaka, kiedy trzyma się go w dłoni. Ale kładła się wujkowi na kolanach albo zasypiała wtulona w jego ramię, wiotka jak spaghetti. Wujek zasłaniał ręką sińce na jej nóżkach.

- Wiecznie gdzieś włązi, to i się obją. Mam tyle rzeczy, że co rusz na coś trafia, no a jak się wspina, to musi spaść, wiadomo.

Wczesną wiosną, nim jeszcze stopniały śniegi, wujek Benny oznajmił nam, że Madeleine odeszła. Gdy wrócił do domu poprzedniego dnia pod wieczór, nie zastał jej. Stwierdziwszy, że może jest w Jubilee, czekał, aż się pojawi. I wtedy zauważył, że zniknęło kilka sprzętów - stołowa lampa, w której właśnie chciał wymienić kabel, ładny dywanik, trochę naczyń, niebieski dzbanek do herbaty, który należał do jego matki, i dwa składane krzesła w idealnym stanie. Rzecz jasna zabrała też Diane.

- Pewno pojechała ciężarówką, nie zmieściłaby tego wszystkiego w samochodzie.

Wtedy mojej matce przypomniało się, że minionego dnia około trzeciej po południu widziała furgonetkę, chyba szarą, która zmierzała w stronę miasteczka. Nie zaciekało jej to jednak, toteż nie spostrzegła, kto w niej siedział.

- Szara furgonetka! Idę o zakład, że to ona! Mogła upakować rzeczy z tyłu. Zauważyłaś plandekę?

Nie zauważyła.

- Muszę ją gonić - rzekł wujek z podnieceniem. - Nie może tak sobie odjechać z rzeczami, które nie należą do niej. Wciąż powtarzała: „Wywal stąd

te graty, wyrzuć te rupiecie!”. Tymczasem te niby rupiecie przypadły jej do gustu! Tylko skąd mam wiedzieć, dokąd pojechała? Najlepiej skontaktuję się z jej bratem.

Po siódmej, kiedy połączenia były tańsze, ojciec zamówił rozmowę międzymiastową - od nas, bo wujek nie miał telefonu - z bratem Madeleine. Następnie poprosił do aparatu wujka, który bez zastanowienia wrzasnął:

- U was jest?! Odjechała furgonetką. Uciekła szarą furgonetką. Pokazała się u was?

Po drugiej stronie słuchawki najwyraźniej nastąpiła konsternacja. Wrzask wujka był chyba zbyt głośny. Ojciec przejął więc sprawy w swoje ręce i cierpliwie wyjaśnił, o co chodzi. Okazało się, że Madeleine nie pojechała do Kitchener. Jej brata niezbyt obchodziło, dokąd się udała. Bez słowa pożegnania odłożył słuchawkę.

Ojciec zaczął przekonywać wujka Benny'ego, że może to i dobrze, że w końcu pozbył się Madeleine. Zwrócił mu uwagę na fakt, iż nie była zbyt dobrą gospodynią i że mimo wszystko nie wprowadziła w jego życie wygody, ani też spokoju. Zrobił to dyplomatycznie, pamiętając, że mówi o żonie. Nie wspomniał o jej braku urody ani o niechlujnym stroju. Co zaś się tyczy sprzętów, które zabrała - ukradła, jak poprawił wujek - to oczywiście postąpiła źle i haniebnie (ojciec miał dość wrażliwości, by nie dodać, że nie były wiele warte), lecz może jest to cena za pozbycie się jej i kiedyś pewnie wujek uzna, że mu się poszczęściło.

- To nie tak... - odezwała się nagle matka. - Tu chodzi o małą. O Diane.

Wujek Benny zaśmiał się żałośnie.

- Biję ją, prawda? - zawołała matka głosem pełnym współczucia i trwogi. - To jasne. Stąd te sińce na nóżkach...

Wujek Benny rozchichotał się tak, jakby dostał czkawki.

- Yyy... No... Tak, ona...

- Dlaczego nic nam nie mówiłaś, kiedy jeszcze tu była? Dlaczego nic nie powiedziałaś zeszłej zimy? Czemu sama się nie domyśliłam? Gdybym знаła prawdę, mogłabym ją zgłosić...

Wujek uniósł głowę, zaskoczony.

- Zgłosić policji! Mogliśmy wnieść pozew przeciwko niej. Mogliśmy załatwić odebranie jej dziecka. A teraz trzeba nasłać na nią policję. Znajdą ją. Na pewno.

Zapewnienie to najwyraźniej nie uradowało, ani też nie pocieszyło wujka Benny'ego.

- Skąd będą wiedzieli, gdzie jej szukać? - zapytał przebiegle.

- Policja okręgowa ma swoje sposoby. Mogą działać w okręgu, a jeśli to konieczne, nawet w całym kraju. Z pewnością ją znajdą.

- Zaraz, zaraz - rzekł ojciec. - Skąd pewność, że zajmą się tym tak chętnie? W ten sposób szuka się tylko przestępców.

- A czy kobieta, która bije dziecko, nie jest przestępczynią?

- Trzeba mieć argumenty. No i świadków. Aby rzecz ujawnić, trzeba mieć jakiś dowód.

- Świadkiem jest Benny - odparła matka. - Powiedziałyby, jak było.

Zeznawałby przeciwko niej.

Odwróciła się do wujka, który znów dostał napadu czkawki i spytał tępo:

- No to co mam robić?

- Zostawmy to na razie - odpowiedział ojciec. - Poczekamy, zobaczymy.

Matka podniosła się z krzesła z obrażoną i zdumioną miną. Musiała coś dopowiedzieć, ale nie odkryła Ameryki:

- Nie widzę powodu, żeby zwlekać. Dla mnie jest to jasne jak słońce.

Ale to, co dla niej było oczywiste, dla wujka było zagmatwane - i napawało go przerażeniem. Nie wiadomo, czy obawiał się policji, ludzi, rozgłosu, czy też plotek, a może nieznanymi miejsc, do których musiałby się udać ze względu na sytuację. Tak czy inaczej załamał się i nie chciał już rozmawiać o Madeleine ani Diane.

Co począć? Matka rozważała podjęcie działań na własną rękę, lecz ojciec upomniął ją:

- Mieszając się do cudzych spraw rodzinnych, bądź pewna, że narobisz sobie kłopotu.

- Niemniej wiem, że mam słuszność.

- Zapewne, ale to nie znaczy, że mogłabyś tu coś zaradzić.

O tej porze roku szczenią się samice lisów. Gdyby któryś z samolotów szkoleniowych z jednostki wojskowej nad jeziorem przeleciał za nisko, gdyby do zagród zbliżył się ktoś obcy, gdyby zdarzyło się coś niepokojącego,

zakłócającego spokój - lisice mogłyby pozagryzać małe. Nikt nie wiedział, czy robią to z rozdrażnienia, czy też - wiedzione matczyną troską - w lęku i zarazem gniewie starają się tak ocalić ślepe jeszcze szczenięta przed zagrożeniem, które, co może podpowiadał im instynkt, same spowodowały. Nie były udomowione. Żyły w niewoli zaledwie od paru pokoleń.

By jeszcze bardziej zniechęcić matkę do jej zamierzeń, ojciec zasugerował, że Madeleine mogła udać się do Stanów, gdzie nikt by jej nie znalazł. Ostatecznie wyjeżdżała tam masa podłych i obłąkanych oraz niespokojnych i ambitnych ludzi.

Lecz Madeleine nie tam uciekła. Odezwała się późną wiosną. „Miała czelność napisać”, powiedział wujek Benny i pokazał nam jej list. Bezceremonialnie oświadczyła: „Zostawiłam u ciebie żółty sweter i zieloną parasolkę i koc diany przyślij mi je. Ridleya 1249, Toronto, Ont.”.

Wujek Benny już wcześniej podjął decyzję, że tam pojedzie. Poprosił o pożyczanie samochodu. Dotąd nigdy nie był w Toronto. Ojciec rozłożył na kuchennym stole mapę drogową i pokazał mu, jak dotrzeć na miejsce, dodając jednak, że nie jest pewien, czy to najlepszy pomysł. Wujek odparł, że chce przywieźć Diane z powrotem. Rodzice zwrócili mu uwagę, że to bezprawie, i odradzali wyjazd. Ale wujek - śmiertelnie przerażony, że będzie musiał załatwiać rzecz sądownie i oficjalnie - ani trochę nie obawiał się przedsięwzięcia, które mogło okazać się najzwyczajszym porwaniem. Dopiero teraz powiedział, co wyprawiała Madeleine. Przywiązywała nóżki Diane do prętów kołyski skózanymi pasami. Tłukła ją gontem. I pewnie, gdy wychodził z domu, robiła jeszcze gorsze rzeczy. Według niego dziecko miało na plecach ślady po uderzeniach pogrzebaczem. Kiedy opowiadał o tych okropnościach, ogarnął go ten dziwny skruszony półśmiech, aż musiał potrząsnąć głową i przełknąć ślinę.

Nie było go dwa dni. Ojciec włączył wiadomości o dziesiątej ze słowami: „Sprawdźmy, czy nie przyskrzynili naszego pocziwca!”. Drugiego dnia pod wieczór wujek Benny zajechał do naszego ogrodu i chwilę siedział w samochodzie, patrząc w przestrzeń. Wreszcie powoli wysiadł i z godnością ruszył, znużony, w stronę domu. Nie przywiózł Diane. Czyż nie spodziewaliśmy się, że tak będzie?...

Siedzieliśmy na cementowej płycie pod drzwiami kuchni. Matka na swoim płóciennym leżaku, który kojarzył jej się z leniuchowaniem i miejskimi trawnikami, a ojciec - na kuchennym krześle z prostym oparciem. Do lata zostało jeszcze trochę czasu, nie było więc dużo owadów. Oglądaliśmy zachód słońca. Czasem na wezwanie matki zbieraliśmy się wszyscy, by patrzeć, jak słońce znika za horyzontem, tak jakby sama zaaranżowała ten spektakl - co jednak trochę psuło nam przyjemność. I mimo że później odmawiałam udziału w tej celebracji, to trzeba przyznać, że na całym świecie nie istniało lepsze miejsce do podziwiania zachodu słońca niż właśnie kraniec Drogi na Moczary. Matka też tak uważała.

Tego dnia ojciec wstawił drzwi z siatką przeciw owadom. Owen huśtał się na nich, nieposłusznie, zasłuchany w swojskie dźwięki naprężającej się i odskakującej sprężyny. Upominany przestawał i cichutko, ostrożnie, za plecami rodziców zaczynał zabawę od nowa.

Wujka Benny'ego otaczała aura tak nieprzejednanie posepna, że nawet matka nie odważyła się zwrócić do niego wprost. Ojciec ściszone głosem kazał mi przynieść z kuchni jeszcze jedno krzesło.

- Siadaj, Benny. Zmęczony jazdą, prawda? Jak się sprawowało auto?

- Dobrze.

Usiadł. Nie zdjął kapelusza. Siedział sztywno jak w nieznanym miejscu, gdzie nie oczekuje się powitania, ani nawet się na nie nie liczy. W końcu zagadnęła go matka, z wymuszoną beztroską i pogodą:

- A więc mieszkają w domu czy w mieszkaniu?

- Nie wiem - odpowiedział złowrogo wujek Benny. Po chwili jednak dodał: -
Nie znalazłem.

- Nie trafiłeś?

Pokręcił głową.

- I nie widziałeś się z nimi?

- Nie.

- Zgubiłeś adres?

- Nie. Zapisałem go na karteczce. O, tu.

Wydobył z kieszeni portfel, wyjął z niego skrawek papieru, pokazał nam i przeczytał: „ulica Ridleya 1249”. Złożył go i schował. Jego ruchy zdawały się zwolnione, uroczyste i przesycone żalem.

- Nie mogłem... Nie mogłem znaleźć domu.

- A kupiłeś plan miasta? Pamiętasz, miałeś podjechać na stację benzynową i poprosić o mapę Toronto.

- Zrobiłem tak - odrzekł wujek Benny z pełnym smutku triumfem. - Jasne. Poszedłem

na stację benzynową i poprosiłem o plan, ale powiedzieli, że nie mają. Mieli mapy, ale tylko okręgu.

- Mapę okręgu już miałeś.

- Mówiłem im, że mam. Zażądałem planu miasta Toronto. Odpowiedzieli, że nie mają.

- Próbowałeś na innej stacji?

- Skoro nie mieli na jednej, to stwierdziłem, że na żadnej nie będzie.

- Mogłeś kupić w sklepie.

- Nie wiedziałem w jakim.

- Z papeterią! W domu towarowym! Mogłeś się przecież zapytać na stacji benzynowej.

- Stwierdziłem, że zamiast uganiać się po mieście w poszukiwaniu mapy, poproszę ludzi, żeby mnie pokierowali, zwłaszcza że już miałem adres.

- Pytanie ludzi jest bardzo ryzykowne.

- Tak jakbym nie wiedział - odparł z irytacją wujek Benny.

Gdy trochę się uspokoił, zaczął opowiadać.

- Najpierw zapytałem jednego gościa. Kazał mi przejechać przez most, no i tak zrobiłem. Dojeżdżam do czerwonego światła... Tak jak mówił, miałem skrócić w lewo, ale jak tam dojechałem, nie wiedziałem co dalej. Nie mogłem dojść do tego, czy trzeba skrócić w lewo na czerwonym z przodu, czy trzeba skrócić w lewo na zielonym z przodu.

- Skręca się na zielonym świetle - zawołała z rozpaczą matka. - Gdybyś skręcił na czerwonym, wjechałbyś w samochody jadące przed tobą.

- Mhm, wiem, ale jak skręcisz w lewo na zielonym świetle, to wjedziesz w drogę samochodom, które jadą wprost na ciebie.

- Trzeba tylko zaczekać, aż zrobią ci miejsce.

- To by się musiało czekać w nieskończoność, bo nikt człowieka nie przepuści. Więc nie miałem pojęcia, nie miałem bladego pojęcia, co zrobić, no i siedziałem jak głupek, próbując znaleźć wyjście z sytuacji. Zaczęli na mnie trąbić z tyłu, więc sobie pomyślałem, że skręcę w prawo, że to żaden kłopot. No i zrobiłem kółko i ruszyłem w tę stronę, z której przyjechałem. Zdawało mi się, że jadę tak, jak trzeba. Ale nie znalazłem żadnego miejsca, w którym dałoby się zawrócić, więc jechałem, jechałem i jechałem. Później skręciłem w ulicę, gdzie było skrzyżowanie, i pojechałem prosto, aż przyszło mi na myśl, że od tej całej jazdy zapomniałem, co mi radził ten gość, tak że teraz muszę się poradzić kogoś innego. Więc stanąłem i zapytałem o drogę jedną panią, co spacerowała z pieskiem na smyczy, a ona powiedziała, że w życiu nie słyszała o ulicy Ridleya. Nigdy w życiu. Powiedziała, że mieszka w Toronto dwadzieścia dwa lata. Potem przywołała chłopaka na rowerze i on słyszał. Powiedział, że to jest na drugim końcu miasta, no i ruszyłem w tamtą stronę, czyli z powrotem. Ale stwierdziłem, że chyba prościej będzie objechać miasto, zamiast jechać przez nie, chociaż to dłużej potrwa, i nie zbaczałem z tej drogi, którą jechałem cały czas. Okrążenie miasta wydawało mi się słuszne. Tylko że wtedy już zaczęło się ściemniać i pomyślałem: do licha, trzeba dodać gazu, bo przecież muszę znaleźć ten jej dom przed zmrokiem; nie mogę tak jechać po ciemku...

W końcu zaczął przysypiać i zatrzymał się na poboczu, przy podwórzu jakiejś fabryki. Zgubił się wśród budynków fabrycznych, ślepych zaułków, hurtowni, złomowisk, torów kolejowych. Opisał nam drobiazgowo każdy zakręt i wszystkie osoby, które pytał o drogę. Zrelacjonował każde słowo, które od nich usłyszał, jak również wszystko, co wtedy pomyślał, możliwości, które brał pod uwagę, i powody, dla których za każdym razem robił to, co robił. Zapamiętał każdy detal. Plan podróży wrył mu się w pamięć bardzo mocno. I gdy tak opowiadał, obcy nam pejzaż złożony z samochodów, billboardów, zabudowań przemysłowych, dróg, pozamykanych bram,

wysokich ogrodzeń z drutu, torów kolejowych, stromych hałd żużlu, blaszanych wiat, rowów z brunatną wodą, puszek, pogniecionych tekturowych pudeł, najróżniejszych zbitych w grudy bądź pływających odpadków - wszystko to zdawało się wyrastać wokół za sprawą jego monotonnego, zapamiętałe pedantycznego głosu, aż stało się wręcz namacalne i zrozumieliśmy jego zagubienie, pojęliśmy niemożliwość znalezienia czegokolwiek, albo też dalszych poszukiwań. Mimo protestu matki:

- Ale tak jest w mieście! Dlatego trzeba mieć mapę!

- Obudziłem się dziś rano - ciągnął wujek Benny, jakby jej nie usłyszał - i poczułem, że najlepiej będzie się stamtąd wynieść, już obojętne którądy.

Ojciec westchnął i kiwnięciem głowy przyznał wujkowi słusność.

Obok naszego świata istniał więc świat wujka Benny'ego, jak niepokojące krzywe odbicie, taki sam, a jednak inny.

W jego świecie człowiek mógł utonąć w ruchomych piaskach, paść ofiarą duchów lub przerażających zwykłych miast, szczęście i nikczemność były gigantyczne i nieprzewidywalne, nie zasługiwało się na nic, mogło się wydarzyć wszystko, a porażki odbierano z obłąkańczą satysfakcją. Pokazując go nam, wujek odniósł triumf, którego nie mógł być świadomy.

Owen huśtał się na drzwiach z siatką i - jak zwykle podczas długich rozmów - podśpiewywał, akcentując złośliwie:

Kraju Nadziei i Chwały,

Matko Wolnych ludzi,

Jakże możemy cię spławić,

Którzyśmy z ciebie zrodzeni?

To ja nauczyłam go śpiewać w taki sposób - tamtego roku codziennie śpiewaliśmy w szkole podobne pieśni patriotyczne, by pomóc ratować Anglię przed Hitlerem. Matka zwracała Owenowi uwagę, że w tekście jest „sławić”, lecz ja upierałam się przy swojej,

jakoby lepiej brzmiącej, wersji.

Matka siedziała na leżaku, a ojciec na drewnianym krześle. Nie patrzyli na siebie. Lecz istniała między nimi więź, więź prosta jak ogrodzenie, łącząca nas z wujkiem Bennym, z Drogą na Moczary, więź pomiędzy nami a resztą świata. Było tak samo jak czasami zimą, kiedy siadywali przy kuchennym stole, rozdawali dwie talie kart i grali, czekając na wieczorne wiadomości, gdy my już leżeliśmy w łóżkach. A rzeczywistość na piętrze zdawała się zawieszona tysiące mil ponad rodzicami, mroczna i wypełniona zgiełkiem wiatru. Na górze dokonywaliśmy odkrycia, o którym nigdy nie pamiętaliśmy w kuchni - że jesteśmy w domu tak znikomym i odległym jak statki na morzu, pośród spienionych bałwanów. Matka i ojciec rozmawiali, grali w karty, jak gdyby w wielkim oddaleniu, w maleńkiej plamce światła, nierealni, a jednak sama myśl o nich, prozaiczna jak czkawka, znajoma jak oddech, tuliła mnie, mrugając z dna studni, kiedy usypiałam.

Madeleine nie odezwała się już do wujka Benny’ego, a nawet jeśli, to nigdy nam o tym nie powiedział. Na związane z nią pytania lub żarty zdawał się przywoływać ją w pamięci bez żalu, z lekką pogardą - jak kogoś, a raczej coś, czego dawno pozbył się jak żółwi.

Po pewnym czasie wszyscy śmialiśmy się tylko na wspomnienie, jak Madeleine szła drogą w czerwonej kurtce, krokiem ostrym jak nożyczki, obrzucając obelgami wujka, który włókł się za nią z dzieckiem. Śmialiśmy się na myśl o tym, jak się zachowywała, jak potraktowała Irene Pollox i

Charlie'ego Buckle'a. Być może wujek Benny zmyślił pobicia, stwierdziła któregoś dnia matka, uznając to za pocięchę, bo naprawdę trudno było mu zaufać. Już sama Madeleine była niczym wytwór jego wyobraźni. Wspominaliśmy ją jak anegdotę, a nie mogąc dać jej nic innego, obdarzaliśmy ją dziwnymi, spóźnionymi, nieczułymi oklaskami.

- Madeleine! Ta wariatka!

„Następcy żywego ciała”

Nazwa ta - namalowana przez wujka Craiga - widniała na tabliczce domu przy Zakręcie Jenkina, wiszącej na werandzie, pomiędzy czerwoną banderą a flagą Wielkiej Brytanii. Dom przypominał posterunek rekrutacyjny albo przejście graniczne. Kiedyś mieściła się tam poczta i budynek nadal sprawiał wrażenie oficjalnego, półpublicznego, zwłaszcza że wujek Craig był urzędnikiem okręgu Fairmile i ludzie przychodzili do niego po zezwolenia na ślub i inne ważne papiery. Radni Społeczności Miejskiej spotykali się w jego gabinecie, lub też biurze, którego umeblowanie stanowiły szafy na dokumenty, czarna skórzana kanapa i wielki sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Były tam też rozmaite flagi, zdjęcie Ojców Konfederacji i drugie, przedstawiające ubraną w stroje koronacyjne parę królewską i małe księżniczki. Jak również oprawiona w ramkę fotografia chaty z bali, która stała w obrębie zwyczajnego, acz obszernego i okazałego domu z cegły. To zdjęcie zrobiono chyba w innym kraju, gdzie wszystko było znacznie niższe, pokryte grubszą warstwą błota i bardziej mroczne niż u nas. Budynek otaczały brudne krzewy gęsto poprzątkane roślinami, wiecznie zielonymi, o poczerniałych wierzchołkach, a na pierwszym planie widniała droga z kawałków pociętego pnia.

- U nich nazywało się to „ścieżka z plastrów” - objaśnił mi wujek Craig.

Wokół wozu z koniem stało kilku wąsatych mężczyzn w samych koszulach, z groźnym, ale dziwnie bezradnym wyrazem twarzy. Popęłniłam

błąd, pytając wujka, czy jest na zdjęciu.

- Myślałem, że umiesz czytać - odpowiedział i wskazał nagryzmołoną pod kołami wozu datę: 10 czerwca 1860. - Mój ojciec był wtedy jeszcze niedorostkiem. Ożenił się dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku. Ja przyszedłem na świat w osiemdziesiątym drugim. Odpowiedziałem ci wystarczająco?

Zdenerwował się nie z próżności, myśląc o swoim wieku, lecz dlatego, że miałam nieściste pojęcie o czasie i historii.

- Kiedy się urodziłem - ciągnął surowo - już dawno nie było tych wszystkich

krzewów, które widzisz na zdjęciu. Nie było też tej drogi. Została zastąpiona żwirowaną.

Nie widział na jedno oko, które mimo operacji pozostało ciemne i zamglone; powieka nad nim opadała groźnie. Miał kwadratową i zapadniętą twarz. Był krępy. W innym pokoju, frontowym, po przeciwnej stronie korytarza, wisiało jeszcze jedno zdjęcie. Przedstawiało wujka - wyciągniętego na dywanie (przed siedzącymi na krzesłach starszymi rodzicami) pulchnego, jasnowłosego, zadowolonego z siebie nastolatka, z głową wspartą na łokciu. U jego stóp i przy głowie siedziały na pufach młodsze siostry, ciotki Grace i Elspeth, z poskręcanyimi loczkami, w marynarskich ubrankach. Mój dziadek, który zmarł na gripę w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, stał wyprostowany za krzesłami rodziców, z ciotką Moirą (wtedy szczupłą!), która mieszkała w Porterfield, po jednej stronie - i ciotką Heleną, która poślubiła wdowca i objechała całą kulę ziemską, a teraz wiodła bogate życie w Kolumbii Brytyjskiej, po drugiej stronie. „Spójrz na wujka Craiga!”, mawiała ciotka Elspeth albo ciocia Grace, odkurzając zdjęcie. „Zobacz, jaki pewny siebie, jak kot, co wylizał śmietankę ze spodeczka!”. Wypowiadały to w taki sposób, jakby nadal był tamtym chłopcem, który, wyciągnięty na dywanie z rozbrajającą beczelnością, czeka na ich pochlebstwa i żarty.

Wujek Craig opowiadał różne rzeczy. Część z nich interesowała mnie, a część - ani trochę. Chciałam się dowiedzieć, skąd wzięła się nazwa „Zakręt Jenkinsa”. Otóż nazwano go tak na cześć pewnego młodzieńca, który zginął na drodze, nieopodal, przywalony przez drzewo, a przyjechał do Kanady zaledwie miesiąc wcześniej. Dziadek wujka Craiga, czyli mój prapradziadek - który zbudował tutaj dom, otworzył pocztę i założył osadę w nadziei, że kiedyś stanie się ona ważnym miasteczkiem - nadał zakrętowi imię tego młodego kawalera, aby zachować pamięć o nim.

- Gdzie zginął?

- Na drodze, niecałe ćwierć mili dalej.

- Mogłabym pójść i zobaczyć?

- Nie ma tam żadnego znaku. Na ogół nie oznacza się takich miejsc.

Wujek Craig spojrzał na mnie z dezaprobatą, moja dociekliwość wcale go nie wzruszyła. Czasami dawał mi do zrozumienia, że jestem bezmyślna i głupia, ale nie przejmowałam się tym zbyt. Jego sądy na mój temat brzmiały tak chłodno, beznamyślnie, że nigdy nie czułam się skrępowana. A jemu w żaden sposób nie sprawiała bólu, ani też go nie umniejszała moja niedoskonałość, chociaż mi ją wytykał. Na tym polegała wielka różnica między zawiedzeniem wujka a na przykład mojej matki czy nawet ciotek. Jego męski egocentryzm działał na mnie kojąco.

Opowiadał mi też o rzeczach związanych z politycznymi dziejami hrabstwa Wawanash, przywiązaniu tutejszych rodzin do ziemi, pokrewieństwie mieszkańców, o tym, jak wyglądały wybory. Był pierwszym znanym mi człowiekiem, którego naprawdę obchodziło, co dzieje się w kraju, polityka - i który zawsze z zapałem angażował się w tego typu sprawy. Mimo że rodzice codziennie słuchali wiadomości, reagując na nie z niechęcią lub ulgą (zazwyczaj z ulgą, bo było to na początku wojny), wydawało mi się, iż zarówno dla nich, jak i dla mnie wszystko, czym żyje świat, jest poza naszą kontrolą, nierzeczywiste, choć zgubne. Wujek Craig widział to bardziej

konkretnie. Dostrzegał prosty związek pomiędzy sobą, zajmującym się - nieraz kłopotliwymi - sprawami okręgu, a premierem, który w Ottawie czuwał nad sprawami państwa. A do wojny, potężnej erupcji na tle politycznej normalności, podchodził z dystansem, twierdząc, że powinna wypalić się sama. Znacznie bardziej od przebiegu wojny interesował go jej wpływ na wybory i to, czy kwestia rekrutacji nie zaszkodzi liberałom. Niemniej był patriotą: wywieszał flagę, sprzedawał obligacje wojenne.

Poza pracą na rzecz okręgu wujka Craiga pochłaniały dwa przedsięwzięcia - dzieje hrabstwa Wawanash i rodowe drzewo genealogiczne datujące się od tysiąc sześćset siedemdziesiątego roku w Irlandii. Dotąd nikt z naszej rodziny nie zrobił niczego znaczącego. Wiązali się z innymi irlandzkimi protestantami i mieli dużo dzieci. Niektórzy nie zawierali związków małżeńskich. Część dzieci zmarła w młodym wieku. Cztery osoby pochłonął pożar. Pewien przodek stracił dwie żony podczas porodów. Inny ożenił się z katoliczką. Przyjeżdżając do Kanady, przebywali tę samą drogę; pobierali się ze szkockimi prezbiterianami. Wujek Craig uważał za konieczne, by nazwiska tych wszystkich ludzi, ich wzajemne koneksje, trzy ważne daty, narodzin, ślubu i śmierci, bądź tylko narodzin i śmierci, zostały odnalezione - nieraz z ogromnym trudem i poprzez niezliczoną ilość światowej korespondencji - chronologicznie utrwalone jego własnym, dużym i starannym pismem. Nie zapomniał nawet o gałęzi rodziny, która wyjechała do Australii. Aby nie psuć rejestru, nie szukał wśród antenatów nikogo, kto miałby na koncie jakiś skandal, coś ciekawszego niż związek z katoliczką, której wyznanie oznaczał czerwonym podkreśleniem. Istotne były nie pojedyncze nazwiska, lecz solidny splot rodzinnych związków, które wspierały nas z przeszłości.

Podobnie rzecz miała się z dziejami hrabstwa, które zostało założone, powiększało swe rozmiary i w tamtym okresie wkroczyło w fazę stopniowego upadku. Historia odnotowała tu skromne nieszczęścia - pożar w Tupperton, regularne występowanie Wawanash z brzegów, kilka mroźnych zim, parę tajemniczych zabójstw, a wywodziły się stąd tylko trzy osoby godne uwagi - sędzia Sądu Najwyższego, archeolog, który badał wioski indiańskie w okolicy zatoki jeziora Huron i napisał o nich książkę, i poetka, której wiersze publikowały dzienniki w całej Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Nie to jednak się liczyło. Naprawdę istotna była codzienna rzeczywistość. Teczki i szuflady wujka Craiga wypełniały wycinki z gazet, listy z opisami pogody,

relacja o ucieczce konia z czyjejs stajni, spisy osób obecnych na pogrzebach, nieprzebrana ilość najzwyklejszych faktów, które porządkował. Wszystko to musiało znaleźć się w spisywanych przez niego dziejach, stworzyć pełną historię hrabstwa Wawanash. Nie pominął niczego. Dlatego zanim umarł, zdążył dotrzeć zaledwie do tysiąc dziewięćset dziewiątego roku.

Kiedy po wielu latach czytałam w Wojnie i pokoju o Nataszy, która nie rozumiejąc abstrakcyjnych intelektualnych pasji męża, przypisywała im olbrzymią wagę, musiały mi się przypomnieć ciotki Grace i Elspeth. Bez względu na to, czy wujek kultywowałyby abstrakcyjne intelektualne pasje, czy też od rana do świtu sortował kurze pióra, one i tak były gotowe przydać temu wartość. Miał starą czarną maszynę do pisania z obwiedzionymi srebrno klawiszami o ciemnych długich ramionach. Ilekroć rozpoczynał powolny, głośny, kulawy, acz kategoriyczny proces tworzenia, ciotki ściszały głos i na każdy brzęk garnka beształy się wzajemnie niedorzecznymi minami. „Craig pracuje!” Nie wypuszczały mnie na werandę, w obawie, że podejdem pod okno i przeszkodzę wujkowi. Pracę mężczyzny ceniły ponad wszystko, ale i śmiały się z niej. Przedziwne: bezwarunkowo wierząc w jej doniosłość, potrafiły też mówić o niej jak o czymś niepoważnym, zbędnym. Jednak nigdy, ani razu nie zdarzyło im się do niej wtrącić. W przekonaniu ciotek pracę mężczyzn i pracę kobiet dzieliła wyraźna granica, której wszelkie przekroczenie czy choćby sugestią przekroczenia traktowały lekkim, zdumionym śmiechem, pełnym politowania i wyższości.

Popołudniami - po zakończeniu rannego maratonu szorowania podłóg, plewienia

ogórków, kopania ziemniaków, zbierania pomidorów i fasoli, marynowania, puszkowania, prania, krochmalenia, roszenia, prasowania, woskowania i pieczenia - przesiadywały na werandzie. Nie próżnowały jednak, zawsze szykując sobie nową pracę: a to drylowanie wiśni, to znów obieranie groszku czy też usuwanie gniazd nasiennych z jabłek. Ich dłonie, ich stare, ciemne ostre noże o drewnianych trzonkach poruszały się w zaskakującym, nieomal dzikim tempie. Dwa, trzy razy na godzinę pod domem przejeżdżał i zwykle zwalniał samochód pełen miejscowych, którzy machali rękami. Ciotka Elspeth albo ciocia Grace witały ich przyjaznym okrzykiem, jak to na wsi: „Zatrzymajcie się na chwilę, zjedźcie z zakurzonej drogi!”, a pasażerowie auta odkrzykiwali: „Nie mamy czasu! Może byście wy nas odwiedziły!”.

Ciotka Elspeth i ciocia Grace opowiadały różne historie. Tak jakby nie mnie, nie dla mojej rozrywki, tylko jak gdyby z nawyku, dla własnej przyjemności - nawet kiedy były same.

- Pamiętasz tego cudzoziemca, którego najmował tatuś? Miał, przepraszam za wyrażenie, szatański charakter. Skądże on był, Grace, co? Zdaje się, że z Niemiec.

- Był z Austrii. Zajechał do nas, szukając roboty, i ojciec go zatrudnił. Matka bała się go jak ognia, nigdy nie ufała ludziom z zagranicy.

- Nic dziwnego.

- Kazała mu sypiać w spichlerzu.

- Bez przerwy wydzierał się i klął po austriacku. Pamiętasz, jak raz przeskoczyłyśmy przez tę jego kapustę? Wylewał potok cudzoziemskich przekleństw, mrozących krew w żyłach.

- Aż postanowiłam dać mu nauczki.

- Co on wtedy palił? Był w ogrodzie i palił stos gałęzi...

- Gąsienice.

- O, właśnie! Palił gąsienice, a ty włożyłaś koszulę i ogrodniczki Craiga, wypchałaś ubranie poduszkami, schowałaś włosy pod pilśniowym kapeluszem ojca i umazałaś węglem ręce i twarz, żeby wyglądać jak czarnuch...

- I wzięłam nóż rzeźniczy, ten straszny długi nóż, który mamy do dzisiaj...

- I zakradłaś się przez sad, schowałaś się za drzewami, a Craig i ja cały czas obserwowaliśmy cię z okna na górze, prawda?
- Rodziców na pewno nie było wtedy w domu.
 - A jakże, pojechali do miasteczka! Wybrali się do Jubilee powozikiem!
- Zbliżyłam się do niego na pięć jardów, wyskoczyłam zza pnia drzewa i... O, święci pańscy, jak nie wrzasnie! Wrzasnął i czmychnął do stodoły. Był z niego okropny tchórz!
- Wróciłaś do domu, zdjęłaś przebranie i wyszorowałaś się do czysta przed powrotem rodziców. Potem siedliśmy wszyscy do kolacji i czekaliśmy na niego. Liczyliśmy skrycie, że zwiął...
- Ja nie. Wcale na to nie liczyłam. Chciałam zobaczyć efekt.
 - Przyszedł blady jak płótno, ponury jak sto diabłów, usiadł i nie powiedział słowa. Sądziłyśmy, że wspomni o czarnym wariacie, który ugania się po okolicy. Ale nie wspomniał.
- Nie chciał się przyznać, jakiego mu napędziłyśmy stracha!

Obie zatrzęśły się ze śmiechu, aż z kolan pospadały im owoce.

- Nie tylko ja umiałam wymyślać różne psoty! To ty przecież wpadłaś na pomysł, aby przywiązać puszki nad frontowymi drzwiami, gdy poszłam na zabawę! Nie powinnyśmy o tym zapominać!
- Poszłaś z Maitlandem Kerrem. Biedaczek, już nie żyje. Byliście na tańcach

w

Jericho...

- W Jericho?! Bawiliśmy się w szkole!

- Może. Tak czy inaczej wprowadziłaś go do domu, chcieliście się pożegnać.
Zakradliście się po cichutku jak baranki...

- I wtedy przybiegli z góry!

- Narobili rumoru jak lawina! Ojciec wyskoczył z łóżka i chwycił śrutówkę! Pamiętasz śrutówkę w ich pokoju? Leżała za drzwiami. Powstał straszliwy zamęt! A ja nakryłam się kołdrą i mocno zagryzłam poduszkę, by nikt nie usłyszał, jak się śmieję!

Mimo upływu lat psoty wcale im się nie znudziły. Raz ciocia Grace i ja wśliznęłyśmy się do sypialni, w której drzemała ciotka Elspeth, ułożona na wznak, chrapiąc majestatycznie. Ostrożnie uniosłyśmy narzutę i związałyśmy jej nogi w kostkach czerwoną wstążką. Którejś niedzieli, po południu, gdy wujek Craig spał na skórzanej kanapie w swoim gabinecie, obudziłam go z informacją, że przed domem stoją młodzi narzeczeni, którzy chcą złożyć prośbę o pozwolenie na ślub. Wujek wstał, zrzędząc pod nosem, poszedł do kuchni i umył się w zlewozmywaku, zwilżył i zaczesał włosy do tyłu, zawiązał krawat, włożył kamizelkę i marynarkę - aby wydać pozwolenie na ślub, musiał być stosownie ubrany - i otworzył drzwi od frontu. W progu ujrzał staruszkę w długiej kraciastej spódnicy i chuście na głowie, zgiętą wpół, o lasce, i przygarbionego staruszka w wyświeconym garniturze i przedpotopowej fedorze.

- Jak się państwo miewają? - zapytał niepewnie, wciąż oszołomiony snem, i dopiero po chwili wybuchnął w żartobliwym gniewie: - Elspeth! Grace! Czy was opętało?

W porze dojenia ciotki wiązały włosy chustkami, których rogi opadały

im na ramiona jak skrzydełka, wkładały obdarte patchworkowe ubrania i przechadzały się po krowich ścieżkach, podnosząc czasem z ziemi jakiś kijek. Ich krowy miały na szyjach ciężkie, brzękliwe dzwonki. Raz ciotka Elspeth i ja poszliśmy za ich rzadkim, leniwym dźwiękiem aż na skraj zarośli i zobaczyliśmy jelenia. Stał spokojnie wśród pniaków i gęstych paproci. Ciotka Elspeth nie odezwała się, ale uniosła kij w górę jak królowa, nakazując mi milczenie - i patrzyliśmy na niego chwilę, dopóki nas nie spostrzegł. Spłoszony, zerwał się, wykonał półobrót w powietrzu jak tancerz i zarzucając zadem, pomknął w głąb zarośli. Był upalny, niezmaczenie cichy wieczór. Światło kładło się smugami na pniach drzew, złote jak skórka moreli.

- Dawniej widywało się je regularnie - rzekła ciotka. - Kiedy byliśmy małe, spotykałyśmy je po drodze do szkoły. Teraz to co innego... Nie pamiętam, ile już lat nie widziałam tu jelenia.

W oborze ciotki pokazywały mi, jak się doi, co wbrew pozorom nie jest takie łatwe. Na przemian strzykały mlekiem do pyszczka kota, który stał na tylnych łapkach kilka stóp od krowy. Był to wiecznie umorusany pasiasty kocur imieniem Zbój. Wujek Craig - zawsze w wykrochmalonej koszuli, z podwiniętymi rękawami, i w błyszczącej na plecach kamizelce, za której kieszeń miał zatknięte pióro i ołówek - nadzorował pracę z za oddzielną śmietaną. Ciotka Elspeth i ciocia Grace lubiły śpiewać podczas dojenia. Śpiewały: Spotkajmy się w St. Louis, Louie, spotkajmy się na targu!, Mam sześciopensówkę, śmieszna sześciopensówkę i Nadejdzie zбочem góry, kiedy nadejdzie... Śpiewały różne piosenki jednocześnie, próbując się zagłuszyć i narzekając: „Nie wiem, skąd w tej kobiecie przekonanie, że potrafi śpiewać!”. Dojenie wprawiało ciotki w radosny, łobuzerski nastrój. Ciocia Grace, która nigdy nie wchodziła do składu z obawy przed nietoperzami, biegała po podwórku i klepiąc duże długorogie krowy po zadach, wyganiała je z powrotem na pastwisko. Ciotka Elspeth podnosiła bańki ze śmietaną silnym i swobodnym, niemal pogardliwym ruchem chłopca.

A przecież te same kobiety w domu mojej matki stroiły fochy, robiły się podejrzliwe, obrażały się z byle powodu i przybywało im lat. Kiedy matka nie słyszała, pytały mnie: „Czeszesz się tym grzebieniem? Myślałyśmy, że to dla

psa!” albo „Tym wycierasz naczynia?”. Pochylając się nad garnkami, starannie zdrapywały z nich najdrobniejsze ślady sadzy, która nagromadziła się od ich poprzedniej wizyty. Na słowa matki reagowały zwykle uśmieszkami zaskoczenia. Sparaliżowane na moment jej bezpośredniością, nonszalancją, gwałtownie i bezradnie mrużyły oczy jak przed ostrym światłem.

Każda życzliwa uwaga brzmiała w ustach matki jak najgorszy przytyk. Ciotka Elspeth umiała grać na pianinie ze słuchu. Czasami siadała i grała kilka znanych sobie utworów: Ma śliczna jest za oceanem i Drogę na wyspy. Matka zaproponowała kiedyś, że nauczy ją czytać nuty.

- Wtedy będziesz mogła grywać naprawdę dobre kompozycje.

Ciotka Elspeth odmówiła z delikatnym nienaturalnym śmiechem, tak jakby ktoś zaoferował jej lekcje gry w bilard. Kiedy indziej znalazła obok domu zaniedbaną rabatkę i uklękła na ziemi w promieniach południowego słońca, by powyrywać chwasty.

- Na tej rabacie już mi nie zależy, przestałam jej doglądać! - zawołała z progu kuchni matka beztrasko, ostrzegawczo. - Rośnie na niej tylko skalnica, którą i tak wyrzucę!

Ciotka nie przerwała pielenia, jakby to do niej nie dotarło. Matka najpierw zrobiła rozdrażnioną, a później lekceważącą minę, wyciągnęła się na leżaku, przymknęła oczy i uśmiechając się gniewnie, zastygła w bezruchu na prawie dziesięć minut. Gdy ona szła prosto przed siebie, ciotka Elspeth i ciocia Grace wiły się wokół niej, cofały się, znikwały i wracały, przebiegłe, ciche, niezniszczalne. Odpychała je na boki niby pajęczynę - czułam to jak nikt inny.

W swoim domu przy Zakręcie Jenkina - gdzie znosiły moją obecność przez prawie całe lato - ożywały, nabierały rumieńców jak kwiat, gdy wstawi się go do wody. Nie sposób było nie dostrzec, jak bardzo się wtedy zmieniały. I ja - z lekkim poczuciem winy - zmieniałam pełny sceptycznych pytań,

niekończących się, a jednak lekceważonych zadań domowych, grudek w ziemniaczanym purée i niepokojących myśli świat matki na ich świat, wypełniony pracą i radością, dobrobytem i porządkiem, zawiłym rytuałem kurtuazji.

U nich uczyłam się posługiwać zupełnie innym językiem. Rozmowy toczyły się na wielu poziomach, niczego nie można było wyrażać bezpośrednio, a każdy żart zawsze mógł zostać przeobrażony w docinek. Dezaprobata matki była zdecydowana i jednoznaczna jak zachmurzone niebo, a w wydaniu ciotek raniła jak maleńkie ostrze, niepostrzeżenie wkładana między najbardziej dobrotliwe słowa. Ciotki miały właściwy Irlandczykom dar druzgoczącej ironii przetykanej szacunkiem.

Dziewczyna z sąsiedniego domu wyszła za adwokata z miasta, który napawał dumą jej rodziców. Któregoś dnia przyprowadzili go, żeby się przedstawił. Ciotka Elspeth i ciocia Grace napięły z tej okazji smakołyków, wypolerowały srebra, wyciągnęły z kredensu ręcznie malowane talerze i nożyki o perłowych trzonkach. Karmiły młodzieńca ciastami, ciasteczkami maślanymi, pasztetem orzechowym i tartaletkami. Był głodny albo tak bardzo zaskoczony, że jadł ze zdenerwowania. Brał w palce kawałki ciasta i wpychał je do ust w całości, aż się kruszyły, a lukier zostawał mu na wąsach. Przy kolacji ciocia Grace bez słowa zaczęła naśladować jego sposób jedzenia, przesadzając coraz bardziej, gulgocząc i podnosząc z talerza wyimaginowane potrawy.

- Ach, adwookat! - powiedziała z wyszukaną elegancją ciotka Elspeth i pochylając się nad stołem, zapytała: - Czy zawsze interesowało panie życie na wsi?

Mając świeżo w pamięci niezwykłą uprzejmość, z jaką się do niego odniosły, wzdrygnęłam się: była to przestroga. „Ależ on dumny!” - brzmiało ich ostateczne oskarżenie. „Ma się za Bóg wie kogo”. „Za kogo oni się uważają”. Same pretensje.

Ciotki nie miały nic przeciwko uzdolnieniom, tyle że uznawały je wyłącznie w swojej, w naszej rodzinie. Najwyraźniej jednak były zdania, że z

talentem nie należy się obnosić. Ambicja wprawiała je w niepokój, bo wiązały ją z porażką i ryzykiem narażenia się na śmieszność. Za najgorszą rzecz, jakiej można doświadczyć w życiu, uważały kpinę.

- Wujek Craig - powiedziała kiedyś do mnie ciotka Elspeth - to jeden z najinteligentniejszych, najbardziej lubianych i szanowanych ludzi w hrabstwie Wawanash. Mógł zostać ustawodawcą. Gdyby tylko chciał, byłby dziś w radzie ministrów.

- Nie wybrali go?

- Nie bądź niemądra, nigdy nie kandydował. Wolał tego nie robić.

Tak oto został mi objawiony tajemniczy i dość oryginalny pogląd, że rezygnacja z działania świadczy o szacunku wobec samego siebie i mądrości znacznie dobitniej niż działanie. Ciotki cieszyły się, ilekroć ktoś odrzucał propozycję, oświadczyły, stanowisko, możliwości czy zarobek. Mojej kuzynce Ruth McQueen, która mieszkała w Tupperton, przyznano stypendium do college'u, bo była bardzo bystra, ale przemyślała to sobie i zrezygnowała. Stwierdziła, że zostanie w domu.

- Taką miała wolę.

Dlaczego budziło to tak wielki podziw ciotek? Powab wyrzeczenia był dla mnie niepojęty jak pewne subtelności harmonii muzycznych lub kolorystycznych - a jednak, w przeciwieństwie do matki, nie potrafiłam go zakwestionować.

- Boi się wystawić głowę z nory - zwięźle podsumowywała Ruth McQueen matka.

Ciotka Moira była żoną wujka Boba Oliphanta. Mieszkali w odległym o

trzyście mil Porterfield i mieli jedną córkę, Mary Agnes, która przyszła na świat po wielu latach ich związku. Czasami latem ciotka przyjeżdżała z Agnes z popołudniową wizytą do domu przy Zakręcie Jenkina. Umiała prowadzić samochód. Ciotka Elspeth i ciocia Grace uważały to za przejaw jej wielkiej odwagi (ale kiedy matka uczyła się kierować naszym autem, stwierdziły, że to lekkomyślność i rzecz całkowicie zbędna). Przyglądały się, jak staroświecki samochód ciotki Moiry z kwadratowym dachem skręca z mostu na gościniec, i biegły ją witać serdecznymi okrzykami pełnymi zachęty i podziwu, tak jakby pokonała co najmniej Saharę, a nie przysypane pyłem rozgrzane drogi z Porterfield.

Złośliwość, którą wraz z uprzejmościami tak przebiegle częstowały świat, nigdy nie pojawiała się w ich wzajemnych relacjach. Nigdy też nie dokuczały bratu ani siostrze. Wobec siebie zawsze były czułe i szczyliły się sobą nawzajem. Dotyczyło to także Mary Agnes Oliphant. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest im bliższa niż ja. Trzeba przyznać, że zawsze przyjmowały mnie z otwartym sercem, ale też w ich pojęciu nosiłam stygmat złych wpływów i niekorzystnych cech dziedzicznych; moje wychowanie było skalane ułomnościami, których już nie dało się wyprostować. Tymczasem Mary Agnes - tak mi się przynajmniej wydawało - darzyły bardziej czystym, jaśniejszym i pewnym uczuciem.

W domu przy Zakręcie Jenkina nie padło choćby jedno słowo zarzutu na jej temat. Skądinąd nic w tym dziwnego, bo zachowywała się tak jak większość ludzi. Tyle że nigdy nie zdarzyło jej się wejść do sklepu i kupić coś bez udziału matki, która musiała jej towarzyszyć właściwie wszędzie. Mary Agnes nie dorównywała tępotą Irene Pollox czy Frankie'emu Hallowi z Drogi na Moczary, a już na pewno nie była tak głupia, by jeździć na karuzeli w wesołym miasteczku od rana do nocy jak oni - nawet gdyby ciotka Moira

pozwoili jej zrobić z siebie takie widowisko. Jej skóra miała szary odcień, jakby wiecznie przysłaniał ją pergamin albo cieniutki witraż.

- Była pozbawiona tlenu - mówiła matka z nutą satysfakcji, jak zwykle, gdy coś tłumaczyła. - Kiedy jechali do szpitala, do kanału rodniego ciotki Moiry nie dochodziło dość tlenu, bo za radą lekarza wujek Bob ścisnął jej nogi, żeby

nie dopuścić do krwotoku.

Nie miałam ochoty słuchać dalszych objaśnień. Przede wszystkim z lęku przed myślą, że przecież grozi to każdemu noworodkowi, że i ja mogłam urodzić się otepiała umyślowo z powodu niedostatku czegoś tak namacalnego, wymiernego, prozaicznego jak tlen. A określenie „kanał rodny” kojarzyło mi się z pełną krwi rzeką o kanciastych brzegach. Wyobraziłam sobie, jak wujek Bob Oliphant ściska ciężkie, pokryte żyłakami nogi ciotki Moiry, gdy ona rzuca się z bólu, próbując wydać na świat dziecko - i odtąd, ilekroć go widywałam, stawał mi przed oczami tamten straszny obraz. Zawsze kiedy odwiedzaliśmy wujka, siedział przy radioodbiorniku, ssał fajkę i słuchał Blackie’ego z Bostonu lub Brygady policyjnej, poważnie kiwając łusą jak kolano głową na każdy pisk opon albo wystrzał, a ja zastanawiałam się, czy nogi żony też ściskał z fajką w zębach i czy traktował jej krzyki z taką samą atencją jak posunięcia swojego ulubionego bohatera.

Pewnie za sprawą tej historii stwierdziłam, że emanujące z ciotki Moiry przygnębienie ma niemiły szpitalny zapach jak kosmate bandaże elastyczne na jej nogach. Odtąd zawsze jawiła mi się jako ofiara żyłaków, hemoroidów, przepukliny pochwy, torbieli jajników, zapaleń rozmaitych narządów, upławów i wszelkich możliwych kamieni - jedna z tych ospałych, poruszających się ostrożnie, udręczonych istot, które toczą nieustanny bój z kobiecymi dolegliwościami i w kółko opowiadają o swojej gehennie. Siadała na werandzie w wiklinowym fotelu na biegunach, ubrana - pomimo upału - w elegancką tunikę z falban, ciemną i lekko połyskliwą od koralików, w dużym nakryciu głowy przypominającym turban i pończochach koloru ziemi, które czasem opuszczała, aby bandaże mogły „pooddychać”. Właściwie nic nie czyniło jej atrakcyjną kandydatką na żonę, szczególnie w porównaniu z siostrami, których krok nadal był żwawy, które pachniały świeżo i zdrowo - i od czasu do czasu, niby mimochodem, wspominały, ile mają w talii. Nawet wstając, siadając czy bujając się w fotelu, ciotka Moira wydawała jęki skargi, mimowolne i dobitne jak burczenie w brzuchu albo gazy.

Opowiadała o Porterfield. W przeciwieństwie do Jubilee, gdzie obowiązywał zakaz sprzedaży i spożywania alkoholu, mieściły się tam dwie piwiarnie, w stojących naprzeciw siebie hotelach po dwóch stronach głównej ulicy. Czasem w sobotę wieczorem lub w niedzielę o świcie wybuchały pod nimi straszne burdy. Ciotka Moira mieszkała zaledwie pół kwartału dalej i tuż przy chodniku. Przez zasłonięte frontowe okna nieraz dochodziły ją

niehumanne ryki, kiedyś widziała, jak samochód przewraca się na bok i uderza w słup telefoniczny, a kierownica przebija kierowcy serce, innym znowu razem patrzyła, jak dwóch mężczyzn wleczkę pijaną dziewczynę, która nie mogąc ustać, siusia na ulicy w majtki. Kiedy indziej zdrapywała wymiociny z malowanego parkanu przed swoim domem. Atrakcje tego rodzaju dawno przestały ją zdumiewać. Zwłaszcza że kręactwo, pospolite chamstwo i przemoc nie były przypisane wyłącznie niedzielnym pijakom - sklepikarze, sąsiedzi i roznosiciele gazet zachowywali się podobnie. Kiedy ciotka niespiesznie snuła kolejne opowieści, jej głos zdawał się rozlewać na podwórko i na cały dzień jak czarna ropa, a ciotka Elspeth i ciocia Grace ogromnie jej współczuły.

- Jak można znosić takie okropieństwa. Niebywałe!

- Czyli że u nas nie jest jeszcze tak źle, jak sądziłyśmy.

I ganiały w tę i z powrotem z filiżankami herbaty, szklankami lemoniady, posmarowanymi masłem bułeczkami prosto z pieca, kawałkami babki rodzynkowej, smakowitymi marmoladkami oprószonymi kokosem.

Mary Agnes siedziała, słuchając. Uśmiechała się do mnie. Jej uśmiech nie był prostoduszny. Był to uśmiech osoby, która impulsywnie i despotycznie kieruje swoją serdecznością do dziecka, z lęku i przyzwyczajenia niezdolna darzyć nią dorosłych. Miała równo obcięte czarne włosy, a na jej szczupłej oliwkowej szyi widać było wysypkę. Nosila okulary. Ciotka Moira ubierała ją jak licealistkę, choć nigdy nie zapisała jej do liceum - w plisowane kraciaste spódniczki, niepodkreślające talii, i zbyt obszerne, starannie uprane białe bluzki z długimi rękawami. Mary Agnes nie malowała się i nie pudrowała nawet miękkiego ciemnego puszkę nad górną wargą. Zwracała się do mnie ostrym, władczym i równocześnie niepewnym tonem kogoś, kto nie przekomarza się, tylko naśladuje żarty, udaje zapożyczony pewnie od jakiegoś zuchwałego, rubasznego sklepikarza sposób rozmawiania z dziećmi.

- Czemu tak robisz? - kiedyś przyłapała mnie na wyglądaniu przez kolorowe szybki w drzwiach od frontu.

Przycisnęła oko do czerwonej.

- Podwórko się pali! - powiedziała, ale roześmiała się do mnie tak, jakby to były moje słowa.

Czasem chowała się w ciemnym kącie, wyskakiwała znienacka i łapała mnie od tyłu, zasłaniając mi oczy.

- Zgadnij, kto to! Zgadnij, kto to!

Ścisnęła mnie i łaskotała tak mocno, że aż zaczynałam krzyczeć. Miała gorące, suche dłonie i straszliwy uścisk. Odpierałam jej ataki z całą zaciekłością, lecz nie mogłam przezywać jej jak innych dzieci, nie mogłam jej opluwać, ani też ciągnąć za włosy, przez wzgląd na wiek - teoretycznie była dorosła - i należną jej szczególną troskę. Jawiła mi się więc jako tyran i - poza domem przy Zakręcie Jenkinsa - mówiłam, że jej nienawidzę. Ale też stwierdziłam z zaciekawieniem i dużą satysfakcją, że w niepojęty sposób mogę wiele znaczyć dla kogoś, kto dla mnie nie liczy się wcale. Ilekroć przewracała mnie na chodniku w korytarzu i turlała, zawzięcie łaskocząc po brzuchu jak psa, ogarniało mnie zdumienie równe jej nieobliczalnej sile i podstępom; byłam zaskoczona jak osoba, którą uprowadzono i która w dziwnym świecie porywaczy odkrywa nieznaną sobie dotąd wartość.

Ponadto z opowieści matki wiedziałam o pewnym przeżyciu Mary Agnes. Któregoś dnia, w Porterfield, wiele lat wcześniej, wyszła sobie na podwórko przed domem, gdy ciotka Moira robiła pranie w piwnicy. Akurat przebiegała tamtędy gromada chłopców. Było ich pięciu. Namówili ją na wspólny spacer, zaprowadzili na jarmark, rozebrali do naga i zostawili, leżącą, w zimnym błocie. Dostała zapalenia płuc i o mało nie umarła. To dlatego musiała nosić ciepłą bieliznę nawet latem.

Uznałam, że upokorzenie Mary Agnes - bo matka opowiedziała mi to ku przestrodze, abym zapamiętała, że przechadzka z chłopcami może wiązać się z pewnym upokorzeniem - wynikało stąd, iż ją rozebrali, że została nago.

Na myśl, że mogłoby to spotkać i mnie, na myśl o własnej nagości czułam w żołądku bolesny ucisk wstydu. Ilekroć przypomiinałam sobie, jak lekarz zsuwa mi majtki i kłuje mnie igłą w pośladek, wstrzykując szczepionkę przeciw ospie wietrznej, odczuwałam przeraźliwe, nieznośne, nieomal absolutne upokorzenie. Kiedy wyobrażałam sobie leżącą na ziemi nagą Mary Agnes, jej zziębniętą delikatną pupę - ta właśnie część ciała wydawała mi się najbardziej wstydliva i bezbronna - stwierdzałam, że gdyby mnie przydarzyło się coś podobnego, nie przeżyłabym ani dnia dłużej.

- Del, może byś się trochę przeszła z Mary Agnes.

- Pobiegałybyście wokół obory, może znajdziecie tam Zbója!

Wstałam posłusznie, ale mijając róg werandy, walnęłam kijem w jej okratowanie, mocno przygnębiona. Nie miałam ochoty nigdzie łązić z Mary Agnes. Chciałam zostać, zjeść coś dobrego i posłuchać kolejnej historii o Porterfield, posępnym miasteczku zepsucia, pełnym podejrzanych typów. Po chwili Mary Agnes dogoniła mnie swoim ciężkim truchtem.

- Mary Agnes, staraj się unikać słońca. I żebyś nie brodziła w wodzie. Możesz się przeziębic o każdej porze roku!

Ruszyliśmy najpierw gościńcem, a później wzdłuż rzeki. W upale, pośród nagranych ściernisk, spękanych koryt strumieni, dróg białych od kurzu, Wawanash płynęła zimnym nurtem. Wiotkie liście wierzby rzucały cień, przesiewając blask słońca. Błoto na brzegach było zaschnięte, ale niezupełnie; przypominało lukier na torcie. Pod łamliwą skorupą kryła się wilgoć, przyjemnie chłodząc stopy. Zdjęłam buty i szłam bosą.

- Naskarzę na ciebie! - huknęła Mary Agnes.

- Skarż sobie - odpowiedziałam, dodając pod nosem: - Ty gnojku!

W błocie nad rzeką pełno było zostawionych przez krowy śladów racic. A także krowich placków, ładnie zaokrąglonych, które po zaschnięciu wyglądały jak dzieło ludzkich rąk, jak wieka ulepione z gliny. Brzeg zaścielały z obu stron liście lilii. Gdzieniegdzie jaśniały ich żółte kwiaty, blade, ciche i tak ponętne, że zakasałam spódnicę i weszłam do wody, brnąc wśród splątanych korzeni w czarnym mule, który przy każdym kroku łaskotał palce stóp,

mącił wodę i osadzał się na liściach i płatkach.

- Utopisz się, utopisz się! - zawołała Mary Agnes w gniewnym podnieceniu, chociaż woda sięgała mi zaledwie do kolan.

Wyniesione na brzeg, kwiaty zaczęły marnieć w oczach. Szłam dalej, beznamiętnie gniotąc płatki w zaciśniętej dłoni.

W pewnej chwili ujrzałyśmy martwą krowę, leżącą z tylnymi nogami w wodzie. Po jej brązowo-białej skórze pełzały czarne muchy, połyskując w słońcu jak ozdoby z paciorków.

Wzięłam patyk i szturchnęłam zwłoki. Muchy wzleciały w górę, zatoczyły koło i wróciły na poprzednie miejsca. Wielkie cętki na skórze krowy zdawały się układać w mapę. Brązowe tworzyły ocean, a białe pływające kontynenty. Obrysowałam ich dziwne kształty, strzępiaste wybrzeża, starając się nie odrywać końca patyka od granic, które wyznaczały plamy. Później powiodłam nim w górę karku, przez splot naprężonych mięśni - krowa zdechła z wyciągniętą szyją, tak jakby próbowała napić się wody, więc jej pozycja była niepojęta - i nieśmiało klepnęłam pysk. Lękliwie spojrzałam na jej oko.

Szeroko otwarte, ciemne, niewidzące, miało przygaszony jedwabisty połysk, ale lśniło czerwono, odbijając słoneczne promienie jak pomarańcza wetknięta pod cienką czarną pończochę. W jednym jego kąciku przycupnęły ciasno obok siebie muchy, piękne jak opalizująca broszka. Miałam wielką ochotę szturchnąć oko patykiem, zobaczyć, czy jest miękkie, czy zadrży i rozpadnie się na części niby galareta, ukazując zwartą strukturę - lub czy błona na jego powierzchni pęknie i pysk zaleją buchające z wnętrza paskudne, smrodliwe płyny. Powiodłszy patykiem wokół oka, stwierdziłam, że nie potrafię, nie mogę go nakłuć.

Mary Agnes stała w pewnym oddaleniu.

- To stara krowa - powiedziała. - Jest brudna. Jeszcze się pobrudzisz.

- Nieżywa - z lubością przeciągnęłam słowo. - Nieżywa. Nieżywa.

- Przestań - nakazała Mary Agnes, wyraźnie bojąc się przybliżyć.

Jako martwa, krowa wprost domagała się profanacji. Chciałam ją szturchać, deptać, obsikać, ukarać jak tylko można, pokazać, jak gardzę nią dlatego, że zdechła. Bić, szarpać, rozerwać, opluć i porzucić! Ale ona - leżąca z przedziwną rozmigotaną mapą na tułowiu, z wyprężonym karkiem i mgłą w oku - wcale nie straciła władzy. Nigdy nie zdarzyło mi się patrzeć na żywą krowę z myślami, które ogarnęły mnie teraz. Czym jest? Dlaczego te białe plamy mają akurat taki kształt? Czemu nie spotyka się krów ani innych zwierząt o identycznych cętkach? Znów obrysowałam jeden z kontynentów,

powoli, bez odrywania patyka od ciała krowy, chcąc uzyskać precyzyjną linię, w urzeczeniu, jakiego doznawałam czasem, badając kształty prawdziwych kontynentów lub wysp na prawdziwych mapach, jak gdyby już sam kształt był nienazwanym olśnieniem, które mogłabym pojąć, gdybym tylko się postarała i miała dość czasu.

- Dotknij jej - zachęciłam pogardliwie Mary Agnes. - Pomacaj zdechłą krowę.

Mary Agnes zbliżyła się wolno, ku mojemu zdumieniu pochyliła się, chrząknęła i spojrzawszy na martwe oko jakby świadoma moich myśli, położyła na nim dłoń. Zrobiła to poważnie, wzdrygając się, ale z pełnym czułości spokojem, o jaki bym jej nigdy nie podejrzewała. Wyprostowała się szybko i wyciągając ku mnie rękę na wysokości twarzy, rozcapierzyła palce, tak że dłoń - raptem olbrzymia i ciemna - całkiem przesłoniła jej oblicze. Zaśmiała mi się w nos.

- Teraz będziesz się bała dać się złapać - szepnęła i rzeczywiście ogarnął mnie lęk, ale odsunęłam się od niej, usiłując przybrać zuchowatą minę.

Nieraz ulegałam wrażeniu, że tylko ja jedna wiem, co się dzieje i kim kto jest naprawdę. Na przykład ludzie mówili: „Biedna Mary Agnes”, bądź wskazywali to stłumionym, nieco protekcyjnym tonem głosu, tak jakby ta dziewczyna nie miała tajemnic ani własnego miejsca - podczas gdy w istocie wyglądało to inaczej.

- Wujek Craig umarł tej nocy.

Matka powiedziała to niemal nieśmiało.

Ukradkiem jadłam ulubione śniadanie - dmuchaną pszenicę zalaną melasą - usadowiona na cementowej płycie przed drzwiami kuchni, w porannym słońcu. Od mojego powrotu z domu przy Zakręcie Jenkina upłynęły zaledwie dwa dni, więc słysząc „wujek Craig”, natychmiast przywołałam w myślach jego ostatni obraz. Stał w progu, z zakasаныmi rękawami, w kamizelce, i dobrotnie, czy też w zniecierpliwieniu, machał mi na pożegnanie.

Nie potrafiłam ogarnąć rzeczywistości. Umarł. Zabrzmiało to jak świadomy wybór wujka, jak coś, co postanowił zrobić. Tak, jakby oświadczył: „Teraz umrę”. Zatem nie mogło to być ostateczne. A jednak wiedziałam, że jest.

- W Klubie Oranżowym, w Błękitnej Rzece. Grał w karty.

Stół karciany, jasny Klub Oranżowy. (Rzecz jasna był to klub oranżystów i jego nazwa nie miała nic wspólnego z kolorem, podobnie jak nazwa wioski Błękitna Rzeka.) Wujek Craig rozdawał karty właściwym sobie solennym, poważnym gestem. Był w kamizelce z satynowymi plecami. Z kieszeni wystawały mu pióra i ołówki.

- Miał atak serca.

Atak serca. Słowa te zabrzmiały jak eksplozja, jak fajerwerki strzelające w różne strony świetlnymi smugami, spośród których wzleciała ku niebu maleńka kula światła - serce albo dusza wujka Craiga - po czym zawirowała i zgasła. Głośno zastanawiałam się, czy podskoczył, czy rozwarł ramiona, zawył. Jak długo to trwało, czy opadły mu powieki, czy wiedział, co się dzieje? Moja chłodna ciekawość szczegółów najwyraźniej rozdrażniła matkę, zmąciła właściwy jej optymizm. Chodziłam za nią krok w krok, naburmuszona, zawzięta, powtarzając te pytania. Chciałam dowiedzieć się wszystkiego. Obronę może zapewnić jedynie dogłębna znajomość rzeczy. Pragnęłam zdefiniować śmierć, wyizolować ją za murem twardych faktów i okoliczności, tak by nie krążyła swobodnie wokół nas, bagatelizowana mimo swej potęgi, gotowa wdrzeć się w każdy kąt.

W dniu pogrzebu jednak wiele się zmieniło. Matka odzyskała pewność siebie, a ja przycichłam. Odejście wujka Craiga i śmierć jako taka przestały mnie interesować. Matka wyjęła z naftaliny moją plisowaną czarną sukienkę z bufkami, wygładziła ją i przewietrzyła, wieszając na sznurze.

- Ta lekka wełna jest w sam raz na lato, chłodniejsza od bawełny. Poza tym nie masz innych ciemnych ubrań. A jeśli o mnie chodzi, to równie dobrze

mogłabyś pójść w szkarłatach. Gdyby ciotki były prawdziwymi chrześcijankami, ubierałyby się tak zawsze. Zamiast całe życie śpiewać hymny i modlić się o wstąpienie do Nieba, tańczyłyby i cieszyły się życiem. Ale znasz je. Są tak konwencjonalne, że na pewno spodziewają się ciemnego stroju!

Nie zdziwiła się, gdy powiedziałam, że nie chce mi się iść na pogrzeb.

- Nikomu się nie chce - odparła prosto. - Nigdy. Niemniej musisz. Najwyższy czas, byś zaczęła mierzyć się z takimi sprawami.

Nie spodobał mi się ton matki. Jej ożywienie i zapał odebrałam jako sztuczne i nachalne. Nie potrafiłam jej zaufać. Głos dorosłego, gdy oznajmia dziecku, że oto należy się z czymś skonfrontować, kiedy stwierdza, że oswojenie się z krzywdą, rzeczami plugawymi bądź przykrymi to konieczność, nosi rys zdrady, zimnej, maskowanej, źle skrywanej satysfakcji, osobliwego triumfu z zadawania bólu. Celują w tym rodzice. Zwłaszcza rodzice.

- Czym jest śmierć? - ciągnęła matka ze złowieszczą wesołością. - Co to znaczy: nie żyć? Zatem, po pierwsze, z czego składa się człowiek? W znacznym stopniu z wody. Najzwyklejszej wody. Człowiek nie ma w sobie nic nadzwyczajnego. Węgiel. Najprostsze pierwiastki... Zaraz, jak to się mówi? Organizm to w dziewięćdziesięciu procentach woda. Po prostu. Dopiero jego budowa jest niezwykła. Każdy z nas ma serce i płuca. Mamy wątrobę. Trzustkę. Żołądek. Mózg. Czym są te organy? Konfiguracjami elementów! A ich połączenie - połączenie poszczególnych kombinacji - to istota ludzka! Nosi imię, jak wujek, twój ojciec albo ja. Przede wszystkim jednak jest zbiorem tych właśnie połączeń, jednorodną strukturą, która działa w określony sposób. Potem któryś z organów psuje się, nawala. W przypadku wujka Craiga było to serce. Mówimy więc: wujek nie żyje. Człowiek umarł. Ale to tylko nasza, ludzka perspektywa. Gdybyśmy nie myśleli kategoriami ludzkimi, gdybyśmy myśleli o naturze, wszechobecnej naturze, której części giną - to znaczy: nie giną, a zmieniają się, to właściwe słowo, przeobrażają się w inne... Przyjmując, że elementy składowe organizmu człowieka ulegają takiemu samemu cyklowi przemian, że powracają do natury i odradzają się w ptakach, zwierzętach i kwiatach, wujek Craig nie musi być wujkiem

Craigiem! Wujek Craig to kwiaty!

- Niedobrze mi - jęknęłam. - Zaraz zwymiotuję.

- Nie zwymiotujesz - odparła matka.

Ubrana w halkę, wtarła sobie w ramiona wodę kolońską, a potem wciągnęła przez głowę suknię z granatowej krepy.

- Pozapinaj mi guziki. Ugotuję się w tej sukni. Czuć ją pralnią! Upał jeszcze wzmacnia ten smród. Opowiem ci o artykule, który przeczytałam bodaj tydzień temu. Idealnie łączy się z naszą rozmową.

Poszła do swojego pokoju i wróciła z nakryciem głowy, które włożyła przed moim malutkim lustrem. Pospiesznie odgarnęła włosy znad czoła, zostawiając z tyłu kilka kosmyków. Był to toczonek w - popularnym podczas wojny - ohydny marynarskim kolorze.

- Człowiek składa się z wielu części - podjęła. - Kiedy umiera, niesprawna może być zaledwie jedna lub dwie. Inne mogą działać jeszcze przez trzydzieści, czterdzieści lat. Wujek Craig, na przykład, mógł mieć bardzo sprawne nerki, które przydałyby się komuś młodemu z chorobą nerek. No i w tym artykule było napisane, że kiedyś takie zdrowe organy będzie można przeszczepiać! Na pewno tak się stanie. Chodźmy na dół.

Zesłam za nią do kuchni. Zaczęła różować policzki przed ściemniałym lustrem nad zlewozmywakiem. Z tajemniczych powodów przechowywała swoje kosmetyki na lepkiej od brudu blaszanej półeczce nad zlewem, między żyletkami oraz - wiecznie otwartymi - zaśniedziałymi butelkami pigułek, słoiczkiem wazeliny i opakowaniem proszku do czyszczenia zębów.

- Będą robić przeszczepy! Na przykład oczu. Już teraz przeszczepiają oczy, tyle że nie całe, a samą rogówkę. To dopiero początek. W przyszłości

będą umieli przeszczepić serce, płuca i inne niezbędne organy. Pewnie i mózg... Ciekawa jestem, czy to też możliwe. Otóż te wszystkie organy - zamiast ginąć - będą żyć w innym ciele. Jako element innej kombinacji. A wtedy śmierć przestanie być ostatecznością. „Następcy żywego ciała”. Tak się nazywał ten

artykuł. Każdy z nas byłby następcą czyjegoś istnienia i każdy byłby też dawcą. Dzisiejsze pojęcie śmierci stałoby się przeżytkiem!

Do kuchni wszedł ojciec, w ciemnym garniturze.

- Zamierzasz omawiać to z członkami rodziny na pogrzebie? - spytał.

- Nie - odparła matka tonem wskazującym, że już wróciła na ziemię.

- Mają odmienne poglądy i mogliby się poczuć urażeni.

- Nie chcę nikogo dotknąć! - zawołała. - Nigdy mi się to nie zdarza! Myślę, że takie pojmowanie świata jest czymś pięknym. Wyjątkowo pięknym! Czyż to nie lepsze od koncepcji Nieba i Piekła?! Nie mogę zrozumieć ludzi, nie pojmuję, w co właściwie wierzą. Czy według nich wujek Craig unosi się teraz nad wiecznością w jakiejś białej koszulinie? Czy też wiedzą, że pogrzebany zacznie się rozkładać?

- I jedno, i drugie - odpowiedział ojciec i objął matkę ramionami, lekko, acz z powagą, ostrożnie, aby przypadkiem nie przekrzywić jej toczka i nie naruszyć świeżo nałożonej na twarz warstwy różu.

Nieraz pragnęłam ujrzeć coś takiego, zobaczyć, jak rodzice spojrzeniem lub uściskiem potwierdzają, że kiedyś ulegli wzajemnej fascynacji (nie myślałam o namiętności), która ich połączyła. Ale w tym momencie, widząc, jak zbita z tropu matka staje się uległa - co poznałam po jej przygarbieniu, bo oczywiście

nigdy nie wyraziłaby tego słowami - a ojciec dotyka jej tak łagodnie, wyrozumiale, ze smutkiem, który bynajmniej nie dotyczy wujka Craiga, zaniepokoiłam się, chciałam wrzasnąć, żeby przestali i powrócili do swoich odrębnych, ostatecznych, niepodważalnych form. Ogarnął mnie przestach, że jak tak dalej pójdzie, pokażą mi coś równie okropnego jak śmierć wujka.

- Owen nie musi iść! - rozgoryczona, wyrzałam przez dziurkę w siatce przeciw owadom na podwórze, gdzie siedział w swoim starym wózku, z gołymi nogami, brudny, wyniosły, udający kogoś innego - Araba na czele karawany albo Eskimosa, gdy kieruje psim zaprzęgiem.

Oderwało ich to od siebie.

- Jest za mały - westchnęła matka.

Dom przypominał łamigłówkę, labirynt z czarną kropką w jednym z kwadratów czy pomieszczeń, do którego trzeba dotrzeć. W tym przypadku czarną kropką było ciało wujka Craiga, a mnie zależało nie na tym, by do niego trafić, lecz aby je ominąć, nie otworzyć nawet najmniej groźnie wyglądających drzwi, z obawy przed tym, co się za nimi kryje.

Jeszcze nie uprzątnięto siana. Przed tygodniem, kiedy tu byłam, trawa została ścięta aż po schodki werandy i pozwijana w idealnie równe walce, wyższe od człowieka. Pod wieczór rzucały one podłużne cienie, a później, o zachodzie słońca, szarzały, przybierały masywniejsze kształty, tworząc wioskę, lub też, gdy wyjrzało się na pole zza węgła - całe miasto złożone z tajemniczych sinych domków. Ale jeden walec zapadł się i stracił formę, zrobił się miękki, jakby specjalnie dla mnie, żebym mogła sobie po nim poskakać. Stawałam tyłem do schodów i z rozłożonymi namiętne ramionami biegłam prosto na niego, lądując głęboko w świeżym sianie, jeszcze ciepłym, nadal przesiąkniętym wonią rosnącej trawy. Siano było pełne zeschniętych kwiatów - fioletowo-białych dzikich irysów, żółtych lnic i nikomu nieznanym, o drobnych niebieskich płatkach. Miałam podrapane ręce, nogi i twarz, tak że kiedy zrywałam się z siana, owiewane wiatrem z ręki rany na skórze zaogniały się i piekły.

Ciotka Elspeth i ciocia Grace też wyszły przed dom i zaczęły skakać po sianie, aż furkotały im fartuchy. Zaśmiewały się z siebie nawzajem. Dopiero po chwili zmitygowały się i skakały mniej zapamiętale niż na początku, lądując na ziemi w dostojnych pozach, z rękami rozpostartymi jakby w lęku, by nie odbić się za wysoko. Przytrzymywały też dłońmi fryzury.

Kiedy wróciły i usiadły na werandzie, z misami pełnymi truskawek do obrania na dżem - ciocia Grace zapytała bez tchu, ale spokojnym, zadumanym tonem:

- Gdyby nadjechał teraz samochód, nie chciałabyś z miejsca rzucić się pod koła?

Ciotka Elspeth powyjmowała szpilki z włosów, które opadły na oparcie krzesła.

Upięte, wydawały się zupełnie siwe, ale gdy je rozpuściła, zobaczyłam dużo ciemnych, aksamitnie brązowych, w kolorze futra norki. Z cichym pomrukiem zadowolenia potrząsnęła głową i przeczesła włosy palcami, żeby się pozbyć drobinek siana, które utknęły w nich, wzlatując w górę.

- Ale z nas wariatki! - powiedziała.

Gdzie wtedy był wujek Craig? Niczym niezrażony, pisał na maszynie przy zamkniętych oknach i zaciągniętych roletach.

Nikt nie uprzątnął zgniecionego siana. A po ściernisku przechadzali się i rozmawiali mężczyźni w ciemnych garniturach, jak gigantyczne kruki. Nad uchylonymi drzwiami od frontu wisiał wieniec z białych lilii. Mary Agnes podeszła do mnie, radośnie uśmiechnięta, i pilnując, bym się nie ruszała, w nieskończoność zawiązywała mi i rozwiązywała szarfę na sukience. W domu i na podwórku roiło się od ludzi. Krewni z Toronto siedzieli na werandzie, z dobrodusznymi minami, lecz z dala od siebie. Ciotki kazały mi zająć ich rozmową i nie patrzeć w okna za ich plecami - ze względu na ciało wujka.

Ruth McQueen wyszła na dwór z wiklinowym koszem róż, który ułożyła na balustradzie werandy.

- Jest tyle kwiatów, że nie mieszczą się w domu - ogłosiła, jakby miało to wszystkich zasmucić. - Pomyślałam, że poukładam je tutaj.

Była jasnowłosa, dyskretna, smętnie zatroskana i starą już panną. Znała wszystkich po imieniu. Przedstawiła matkę i mnie jakiemuś małżeństwu z południowej części kraju. Mężczyzna miał na sobie marynarkę i ogrodniczki.

- Craig wydał nam pozwolenie na ślub - pochwaliła się kobieta.

Matka oznajmiła mi, że idzie do kuchni. Poszłam za nią, myśląc, że na szczęście wujek nie leży w pomieszczeniu, z którego wydobywają się zapachy kawy i jedzenia. W przedpokoju też stała grupka mężczyzn, musiałam więc przecisnąć się między nimi jak między pniami niskich drzew. I jedne, i drugie drzwi do salonu były zamknięte, a przed każdym stał kosz gladioli.

Ciotka Moira, spowita w czerń jak monumentalna kolumna, stała nad kuchennym stołem, licząc filiżanki do herbaty.

- Liczę już trzeci raz i za każdym razem wychodzi mi co innego. -
Zabrzmiało to tak, jakby los częstował podobnymi nieszczęściami tylko ją. -
Mój mózg więcej dziś nie zdziała. Nie ustoję na nogach ani chwili dłużej.

Ciotka Elspeth, we wspinałym wykrochmalonym i uprasowanym fartuchu z białymi batystowymi falbanami, ucałowała matkę i mnie.

- Nie martwcie się - rzekła, puentując pocałunki solennym westchnieniem.
- Grace jest na górze, poprawia makijaż. Tyle ludzi, nie do wiary! Grace mówi, że zebrało się tu pół hrabstwa, a ja na to: „Hrabstwa? Chyba całego

kraju!”. Ale szkoda, że nie ma Helen. Przysłała dywan lilii! Mój Boże, powinno wystarczyć! - powiedziała roztropnie, spoglądając na filiżanki. - Są i paradne, i śniadaniowe, i pożyczone z kościoła!

- Przyjęcie jak na pogrzebie Poole’a - szepnęła jakaś pani przy stole. - Schowała porządne, zamknęła na klucz i dała te z kościoła. Twierdzi, że nie chce narażać swojej porcelany.

Ciotka Elspeth przewróciła zaczerwienionymi oczami z właściwym sobie wyrazem zadowolenia, miarkując się trochę z uwagi na uroczystą okoliczność.

- Jedzenia na pewno nie zabraknie. Myślę, że spokojnie pożywiłybyśmy tym pułk wojska.

I ja tak sobie pomyślałam. Gdzie nie spojrzeć - pełno jedzenia. Zimna pieczeń wieprzowa, tłuste pieczone kurczęta, jakby polakierowane, ziemniaki zapiekane w sosie, galaretką pomidorowa, sałatka ziemniaczana, sałatka z ogórków i buraków, różowa szynka, babeczki, okrągłe bochny chleba, bułeczki, pasztet orzechowy, keks, piernik bananowy, ciemny tort z jasnym kremem, beza cytrynowa, szarlotka, placek z jagodami, misy pełne konfitur, około tuzina rozmaitych marynat i inne smakołyki. Arbuz w occie - ulubiony przysmak wujka Craiga. Powtarzał, że mógłby go jeść całe życie, z samym tylko chlebem i masłem.

- Nie łudźcie się, że coś zostawią - powiedziała posepnie ciotka Moira. - Na pogrzeb nikt nie przychodzi syty.

W korytarzu nastąpiło lekkie poruszenie. Mężczyźni rozstąpili się przed ciotką Grace, która dziękowała im ściszym głosem i z gracją - jak panna młoda. Za nią wszedł do kuchni pastor, który przemówił do kobiet z powściągliwą serdecznością.

- Moje panie! Jak widać, nie próżnujcie. Praca to godna ofiara, stosowna ofiara, gdy przyszło nam się smucić.

Ciocia Grace pochyliła się i pocałowała mnie. Prócz zapachu wody kolońskiej otaczała ją słaba kwaśna woń, jak sygnał ostrzegawczy.

- Chcesz zobaczyć wujcia Craiga? - spytała szeptem, czule i zarazem dziarsko, jakby obiecywała mi nagrodę. - Jest w salonie, przepięknie wygląda pod liliami, które przysłała ciotka Helen.

Nagle zagadnęły ją jakieś panie i uciekłam. Znowu przeszłam przez korytarz. Drzwi salonu wciąż były zamknięte. U podnóża schodów, przy frontowym wejściu matka i jakiś nieznany mi człowiek chodzili w tę i z powrotem, dyskretnie mierząc coś rękami.

- Tu może być trudno, o tutaj, w tym miejscu.

- Zdjąć drzwi?

- Za późno. Wolałabym nie robić zamieszania. Mogłoby to zdenerwować panie. Gdybyśmy się cofnęli, o tak...

Po przeciwnej stronie bocznego korytarza rozmawiało dwóch mężczyzn. Dałam nura między nich.

- To nie to, co w zimie. Pamiętasz, przy pochówku Jimmy'ego Poole'a. Ziemia była twarda jak gład. Nie dało się jej ruszyć żadnym narzędziem.

- Trzeba było czekać ponad dwa miesiące na roztopę.

- A jak nadeszły, lista oczekujących pękała w szwach. Niech sobie

przypomnę. Jimmy Poole...

- On. Później pani Fraleigh, emerytowany...

- Chwileczkę, ona zmarła przed przymrozkiem, więc nie musiała czekać.

Przez drzwi na końcu korytarza przeszłam do starej części domu. Nazywana składem, z zewnątrz wyglądała jak chatka z bali, dobudowana z boku dużego ceglaneanego domu. Miała kwadratowe okienka, wstawione nieco krzywo, jak mało przekonujące okna domku dla lalek. Nie dochodziło tam żadne światło, bo wszędzie - nawet pod oknami - piętrzyły się rupiecie: maselnica, stara pralka z napędem ręcznym na korbę, rozwalone drewniane stelaże, kufry, balie, przechylony pijacko, niezgrabny jak galeon wózek dziecinny, kosy. Ciocia Grace nie wchodziła tam nigdy, kiedy więc trzeba było coś przynieść, zawsze załatwiała to ciotka Elspeth. Stawała w progu, odważnie pociągając nosem, i wołała:

- Straszne miejsce! Zaduch tu jak w grobowcu!

Zachwyciło mnie to słowo, kiedy usłyszałam je od niej po raz pierwszy. Nie bardzo rozumiałam jego sens i nie wiadomo dlaczego skojarzyło mi się z macicą - w każdym razie, ilekroć towarzyszyłam tam ciotce, wyobrażałam sobie, że jesteśmy w wydrążonym marmurowym jaju, które wypełnia niebieskie światło, jak gdyby wewnętrzne.

Na maselnicy siedziała Mary Agnes, bynajmniej nie zaskoczona moim widokiem.

- Po co tu przychodzisz? - zapytała cicho. - Żebyś się nie zgubiła.

Nie odpowiedziałam. Nie spuszczać jej z oka, przechadzałam się po składzie. Nieraz zastanawiałam się, czy coś jest w tym wózku. I oczywiście było: sterta pożółkłych egzemplarzy „Family Herald”. Usłyszałam głos matki,

wołający moje imię. Pobrzmiewał obawą i niechętnym szacunkiem. Nie odezwała się i Mary Agnes też milczała. Skąd się

tutaj wzięła? - pomyślałam. Znalazła staromodne trzewiki, sznurowane z przodu, z futrzaną lamówką, i trzymała je kurczowo. Potarła lamówką podbródek.

- Królicze futerko - podeszła i podetknęła mi buty pod nos. - Królicze futerko?

- Nie chcę ich!

- Chodź obejrzeć wujka Craiga.

- Nie.

- Jeszcze go nie widziałaś.

- Nie.

Odczekała chwilę, z trzewikami w rękach, zastawiając mi drogę.

- Chodź obejrzeć wujka Craiga - powtórzyła chytrym, kuszącym głosem.

- Nie pójdę.

Upuściła buty i położyła mi dłoń na ramieniu, wczepiając się w nie palcami. Gdy próbowałam wyrwać się jej, złapała mnie drugą ręką i pociągnęła ku drzwiom. Jak na kogoś tak niezdarnego, kogoś, kto omal nie umarł na zapalenie płuc, była zdumiewająco silna. Przesunęła dłoń do

nadgarstka i chwyciła mnie za rękę niedźwiedzim uściskiem. Jej głos nadal brzmiał spokojnie, łagodnie, ale chętnie.

- No chodźże... Obejrzymy wujka Craiga.

Pochyliłam głowę. Dając jej solidnego kuksańca pod żebro, zaczęłam ją gryźć jak opętana, aż rozerwałam skórę - i w poczuciu niczym niezmaczonej wolności, z myślą, że nigdy w życiu nie robiłam czegoś tak okropnego, spróbowałam krwi Mary Agnes Oliphant.

Nie musiałam być na pogrzebie. Nikt też nie zmuszał mnie do oglądania wujka

Craiga. Zostałam umieszczona w jego gabinecie, na skórzanej kanapie, na której lubił drzemać i gdzie siadali narzeczeni, czekając na pozwolenie na ślub. Pomimo upału miałam koc na kolanach i filiżankę herbaty w zasięgu ręki. Dostałam też kawałek ciasta, ale zjadłam go od razu.

Gryząc Mary Agnes, myślałam, że w ten sposób odcinam się od rzeczywistości. Że przenoszę się w sferę, gdzie nie istnieją absolutnie żadne kary, gdzie nikt nie ośmieli się zmusić mnie do oglądania nieboszczyka i w ogóle do niczego. Myślałam, że wszyscy mnie znienawidzą, i nienawiść wydała mi się czymś równie upragnionym jak dar latania.

Wolności jednakże nie zdobywa się tak łatwo. Chociaż trzeba przyznać, że ciotka Moira, która powtarzała później, że musiała odrywać mnie od ramienia Mary Agnes i że miałam krew na wargach (kłamstwo - oderwałam się sama, a Mary Agnes, straciwszy nagle swoją diaboliczną siłę, kucnęła, zaskoczona i we łzach), ścisnęła moje barki i potrząsała mną, trzymając tak, że moja twarz niemal dotykała jej pancernego biustu, a jej ciało trzęsło się nade mną z sykiem, jak pomnik, który za chwilę wybuchnie.

- Wściekły pies! Tak kąsają wściekłe psy! Rodzice powinni trzymać cię pod kluczem!

Ciotka Elspeth przyłożyła chusteczkę do ramienia Mary Agnes. Ciocia Grace i inne panie szarpały ją i poklepywały po plecach.

- Muszę ją zabrać do lekarza. Trzeba jej założyć szwy. Należy ją zaszczepić. To dziecko może mieć wściekliznę. Słyszałam, że to się zdarza.

- Ależ Moiro, kochanie, daj spokój. Ledwie naruszyła skórę. Wiele hałasu o nic. Wystarczy przemyć to, zabandażować, i po krzyku.

Ciotki Elspeth i Grace przeniosły całą uwagę z Mary Agnes na siostrę. Nie odstępowały jej na krok i podtrzymywały ją z dwóch stron, jakby starając się za wszelką cenę nie dopuścić do eksplozji.

- Nic się nie stało, kochanie, nic wielkiego się nie stało.

- Wszystko przeze mnie - rozległ się ostry i groźny głos matki. - Nie powinnam była jej tu dziś przywozić. Jest zbyt nerwowa. Narażanie takiego dziecka na pogrzeb to barbarzyństwo.

Nieobliczalna, chimeryczna, a jednak wspinała w najdziwniejszych sytuacjach, ofiarowała zrozumienie i wybawienie wtedy, gdy było to już - ściśle mówiąc - pozbawione większego sensu.

Ale miała wpływ na ludzi - choć czasami potrafiła słowem w rodzaju „barbarzyństwo” wywołać wokół siebie głuchą konsternację. Tym razem spotkała się z poparciem części pań, które chętnie podchwyciły jej tłumaczenie i zaczęły je rozwijać:

- Pewno nie wiedziała, co robi.

- Wpadła w histerię z napięcia...

- Sama zemdlałam kiedyś na pogrzebie, zanim wyszłam za mąż.

Ruth McQueen objęła mnie, pytając, czy chcę aspirynę.

Gdy więc pocieszano, przemywano i bandażowano Mary Agnes i kiedy uspokajano ciotkę Moirę (to ona dostała aspirynę, jak również specjalne pigułki na serce, z jej torebki), ja także zostałam otoczona troską, zaprowadzona do gabinetu, ułożona na kanapie, przykryta kocem jak chora, poczęstowana herbatą i ciastem.

Moje zachowanie nie zepsuło pogrzebu. Drzwi były zamknięte, toteż niczego nie widziałam, ale słyszałam, jak śpiewają. Z początku nierówno, chropawo, a później z rosnącym zapalem, tęsknie i z uczuciem.

Tysiąc lat pod Twoim okiem, Panie,

Przemija jak jedno popołudnie.

Prędko jak kończące noc czuwanie

Przed słońca cichym wzejściem.

Dom był pełen ludzi, którzy tłoczyli się i zlewali ze sobą jak roztopione kredki woskowe, zgrzani, pokorni, rozśpiewani. I ja znajdowałam się wśród nich wbrew więzieniu, które sama sobie zgotowałam. Większość miała zapamiętać na całe życie, że ugryzłam Mary Agnes Oliphant w rękę na pogrzebie wujka Craiga. A skoro tak, to miałam być zapamiętana jako dziecko nadpobudliwe, nieodpowiedzialne lub źle wychowane, a może i wybryk natury. Ale nie chcieli wypuścić mnie na zewnątrz, o nie. Woleli, abym pozostała nadpobudliwą, nieodpowiedzialną i źle wychowaną krewną, co diametralnie zmienia postać rzeczy.

Przebaczenie wywołuje szczególny rodzaj wstydu. Było mi dziwnie ciepło

i to nie tylko od koca. Czułam się ściśnięta, stłamszona, jakby pod przymusem przedzierania się przez coś gęstego jak bawełna. Ten wstyd był cielesny, jednak dotykał znacznie silniej niż ujawnienie płci, niedawno odkryty wstyd przed własną nagością. Teraz czułam się tak, jakby i moje nagie ciało, i wszystkie narządy w jego wnętrzu - żołądek, serce, płuca, wątroba - istniały w obnażonym, bezbronnym zawieszeniu. Już wcześniej zaznałam czegoś podobnego, kiedy ktoś zawzięcie mnie łaskotał - było to nieznośne, upiorne, obezwładniające uczucie demaskacji, bezsilności, sprzeniewierzenia się sobie. I mój wstyd rozprzestrzenił się po całym domu, przesłonił wszystkich, nawet Mary Agnes, nawet wujka Craiga w jego obecnym, prowizorycznym, przejściowym stanie. Cieleśność była upokarzająca. Zawładnęła mną wizja, która poniekąd przeczyła niewyraźnej mistycznej wizji porządku i światła; tak samo niewyraźna wizja zamętu i brudu - bezradności, która okazuje się największym plugastwem. Ale, jak w przypadku mistycznego objawienia, moja wizja trwała zaledwie chwilę; nie znalazłszy oparcia, uległa samounicestwieniu i gdy przepadła, nie dało się jej już odtworzyć, ani uwierzyć w nią naprawdę. W momencie kiedy zaintonowano ostatni hymn żałobny, znów byłam sobą, tyle że trochę osłabioną - jak każdy po ugryzieniu kogoś w rękę. Gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku Ojcowie Konfederacji zdążyli znów przywdziać swoje stroje i maski wiarygodnego dostojeństwa, a ja wypiałam całą herbatę, badając jej dorosły, obcy i nasycony znaczeniem smak.

Wstałam i wolno uchyliłam drzwi. Salon był otwarty. Ludzie zbierali się pomалу. Patrzyłam, jak przygarbione, zatroskane sylwetki oddalają się ode mnie coraz bardziej.

Jezu, wyprowadź nas ze zgiełku

Mórz żywota naszego burzliwego...

Niepostrzeżenie wśliznęłam się do salonu i stanęłam w kolejce przed jakąś uprzejmą spoconą panią, której nie znałam.

- Trafiłaś akurat na ostatnie pożegnanie - szepnęła zachęcająco.

Dla ochrony przed prażącym słońcem zaciągnięto wszystkie rolety. W nagrzanym pokoju panował posepny półmrok, który przenikały zbłąkane smużki światła, jak stodołę w upalne popołudnie. W powietrzu unosiła się woń lilii, woskowatych, nieskazitelnie białych, przemieszana z dziwnym zapachem spiżarni. Przesuwając się pomału za innymi, dotarłam do krawędzi trumny, ustawionej przed kominkiem - nigdy nieużywanym, pięknym kominkiem, którego nawoskowane płytki lśniły jak szmaragdy. Trumna była wyłożona białą satyną, zmarszczoną w fałdy niczym najwspanialsza suknia. Ciało wujka Craiga zakrywało do połowy wypolerowane wieko, a od pasa do ramion - lilie. Na tle całej tej bieli jego oblicze przybrało miedziany odcień i wyraz arogancji. Nie sprawiał wrażenia śpiącego; w ogóle nie wyglądał jak w niedzielne popołudnia, kiedy wstępowałam do gabinetu, żeby go obudzić. Powieki zakrywały oczy tak lekko, jakby zaledwie je przymknął, a bruzdy i zmarszczki stały się dziwnie płytkie. Cały był jak wyświecony, twarz przypominała delikatną maskę ze skóry, polakierowaną i nałożoną na prawdziwą - a raczej kryjącą puste miejsce - gotową rozpaść się, gdyby ktoś ją szturchnął. Miałam nawet taki odruch, daleki od spełnienia jak odruch dotknięcia przewodu elektrycznego pod napięciem. Pod liliami, z głową na satynowej poduszce, wujek Craig objawił mi się jako srogi, milczący, chłodny przewodnik mocy, które mogły wezbrać w każdej chwili, buchnąć wściekłym ogniem i wypalić salon, wszystko wokół, pozostawiając nas w ciemnościach. Odwróciłam się z szumem w uszach, ale i z ulgą, zadowolona, że jednak zrobiłam to i przeżyłam. Przecisnąwszy się przez tłoczny, wypełniony śpiewem pokój, podeszłam do matki, która siedziała pod oknem sama (ojciec był zajęty innymi żałobnikami), ale nie śpiewała, tylko zagryzała usta z odrzecznym wyrazem nadziei.

Potem ciotka Elspeth i ciocia Grace sprzedały dom przy Zakręcie Jenkinsa wraz z ziemią i krowami i przeniosły się do Jubilee. Zdecydowały się na Jubilee - zamiast na Błękitną Rzekę, gdzie miały więcej znajomych, czy Porterfield, gdzie mieszkała ciotka Moira - stwierdziwszy, że chcą się jeszcze trochę przydać ojcu i jego rodzinie. Tkwiły w swoim domu na wzgórzu na północnym krańcu miasteczka jak zaskoczone i pokrzywdzone opiekunki, troszcząc się o nasze dobro, sceptyczne wobec naszego życia. Cerowały skarpetki, które zawoził im systematycznie, miały gorzelnię w ogrodzie i przygotowywały dla nas rozmaite przetwory, a także reperowały nam ubrania, robiły na drutach i piekły.

Odwiedzałam je parę razy w tygodniu, początkowo bardzo chętnie, choć zasadniczy cel tych wizyt stanowiły smakołyki, ale kiedy zaczęłam uczęszczać do liceum, coraz mniej chciało mi się jeździć do nich w odwiedziny. Zawsze witały mnie tak samo: „Gdzie ty się podziewałaś? Prawie się nie pokazujesz!”. Siedziały i czekały na mnie tak, jakbyśmy nie widziały się co najmniej miesiąc - przy ładnej pogodzie na swoim ocienionym ganku, z którego mogły obserwować drogę, niewidoczne dla przechodniów.

Co miałam odpowiadać? Ich dom stał się maleńką zamkniętą krainą, w której panują wyszukane obyczaje, używa się wytwornego, absurdalnie zawilego języka i przedziera się tam coraz mniej wieści z zewnątrz.

W łazience nad klozetem wisiało, wyszyte ścięciem krzyżykowym, upomnienie:

Odśwież powietrze, nim wyjdiesz

Grzeczność tę każdy doceni

Poniżej zawsze wisiało nowe pudełko zapalek. Czytając napis, czułam się speszona, przyłapaną, ale zapalałam zapałkę.

Opowiadały wciąż te same historie, stroiły te same żarty, które teraz brzmiały jałowo, nadwątlone ciągłą eksploatacją. Z czasem każde słowo ciotek, każdy wyraz twarzy, trzepot rąk zaczęły jawić się jako coś wyuczonego dawno temu, świetnie pamiętanego, a one same stopniowo zmieniały się w misterne figuryńki, z upływem lat coraz bardziej kruche, godne podziwu, nierzeczywiste. Stały się takie, odkąd na zawsze pożegnały męczyznę, którego mogły karmić i podziwiać - i kiedy opuściły miejsce, w którym ich sztuczność rozkwitała w zgodzie z naturą. Ciotka Elspeth powoli traciła słuch, a ciocia Grace cierpiała na artretyzm w stawach palców dłoni i w końcu musiała zaprzestać robótek, wyjąwszy najprostsze. Poza tym

były takie jak dawniej, nie zostały doświadczone przez los; nie dokładając szczególnych starań, w poczuciu obowiązku wobec Boga, niezmiennie zachowywały formę.

Przechowywały rękopis wujka Craiga i czasem wspominały, że zamierzają komuś go pokazać. Zdaje się, że panu Buchananowi, nauczycielowi historii w ogólniaku, albo panu Fouksowi z „Herald-Advance”. Nie chciały jednak, by wyglądało to na prośbę o przysługę. I czy można ufać ludziom? Ktoś mógłby ukraść manuskrypt i wydać go pod własnym nazwiskiem.

Pewnego popołudnia przyniosły czerwono-złotą puszkę z wizerunkiem królowej Aleksandry, pełną okrągłych ciasteczek owsianych wymieszanych z suszonymi daktylami, oraz duże blaszane pudło, ogniotrwałe i zabezpieczone kłódką.

- Genealogia wujka Craiga.

- Blisko tysiąc stronic.

- Napisał tak pięknie, bez jednego błędu.

- Ostatnią stronę pisał w dniu swej śmierci.

- Wyjmij i obejrzyj - zachęciły mnie tak samo, jak gdy częstowały słodyczami.

Szybko przekartkowałam całość.

- Poczytaj - powiedziały. - Na pewno cię zainteresuje. Zawsze miałaś dobry stopień z historii.

„Wiosną, latem i wczesną jesienią tego roku w miejscowościach Fairmile, Morris i Grantly powstało wiele budowli. W Fairmile, na rogu Zgody i Nadrzecznej, został wzniesiony kościół metodystów na potrzeby dużej i stale powiększającej się społeczności parafialnej. Nazywano go «Kościołem z Białej Cegły». Niestety przetrwał zaledwie do tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, kiedy to zniszczył go pożar nieznanego pochodzenia. Co ciekawe, ocalał tylko drewniany garaż. Na przeciwnym rogu p. Alex Hedley zbudował i otworzył sklep wielobranżowy, ale dwa miesiące po otwarciu zmarł na udar i pieczę nad interesem przejęli jego synowie, Edward i Thomas. Nieco dalej, przy Zgody 5, był warsztat kowalski, który prowadziła rodzina O'Donnellów. Ten róg nazywano «Rogiem Hedleya» bądź «Kościelnym». Obecnie znajduje się tam tylko budynek sklepu, który wynajmuje i zamieszkuje pewne małżeństwo”.

Kiedy czytałam, ciotki oznajmiły - z udawanym ociąganiem, aby niespodzianka była jak najmiłsza - że rękopis należy do mnie.

- Dostaniesz też wszystkie jego stare kartoteki i gazety, gdy... umrzemy. Albo wcześniej, niedorzecznością byłoby czekać tak długo! Gdy uznasz, że jesteś gotowa...

- Bo liczymy... Liczymy, że kiedyś zechcesz to skończyć.

- Zastanawialiśmy się, czy by nie dać tego Owenowi, bo jest chłopcem...

- Ale to ty masz smykałkę do pisania wypracowań.

Ostrzegały mnie, że może to być praca ciężka i wymagająca, ale też stwierdziły, że będzie mi łatwiej, jeśli wezmę rękopis teraz i od czasu do czasu będę go podczytywała, żeby dobrze wczuć się w styl wujka Craiga.

- Miał dar. Potrafił zawrzeć wszelkie szczegóły w taki sposób, że naprawdę świetnie się to czyta.

- Może nauczysz się naśladować jego frazę.

Ktoś powiedział im kiedyś w rozmowie, że jedyną powinnością pisarza jest stworzenie arcydzieła.

Wychodząc, włożyłam pudło pod pachę. Było mi trochę niewygodnie. Ciotka Elspeth i ciocia Grace stały uroczyście w progu, patrząc, jak się oddalam - a ja czułam się jak statek, który, pełen ich nadziei, znika za horyzontem. W domu wsunęłam pudło pod łóżko. Nie byłam w nastroju na omawianie jego zawartości z matką. Kilka dni później pomyślałam, że pudło idealnie nadaje się do przechowywania moich paru wierszy i fragmentów powieści, którą zaczęłam pisać. Nie chciałam, by ktoś je znalazł, i zależało mi na tym, aby były bezpieczne w przypadku pożaru. Wyciągnęłam je spod materaca, gdzie ukrywałam je między stronicami grubego egzemplarza Wichrowych wzgórz.

Nie chciałam trzymać swoich utworów z rękopisem wujka Craiga. Uznałam, iż jest tak drętwy, ciężki, nudny i bezużyteczny, że jego towarzystwo może źle wpłynąć na moje teksty i przynieść mi pecha. Zniosłam go do piwnicy i wsadziłam do tekturowego pudełka.

Ostatniej wiosny, kiedy byłam w Jubilee i przygotowywałam się do egzaminów końcowych, naszą piwnicę zalała woda na wysokość trzech czy czterech cali. Matka zadzwoniła, abym przyjechała jej pomóc. Zeszliśmy razem na dół, otworzyliśmy czarne drzwi i wzięliśmy się do zamykania zimnej, cuchnącej szlamem wody w stronę studzienki odpływowej. Natknęłam się na pudło z rękopisem, o którym zupełnie zapomniałam, a który teraz przybrał postać przemoczonego na wylot wielkiego pliku papierów.

Nie zastanawiałam się, w jaki sposób uległ zniszczeniu, ani też, czy uda się go ocalić. Od samego początku uważałam go za pomyłkę.

Ale myślałam o ciotkach. (Ciocia Grace leżała wtedy w miejscowym szpitalu, powracając do sił po, jak orzekli lekarze, złamaniu kości biodrowej, a ciotka Elspeth odwiedzała ją codziennie i siedząc przy jej łóżku, powtarzała

- zakochanym w nich obu - pielęgniarce: „Do czego to się człowiek nie posunie, żeby położyć się do łóżka i patrzeć, jak mu usługują!”.)
Przypomniało mi się, jak odprowadzały wzrokiem rękopis, gdy opuszczał ich dom w pudle zamkniętym na kłódkę, i poczułam skruchę, tę wątlą skruchę, której towarzyszy okrutna, niezmacona satysfakcja.

Księżniczka Ida

Matka zajęła się sprzedażą encyklopedii. Ciotka Elspeth i ciocia Grace nazywały to „domokrąstwem”.

- Często tak chodzi po prośbie? - pytały, a ja odpowiadałam, że nie, skądże, że prawie nie opuszcza domu, choć wiedziałam, że mnie przejrzały. - Nie ma kiedy prasować - ciągnęły ze współczuciem, oglądając rękaw mojej bluzki. - Nie ma czasu na prasowanie, skoro postanowiła uprawiać domokrąstwo.

Czułam, jak na moje tchórzliwe barki spada brzemię odpowiedzialności za jej dziwactwa, za jakiś absurdalny i krępujący rys jej natury - mimo że ciotki ujawniały mi go stopniowo, niespiesznie. Chciałam wyrzec się matki, wkraść się w łaski ciotek, porzucona, osierocona, zostawiona w jednej koszuli. Równocześnie chciałam jej bronić. Nie byłaby zdolna pojąć, jak bardzo potrzebowała ochrony przed dwiema starszycami o fantastycznym poczuciu humoru i subtelnym manierach. Nosiły ciemne bawełniane suknie ze świeżymi, idealnie wykrochmalonymi i uprasowanymi kołnierzykami, które ozdabiały porcelanowymi broszkami w kształcie kwiatów. W ich domu był zegar z kurantem, który cichutko wydzwaniał kwadransy, były także paprocie, fiołki afrykańskie, szydełkowe chodniki i rolety z frędzlami, a nad wszystkim unosił się świeży, pełen wyrzutu zapach wosku i cytryn.

- Wstąpiła wczoraj po babeczki, które upiekłyśmy dla was. Smakowały? Chciałyśmy, żeby były lekkie. Skarzyła się, że zaryła w błocie na Jerychońskiej. Na Jerychońskiej! Sama jak palec! Biedna Ada! A jak się utyłła, boki zrywać!

- Musiałyśmy zmywać linoleum w korytarzu - dodała ciocia Grace przepraszająco, jakby niezadowolona, że mi o tym mówi.

Z ich punktu widzenia matka rzeczywiście wydawała się dziwaczką.

Jeździła naszym chevroletem z trzydziestego siódmego roku po autostradach i bocznych drogach hrabstwa Wawanash, jeździła po drogach żwirowanych i gruntowych, a nawet po krowich ścieżkach, o ile tylko, jej zdaniem, mogły doprowadzić ją do klientów. Wozila w bagażniku lewarek i szufelkę, a także kilka deseczek - nieodzownych, ilekroć samochód zarył w dziurze. Jeździła, nie zważając na największe rozpadliny czy rowy na trasie, trąbiła rozpaczliwie przed niespodziewanymi zakrętami, wiecznie martwiła się, że któryś z drewnianych mostów nie wytrzyma, i nigdy, pod żadnym pozorem, nie zjeżdżała na zdradliwe, zdewastowane pobocze.

Trwała wojna. Farmerzy nareszcie zarabiali - na świniach, burakach cukrowych albo zbożu. Z pewnością nie po to, by wydawać na encyklopedie. Najbardziej zależało im na lodówkach, samochodach, a że te na razie były nie do dostania, do akcji wkraczała matka. Dzielnie taszczyła swoją skrzynkę pełną książek, wdzierała się do ich kuchni, zimnych, pachnących pogrzebowo salonów, ostrożnie, acz z optymizmem niosąc kaganek oświaty. Jest to zimne dobro, bez którego dorośli mogą się spokojnie obyć, ale nikt nie zaprzeczy, że dla dzieci nadaje się wprost idealnie. Matka postawiła właśnie na to.

I jeśli szczęście polega na wierze w towar, który się sprzedaje, to była szczęśliwa. W jej pojęciu wiedza nie miała w sobie nic zimnego. Przeciwnie - uważała ją za coś przyjaznego i pięknego. Nawet na tym etapie życia czerpała czystą radość ze znajomości położenia Morza Celebes i pałacu Pittich, chronologii małżeństw Henryka VIII, systemu społecznego mrówek, azteckich sposobów dokonywania rytualnych mordów, czy też układu kanalizacji i wodociągów Knossos. Potrzeba opowiadania o tym ponosiła ją nieraz do tego stopnia, że częstowała nią wszystkich wokół. „Twoja matka zna się na tylu rzeczach, niebywałe!” - mówiły ciotka Elspeth i ciocia Grace pogodnie, bez zazdrości, a ja czułam, że dla niektórych, a może i dla każdego wiedza jest anomalią, niepożądaną jak brodawki.

Ale też podzielałam właściwy matce głód wiedzy. Nic na to nie poradzę. Uwielbiałam encyklopedię, doniosłość zawartych w niej ekscytujących wiadomości i tajemnic, ciężar tomów, gdy kładłam je na kolanach. Uwielbiałam skromną ciemnozieloną oprawę i dyskretny, delikatny jak pajęczyna, złoty napis na grzbiecie. Podczas wertowania encyklopedii odkrywałam na przykład staloryt przedstawiający jakąś bitwę na moczarach, z zamkiem w tle, albo oblężenie Konstantynopola. Najdrobniejsze szczegóły krwawej rzezi, tonących ludzi i okręty, odrąbywanie głów, męczarnie zdychających koni, ukazano z operowym rozmachem, w cudownie nierzeczywisty sposób. Poza tym w dawnych czasach najwyraźniej panowała dramatyczna, przesycona grozą aura: krajobraz marszczył się, a morze połyskiwało całą gamą szarości, od matowej do metalicznej. Charlotte Corday w drodze na gilotynę, Maria Stuart w drodze na szafot, arcybiskup Laud błogosławiący Stafforda przez kraty więziennego okna... Z całą pewnością wyglądali właśnie tak: spowici w czarne szaty, ze wzniesionymi rękoma, z bladym obliczem, opanowani, pełni heroizmu. Rzecz jasna encyklopedia zawierała też inne ciekawe ilustracje, jak choćby rysunki z odmianami chrząszcza albo typami węgla kamiennego, schematy silników, fotografie Amsterdamu czy Bukaresztu, wykonane w mgliste i pochmurne dni w latach dwudziestych (można to było poznać po małych staroświeckich samochodach). Lecz ja wołałam historię.

Z początku nieco przypadkowo, a później już bardzo świadomie - uczyłam się z encyklopedii różnych rzeczy. Miałam niewiarygodną pamięć. Ubóstwiałam naukę kolejnych faktów i traktowałam ją jak sprawdzian, któremu nie można się oprzeć, tak jak próbie przejścia kwartału domów na jednej nodze.

Matka uznała, że moja wiedza mogłaby przysłużyć się jej pracy.

„Te książki czyta moja własna córka i wprost nie mieści mi się w głowie, jak wiele zapamiętuje. Rozum dziecka jest jak lep na muchy, wiedzą państwo, wychwyci każdą informację. Del, podaj nazwiska prezydentów Stanów Zjednoczonych od Jerzego Waszyngtona do obecnego, bardzo proszę”. Albo: „Podaj nazwy państw Ameryki Południowej wraz ze stolicami”. „Sławni odkrywcy - powiedz, skąd pochodzili i dokąd jeździli, poproszę też o daty”.

Nieraz towarzyszyłam jej w obcych domach i prezentowałam swoją wiedzę. Przybierałam mądry, poważny, ambitny wyraz twarzy - głównie dla efektu. Aż rozpierała mnie duma. Wiedziałam, że wiem masę rzeczy. Czy ktoś mógł nie darzyć mnie sympatią za znajomość położenia Quito?

W istocie mogło wielu. Skąd jednak nabrałam takich wątpliwości? Być może wywołał je Owen, który nie potrafiąc skojarzyć paru powszechnie znanych dat, nazw stolic czy nazwisk zmarłych prezydentów, czule i flegmatycznie owijał sobie wokół palca dawno przeżutą gumę. A może dzieci wiejskie, które odwracały się ode mnie z lekkim, acz nieprzeniknionym skrępowaniem. Pewnego dnia odechciało mi się uczestniczyć w praktykach matki. Decyzja miała podłoże fizyczne - upokorzenie paliło mi żołądek, przeszywało nerwy. Zaczęłam odpowiadać: „Nie znam ich...”, ale poczucie strasznego wstydu powstrzymało

mnie przed kłamstwem.

- Jerzy Waszyngton, John Adams, Thomas Jefferson...

- Niedobrze ci? - zapytała ostro matka.

Wystraszyła się, że zwymiotuję. I ja, i Owen umieliśmy wymiotować na zawołanie i celowaliśmy w tej sztuce. Przytaknęłam, wolno wstałam z krzesła i ukryłam się w samochodzie, trzymając się za brzuch. Matka od razu wyczuła, że nie chodzi o zwykłe mdłości.

- Robisz się wstydliva - orzekła pragmatycznym tonem. - Sądziłam, że to lubisz. - Pieczenie powróciło; jasne, że lubiłam, więc nie powinna tak mówić. - Wstyd i nieśmiałość - ciągnęła uroczyście - to luksusy, na które ja nigdy sobie nie pozwalałam. - Rozpłakała się. - Wiedz jednak, że w rodzinie ojca są osoby, które nie ośmieliłyby się powiedzieć innym nawet o pożarze własnego domu.

Przez jakiś czas, kiedy wyjeżdżaliśmy razem, na niegroźne pytanie, czy chciałam trochę poodpowiadać, osuwałam się na fotel, kręciłam głową i chwytając się za brzuch, wskazując możliwość rychłego nawrotu choroby. Matka musiała się w końcu poddać i odtąd, towarzysząc jej w soboty, byłam jak Owen, a ściślej: jak wolny i bezużyteczny balast, a nie współuczestnik jej handlowego przedsięwzięcia. „Skoro z czystej przekory wolisz trzymać swoje zalety pod korcem, rób, jak uważasz - powiedziała. - To nie moje zmartwienie”.

A jednak żywiłam niejasną nadzieję na przyjemności, które były udziałem Owena, choć w nieco bardziej namacalnej sferze. Oboje chcieliśmy kupić sobie po torebce pewnych złocistobrazowych cukierków, pokruszonych jak cement i niemal natychmiast rozpływających się na języku, sprzedawanych w specjalnym sklepie, obwieszonym uprzążami i pachnącym końską sierścią. Liczyliśmy choć na tankowanie na stacji, gdzie sprzedawano zimne napoje gazowane. Marzyliśmy o dalekiej przejażdżce do Porterfield albo Błękitnej Rzeki, miasteczek, których cała magia polegała na tym, że nie znaleźliśmy ich i byliśmy w nich nieznanymi, że nie były one Jubilee. Przechadzając się po ich ulicach, odczuwałam swoją anonimowość jak ozdobę, pawę tren. Ale potem, pod wieczór, nadzieje te odpływały - lub też spełniały się po części, co zawsze pozostawia pewien niedosyt. Podobnie matkę opuszczały owe jasne bezwzględne moce, za których sprawą wyruszała w drogę. Zapadający zmrok, zimne powietrze ze szpary w podwoziu samochodu, dźwięk znużonego silnika, marazm wiejskiego pejzażu godziły nas ze sobą i sprawiały, że tęskniliśmy do domu. Jechaliśmy przez ukochaną wieś, nieświadomi, jak jest nam bliska - nie falistą, ani też płaską, lecz poszarpaną, bez rozpoznawalnego rytmu; przez niskie wzgórza, zarośnięte wykroty, trzęsawiska, krzewy, pola. Wysokie wiązy, osobne, o niepowtarzalnych kształtach, zwiastowały nieuchronność losu, lecz i o tym nie wiedzieliśmy. Przypominały lekko rozchylone wachlarze, a niektóre - harfy.

Jubilee było widać z odległego o jakieś trzy mile od domu wzniesienia na autostradzie numer cztery. Między wzgórzem a miasteczkiem ciągnęły się moczary, każdej wiosny zalewane przez Wawanash, a pomalowany na srebrno most na rzece wynurzał się z półmroku jak klatka. Autostrada numer cztery stanowiła też główną ulicę Jubilee. W dali majaczyły wieże stojących

naprzeciw siebie budynków: ratusza - z osobliwą kopułą, kryjącą słynny dzwon (który obwieszczał wybuchy wojen i rozejmy, gotowy na okoliczność trzęsienia ziemi bądź potopu), i poczty - zegarowa, prosta, pożyteczna, nieodzowna. Główna ulica dzieliła miasteczko na dwie niemal równe części. Jego kształt, który wieczorami, kiedy wracaliśmy, wyznaczały zwykle światła domów, przypominał nietoperza z lekko uniesionym skrzydłem, dźwigającego wieżę ciśnień, nieoświetloną, niewyraźną.

Matka zawsze musiała jakoś spuentować ten widok. „Tam jest Jubilee” - mówiła z prostotą, albo: „Oto i metropolia”, a czasem nawet cytowała nieporadnie wiersz o powrocie tam, skąd się ongiś wyszło. I te słowa - czy to senne, czy pełne ironii, czy przesycone radością - zdawały się odbierać Jubilee rację bytu. Tak jakby bez jej zgody, aprobaty te latarnie, chodniki, ten bastion wśród pustkowia, jawny, a zarazem sekretny wzorzec miasteczka - schronienia i tajemnicy - w ogóle nie istniały.

Korzystała z tej niesamowitej zagadkowej władzy podczas naszych wypraw i powrotów do domu. Stosowała ją wobec całego świata i - przynajmniej wtedy - nie można było na to nic poradzić.

Matka wynajęła dom w miasteczku i mieszkaliśmy tam od września do czerwca, wracając do domu przy Drodze na Moczary tylko na lato. Ojciec jadał z nami kolacje i zostawał na noc, dopóki nie nadeszły śniegi, a potem, gdy tylko mógł sobie na to pozwolić,

spędzał z nami sobotnie wieczory i niedzielne przedpołudnia.

Dom, który wynajmowaliśmy, stał na końcu ulicy Rzecznej, nieopodal stacji kolejowej. Sprawiał wrażenie większego, niż był w rzeczywistości. Piętrowy, w połowie drewniany, w połowie ceglany, miał wysoki spadzisty dach, mocno wydęte okno wykuszowe w jadalni i dwie werandy, z przodu i z tyłu. Dach frontowej werandy zdobił całkiem bezużyteczny i niedostępny balkonik. Wszystkie drewniane części domu były pomalowane na szaro, pewnie dlatego, że szarości nie trzeba odświeżać tak często jak bieli. Gdy robiło się ciepło i okna parteru chroniły markizy, pasiaste i mocno

wypłowie, dom o wyblakłych ścianach i pochyłych werandach przywodził mi na myśl plażę - słońce, żdźbła szorstkiej trawy na wietrze.

A jednak ten dom należał do miasteczka. Miał w sobie coś spokojnego i uroczystego, co przy Drodze na Moczary było nie do pojęcia. Czasami myślałam o naszym starym domu, o jego bladej płaskiej fasadzie, o cementowej płycie przed drzwiami kuchni, z rozpaczliwym, lekko wstydliwym, przesyconym melancholią bólem, tak jak myśli się o poczciwym starym dziadku, wyrastając z zabaw, których nas nauczył. Brakowało mi bliskości rzeki i mokradeł, a także prawdziwej anarchii zimy, zamieci śnieżnych, które zamykały nas przed światem szczelnie jak w Arce Noego. Niemniej lubiłam ład, harmonię, zawiły porządek miejskiego życia, dostrzegalny jedynie dla przybysza z zewnątrz. Wracając ze szkoły w zimowe popołudnia, napawałam się atmosferą miasteczka, ulicami o nazwach takich jak Rzeczna, Kamieniarska, Johna, Wiktorii, Hurona i - ciekawa rzecz - Chartumska, widokiem sukien wieczorowych na wystawie sklepu z odzieżą damską Kralla, zwiewnych i bladych jak krokusy, syciłam uszy pieśnią Nowe imię okrywa się chwałą, a jest ono moje, moje, moje!, którą w piwnicy kościoła baptystów grała i śpiewała orkiestra misyjna. Kanarki w klatkach w sklepie kolonialnym, książki w bibliotece, listy na poczcie i zdjęcia, przebranych za pirata i damę, Errola Flynna i Olivii de Havilland w witrynie kina - wszystkie te rzeczy, rozmaite rytuały i atrakcje splecione razem, tworzyły miasteczko. W miasteczku byli żołnierze na przepustce, w mundurach khaki, które emanowały anonimowym okrucieństwem jak zapach spalenizny. I piękne promienne dziewczęta, których nazwiska (Margaret Bond, Dorothy Guest, Pat Mundy) znał każdy, podczas gdy one znały tylko kilka wybranych nazwisk. Przyglądałam się, jak zbiegają po schodach liceum w aksamitnych trzewikach obszytych futrem. Zwykle chodziły w gromadce, jak lampiony otoczone blaskiem osłaniającym je przed resztą świata. Ale któregoś dnia jedna z nich, Pat Mundy, rzuciła mi przelotny uśmiech i potem snułam marzenia na jej temat - jak uratowała mnie przed utonięciem, jak została pielęgniarzką i troszczyła się o mnie, jak ryzykując życie, kołysała mnie w aksamitnych ramionach, kiedy o mało nie umarłam na dyfteryt.

W środowe popołudnia nasza lokatorka, Fern Dogherty, zostawała w domu i rozmawiała z matką w jadalni, popijając herbatę i paląc. Obdarzona niskim głosem, lubiła się rozgadywać, mruzczała i śmiała się raz po raz, podczas gdy komentarze matki były ostre i znacznie bardziej lapidarne. Gawędziły o

ludziach z miasteczka, o sobie, ich rozmowy płynęły jak rzeka, która nigdy nie wysycha. Cały dramatyzm, chaos życia jeszcze nie był dla mnie w pełni zrozumiały. Podchodziłam do głębokiego lustra we wbudowanym w ścianę kredensie i wpatrywałam się w odbicie pokoju - wyłożonego ciemną boazerią, z ciemnymi belkami pod stropem, z mosiężnym kinkietem przypominającym rosnące w niewłaściwą stronę drzewko o pięciu zakrzywionych gałęziach zwieńczonych szklanymi kwiatami. Ustawiając się pod pewnym kątem, patrzyłam, jak matka i Fern Dogherty rozciągają się, jakby były z gumy, rozedrgane, komiczne. Albo zaglądałam do lustra w taki sposób, że moja twarz upiornie opadała z jednej strony, tak jakbym miała udar.

- Czemu nie przywiozłaś tego obrazu? - zapytałam kiedyś matkę.

- Jakiego znów obrazu?!

- Tego nad kozetką.

Bo akurat myślałam - takie myśli nachodziły mnie od czasu do czasu - o naszej kuchni w drugim domu, gdzie pewnie w tej samej chwili ojciec i wujek Benny smażyli sobie kartofle na kolację na niemytej patelni (po co zmywać dobry tłuszcz?), odświeżając na parze kuchenki szaliki i rękawice. Nasz pies Major, który za panowania matki nie miał wstępu do kuchni, spał na brudnym linoleum pod drzwiami. Gazety rozłożone na stole zamiast obrusa, oblezione psią sierścią koce na kozetce, wiszące na ścianach strzelby, rakiety śnieżne i balie. Cuchnąca kawalerska wygoda. Nad kozetką wisiał obraz namalowany przez matkę przed wielu laty, gdy dopiero co związała się z ojcem i jej życie płynęło niespiesznie, wypełnione słońcem i miłością. Przedstawiał kamienistą drogę nad rzeką pośród wzgórz i dziewczynkę w czerwonej chuście, pędzącą stado owiec. Wzgórza i owce wyglądały jednakowo, masywne, zmierzwione, fioletowoszare. Dawno temu sądziłam, że dziewczynką jest w istocie matka, a

pejzaż to odludna kraina jej dzieciństwa. Później okazało się, że skopiowała widok z „National Geographic”.

- Ach, tego! Chciałabyś, żeby był tutaj?

Niezupełnie. Nieraz podczas naszych rozmów prowokowałam ją do odpowiedzi albo do ujawnienia czegoś, na czym mi zależało.

Chciałam usłyszeć, że zostawiła obraz dla ojca. Przypomniało mi się, jak raz mówiła, że namalowała go dla niego; że on pierwszy zachwyił się tym widokiem.

- Wolałabym nie pokazywać go ludziom - odparła. - Żadna ze mnie malarka. Namalowałam to, bo nie miałam nic innego do roboty.

Wydała przyjęcie dla kobiet. Zaprosiła panią Coutts, nazywaną też mecenasową, panią Best, żonę dyrektora Banku Handlowego, różne panie, które znała tylko z rozmów na ulicy, a także sąsiadki, współpracowniczki Fern Dogherty z poczty, oraz, rzecz jasna, ciotkę Elspeth i ciocię Grace (które na jej prośbę upiekły tartę z kurczakiem, tartę cytrynową i ciasto owsianodaktylowe). Zaplanowała wszystko z wyprzedzeniem. Każda z pań zaraz po wejściu do domu musiała zgadnąć, ile fasolek mieści słoje, i zapisać odpowiedź na kawałku papieru. Wieczór wypełniły rozmaite konkursy, quizy obmyślane za pomocą encyklopedii, szarady, z których nic nie wyszło, bo część pań żadną miarą nie mogła pojąć ich zasad, a poza tym były speszzone, oraz zabawa polegająca na tym, że pierwszy gracz pisze na kartce imię męskie, zagina kartkę i podaje ją następnemu, który pisze jakiś czasownik i też zagina kartkę, następny imię żeńskie i tak dalej, a na końcu kartkę rozkłada się i odczytuje. Ubrana w różową wełnianą spódnicę i bolerko, radośnie roznosiłam orzeszki.

Ciotka Elspeth i ciocia Grace krzątały się po kuchni, uśmiechnięte, z obrażonymi minami. Matka miała na sobie czerwoną suknię, półprzezroczystą, ozdobioną przypominającymi haft drobnymi czarno-błękitnymi bratkami.

- Myślałyśmy, że oblaży ją chrabąszcze - szepnęła mi do ucha ciotka Elspeth. - Ale było śmiechu!

Odniosłam wrażenie, że przyjęcie nie udało się tak wspaniale, jak sądziłam z początku. Zauważyłam, że część pań nie brała udziału w zabawach, że twarz matki gorzała ze zdenerwowania, a jej głos brzmiał nieco apodyktycznie, że gdy akompaniowała na pianinie (szkolonej śpiewaczce klasycznej) Fern Dogherty, która zaśpiewała Czym życie jest bez ukochanego?, panie biły brawo z uprzejmą rezerwą, tak jakby występ służył tylko temu, żeby się popisać.

Przez cały następny rok ciocia Grace i ciotka Elspeth pytały mnie raz po raz: „Co słyhać u waszej lokatorki? Jak sobie radzi bez ukochanego?”. Ilekroć tłumaczyłam im, że to aria operowa przełożona na angielski wołały: „Coś podobnego! A my jej tak współczułyśmy!”.

Matka liczyła, że jej przyjęcie zachęci panie do wydawania podobnych, ale tak się nie stało, a nawet jeśli - nic o tym nie słyszeliśmy. Nadal urządzały wieczorki brydżowe, które jednak matka uważała za niemądre i snobistyczne. Stopniowo zrezygnowała z życia towarzyskiego. Powtarzała, że pani Coutts jest głupia, bo w jednym z quizów nie wiedziała, kim był Juliusz Cezar - sądziła, że Grekiem - a poza tym robiła błędy gramatyczne, na przykład zamiast „przekonujący”, mówiła „przekonywujący”, co często zdarza się osobom z pretensjami do wielkopaństwa.

Zapisała się do dyskusyjnego klubu literackiego, którego spotkania odbywały się zimą, w co drugi czwartek, w sali posiedzeń ratusza. Poza nią do klubu należało pięć osób, między innymi emerytowany lekarz, doktor Comber. Był on chorowity, uprzejmy i, jak się okazało, despotyczny. Miał jedwabiste siwe włosy i nosił fular. Jego żona mieszkała w Jubilee od trzydziestu lat, a mimo to nie znała prawie nikogo i nie umiała nigdzie trafić. Była Węgierką. Miała majestatycznie brzmiące imię, które czasem podawała jak wykwintną rybę, połyskujące srebrzystymi sylabami niczym łuski - lecz nie do wymówienia ani zapamiętania przez nikogo w miasteczku. Z początku matka była nimi zachwycona, bo zawsze marzyła, by ich poznać. Nie posiadała się z radości, kiedy zaprosili ją do domu, gdzie oglądała fotografie z ich podróży poślubnej do Grecji, piła czerwone wino, aby ich nie urazić (była abstynentką), słuchała zabawnych i strasznych historii o tym, co przeżywają w Jubilee jako ateści i intelektualiści. Jej podziw wobec państwa Comber przetrwał Antygone, uległ ostudzeniu przy Hamlecie, a gdy omawiali

Republikę i Kapitał - osłabł niemal do zera. Najwyraźniej tylko Comberowie mieli prawo do własnego zdania. Znali się na wszystkim, widzieli Grecję, uczęszczali na wykłady Herberta George'a Wellsa, byli nieomylni. Raz matka posprzeczała się z panią Comber, która wypomniała jej brak wyższego wykształcenia, podkreślając, że ma za sobą tylko naukę w - matka przedrzeźniła jej akcent - prowincjonalnym liceum. Zrewidowawszy niektóre z ich opowieści, matka doszła do wniosku, że cierpią na manię prześladowczą („Co to jest?” - zapytała Fern, bo podobne określenia nie były jeszcze zbyt powszechne) i są chyba trochę stuknięci. Ponadto, o czym nie wspomniała wcześniej, w ich domu unosił się przykry zapach, a muszla klozetowa w toalecie, z której musiała skorzystać po wypiciu wina, była paskudnie zażółcona. „Co z tego, że czyta się Platona, kiedy brud w klozecie?” - powtarzała jako obrończyni bardziej konwencjonalnych manier.

Po roku przestała chodzić na spotkania klubu literackiego. Zapisła się na kurs korespondencyjny pod nazwą „Wielcy myśliciele” przy Uniwersytecie Zachodniego Ontario i pisała listy do gazet.

Nic nie umykało uwadze matki. Pod znaną nam formą, czasem nieco rozmytą albo rozwichrzoną, kultywowała swoje dawne ja gorliwie i z nadzieją, zawsze gotowa przywołać minione zdarzenia, jaskrawe jak przezrocza na tle przeładowanej materii naszej codzienności.

Na początku, na samym początku wszystkiego był dom. Stał na końcu długiej wąskiej drogi, otoczony płotem z siatki drucianej, z powgniatanymi szybami zbrojonymi w oknach, wśród pól, gdzie skały - część platformy prekambryjskiej - sterczały z ziemi niczym kości z ciała. Dom, którego nigdy nie widziałam na zdjęciu, bo może nikt go nie sfotografował, a który matka niezmiennie opisywała zniecierpliwionym, rzeczowym tonem („Ot, stary drewniany dom, nigdy nie malowany”), jawił mi się tak wyraźnie, jakbym kiedyś widziała go w gazecie - jako najbardziej obnażony, najmroczniejszy, najwyższy ze wszystkich domów z drewna, prosty i bliski, a jednak groźny, kryjący zło jak miejsce, w którym popełniono zbrodnię.

Matka, wtedy mała dziewczynka imieniem Addie Morrison, pewnie patykowata, z włosami przyciętymi krótko, bo mama strzegła jej przed próżnością, wracała ze szkoły długą nieprzyjemną ścieżką, objając nogi o

kubełek po smalcu, w którym nosiła lunch. Panował wieczny listopad, ziemia była twarda, łamał się lód na kałużach, a do drucianego płotu przyczepiały się kępy martwej trawy. Wokół rosły upiorne krzewy, a dziwne, raptowne podmuchy wiatru unosiły ich gałęzie, jedną po drugiej. W domu czekały na nią wygasłe

palenisko, zimny piec, lepkie od tłuszczu talerze i garnki, zostawione przez mężczyzn po kolacji.

Ani śladu ojca ani braci, którzy byli starsi i już zakończyli naukę. Ciągłe gdzieś im się spieszyło. Przechodziła przez salon do sypialni rodziców i tam prawie zawsze zastawała matkę na kolanach, pochyloną nad łóżkiem w modlitwie. O wiele wyraźniej niż jej twarz pamiętała teraz jej zgięte plecy, wąskie ramiona w szarym bądź jasnobrązowym swetrze, narzuconym na brudne kimono lub podomkę, rzadkie włosy z przedziałką pośrodku, zebrane ciasno nad karkiem, niezdrowo bladą skórę głowy. Bładą jak marmur, jak mydło.

„Była fanatyczką religijną” - mówiła o tej kobiecie na klęczkach, którą czasem zastawała też leżącą na wznak i zalaną łzami - z powodów, których wolała nie zgłębiać - z wilgotną chusteczką przy czole. „Kiedyś, w ostatniej fazie religijnego obłądzenia, poszła do stodoły, aby ukryć małego byczka w sianie przed zbliżającymi się rzeźnikami”.

Głos matki, gdy opowiadała o dzieciństwie, brzmiał ostro, przeniknięty pewnością, że została oszukana, przesycony zawziętym gniewem i poczuciem straty.

- Wiesz, co zrobiła? Mówiłam ci, co zrobiła? Mówiłam ci już o pieniądzach? - wzięła oddech, żeby się opanować. - Otóż odziedziczyła pewną sumę. Jacyś jej krewni byli zamożni, mieszkali w Nowym Jorku. Dostała dwieście pięćdziesiąt dolarów, niedużo, ale wtedy to było więcej niż teraz, a, jak wiesz, żyliśmy w biedzie. Myślisz, że jesteśmy biedni, a to nic w porównaniu z tamtą nędzą. Pamiętam, że cerata na stole tak się przetarła, że było widać gołe deski. Wisiała w strzępach. Szmata, a nie obrus. Jak w ogóle

nosiłam buty, to tylko męskie, po braciach. Na naszej ziemi nie chciały rosnąć nawet chwasty. Na Gwiazdkę dostawałam reformy i wiedzę, że się cieszyłam.

Wiedziałam, co to znaczy marznąć... No więc matka wzięła te pieniądze i zamówiła wielkie pudło Biblii. Przyszły ekspresem. Najdroższe, z mapami Ziemi Świętej, stronicami o złożonych brzegach i słowami Jezusa zaznaczonymi na czerwono. Błogosławieni ubodzy duchem. A cóż w tym niezwykłego? Wydała wszystko do ostatniego centa. Kazała nam rozdać Biblie. Kupiła je, by rozproszyc wśród niewiernych. Zdaje się, że moi bracia schowali kilka w spichlerzu. Tak, na pewno. Ja byłam tak głupia, że nie przyszło mi to do głowy. Jako ośmiolatka tułałam się po wsi w męskich butach, bez rękawiczek, i rozdawałam Biblie. Miało to jedną korzyść - na zawsze wyleczyło mnie z religii.

Raz zjadła ogórki i popiła je mlekiem, bo usłyszała od kogoś, że to zabójcza mieszanka, a chciała umrzeć - bardziej z ciekawości niż z przygnębienia. Położyła się i liczyła, że obudzi się w Niebie, o którym wiele słyszała, ale niestety otworzyła oczy na drugi dzień rano. I to doświadczenie również wpłynęło na jej wiarę. Nie wspomniała o tym wtedynikom.

Starszy brat przynosił jej czasem cukierki z miasteczka. Golił się przy kuchennym stole, przed lusterkiem opartym o lampę. Według niej był próżny. Miał wąsy i dostawał listy od dziewcząt. Nie odpowiadał na nie nigdy, ale zostawiał je na widoku, by każdy mógł je przeczytać. Moja matka najwyraźniej miała mu to za złe. „Nie mam co do niego złudzeń - mówiła - niczym się szczególnie nie wyróżnia”. Obecnie mieszkał w New Westminster i pracował na promie. Drugi brat mieszkał z rodziną w Stanach. Przysyłali kartki na Boże Narodzenie i ona też posyłała im życzenia. Poza tym nie pisywali do siebie.

Nie znosiła młodszego brata. Czym jej się naraził? Jej odpowiedzi nie zadowalały mnie w pełni. Był zły, spasiony, okrutny. Tłusciuch bez serca. Karmił koty petardami. Raz związał i pokroił na kawałki ropuchę. Utopił kociątko matki, Mgiełkę, w krowim korycie, choć potem się tego wypierał. Kiedy indziej złapał matkę, skrępował ją w stodole i dręczył. Nie dręczył: torturował.

Nie dowiedziałam się jednak, w jaki sposób, bo matka poprzestawała na słowie „torturował”, które wypluwała jak krew. Pozostało mi więc wyobrazić

sobie, jak szarpie się, przywiązana do pala, gdy jej brat, gruby Indianin, skacze wkoło, wydając dzikie okrzyki. Ale w końcu ucieka, nieoskalpowana, bez poparzeń. Nie zrozumiałam, dlaczego mówiąc o tym, przybrała posępny wyraz twarzy, dlaczego przysłowie „torturował” jej głos załamywał się dziwnie. Wtedy jeszcze nie rozpoznawałam zniechęcenia, w jakie popadała na najdrobniejszą aluzję do seksu.

Jej matka umarła. Pojechała na operację, ale miała duże guzy w obu piersiach i zmarła. Na stole - słyszałam to wiele razy. Na stole operacyjnym. Gdy byłam młodsza, wyobrażałam ją sobie martwą, rozciągniętą na zwykłym stole wśród filizanek, keczupu i dżemu.

- Było ci smutno? - pytałam z nadzieją, a matka odpowiadała, że tak, naturalnie.

Ale nie rozwodziła się nad tym. Czekają ją istotne zmiany. Wkrótce skończyła szkołę, zdała egzaminy wstępne i wybierała się do liceum w miasteczku. Ojciec nie zgodził się na to jednak, kazał jej zostać w domu i zajmować się gospodarstwem, dopóki nie wyjdzie za mąż. („Na Boga, kto by chciał męża - krzyczała ze złością, przywołując to wspomnienie - w zabitej dziurze, gdzie wszyscy mają zeza, bo spółkują z krewnymi!”) Po przygnębiających dwóch latach spędzonych w domu, gdzie uczyła się trochę samodzielnie ze starych podręczników matki (która była nauczycielką, dopóki nie wyszła za mąż i bez reszty oddała się wierze), uciekła do odległego o dziewięć mil miasteczka, na każdy odgłos końskich kopyt chowając się w przydrożnych zaroślach - ze strachu, że gonią ją starą furą, żeby ją zabrać z powrotem. Zastukała do drzwi pensjonatu, którego właścicielce sprzedawała jajka, i poprosiła o zakwaterowanie z wyżywieniem w zamian za pomoc w kuchni i podawanie do stołu. Właścicielka - nieprzebierająca w słowach miła staruszka, nazywana przez wszystkich Babcią Seeley - przez pewien czas ukrywała ją przed ojcem, a nawet podarowała jej za długą plisowaną sukienkę z szorstkiej wełny. Matka miała ją na sobie pierwszego dnia w szkole, kiedy przed całą klasą - starszą od niej o dwa lata - czytała po łacinie, wymawiając słowa tak, jak nauczyła się ich sama, w domu. Oczywiście została wyśmiana.

Wspominając to, matka zawsze, ale to zawsze była przejęta i drażliwa,

zafascynowana swoim dawnym, młodym ja. Jeśli jest możliwy stan odarcia ze wszystkiego, z pozorów czy formy, moment poniżenia, gdy człowiek doznaje ekstatycznej pełni, to ona doświadczała go właśnie wtedy. Dopiero kiedy uznała to za swoją słabość, zmieniła się w niedorzeczną istotę bez skazy.

Zamieszkanie w pensjonacie rozpoczęło całkiem nowy rozdział w życiu matki. Wstawiała bladym świtem i obierała warzywa, które zostawiała w zimnej wodzie do obiadu w południe. Myła nocniki i posypywała je talkiem. W miasteczku nie było klozetów ze spłuczką. „Myłam nocniki, żeby zdobyć wiedzę!” - mówiła, nie zastanawiając się, kto jej słucha. Ale używali ich mili ludzie. Urzędnicy bankowi. Telegrafista ze stacji. Nauczycielka, panna Rush. Panna Rush nauczyła matkę szycia i podarowała jej kilka kłębków wełny z merynosów na sukienkę, żółtą chustę z frędzlami („Co też się z nią stało?” - powtarzała matka z żalem i irytacją) i wodę kolońską. Matka uwielbiała pannę Rush. Sprzątając jej pokój, zbierała włosy z jej grzebienia, a kiedy zgromadziła ich wystarczająco dużo, zrobiła z nich kosmyk, zawiesiła go na tasiemce i nosiła na szyi. Tak bardzo ją kochała. Panna Rush nauczyła ją czytać nuty i grać na swoim pianinie, które stało w salonie Babci Seeley, znane sobie piosenki, choć sama nie grywała ich prawie wcale. Zdrowie me pij tylko oczętami swymi, Harfę, co dźwięczała niegdyś w domu Tary i Bonnie Mary z Argyle.

A co stało się z panną Rush, z jej urodą, robótkami i grą na pianinie? Wysła za mąż, dość późno, i zmarła podczas porodu. Dziecko też umarło i leżało w jej ramionach jak woskowa lalka, w długiej sukni. Matka widziała to na własne oczy.

Jeżeli chodzi o mnie, to te historie z przeszłości mogłyby ciągnąć się tak w kółko, aż do śmierci.

Któregoś letniego poranka Babcia Seeley została znaleziona martwa w łóżku. Było to niedługo po tym, jak matka ukończyła czteroletni ogólniak i babcia Seeley obiecała jej pieniądze na naukę w studium nauczycielskim. Matka miała zwrócić pożyczkę, kiedy zostanie nauczycielką. Poświadczający to papier przepadł i nigdy go nie znaleziono. A raczej, według matki, znaleźli go siostrzeniec Babci Seeley i jego żona, którym dostał się jej dom i majątek.

Pewnie go podarli. Świat jest pełen takich ludzi.

Matka musiała więc iść do pracy. Zatrudniła się w dużym sklepie w Owen Sound, gdzie wkrótce została kierowniczką działu pasmanteryjnego. Zaręczyła się z pewnym chłopcem, który jednak pozostał w cieniu, bo mimo że z pewnością nie był pospolitym draniem jak jej brat czy siostrzeniec Babci Seeley, to jednak nie potrafił jej olśnić i nie budził w niej gorących uczuć jak panna Rush. Z tajemniczych przyczyn była zmuszona zerwać zaręczyny. („Okazało się, że nie jest takim człowiekiem, za jakiego go uważałam”.) Potem - nie powiedziała kiedy - poznała ojca, który najwyraźniej okazał się taki, za jakiego go uważała, bo wyszła za niego, choć przysięgała sobie, że nigdy nie wyjdzie za farmera (hodował lisy i miał nadzieję, że przyniesie mu to wielkie zyski; co w tym szczególnego?), a jego rodzice już wtedy zaczęli robić niemiłe uwagi pod jej adresem.

- Przecież się w nim zakochałaś - przypominałam jej surowo, niepewnie, licząc, że rozstrzygnie to kwestię na zawsze. - Zakochałaś się.

- Ależ naturalnie.

- Dlaczego się zakochałaś?

- Twój ojciec zawsze był dżentelmenem.

I tyle? Nie mogłam pogodzić się z faktem, że wystarczyło jej coś tak błahego, ale też nie wiedziałam, czego brakuje, co jest nie tak. Jej opowieść mówiła najpierw o srogiej niewoli i cierpieniu, później o odwadze, buncie i ucieczce. O walce, rozczarowaniu, znów walce, o ludziach wielkiego serca i nikczemnych łotrach. Liczyłam, że - jak każdą wiekopomną historię - zwieńczy ją olśnienie, nagroda, spełnienie. Małżeństwo z ojcem? Sądziłam, że taki będzie koniec. Pragnęłam całym sercem, by matka nie pozostawiła mi co do tego żadnych wątpliwości.

Gdy byłam młodsza, kiedy mieszkaliśmy na końcu Drogi na Moczary, nieraz patrzyłam, jak przechodzi przez podwórko, by wylać pomyje. Unosiła miednicę wysoko jak kapłanka, szła wolno, dostojnie, i wylewała pomyje za płot jednym wielkopańskim gestem. Wydawała mi się wtedy potężna i władcza, ale też zadowolona z życia.

Nadal miała władzę, choć już nie tak wielką, jak pewnie sądziła. I wcale nie cieszyła się życiem. Przestała również być kapłanką. Przerażliwie burczało jej w żołądku, którego komunikaty obśmiewała bądź lekceważyła, a które mnie wprawiały w straszne zażenowanie. Włosy odrastały jej w niesfornych siwobrazowych gęstych kępkach, a każda trwała ondulacja zmieniała je w zapieczone loczki. Czyżby wszystkie jej historie zmierzały do tej jednej puenty, do bycia po prostu moją matką w Jubilee?

Pewnego dnia przyszła do mojej szkoły, jako przedstawicielka firmy handlującej encyklopediami, by wręczyć nagrodę za najlepsze wypracowanie na temat „Dlaczego należy kupować obligacje wojenne”. Musiała w tym celu odwiedzić szkoły w Porterfield, Błękitnej Rzece i Stirling - był to dla niej ważny tydzień. Miała na sobie koszmary granatowy garnitur w męskim stylu, z jednym guzikiem w talii, i swoje najlepsze nakrycie głowy - rdzawoczerwony filcowy kapelusz, na którym ze zgrozą spostrzegłam drobinę kurzu. Wygłosiła krótkie przemówienie. Wbiłam wzrok w sweter dziewczyny siedzącej w ławce przede mną - bladoniebieski, lekko zmechacony - tak jakby to trywialne zajęcie mogło ocalić mnie przed spaleniem się ze wstydu. Ubrana w odświętny kapelusz, matka zachowywała się inaczej niż zwykle, była ożywiona, tryskała optymizmem i szczerością, dowcipkowała, przekonana, że wzbudza podziw i zachwyt. Za parę centów najpewniej dorzuciłaby do przemowy własną pouczającą opowieść o życiu kilka mil od miasteczka i nocnikach. Czy poza mną ktoś jeszcze miał taką rodzicielkę? Dzieci rzucały mi przebiegłe, triumfalne i pogardliwe spojrzenia. Raptem poczułam, że jej nie cierpię, nie cierpię tonu jej głosu, pospiesznego zuchwałego chodu, nieznośnie popędliwych gestów (w każdej chwili mogła strącić kałamarz z biurka dyrektorki), a przede wszystkim niewinności, nieświadomości, że jest obiektem kpiny, przeświadczenia, że uchodzi jej to płazem.

Nie cierpiałam tego jej handlu encyklopediami, przemów i kapelusza. Nie

znosiłam jej za pisanie listów do gazet. Listy o problemach lokalnych i te, w których propagowała edukację i prawa kobiet, sprzeciwiając się nauce religii w szkołach, ukazywały się w wydawanym w Jubilee „Herald-Advance”, opatrzone jej prawdziwym nazwiskiem. Inne, które pojawiały się w miejskim dzienniku, na stronie z korespondencją kobiecą, podpisywała pseudonimem literackim Księżniczka Ida, na cześć bohaterki poematu Tennysona, którego podziwiała. Były one pełne długich kwiecistych opisów wsi, z której udało jej się wyrwać („Dziś rano zachwyca oczy wspaniały srebrny szron na gałązkach i kablach telefonicznych, przeobraża świat w iście bajkową krainę...”), i zawierały nawet odniesienia do Owena i mnie („Moja córka, która wkrótce przestanie być dzieckiem, zapomina o nowo odkrytej godności, baraszkuje w śniegu”), od których bolały mnie ze wstydu zęby. Wszyscy, z wyjątkiem ciotki Elspeth i cioci Grace, mówili: „Widzieliśmy w gazecie ten list twojej mamy”, a ja czułam całą pogardę, wyższość, niemotę i zawiść tych ludzi, którzy nieraz pędzili całe życie w beczynności, bez potrzeby zrobienia czy choćby powiedzenia czegoś istotnego.

Sama niewiele różniłam się od matki, ale ukrywałam to skrzętnie, świadoma związanych z tym zagrożeń.

Drugiej zimy odkąd zamieszkaliśmy w Jubilee, odwiedzili nas goście. Było sobotnie popołudnie, a ja odśnieżałam chodnik przed domem. Zobaczyłam wielki samochód sunący wśród zasp niemal bezgłośnie, jak wyniosła ryba. Z amerykańską rejestracją. Pomyślałam, że pewnie ktoś się zgubił. Ludzie nieraz dojeżdżali do samego końca Rzecznej - przy której nikomu nie chciało się postawić ostrzeżenia „Ślepy zaułek” - i docierając pod nasz dom, bezradnie rozkładali ręce.

Z auta wysiadł nieznajomy. Mimo mrozu ubrany w płaszcz, szary pilśniowy kapelusz i jedwabny szalik. Wysoki i tęgi, miał twarz pełną smutku, dumną, zapadniętą. Niepokojąco wyciągnął do mnie ręce.

- No chodź, przywitaj się ze mną! Wiem, jak się nazywasz, ale ty na pewno nie wiesz, kim jestem!

Podszedł do mnie - zamarłej w bezruchu z łopatą w rękę - i pocałował mnie w policzek. Poczułam słodkawokwaśny męski zapach, mieszanek woni płynu

po goleniu, nieświeżego oddechu, czystej wykrochmalonej koszuli i jakiegoś groźnego ohydztwa.

- Twoja mamusia to Addie Morrison, nie?

Od dawna nikt nie nazywał matki Addie. W zdrobieniu tym jej imię zabrzmiało inaczej - mniej kanciasto, bardziej staroświecko, prościej.

- Twoja mama to Addie, ty jesteś Della, a ja jestem wujkiem Billem Morrisonem. To właśnie ja. Ejże, ja dałem ci całusa, a ty mnie nie. Takie macie tutaj obyczaje?

Prawie w tej samej chwili z domu wyszła matka ze świeżą, niestarannie nałożoną warstwą szminki na ustach.

- Oj, Bill, nie można wcześniej dać znać, że się przyjeżdża? Nie szkodzi, miło cię widzieć.

Powiedziała to trochę ostro, jakby dowodząc swoich racji.

A więc naprawdę był to jej brat, Amerykanin, mój rodzony wujek.

- Możesz wysiąść - rzekł, odwracając się w stronę samochodu. - Nic ci tu nie grozi.

Otworzyły się drzwi z drugiej strony auta i - wolno, ostrożnie przytrzymując kapelusz - wysiadła z niego jakaś wysoka pani. Kapelusz, wysoko zadarty z boku głowy, przez sterczące zielone pióra wydawał się jeszcze większy. Pani miała na sobie długie do połowy

łydki futro ze srebrnych lisów, zieloną suknię i zielone pantofle na wysokim

obcasie - nie gumiaki.

- To ciotka Nil - przedstawił mi ją wujek Bill, jakby była głuchoniema albo nie znała angielskiego, tak jakby stanowiła niezwykle element krajobrazu, który należy zidentyfikować. - Nie znacie się. My już się widzieliśmy, ale byłaś wtedy mała, więc nie pamiętasz. Kiedy się poznaliśmy, moją żoną była ciotka Callie, a teraz moją żoną jest Nil. Poznałem ją w sierpniu, a poślubiłem we wrześniu.

Nie zdążyłam uprzątnąć całego chodnika. Ciotka Nil potknęła się na obcasach i jęknęła, czując śnieg w pantoflu. Zajęczała żałośnie jak dziecko.

- O mało nie skręciłam kostki - zwróciła się do wujka Billa, jakby byli sami.

- Już niedaleko - odparł zachęcającym tonem, wziął ją pod rękę i pomógł jej przejść pod sam dom, a później po schodach i przez werandę, niczym chińskiej damie (właśnie czytałam Łaskawą ziemię, wypożyczoną z miejskiej biblioteki), dla której chodzenie to czynność rzadka i nienaturalna. Nie zamieniwszy z Nil jednego słowa na powitanie, matka i ja ruszyliśmy za nimi.

- Zapraszam! - powiedziała matka dopiero w ciemnym korytarzu.

Wujek Bill odebrał od Nil futro i kazał mi powiesić je osobno, z dala od innych ubrań.

- Broń Boże przy jakichś kufajkach!

- Powinnaś obejrzeć naszą hodowlę, zobaczyłabyś, jak wyglądają na żywo - powiedziała do Nil matka, dotykając futra.

Zabrzmiało to żartobliwie i nienaturalnie.

- Chodzi jej o lisy, jak te, z których masz futro - wyjaśnił Nil wujek i zwrócił się do nas: - Pewnie dotąd nie wiedziała, że zostało zdarte ze zwierzęcia. Myślała, że wyprodukowano je od razu w sklepie!

Tymczasem Nil sprawiała wrażenie zdumionej i nieszczęśliwej, jak ktoś, kto w życiu nie słyszał o zagranicy i raptem znalazł się mimowolnie w obcym kraju, gdzie wszyscy używają jakiegoś niepojętego języka. Zdolność przystosowywania się najwyraźniej nie była jej atutem. Zresztą i tak nie pasowałyby do tej chodzącej doskonałości. Nil była doskonała i młodsza, niż sądziłam z początku. Dałabym jej najwyżej dwadzieścia dwa, trzy lata. Jej nieskazitelna cera przywodziła na myśl różową filiżankę, a usta wyglądały jak wycięte z bordowego aksamitu i przyklejone do twarzy. Pachniała nieludzko słodko, a jej paznokcie - co poraziło mnie, wprawiło w zachwyt i lekki niepokój, że może trochę przesadziła - były pomalowane na zielono, dopasowane do stroju.

- To bardzo eleganckie futro - rzekła z przesadną godnością matka.

Wujek Bill spojrział na nią smętnie.

- Twój mąż nigdy nie zarobi na tym interesie, Addie. Wszystkim kierują Żydzi. Masz może w domu kawę? Dałabyś mi i żonce na rozgrzewkę!

Szkopuł w tym, że nie mieliśmy prawdziwej kawy. Matka i Fern Dogherty pijały herbatę, która była tańsza, a rano wszyscy piliśmy kawę zbożową. Matka poprowadziła towarzystwo do jadalni, a kiedy Nil usiadła, zaproponowała:

- Nie mielibyście ochoty na gorącą herbatę? Niestety, kawa już mi się skończyła.

Wujek Bill nie przejął się tym szczególnie. Odpowiedział, że nie chcą herbaty, ale skoro nie ma kawy, to ją kupi.

- W miasteczku jest sklep spożywczy, prawda? - zwrócił się do mnie. - Na pewno nie jeden. To całkiem spora miejscina, widziałem, że są nawet latarnie. Pojedziesz ze mną. Kupimy coś na ząb, a szwagierki zostawimy, niech się zapoznają.

I pojechaliśmy tym wielkim kremowo-czekoladowym, pachnącym nowością samochodem - najpierw Rzeczną, a potem do końca Kamieniarskiej i na główną ulicę Jubilee. Stanęliśmy pod sklepem Czerwony Front, za saniami zaprzęzonymi w konia.

- To sklep spożywczy? - zapytał wujek.

Nie odpowiedziałam jednoznacznie z obawy, że może nie znaleźć w sklepie tego, co chciałby kupić.

- Mama robi tu sprawunki?

- Czasem.

- Więc pewnie i dla nas będzie dobry.

Widziane przez okno auta, koń, sanie wyładowane workami obroku, sklep Czerwony Front i cała ulica wyglądały inaczej niż zwykle. Jubilee nie wydawało się wyjątkowe i stałe jak dotąd, lecz dziwnie prowizoryczne i nędzne, wprost żałosne.

W sklepie, jako pierwszym w miasteczku, wprowadzono niedawno samoobsługę. Wózki nie mieściły się w wąskich przejściach, ale można było chodzić z koszykiem. Wujkowi Billowi zależało na wózku, więc spytał, czy w miasteczku jest sklep, w którym się ich używa. Gdy okazało się, że nie ma, zaczął chodzić między półkami w tę i z powrotem, głośno wykrzykując nazwy produktów. Zachowywał się tak, jakby poza nim w sklepie nie było

nikogo, jakby ekspedientki ożywały tylko po to, by mu służyć, tak jakby sklep w ogóle nie istniał, tylko został powołany na tę chwilę, specjalnie na jego życzenie.

Wujek Bill kupił kawę, owoce i jarzyny w puszkach, ser, daktyle, figi, budynie w proszku, różne makarony, kakao oraz puszki sardynek i ostryg.

- Lubisz je? - pytał za każdym razem. - Smakuje ci to? Lubisz rodzynki? Lubisz płatki kukurydziane? Lubisz lody? Gdzież oni mają te lody? Który smak ci odpowiada? Czekoladowe? Czekoladowe lubisz najbardziej?

W końcu bałam się spojrzeć na cokolwiek, żeby przypadkiem tego nie kupić.

Przystanął przed wystawą sklepu kolonialnego, gdzie stały pojemniki cukierków

sprzedawanych luzem.

- Założę się, że lubisz cukierki. Na jakie masz ochotę? Z lukrecją? Galaretki owocowe? Prażone orzeszki w cukrze? Weźmy mieszankę, po trochę z każdego rodzaju. Będzie ci się chciało pić od tyłu słodczy, prawda? Poszukajmy jeszcze lemoniady.

I wcale się na tym nie skończyło.

- Macie tu piekarnię? - spytał.

Zaprowadziłam go do piekarni McArtera, gdzie kupił po dwa tuziny maślanych tartaletek i bułeczek z orzechami polanych lukrem oraz kawałek tortu kokosowego grubości pół stopy. Czuję się jak w bajce dla dzieci, którą miałam w domu; w której spełniają się życzenia dziewczynki - przez tydzień, po jednym dziennie - zmieniając jej życie w koszmar. Raz zapragnęła, na przykład, wszystkich ulubionych potraw. Ten fragment książki szczególnie przypadł mi do gustu i w kółko czytałam opis smakołyków dla czystej

przyjemności, ignorując kary, jakie wkrótce spotkały bohaterkę za sprawą nadprzyrodzonej mocy, czyhajęcej na podobnych jej obżartuchów. Ale dzięki tej lekturze zrozumiałam, że co za dużo, to niezdrowo. Niedorzeczna hojność wujka Billa, który podkopał powszechnie przyjęty system nagród i kar, onieśmieliła chyba nawet Owena.

- Jesteś jak czarodziej - powiedziałam do wujka.

Miało to zabrzmieć dorośle, nieco ironicznie. Ale w ten egzaltowany sposób chciałam też wyrazić wdzięczność, której w swoim przekonaniu nie odczuwałam jak należy. Wujek Bill odebrał jednak moje słowa jako dziecinadę i nie omieszkał powtórzyć ich matce, gdy wróciliśmy do domu.

- Mówi, że jestem czarodziejem, a ja musiałem płacić żywą gotówką!

- Nie wiem, co z tym wszystkim zrobię, Bill. Część będziesz musiał zabrać.

- Nie przyjechaliśmy tu aż z Ohio po sprawunki! Zostaw sobie, schowaj. Nam to niepotrzebne. Bylebym dostał na deser lody czekoladowe, nic innego nie chcę. Uwielbiam

słodycze, i kropka. Ale trochę schudłem, wiesz? Od zeszłego lata zgubiłem trzydzieści funtów.

- Cóż, do chudeusza jeszcze ci daleko.

Matka zdjęła ze stołu obrus z wczorajszymi plamami po herbacie i keczupie i rozłożyła świeży, najlepszy z jej prezentów ślubnych, przywieziony z Madery.

- Wiesz, że jako dziecko byłem mizerakiem. Jak miałem dwa lata, o mało nie umarłem na zapalenie płuc. Mama wyciągnęła mnie z tego i zaczęła mnie

karmić. Długo nie uprawiałem żadnego sportu i przytyło mi się.

- Mama - podjęła matka tonem ponurej emfazy. - Chodząca świętość. Szkoda, że Nil jej nie poznała.

Rzuciła Nil lękliwe spojrzenie (czyżby szwagierki poznały się już trochę?), ale nie powiedziała, czy wyszłoby jej to na dobre.

- Wolisz talerz z ptaszkami czy z kwiatami? - zapytałam Nil z nadzieją, że wreszcie się odezwie.

- Obojętne - odparła słabo, patrząc na swoje zielone paznokcie jak na amulet, który każe jej u nas zostać.

Matce nie było to obojętne.

- Talerze muszą pasować do obrusa, nie jesteśmy tak biedni, żeby nie mieć serwisu!

- Nosisz zieleń Nilu, bo tak masz na imię? - spytałam, nadal próbując zachęcić ją do rozmowy. - Ten kolor to zieleń Nilu, prawda?

Czułam, że jest kretynką, a jednak wzbudzała mój szaleńczy podziw. Cieszyło mnie najdrobniejsze z bezbarwnych słów, które rzucała mi jak kamyki. Osiągnęła szczyt kobiecego przepychu, doskonałej sztuczności, o której istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Ujrzawszy ją,

zrozumiałam, że nigdy nie będę piękna.

- To czysta koincydencja, że mam na imię Nil. (O ile dobrze pamiętam, wymówiła to jako „koncydencja”). Był to mój ulubiony kolor, jeszcze zanim

usłyszałam, że nazywa się zieleń Nilu.

- Nie wiedziałam, że można kupić zielony lakier do paznokci.

- Trzeba go zamówić.

- Mama liczyła, że zostaniemy na farmie, tak jak byliśmy chowani - odezwał się wujek Bill, podążając za własną myślą.

- Nikomu nie życzyłabym życia na takiej farmie. Nawet chwasty nie chcą tutaj rosnąć.

- Aspekt materialny nie jest najważniejszy, Addie. Tylko bliskość przyrody, natury. Bez tego wszystkiego, no wiesz, pośpiechu, rzeczy, które nam nie służą, pozycji społecznej, odwracania się od wiary... Mama uważała to za godne życie.

- A cóż ty się tak zachwycasz tą naturą? Natura to jedno wielkie polowanie. Natura to straszliwe okrucieństwo i ofiary, co prawda z ludzkiej perspektywy, ale to niczego nie zmienia. Natura zasadza się na okrucieństwie.

- Nie to mam na myśli, Addie. Nie chodzi mi o dzikie zwierzęta i tak dalej. Mam na myśli takie życie, jakie wiedliśmy w domu, gdzie może i nie było wygod, ale żyło się prosto. Cieszyliśmy się ciężką pracą i świeżym powietrzem i mieliśmy w mamie wzór prawdziwej duchowości. Umarła młodo, Addie. Umierała w cierpieniu.

- Ściśle rzecz ujmując, pod narkozą - odrzekła matka. - Spodziewam się więc, że bez bólu.

Przy kolacji powiedziała wujkowi Billowi, że sprzedaje encyklopedie.

- Zeszłej jesieni sprzedawałam trzy zestawy - pochwaliła się, choć w istocie sprzedawała

tylko jeden i dotąd pracowała nad dwiema obiecującymi transakcjami. - Ludziom na wsi nie brak teraz pieniędzy. Wiesz, ze względu na wojnę.

- Nie zarobisz na pokątnym handlu - stwierdził wujek, który pochylał się nisko nad talerzem i jadł wolno jak starzec. Wyglądał staro. - Zaraz, co sprzedajesz?

- Encyklopedie. Książki. To przepiękny zestaw. Kiedy byłam mała, dałabym sobie obciąć rękę, byle tylko mieć w domu taki zestaw książek.

Dotąd słyszałam to wyznanie co najmniej piętnaście razy.

- Masz wykształcenie. Mnie nie było dane, ale i tak poradziłem sobie w życiu. Nie sprzedasz książek farmerom. Są na to za cwani. Mają węża w kieszeni. Na takich rzeczach nie można się dorobić. Pieniądz tkwi w nieruchomościach. W nieruchomościach, w inwestycjach, o ile ma się do tego smykałkę.

Rozpoczął długą opowieść o nabywaniu i sprzedaży domów, co chwila wycofując się z raz wypowiedzianej myśli i poprawiając się w kółko. Zakup, sprzedaż, zakup, budowanie, plotki, groźby, ryzykowne posunięcia, bezpieczeństwo. Nil nie słuchała go w ogóle, tylko - jak małe dziecko - przesuwając po talerzu kolbę kukurydzy z puszki, wydziobując widelcem ziarenka pojedynczo, co nie usłoby płazem nawet Owenowi. Owen też się nie odzywał. Jadł z gumą przyklejoną do kciuka, lecz matka tego nie spostrzegła. Fern Dogherty nie było w domu. Poszła odwiedzić matkę w szpitalu. Moja rodzicielka słuchała brata z miną pełną dezaprobaty i udawanego przejęcia.

Brata! Nie potrafiłam uporać się z tym faktem żadną miarą. Cały ten wujek

Bill był bratem mojej matki, koszmarnym tłuściochem, zaprawionym w okrucieństwie, przebiegłym, byстрыm, złym, budzącym postrach. Zerkałam na niego, próbując wydobyć tamtego chłopca z tego mężczyzny o żółtawej cerze. Ale nie udawało mi się go w nim znaleźć. Przepadł, zduszony jak mały nakrapiany wąż, kiedyś jadowity i żwawy, zakopany w torbie pełnej sprawunków.

- Pamiętasz, jak gąsienice obłaziły mlecze? - spytał.

- Gąsienice? - odparła niedowierzająco matka.

Wstała od stołu i po chwili wróciła z miotełką i szufelką z mosiężnymi uchwytami - kolejnym prezentem ślubnym - po czym zabrała się do zmiatania okruchów z obrusa.

- Obłaziły mlecze na jesieni. Ubóstwiają mleczko, no wiesz, ten sok w środku. Opijają się nim, obrastają tłuszczem, robią się senne i otaczają się kokonem. Znalazła jedną na mleczu i przyniosła do domu...

- Kto taki?

- Mama, Addie. Komu innemu by się chciało? Ciebie nie było jeszcze na świecie. Znalazła gąsienicę, wzięła ją do domu i położyła nad drzwiami, żebym nie mógł dosięgnąć. Pewno i tak bym jej nie skrzywdził, no ale wiesz, z chłopcami bywa różnie. Otoczyła się kokonem i została do końca zimy. Zapomniałem, że tam jest. I raz, jak siedzieliśmy wszyscy po wielkanocnym obiedzie... Niby Niedziela Wielkanocna, a za oknami zamieć... Mama mówi: „Spójrzcie!”. „Patrzcie”, mówi, więc popatrzyliśmy, a tam, nad framugą drzwi, coś się nieśmiało porusza. Grzebało się to w kokonie i rozciągało go od środka, męczyło się, poddawało i zaczynało od nowa. Trwało to dobre pół godziny, a może i czterdzieści minut, a my przyglądaliśmy się jak zaczarowani. Wtem zobaczyliśmy, jak wychodzi motyl! Kokon puścił w końcu, spadł z niego jak stara szmata. Motyl był żółty, w drobne cętki. Miał nawoskowane skrzydła, tak że nie uniósł ich od razu, musiał się trochę

postarać. Szamocze się. Najpierw otwiera jedno, trzepoce nim. Później drugie. Leci. Mama mówi: „Przyjrzyjcie się i żebyście mi nie zapomnieli, co widzieliście w Wielkanoc”. Kazała zapamiętać i nigdy nie zapomniałem.

- Co się z nim stało? - zapytała matka obojętnie.

- Nie pamiętam. Raczej nie pożył długo przy tych chłodach. Ale to było ciekawe, patrzeć, jak rozpościera jedno skrzydło, potem drugie. Jak wzbija się w górę, używa tych skrzydełek po raz pierwszy w życiu... - Wujek roześmiał się, przepraszająco, pierwszy i ostatni raz w naszej obecności.

Po chwili przybrał znużony, jakby rozczarowany wyraz twarzy - i założył ręce na

brzuchu, z którego dochodziły dostojne, solenne odgłosy trawienia.

Działo się to w tym samym domu. W domu, w którym moja rodzicielka zastawała wygasłe palenisko i swoją matkę w modłach i gdzie popiła ogórki mlekiem z nadzieją, że w ten sposób trafi do Nieba.

Wujek Bill i Nil zostali u nas na noc. Spali w salonie, na kanapie, która po rozłożeniu zmieniała się w łóżko. Długie, wyperfumowane i polakierowane kończyny Nil leżały dziwnie blisko znużonego ciała wujka, jego woni. Nie wyobrażałam sobie, co jeszcze mogliby ze sobą robić, bo wydawało mi się, że lekkie spocone igraszki są przypisane dzieciństwu, a myśl, że przyzwoici dorośli łączą się nie tylko po to, aby stworzyć dziecko, przechodziła moje wyobrażenie.

Wyjechali w niedzielę, zaraz po śniadaniu, i nie zobaczyłam ich już nigdy więcej.

Kilka dni później matka oznajmiła mi krzykiem:

- Wujek Bill jest umierający!

Było to tuż przed kolacją; przyrządzała kielbaski. Fern była jeszcze w pracy. Owen, który właśnie wrócił z treningu, cisnął w korytarzu kij hokejowy i łyżwy. Matka smażyła kielbaski, dopóki ich skórka nie zrobiła się twarda, błyszcząca i bardzo ciemna - jadałam tylko takie.

- Jest umierający. Siedział tu w sobotę rano, gdy zeszłam, by nastawić czajnik. Powiedział, że ma raka.

Przewracała kielbaski widelcem, równocześnie rozwiązując krzyżówkę wyrwaną z gazety, która leżała na blacie obok kuchenki. Rozwiązała ją do połowy. Przypomniało mi się, jak pojechałam z wujkiem Billem do śródmieścia i jak kupowaliśmy maślane tartaletki, lody czekoladowe i tort, jak wróciliśmy do domu i jedliśmy. Jak to możliwe?...

- Zawsze miał apetyt, którego, jak widać, nie osłabiła nawet perspektywa śmierci - rzekła matka, jakby podążając za moimi myślami. - Może gdyby jadał mniej, dożyłby

późnego wieku, nie wiadomo.

- Nil wie?

- A czy to ważne? Wyszła za niego wyłącznie dla majątku. Będzie bogata.

- Wciąż go nienawidzisz?

- Nic podobnego - odparła prędko i powściągliwie.

Spojrzałam na krzesło, na którym siedział. Ogarnął mnie lęk, że się zarazę.
Nie rakiem, a śmiercią.

- Powiedział, że zapisał mi trzysta dolarów.

Aha, wobec tego należy skupić się na doczesności, pomyślałam.

- Na co je wydasz?

- Na pewno w stosownej chwili coś przyjdzie mi do głowy.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła Fern.

- Mogłabym na przykład zamówić pudło Biblii.

Tuż przed wejściem Fern, jednymi drzwiami, i Owena, drugimi, kuchnię rozświetlił rażący poblask jakby skrzydła czy noża, poczucie nieznośnego bólu, gwałtowne i abstrakcyjne, znikające.

- Bóg egipski na pięć liter - matka zmarszczyła brwi nad krzyżówką. - No przecież wiem, wiem to doskonale, a nie pamiętam, choćbyście mnie zabili!

- Izyda.

- Izyda to bogini, dziwne, że ty tego nie wiesz.

Wkrótce zaczęły topnieć śniegi. Wawanash wystąpiła z brzegów i porywała znaki drogowe, słupki płotów i kurniki. Gdy powódź cofnęła się i drogi stały się w miarę przejezdne, matka znów wybywała z domu w każde popołudnie. Jedna z krewnych ojca - nieistotne która - powiedziała: „Oj,

będzie jej brakowało tego pisania do gazet”.

Wiek wiary

Gdy mieszkaliśmy w domu na końcu Drogi na Moczary i zanim matka nauczyła się prowadzić samochód, chodziłyśmy razem do miasteczka, do odległego o milę Jubilee. Kiedy zamykała drzwi, musiałam biec do furki i sprawdzać, czy przypadkiem z którejś strony ktoś nie nadchodzi. Tylko kto mógł iść tą drogą, wyjąwszy mleczarza i wujka Benny'ego?

Gdy kręciłam głową na znak, że nikogo nie ma, matka chowała klucz pod drugim słupkiem werandy, gdzie drewno przegniło i powstała dziura.
Obawiała się włamywaczy.

Odwracając się plecami do mokradeł Grenoch, rzeki i kilku wzgórz w oddali, nagich i porośłych drzewami, które mimo znajomości geografii uważałam czasem za kraj świata, szłyśmy Drogą na Moczary. Z tej strony tworzyły ją dwie drogi dla samochodów, przedzielone bujnie rosnącymi plantanami i żeniszkiem. Nic więcej. Włamywacze pochłaniali mnie bez reszty. Widziałam ich jako czarnobiałych, o smutnych zawziętych twarzach, w eleganckich ubraniach. Wyobrażałam sobie, że czają się gdzieś niedaleko, na którymś z porośłych paprociami grząskich pól na skraju mokradeł, czekają, hodując w myśli szczegółowy obraz naszego domu i wszystkiego, co się w nim znajduje. Wiedzieli o złożonych filiżankach z uchwytem w kształcie motyli, o moim naszyjniku z koralami, który wydawał mi się brzydki i szorstki, ale nauczyłam się go cenić, bo ciotka Helen przysłała go aż z Australii, z podróży dookoła świata, o srebrnej bransolecie, którą ojciec kupił matce przed ślubem, o miłej dla oka czarnej misie z wymalowanymi postaciami Japończyków, którą dostali w prezencie ślubnym, i o zielonkawobiałym kałamarzu w formie grupy Laokoona, którym nagrodzono matkę za wyniki w nauce, gdy ukończyła liceum - wąż oplatał trzech mężczyzn tak sprytnie, że nigdy nie udało mi się zbadać, czy skrywa marmurowe genitalia. Rozumiałam, że włamywacze pożądamy tych skarbów, ale nie zrobią nic, dopóki nie sprowokujemy ich jakimś nieostrożnym ruchem. Ich chciwość i znajomość topografii domu tylko podnosiły wagę,

potwierdzały szczególny charakter każdego z tych przedmiotów. Nasz świat odbijał się w ich umysłach, nie miałam co do tego cienia wątpliwości.

Rzecz jasna później zaczęłam wątpić w istnienie włamywaczy, a już na pewno w ich zdolność działania w taki sposób. Znacznie bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że ich metody są nieprzemyślane, że mają mglistą wiedzę, że nie skupiają chciwości tylko na jednym, a ich relacja z nami jest całkowicie przypadkowa. Gdy moja wiara w nich osłabła, o wiele łatwiej było mi chodzić na mokradła brzegiem rzeki, choć z drugiej strony brakowało mi ich - i to długo.

Bóg nigdy nie jawił mi się tak wyraźnie i przejrzysto jak włamywacze. Matka wspominała o Nim dość niechętnie. Należeliśmy - przynajmniej ojciec i jego rodzina należeli - do wspólnoty parafialnej Jubilee, a mój brat Owen i ja zostaliśmy ochrzczeni jako niemowlęta, co świadczy o zdumiewającej słabości bądź wspaniałomyślności matki, która pewnie łagodniała po porodach i trochę też mieszało jej się w głowie.

Zjednoczony Kościół był najnowocześniejszym, największym i najlepiej prosperującym ze wszystkich kościołów w Jubilee. Przyjął do siebie metodystów, kongregacjonistów i sporą grupę presbiterian (do których należeli rodzice ojca) w okresie połączenia tych wyznań. W miasteczku mieliśmy jeszcze cztery kościoły. Małe, dość ubogie i - w porównaniu ze Zjednoczonym - bardzo radykalne. Najbardziej radykalny był Kościół katolicki. Jego budynek, cały biały, drewniany, z prostym krzyżem misyjnym, stał na wzgórzu na północnym krańcu Jubilee. Udzielano tam osobliwych posług katolikom, którzy przez swoich świętych, spowiedź i czarne plamy na czole w Środę Popielcową wydawali się dziwacznymi i tajemniczymi jak Hindusi. W szkole katolicy tworzyli niewielką, lecz nieustraszoną bandę, złożoną głównie z Irlandczyków, którzy zamiast na lekcjach religii siedzieli w piwnicy i walili w rury. Wydawane przez nich wrzaski nijak nie pasowały do tej zagadkowej, groźnej wiary. Ciotki ojca, stryjeczne babki, które mieszkały naprzeciwko kościoła katolickiego, nieraz dowcipkowały, że „warto by do niego wstąpić i się wyspowiadać”, ale i - pewne swojej racji - powtarzały, że katolicyzm to nie przelewki, tylko szkielety niemowląt, trupy uduszonych mniszek pod podłogą klasztorów, grubi księża, wytworne kochanki i papieże Murzyni. Twierdziły, że to najprawdziwsza prawda, że mają książki na ten

temat. Budynek kościoła odstawał od tego obrazu jak Irlandczycy w szkole. Czysty, zwyczajny, prozaiczny, bynajmniej nie kojarzył się z zepsuciem i występkiem.

Baptyści też byli radykalni, jednak w zupełnie nieszkodliwy, zabawny nieco sposób. Do kościoła baptystów nie uczęszczał nikt wpływowo czy z pozycją i każdy, nawet Pork Childs, który woził węgiel i zbierał śmieci w miasteczku, mógł zostać w nim ważną figurą, samym prezbitem. Baptystom nie wolno było tańczyć ani chodzić do kina. Baptystki nie mogły się malować. Ale za to mieli głośne hymny, żywiołowe i pełne optymizmu, i wbrew surowemu życiu, jakie wiedli, ich religię cechowała niespotykana w innych wyznaniach bezceremonialna radość. Ich kościół stał nieopodal domu, który wynajęliśmy potem przy Rzecznej. Był skromny, ale nowoczesny i szkaradny, zbudowany z szarych płyt cementowych, z witrażami z kolorowych szkiełek.

A jeśli chodzi o prezbiterian, to część z nich odmówiła przystąpienia do Zjednoczonego Kościoła Kanady. Byli to głównie starsi ludzie, którzy manifestowali przeciw uprawianiu w niedzielę hokeja i śpiewali psalmy.

O czwartym Kościele, anglikańskim, mało kto wiedział i rozmawiał. Nie miał on w Jubilee ani prestiżu, ani środków, którymi dysponował w innych miasteczkach dzięki pozostałościom Porozumienia Rodzin, czy też instytucjom wojskowym lub społecznym. Założycielami hrabstwa Wawanash i budowniczymi Jubilee byli szkoccy prezbiterianie, kongregacjoniści i metodyści z północy Anglii. Anglikanizm nie cieszył się więc takim wzięciem jak gdzie indziej, nie intrygował jak katolicyzm albo baptyzm, ani nawet nie nosił rysu prezbiteriańskiej zapiekłości. Ale kościół anglikański - jako jedyny w mieście - miał dzwon, co wydawało mi się urocze.

Ławki w budynku Zjednoczonego Kościoła, zrobione z połyskliwego złocistego dębu, rozstawiono tak, że tworzyły jakby wachlarz, z amboną i prezbiterium pośrodku. Nie było ołtarza, tylko organy o mocnej, sugestywnej formie. Witraże przedstawiały Chrystusa czyniącego pożyteczne cuda (z wyjątkiem przemienienia wody w wino), a także przypowieści. W Niedzielę Wspólnoty wino było rozdawane wiernym na tacach, w kubeczkach z grubego szkła - jak napój chłodzący. Właściwie nie wino, tylko sok z

winogron. W kościele tym (w wybrane niedziele) gromadzili się, ubrani w mundury, weterani z Królewskiego Legionu Kanadyjskiego, jak również członkowie Klubu Lions, trzymając w ręku nakrycia głowy z fioletowym chwostem. Patenę podawali lekarze, prawnicy, kupcy.

Rodzice chodzili do kościoła sporadycznie. Ubrany w garnitur, który nosił rzadko, ojciec miał minę nabożną, ale i powściągliwą. Podczas modlitwy wspierał łokieć na kolanie, podtrzymując czoło ręką, i przymykał oczy - z uprzejmym, acz pobłażliwym wyrazem twarzy. Matka natomiast nie przymykała oczu nawet na sekundę i prawie nie pochylała głowy. Siedząc, rozglądała się wokół, ostrożnie, ale bez skrepowania, jak antropolog, który zgłębia zwyczaje prymitywnego plemienia. Kazania słuchała sztywno wyprostowana, czujna, sceptycznie zagryzając uszminkowane usta - a ja bałam się, że podskoczy z miejsca, aby coś zakwestionować. Ostentacyjnie nie śpiewała hymnów.

Kiedy wynajęliśmy dom w miasteczku, mieliśmy lokatorkę, Fern Dogherty, która śpiewała w chórze Zjednoczonego Kościoła. Chodziłam z nią do kościoła i siedziałam sama jako jedyny członek naszej rodziny. Ciotki ojca mieszkały na drugim końcu miasteczka i rzadko uczęszczały do kościoła z uwagi na odległość, ale msze i tak były nadawane przez miejscową rozgłośnię radiową.

Dlaczego to robiłam? Po pierwsze, na złość matce, chociaż nie sprzeciwiała się temu specjalnie. Po drugie, by zwrócić na siebie uwagę. Wyobrażałam sobie, jak ludzie patrzą na mnie, a potem komentują: „Widziałaś małą Jordanównę? Zawsze sama, niedziela za niedzielą!”. Liczyłam, że skoro matka jest znana z niedowiarstwa, moja pobożność i wytrwałość zaintryguje i poruszy ludzi. Czasami traktowałam mieszkańców Jubilee jak swoją wielką widownię, poniekąd chyba słusznie - dla każdej z mieszkających tam osób reszta była publicznością.

Jednak drugiej zimy odkąd zamieszkaliśmy w miasteczku, czyli gdy skończyłam dwanaście lat, moje pobudki zmieniły się i skryzalizowały. Zapraǳnęłam rozstrzygnąć w sobie kwestię Boga. Czytając książki o średniowieczu, coraz bardziej interesowałam się pojęciem wiary. Dotąd uważałam istnienie Boga za prawdopodobne, lecz teraz ogarnęła mnie

przemozna chęć zbliżenia się do Niego. Stał się koniecznością. Chciałam zapewnienia, dowodu, że istnieje naprawdę. Dlatego też chodziłam do kościoła, ale nie mogłam nikomu o tym wspomnieć.

W wietrzne deszczowe niedziele, w niedziele śnieżne, a nawet w niedziele, gdy bolało gardło, przychodziłam do kościoła przepełniona niewysłowioną nadzieją, że Bóg objawi się - przynajmniej mnie - jako kopuła światła, promienny krąg nad współczesnymi ławkami, jasny i niepodważalny, że nagle rozkwitnie pod organami niczym kępa lilii. Czułam, że muszę być ogromnie wstrzemięźliwa w tej nadziei, bo zdradzenie jej nieopanowanym tonem, słowem albo gestem byłoby równie nietaktowne jak puszczenie bąka. Podczas pierwszej, skupionej głównie na Bogu części mszy (która zwykle obejmowała kilka obszarów tematycznych) najbardziej zauważalna w twarzach ludzi była pewna skromność, umiar, przeciw któremu matka buntowała się gniewnym badawczym spojrzeniem, jakby zaraz miała kogoś obsztorcować i upomnieć się o swoje racje.

W kościele nigdy nie podnoszono kwestii istnienia Boga. Zajmowano się tylko tym, co aprobuje, a właściwie, na co nie przyzwala. Po modlitwie dziękczynnej następowało poruszenie, przyjemne wyzwolenie napięcia, tak jakby wszyscy ziewnęli unisono, choć oczywiście nikt tego nie robił - ludzie wstawali z klęczek i pozdrawiali się, zadowoleni, spełnieni, serdeczni. A mnie ogarniał niepokój, czułam się zgrzana, ciężka i przybita.

Postanowiłam nie dzielić się wątpliwościami z nikim z wiernych, nawet z pastorem McLaughlinem. Byłoby to strasznie krępujące. Poza tym miałam obawy. Bałam się, że poważnie zachwieję czyjąś wiarą, co tylko utrudni mi poszukiwania. Gdyby okazało się, na przykład, że pojęcie pastora o Bogu jest równie niejasne jak moje, zniechęciłabym się - może nie do końca, ale jednak. Wolałam wierzyć w słuszność jego rozumienia Boga i nie wystawiać go na próbę.

Ale też wpadłam na pomysł, by udać się z problemem do innego kościoła, anglikańskiego - ze względu na dzwon, jak również z ciekawości, jak wygląda wnętrze świątyni innego wyznania i co się tam dzieje, do której zaspokojenia nadawał się wyłącznie anglikański. Rzecz jasna nikomu nie zdradziłam swoich planów. Tego dnia odprowadziłam Fern Dogherty pod

schody Zjednoczonego Kościoła i tam się rozstałyśmy. Fern poszła do zakrystii, by przebrać się w swoją szatę przed występem chóru. Ledwie zniknęła mi z oczu, zawróciłam w stronę kościoła anglikańskiego, podążając za dźwiękiem dzwonu, z nadzieją, że nikt mnie nie spostrzeże. Weszłam do środka.

Główne drzwi miały zadaszenie dla ochrony przed wiatrem. Za nimi był zimny przedsionek, przykryty brązowym dywanikiem, ze stertą książek z hymnami na parapecie okna. Wreszcie znalazłam się w kościele.

Najwyraźniej nie mieli pieca, a jedynie grzejnik przy drzwiach, który wydawał cichy, miarowy szum jak w domu. Przejście do samego końca nawy zasłano brązowym chodnikiem. Poza nim była goła posadzka z surowego, niemalowanego drewna, której szerokie deski uginały się gdzieś pod nogami. Z obu stron po siedem, może osiem ławek dla wiernych. Po prawej kilka ławek dla chóru, z boku organy pedałowe i kazalnica - nie rozpoznałam jej od razu - wzniesiona po przeciwnej stronie niczym kurza grzęda. Potem balustrada i, krok dalej, maleńkie prezbiterium, zaścielone starym dywanem z salonu. Następnie stół z dwoma srebrnymi świecznikami, obszytą suknią tacią na datki i krzyżem, wyciętym z kartonu i obłożonym sreberkiem jak korona w teatrze. Nad stołem wisiała reprodukcja obrazu Holmana Hunta przedstawiającego Chrystusa, który puka do drzwi. Zobaczyłam ten obraz po raz pierwszy w życiu. Wyobrażony na nim Jezus subtelnie, ale znacząco różnił się od tego, który czynił cuda na witrażu w Zjednoczonym Kościele. Wyglądał bardziej dostojnie i tragicznie, a i pejzaż, na którego tle ukazał go malarz, był bardziej ponury i gęstszy, nieomal dziki, a już na pewno śródziemnomorski. Przywykłam do sielskiego wizerunku Chrystusa duszpasterza z pasteli, które oglądałam w szkółce niedzielnej.

W kościele było najwyżej dwanaście osób. Holenderski mnich, rzeźnik z żoną i córką Glorią, która chodziła do piątej klasy. Poza nami dwiema wszyscy po czterdzieści. Kilka staruszek.

Zdażyłam na mszę w ostatniej chwili. Umilkł dzwon, organista zaintonował hymn i zaraz wszedł pastor - bocznymi drzwiami, które najpewniej wiodły do zakrystii - stając tuż przed chórem złożonym z trzech pań i dwóch panów. Był to okrągłogłowy wesoły mężczyzna, którego nie widziałam nigdy dotąd.

Wiedziałam, że naszych anglikanów nie stać na własnego pastora i dzielą go z wiernymi z Porterfield i Błękitnej Rzeki, zapewne więc mieszkał w którejś z tych miejscowości. Spod jego sukni wyzierały buty na po nartach.

Miał angielski akcent. „Drodzy ukochani bracia, Pismo wiedzie nas w rozmaite dziedziny, abyśmy uznali i wyznali różnorakie swe grzechy i niegodziwości...”

Ławki były wyposażone w klęczniki. Wszyscy przesunęli się do przodu, hałaśliwie otwierając książeczki do nabożeństwa, i gdy pastor kończył swoją część modlitwy, każdy coś mu odpowiadał. Przekartkowałam modlitewnik leżący na półeczce przede mną, ale nie mogłam odszukać właściwego miejsca, więc zrezygnowałam i słuchałam tylko, co mówią. Po drugiej stronie nawy, rząd dalej, zobaczyłam wysoką kościstą staruszkę w czarnym aksamitnym turbanie. Nie otworzyła książeczki, nie musiała. Klęczała, wyprostowana, unosząc kredowobiałą wilczą twarz ku niebu - przypomnieli mi się profil krzyżowca z podobizny w encyklopedii - przewodziła głosom zgromadzonych, a raczej dominowała nad nimi, tak że rozmyły się wszystkie, zagłuszone jej gromką, melodyjną i żałośnie triumfalną frazą.

„... niespełnione uczynki, któreśmy wypełnić mieli, a czynimy to, czego czynić nam nie wolno, albowiem żyjemy w nieczystości. Lecz Ty, o Panie, zmiłuj się nad nami grzesznymi. O Boże, zbaw ode złego tych, którzy wyznają winy swoje. Wybaw skruszonych w sercu. Według obietnicy Twojej, ogłoszonej w Jezusie Chrystusie, Panu naszym...”

I tak dalej, a pastor podejmował to czystym, śpiewnym, bardziej powściągliwym tonem - i dialog toczył się w miarowym rytmie, to wznosząc się, to znów opadając, zawsze pewnie, z żarliwym uczuciem, bezpiecznie ujętym w najsubtelniejszych konstelacjach słów, by wreszcie połączyć się w bezbrzeżnym spokoju pojednania.

Panie, zmiłuj się nad nami.

Chryste, zmiłuj się nad nami.

Panie, zmiłuj się nad nami.

Tak oto objawiło mi się coś nieznanego, na co zapewne liczyłam podświadomie, a co wszyscy ci bojaźliwi metodyści, kongregacjoniści i prezbiterianie dawno znieśli - teatralizacja obrzędu. Budziła we mnie zachwyt już od pierwszej chwili. Podobało mi się wiele rzeczy - klęczenie na twardej desce, wstawanie i znów klękanie, kiwanie głową przed ołtarzem na każdą wzmiankę o Jezusie, odmawianie kreda, fascynującej litanii dziwnych niesamowitych zdarzeń, w które się wierzy. Podobało mi się, że Jezusa nazywa się czasem „Jezu”. Brzmiało to tajemniczo i majestatycznie jak imię czarodzieja albo hinduskiego bóstwa. Podobał mi się napis IHS, wyhaftowany na serwecie kazalnicy, ozdobnej, wiekowej, wytartej. Odpowiadały mi ubóstwo, niewielkie rozmiary i zaniedbanie kościoła, przenikliwa woń pleśni, czy może myszy, subtelny śpiew chóru, obcość wiernych. Skoro tu są, pomyślałam, to wszystko musi być prawda. Rytuał, który pewnie gdzie indziej wydałby mi się na wskroś sztuczny, martwy, tutaj miał w sobie jakąś rozpaczliwą godność. Nadmiar słów wobec skromności tego miejsca... Nie natrafiłam jeszcze na ślad Boga, ale przynajmniej znalazłam tropy Jego dawnej świetności, prawdziwej władzy, a nie wpływów, jakimi cieszył się dziś w Zjednoczonym Kościele. Przypomniłam sobie Jego ciemną baśniową hierarchię, cudownie przytłaczający kalendarz świąt i świętych. Modlitewnik przypadkiem otworzył mi się na dniach świętych patronów. Czy ktoś je obchodzi? Dni świętych przywiodły mi na myśl ciąg dalekich skojarzeń spoza Jubilee - pootwierane strychy na siano, domy z muru pruskiego, Anioł Pański i świece, procesję zakonnic na śniegu, klasztorne alejki ogrodowe w bezmiarze ciszy, nieprzebrane bogactwo świata ufne w wierze. Bezpieczeństwo. Gdyby Bóg był poznawalny, możliwy do przywołania, wszystko stałoby się pewne i niegroźne. Wtedy też stałoby się dostrzegalne to, co tam zobaczyłam - zwyczajne wyblakłe słoje drewna na wytartej posadzce, okna ze zwykłego szkła, upiększone tylko gałązkami i białym niebem - i osobliwy dojmujący ból, jaki nieraz wywołuje już samo patrzenie, straciłby rację bytu. Olśniło mnie, że istnienie świata, cały świat zasadza się wyłącznie na tym, iż wszystkie te cząsteczki, galaktyki atomów wirujące w umyśle Najwyższego są zawsze bezpieczne. Gdyby człowiek nie był tego pewny, nie mógłby odpoczywać, a już na pewno oddychać ani żyć. Tymczasem żyje, więc musi mieć to przekonanie.

Co na to moja matka? Była matką, nie bardzo więc liczyłam się z jej zdaniem. Ale nawet ona, przyparta do muru, zgadzała się, że światem musi coś rządzić, jakaś siła wyższa. Upominała jednak, abyśmy nie trwonili czasu na takie rozmyślenia, bo i tak nic z tego nie wyniknie, i byśmy zamiast snuć miałkie refleksje na ten temat, starali się żyć lepiej, a reszty dowiemy się po śmierci - o ile coś po niej istnieje.

Nawet ona bała się użyć słowa „Nicość” i wyobrazić sobie siebie czy najdrobniejszą gałązkę, kamyk i piórko zawieszzone w tej nieogarnionej beznadziejnej ciemności - nic z tego.

Pojęcie Boga żadną miarą nie wiązało mi się z dobrem, co może wydawać się dziwne, zwłaszcza że nasłuchiwałam się masy rzeczy na temat grzechu i nikczemności. Wierzyłam w zbawienie dzięki samej wierze, poprzez jakieś potężne zagarnięcie duszy. Tylko czy naprawdę, czy tak naprawdę chciałam, aby mnie spotkało? Poniekąd. Chciałam go zaznać, ale też czułam, że musi to pozostać w sferze tajemnicy. Inaczej nie mogłabym dalej żyć w Jubilee z rodzicami, Fern Dogherty i moją przyjaciółką Naomi.

Gdy wychodziłam z kościoła, pastor zagadnął mnie radosnym tonem:

- Miło, że w taki ziąb przystojne młode damy jednak nie siedzą w domu.

Niełatwo było mi uścisnąć jego rękę. Pod pachą miałam skradziony modlitewnik i musiałam uważać, żeby nie wypadł mi spod płaszcza.

- Gdzieś ty przepadła w tym kościele? - spytała Fern.

Msza anglikańska jest krótsza od naszej z uwagi na oszczędniejsze kazanie, spokojnie zdążyłam więc wrócić tam, gdzie się rozstałyśmy, i zaczęłam, aż nadejdzie.

- Stałam za filarem.

Matka chciała się dowiedzieć, o czym było kazanie.

- O pokoju - odpowiedziała Fern. - I Organizacji Narodów Zjednoczonych. Itede.

- O pokoju - powtórzyła z życzliwością matka. - I jak? Jest za czy przeciw pokojowi?

- Zdecydowanie popiera Organizację Narodów Zjednoczonych.

- Skoro tak, to Bóg także. Całe szczęście. Jeszcze niedawno On i McLaughlin zdecydowanie popierali wojnę. Cóż za zmienna para.

Po niedzieli, kiedy byłam z matką w sklepie Walkera, podeszła do niej wysoka staruszka w czarnym turbanie i przelękłam się, że powie jej, że widziała mnie w kościele anglikańskim - ale tego nie zrobiła.

Gdy wróciłyśmy do domu, matka poinformowała Fern Dogherty:

- Spotkałam dziś u Walkera panią Sherriff. Wciąż nosi to nakrycie głowy. Przypomina w nim angielskiego policjanta.

- Codziennie przychodzi na pocztę i awanturuje się, jak jej gazety nie ma przed trzecią - odparła Fern. - Herod-baba!

Z ich późniejszej rozmowy, podczas której matka na próżno usiłowała wygonić mnie z pokoju - najwyraźniej robiła to z przyzwyczajenia, bo jak już kazała mi wyjść, niezbyt się przejmowała, czy wychodzę - dowiedziałam się, że pani Sherriff miała osobliwe problemy rodzinne, które wynikały z pewnego jej ekscentryzmu i szaleństwa, albo też je powodowały. Jej

najstarszy syn zapił się na śmierć, drugiego co rusz zabierali do zakładu (jak w Jubilee nazywano szpital psychiatryczny), a córka popełniła samobójstwo, to znaczy: utopiła się w Wawanash. A mąż? Mąż prowadził pasmanterię i - jak rzekła sucho matka - był podporą społeczeństwa. Fern zasugerowała, że pewnie miał kiłę i zaraził potomstwo, bo kiła atakuje mózg w drugim pokoleniu, a w ogóle te stare dziady w sztywnych kołnierzykach to banda hipokrytów. Matka powiedziała, że pani Sherriff nosiła ubrania po zmarłej córce po domu i oporządzała w nich ogród całe lata, aż nic z nich nie zostało.

Kolejna opowieść: gdy w sklepie Czerwony Front zapomnieli o funcie masła, które zamówiła, goniła ekspedienta z siekierą.

„Chryste, zmiłuj się nad nami”.

Jeszcze w tym tygodniu zrobiłam coś nieprzyzwoitego. Poprosiłam Boga, by udowodnił, że istnieje, spełniając modlitwę. Modlitwa dotyczyła tak zwanych zajęć praktycznych, które mieliśmy w szkole raz w tygodniu, w czwartkowe popołudnia. Na zajęciach praktycznych uczyliśmy się robić na drutach, szydełkować, haftować i szyć na maszynie - co było przeraźliwie trudne. Dłonie wprost lepiły mi się od potu, a pomieszczenie, w którym odbywały się zajęcia, wyposażone w trzy przedpotopowe maszyny, stoły montażowe i poobijane manekiny, przypominało salę tortur. Niebezpiecznie. Nauczycielka, pani Forbes, krępa niska kobieta z umalowaną twarzą celuloidowej lalki, do większości dziewcząt odnosiła się pogodnie. Ale moja tępota i niezręczne krótkie ręce, w których miałam brudną chusteczkę do nosa, zamiast ją obszywać, moje nieudolne robótki doprowadzały ją do furii.

- Ale z ciebie flejtuch, coś niebywałego! Słyszałam o tobie. Sądzisz, że jesteś bardzo mądra, bo masz dobrą pamięć (byłam znana z szybkiego zapamiętywania wierszy), a cerujesz gorzej od sześciolatki!

Teraz postanowiła nauczyć nas nawlekania maszyny do szycia. Byłam w tym beznadziejna. Szyłyśmy fartuszki z aplikacją w formie tulipanów. Część dziewcząt kończyła już tulipany albo robiła obrąbek, a ja nie wszyłam jeszcze nawet paska, bo nie umiałam nawlec maszyny, a pani Forbes

powiedziała, że drugi raz mi tego nie pokaże. Gdy jednak w

końcu pokazała, niewiele to pomogło, bo zdumiewająco zręczne ruchy rąk, którymi z pogardą przebierała mi pod nosem, sparaliżowały mnie i oślepiły.

Modliłam się więc: spraw, żeby nie musiała znów nawlekać maszyny w czwartek po południu. Powtórzyłam to w myślach kilkakrotnie, prędko, z powagą, beznamietnie, tak jakbym wypróbowała zaklęcie. Nie błagałam, ani też nie pertraktowałam. Nie prosiłam o nic szczególnego, jak pożar w sali zajęć praktycznych czy poślizgnięcie się pani Forbes na ulicy i złamanie nogi - a tylko o jakąś, bliżej niesprecyzowaną, interwencję.

Na próżno. Pani Forbes nie zapomniała o mnie. Na początku lekcji kazała mi usiąść przy maszynie. Siedziałam, próbując rozgryźć, do czego wkłada się nici - nie łudziłam się, że zrobię to jak trzeba, musiałam jednak w coś je wetknąć, na dowód, że się staram - a ona stanęła za mną, wzdychając z niesmakiem. Jak zwykle zaczęły mi drżeć nogi i to tak bardzo, że potraściłam pedał i maszyna ożyła niemrawo, bez nici.

- Dobrze, Del - powiedziała pani Forbes. Zdziwił mnie ton jej głosu, niemiły wprawdzie, ale też nie gniewny; raczej zmęczony.

- Nie słyszysz, co mówię? Możesz wstać.

Zebrała sfastrygowane desperacko kawałki fartuszka, zmięła je i wrzuciła do kosza.

- Nie nauczysz się szycia - oznajmiła - tak jak człowiek pozbawiony słuchu nigdy nie nauczy się śpiewać. Staralam się, ale zostałam pokonana. Chodź. - Wręczyła mi miotłę. - Jeżeli umiesz zamiatać, to zamieć, proszę, salę i wyrzuć ścinki do śmieci. Masz zadbać o czystość podłogi, a gdy skończysz, możesz usiąść przy ostatnim stole i wkuwać... poezję, nie mam nic przeciwko temu.

Osłabłam z ulgi i radości, mimo publicznego upokorzenia, bo zdążyłam już do niego przywyknąć. Starannie zamiotłam podłogę, a potem wyjęłam wypożyczoną z biblioteki książkę o Marii Stuart i pograżyłam się w lekturze, zawstydzona co prawda, lecz spełniona, sama na końcu sali. Z początku sądziłam, że to, co się zdarzyło, jest wynikiem cudu, odpowiedzią na moją modlitwę. Później jednak przyszło mi na myśl, że może stało się tak bez względu na nią, po prostu. Nie mogłam tego dociec, eksperyment wymknął mi się spod kontroli. Stopniowo zaczęła mnie ogarniać małoduszna niewdzięczność i zarazem masa wåtpliwości. Czy Bóg przejąłby się tak błahą, trywialną prośbą - i czy spełniłby ją w takim tempie? Tak jakby się przede mną popisywał. Wolałabym, by Jego wyroki okazały się bardziej niezbadane.

Zapraęnęłam powiedzieć o tym komuś, ale Naomi nie mogłam. Gdy raz ją zapytałam, czy wierzy w Boga, odparła bez namysłu i z pogardą: „Jasne, myślisz, że chcę iść do piekła jak twoja staruszka?” - i odtąd nie poruszałam już tego tematu.

Postanowiłam więc powiedzieć Owenowi. Był trzy lata młodszy ode mnie. Swego czasu okazał się też ufny i łatwowierny. Na farmie mieliśmy kryjówkę ze starych desek, w której bawiliśmy się w dom. On siadał na krawędzi deski, a ja częstowałam go jarzębiną, mówiąc, że to płatki kukurydziane. Gdy jeszcze je przeżuwał, przyszło mi do głowy, że mogą być trujące, nie ostrzegłam go jednak przez wzgląd na swój prestiż i powagę zabawy, a potem stwierdziłam, że na wszelki wypadek nie zdradzę tego nikomu. Tymczasem Owen nauczył się jeździć na łyżwach, trenował hokej i przechylając się przez poręcz, pluł mi na głowę - jak to chłopak.

Ale pewne jego zachowania świadczyły o zagubieniu i słabości, dobitnie wskazywały, że jest jeszcze dzieckiem. Brał udział w różnych konkursach. W ten sposób ujawniał się w nim charakter matki, jej bezgraniczna gotowość do przyjmowania wyzwań i obietnic otaczającego świata. Wierzył w nagrody: teleskopy, przez które oglądał kratery na Księżycu, akcesoria do sztuczek magicznych, za których pomocą powodował znikanie przedmiotów, zestawy chemiczne, które umożliwiały mu produkcję materiałów wybuchowych. Pewnie zająłby się też alchemią, gdyby tylko wiedział, że istnieje. Nie miał jednak bladego pojęcia o religii.

Tego dnia siedział na podłodze w swoim pokoju i wycinał z kartonu maleńkie figurki hokeistów, które układał później w dwie drużyny i rozgrywał mecze. Pochłonięty tą boską zabawą, trząsał się cały z podniecenia, a mnie jawił się jako mieszkaniec odrębnego świata, dalekiego mojemu (prawdziwemu), świata pozbawionego treści, rozdzierająco kruchego w swej ułudzie.

Usiadłam na łóżku za nim.

- Owen.

Nie odpowiedział. Gdy się bawił, nie lubił towarzystwa.

- Jak myślisz, co dzieje się z człowiekiem, kiedy umrze?

- Nie wiem - odparł buntowniczo.

- Sądzisz, że Bóg zachowuje duszę przy życiu? Wiesz, co to jest dusza?
Wierzysz w Boga?

Owen odwrócił się i spojrzał na mnie, skołowany. Nie mając nic do ukrycia, ujawnił jedynie najszczerszą obojętność.

- Powinieneś wierzyć - upomniałam go. - Posłuchaj...

Opowiedziałam mu o zajęciach praktycznych i modlitwie. Słuchał bez entuzjazmu. Stwierdziłam ze złością, że nie ma w nim tej potrzeby, którą ja noszę w sobie. Wydawał się oszołomiony, bezbronny, ale i odporny na wiedzę jak kauczukowa piłka. Słuchał, kiedy nalegałam, a nawet zgadzał się ze mną pod naciskiem, w głębi serca jednak nic go to nie obchodziło. Głupek.

Od tej pory nieraz tyranizowałam go w ten sposób, ilekroć byliśmy sami.

„Tylko nie mów matce” - ostrzegałam. Prócz niego nie miałam na kim sprawdzać swojej wiary, a uważałam to za absolutnie konieczne. Jego przemożny brak zainteresowania, radość, którą czerpał ze świata bez Boga, były dla mnie wręcz nieznośne i wytykałam mu je bez przerwy, a poza tym uważałam, że skoro jest młodszy i od dawna za niego odpowiadam, to powinien pójść w moje ślady. Dla niego natomiast krnąbrność była oznaką buntu.

W swoim pokoju, przy zamkniętych drzwiach, czytałam na głos Księgę wspólnej modlitwy.

Czasami na ulicy przymykałam oczy (jak z Owenem, gdy bawiliśmy się w ślepców) i

marszcząc brwi, powtarzałam w myślach, rozmodlona: Boże, Boże, Boże.

Później przez kilka niepewnych chwil wyobrażałam sobie, jak na Jubilee spływa gęsty obłok światła i spowija mi głowę. Lecz zaraz otwierałam oczy z przerażenia, niezdolna przyjąć go w siebie, ani się z niego uwolnić. Poza tym bałam się, że w coś uderzę, że ktoś mnie zobaczy i wyjdę na idiotkę.

Nadszedł Wielki Piątek. Szykowałam się do wyjścia. Matka stanęła w korytarzu i spytała:

- Beret? Cóż to za okazja?

- Idę do kościoła - odrzekłam, stwierdziwszy, że najwyższy czas, by się jej sprzeciwić.

- Dziś nie ma mszy.

- Idę do kościoła anglikańskiego. U nich jest w Wielki Piątek nabożeństwo.

Matka musiała przysiąść na schodach. Rzuciła mi spojrzenie równie badawcze, słabe i rozdrażnione, jak gdy przesłuchiwała mnie rok wcześniej w

związku z rysunkiem, który znalazła w moim notesie, autorstwa mojego i Naomi, przedstawiającym nagą grubaskę z piersiami jak balony i włosami łonowymi niczym czarne chaszczki.

- Wiesz, co upamiętnia Wielki Piątek?

- Ukrzyżowanie - odparłam krótko.

- To dzień, w którym Chrystus umarł za nasze grzechy. Tak nam mówią. Wierysz w to?

- Tak.

- Chrystus umarł za nasze grzechy - powtórzyła matka, zrywając się z miejsca. Pospiesznie przyjrzała się swojej niewyraźnej twarzy w lustrze na korytarzu. - Proszę, proszę. Odkupienie przez krew. Paradne! Weźmy takich Azteków, którzy żywcem wycinali ludziom serca, bo wierzyli, że inaczej słońce nie wzejdzie i nie zajdzie. Chrześcijaństwo bynajmniej nie jest lepsze. Cóż to za Bóg, który żąda krwi? Krew, krew, krew. Posłuchaj sobie ich hymnów, nie mówią o niczym innym. Co to za Bóg, który raduje się dopiero wtedy, gdy ktoś powisi na krzyżu przez sześć albo dziewięć, czy ile tam było tych godzin? Gdybym była Bogiem, nie byłabym aż tak krwiożercza. Ludzie nigdy nie byli tak krwiożerczy. Nie licząc Hitlera. Kiedyś może byli, ale teraz nie są. Rozumiesz, o czym mówię? Wiesz, do czego zmierzam?

- Nie - odpowiedziałam szczerze.

- Boga stworzył człowiek, nie odwrotnie! Bóg został stworzony przez człowieka. Człowieka na niższym i bardziej krwiożerczym od obecnego etapie rozwoju, miejmy nadzieję. Człowiek stworzył Boga na swoje podobieństwo. Przekonuję o tym pastorów. I będę przekonywać wszystkich! Nie znam nikogo, kto by przytoczył rozsądne kontrargumenty!

- Mogę iść?

- Nie zatrzymuję cię - odrzekła matka, choć właśnie zastawiła drzwi. - Idź i sama się przekonaj. Zobaczysz, że mam rację. Pewnie odziedziczyłaś to po babce. - Spojrzała mi surowo w twarz, szukając oznak fanatyzmu. - A jeśli tak, nic na to nie poradzę.

Być może cudza argumentacja zniechęciłaby mnie bardziej od słów matki. W każdym razie, idąc przez miasteczko, szukałam potwierdzeń przeciwnego punktu widzenia. Ucieszyłam się, że sklepy są pozamykane, a wystawy zasłaniają żaluzje. Z pewnością nieprzypadkowo. I gdybym zapukała do drzwi każdego z domów przy swojej trasie i spytała ich mieszkańców: „Czy Jezus umarł za nasze grzechy?” - zaskoczeni i zmieszani, bez wątplenia odpowiedzieliby, że tak.

Uświadomiłam sobie, że śmierć Chrystusa za nasze grzechy niezbyt mnie obchodzi. Pragnęłam tylko Boga. Ale skoro dojście do Najwyższego miała mi zapewnić śmierć Chrystusa, postanowiłam, że jeszcze nad tym popracuję.

Wielki Piątek był niestosownie przyjemny i słoneczny. Sople lodu kapały i rozbijały się o chodnik, dachy parowały, ulicami płynęły strumyki. Przez zwykłe szklane okna do wnętrza kościoła wpadało słoneczne światło. Spóźniłam się, przez matkę. Pastor już stał przed wiernymi. Wśliznęłam się do ostatniej ławki i kobieta w aksamitnym turbanie, pani Sherriff, obrzuciła mnie wściekłym wzrokiem. A może nie tyle wściekłym, ile strasznie zdumionym, tak jakbym usiadła przy orle na jego gałęzi.

Ale też jej widok dodał mi otuchy. Ucieszyłam się, że widzę wszystkich - sześć, osiem czy dziesięć osób - prawdziwych ludzi, którzy włożyli kapelusze, wyszli z domu, przeszli ulicami, przekraczając potoki stopniałego śniegu, i stawili się tutaj - na pewno nie bez powodu.

Chciałam znaleźć wierzącego, autentycznie wierzącego, kogoś, kto rozwiałby moje wątpliwości. Chciałam przyjrzeć się komuś takiemu i zaczerpnąć od niego odwagi, a nie porozmawiać. Najpierw przyszła mi na

myśl pani Sherriff, którą jednak dyskwalifikował obłąd. Mój wierzący musiał być całkowicie zdrowy na umyśle.

Powstań, Panie, i wspomóż nas, i wybaw nas

dla Imienia Twojego.

Powstań, Panie, i wspomóż nas, i wyzwól nas

Przez Swą łaskawość.

Oto Baranek Boży, który gładzi

grzechy świata.

Przygotowałam się do zadumy nad cierpieniem Chrystusa. Zacisnęłam ręce w pięści z całej siły, starając się przebić paznokciami wnętrze dłoni. Krew nie trysnęła jednak, pomimo usilnych starań. Speszyłam się, czując, że w ten sposób nie stanę się uczestniczką męki. Pomyślałam, że jeśli Bóg ma odrobinę wyczucia, powinien wzgardzić tak niedorzecznym zachowaniem (choć z drugiej strony aprobował różne rzeczy, które wyprawiali święci). Wiedziałyby, o czym naprawdę myślę i z czym nie mogę się uporać. To jest: Czy cierpienia Chrystusa faktycznie były takie wielkie?

Czy były aż tak straszne, skoro - o czym wiadomo każdemu, Jemu również - wstąpił na Niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca Wszechmogącego i stamtąd przyjdzie w chwale sądzić żywych i umarłych? Wielu - zapewne nie każdy, ani nawet większość, ale zawsze - poddałoby się podobnym męczarniom, gdyby mieli gwarancję, że osiągną potem to co On. Ostatecznie robiło to wielu świętych i męczenników.

Tyle że skoro Chrystus jest Bogiem, musiało to być dla niego przykre i poniżające... Czy wtedy już był Bogiem, czy tylko ziemskim synem Najwyższego? Nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Czy rozumiał, że to

wszystko dzieje się celowo i zmierza do szczęśliwego końca, czy może Jego Boskość uległa chwilowemu zaciemnieniu, tak że był On świadomy wyłącznie swojej hańby? „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”.

Po długim psalmie zawierającym przepowiednie o szatach i ciągnięciu losów pastor wszedł na kazalnicę i powiedział, że wygłosi krótkie kazanie na temat ostatnich słów Chrystusa na krzyżu. Właśnie o tym, o czym myślałam. Okazało się jednak, że jest ich więcej, niż było mi wiadomo. Rozpoczął od „Pragnę”, co, jak wyjaśnił, oznacza, że Chrystus cierpiał cieleśnie, tak jak i my cierpielibyśmy w podobnej sytuacji, ani trochę mniej, i nie wstydził się do tego przyznać i prosić o pomoc, dając biednym żołnierzom szansę zyskania łaski dzięki gąbce nasączonej octem. „Kobieto, oto syn twój... synu, oto matka twoja” wskazuje, że Jego ostatnie, a raczej przedostatnie słowa dotyczyły innych, którym nakazywał, żeby się nawzajem wspierali, kiedy go nie będzie (choć nie do końca). Nawet w godzinie męki nie zapomniał, jak doniosłe są relacje między ludźmi. „Dziś będziesz ze mną w Niebie” znaczy oczywiście, że do końca troszczył się o los grzesznika, złoczyńcy odrzuconego przez społeczność, wiszącego na sąsiednim krzyżu. „O, Panie, który nie żywisz nienawiści do wszelkich Twoich stworzeń i... miast śmierci grzesznika chcesz, by odwrócił się od nieprawości swojej i żył...”

Tylko właściwie czemu (nie mogłam opędzić się od tej kwestii, czując, że jej rozwiązanie i tak mnie nie zaspokoi) Bóg miałby nienawidzić coś, co stworzył? Skoro miałby znienawidzić, to niby po co stwarzał? I skoro stworzył wszystko tak, jak chciał, nie powinien mieć do nikogo pretensji, co z kolei wyklucza pojęcie grzechu - rozmyślałam. Więc niby dlaczego Chrystus miałby umierać za nasze grzechy? Kazanie nie wpłynęło na mnie dobrze. Oszołomiło mnie i wprawiło w wojowniczy nastrój, a nawet spowodowało, że - chociaż nigdy bym się do tego nie przyznała - poczułam niechęć do Chrystusa, który zaczął mi się wydawać wręcz nieznośnie doskonały. „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” Na moment, rzekł pastor, na sekundę Jezus stracił łączność z Bogiem. Zdarzyło się to nawet Jemu, a jakże. Stracił łączność, po czym zawołał rozpaczliwie w mroku. Jednak i to stanowiło część boskiego planu, było konieczne. Stało się tak, abyśmy w najczarniejszych chwilach pamiętali, że nasze zwątpienie i boleść podzielał sam Chrystus, a wobec tego miną one dużo szybciej.

Ale czemu? Dlaczego miałyby mijać szybciej? Załóżmy, że był to ostatni prawdziwy krzyk Chrystusa, ostatnia realna rzecz, jaką w ogóle wypowiedział. Bo chyba należałoby przypuścić coś takiego. Powinno się to rozważyć. Załóżmy, że zawołał, umarł i wcale nie zmartwychwstał, nie wiedząc, że występuje w zawiłym spektaklu Najwyższego. Cierpiał. A gdyby nagle uświadomił sobie, że to wszystko nieprawda, że uczestniczy w wielkiej iluzji? Ból pokaleczonych rąk i stóp byłby wobec takiego odkrycia niczym. Przeniknąć cały wszechświat, pokonać taką drogę, powiedzieć to, co wypowiedział, i raptem ujrzyć wkoło... pustkę. Tym się zajmij! - wykrzyknęłam w duchu do pastora. Opowiedz o tym, wywleczone na światło dzienne i - przezwycięż!

Zawisło to pomiędzy nami; pastor nie mógł zrobić nic więcej.

Kilka dni później spotkałam na ulicy panią Sherriff. Tym razem byłam sama.

- Znam cię. Co ty wiecznie robisz w kościele anglikańskim? Sądziłam, że należysz do Zjednoczonego.

Gdy stopniały śniegi i woda w rzece podniosła się, Owen i ja - osobno - chodziliśmy co niedzielę Drogą na Moczary do wiejskiego domu. Dom, w którym wujek Benny mieszkał całą zimę, a ojciec prawie stale, wyjąwszy te weekendy, kiedy przychodził do nas, był tak brudny, że właściwie zatracił zwykły charakter i zmienił się jakby w zadaszone przedłużenie podwórka. Deseń kuchennej wykładziny zniknął pod ornamentami brudu. Wujek Benny mówił na mój widok: „Nareszcie jest sprzątaczką, tego nam właśnie brakowało!”, ale ja nie podzielałam jego zdania. Wszystko śmierdziało lisami. Do wieczora nikt nie palił w piecu i drzwi były pootwierane. Nad błotnistymi polami krakały wrony, wezbrana rzeka lśniła srebrzyście, horyzont cudownym zrzędzeniem rysował się dokładnie tak, jak go zapamiętywałam, zapominałam i znów przywoływałam w pamięci. Lisy skowyczały, pobudzone, bo o tej porze roku rodziły im się małe. Owen i ja mieliśmy zakaz zbliżania się do

zagród.

Owen huśtał się na sznurze pod jesionem, gdzie zeszłego roku wisiała nasza huśtawka.

- Major zagryzł owcę!

Major był naszym psem, a od niedawna niby psem Owena, choć wcale nie odwzajemniał zainteresowania z jego strony. Był to duży złocistobrązowy skundlony owczarek collie, który minionego lata zrobił się tak leniwy, że nie biegał już nawet za samochodami, tylko drzemał w cieniu, zarówno na jawie, jak i we śnie zachowując ociężałe dostojęństwo godne senatora. Teraz zaczął nagle ganiać za owcami, poświęciwszy się na stare lata przestępczości, jak szacowny i ostrożny senator, który raptem zaczyna afiszować się z upodobaniem do występku. Kiedy szliśmy go szukać, Owen powiedział, że owca należy do Potterów, których ziemia graniczyła z naszą, i że chłopcy od nich widzieli Majora z ciężarówką, zatrzymali się, przeskoczyli przez płot i wrzeszczeli, ale pies odpędził ofiarę od stada, dopadł ją i zabił.

Zabił. Wyobraziłam ją sobie, całą we krwi, rozdartą na strzępy. Majorowi nie zdarzyło się dotąd polować i nie uśmiercił w życiu nawet muchy. „Chciał ją zjeść?” - spytałam ze zdumieniem i odrazą, na co Owen odparł, że do zbrodni doszło poniekąd przez przypadek. Owcę można zagonić i przerazić na śmierć, bo jest to stworzenie bardzo słabe, grube i bojaźliwe, ale Major rzucił się na nią tylko i zerwał jej kawałek wełny z karku, by trochę ją nastraszyć, dla podtrzymania zwyczaju. A później - na widok młodych Potterów - popędził w stronę domu, aczkolwiek określenie „pęd” wydało mi się w tym przypadku mocno naciągane.

Major został uwiązany w stodole, której drzwi uchylono, aby miał trochę światła i powietrza. Owen wskoczył mu okrakiem na grzbiet, żeby go obudzić (pies zwykle trzeźwiał ze snu tak szybko, że trudno było stwierdzić, czy naprawdę śpi, czy tylko się zgrywa), i zaczął tarzać się przy nim po podłodze, próbując go zachęcić do zabawy.

- Stary morderca owiec, stary morderca owiec - powtórzył, klepiąc go z dumą

po łbie.

Major zniósł to, co prawda, lecz jak zwykle nie był szczególnie skory do igraszek, choć ożywił się trochę, o dziwo, i protekcyjnie polizał Owena po głowie. Gdy ten wreszcie

dał mu spokój, ułożył się znowu do snu.

- Musi być uwiązany, bo znów poleci za owcą, stary zbójnik. Potterowie powiedzieli, że jak złapią go jeszcze raz, to go zastrzelą.

Była to prawda. Major znalazł się w centrum zainteresowania. Po chwili przyszli do stodoły ojciec z wujkiem Bennym, by spojrzeć na psa, który udawał niewiniątko, siląc się na powagę. Wujek Benny stwierdził, że jego los jest przesądzony. Bo skoro pies raz zacznie gonić za owcami, to już się tego nie oduczy.

- Jak złapał bakcyła - dodał, głaszcząc Majora - to koniec. Nie można trzymać mordercy.

- Chcecie go zastrzelić? - wykrzyknęłam nie tyle z gorącej miłości do Majora, ile z przekonania, że czegoś tak zabawnego nie wolno zakończyć w tak okrutny sposób.

Byłoby to jak skazanie siwego senatora na publiczne ścięcie za to tylko, że trochę się wygłupił.

- Nie utrzymasz mordercy owiec. Puści cię z torbami, bo będziesz musiał za nie płacić. Zresztą jak sam tego nie załatwisz, to i tak ktoś cię wyręczy.

Ojciec, do którego został skierowany apel, odparł, że może jednak Major

już nie będzie gonił owiec. Poza tym jest przywiązany. A jeśli to konieczne, może zostać na uwięzi do końca życia albo przynajmniej do chwili, gdy przejdą mu dziecinne fanaberie i zrobi się zbyt słaby, żeby gonić za czymkolwiek, a to przecież stanie się niedługo.

Okazało się jednak, że ojciec się pomylił. Rację miał wujek Benny - sceptycznie wykrzywiony, pewien swego czarnowidz. Major wyrwał się z niewoli bladym świtem. Stodoła była zamknięta, ale przegryzł siatkę w wybitym oknie, wyskoczył i pognął do Potterów, by oddać się świeżo odkrytej pasji. Wrócił do domu przed dziewiątą, lecz zerwany sznur, przegryziona siatka i martwa owca na pastwisku Potterów mówiły same za siebie.

Jedliśmy śniadanie. Ojciec spędzał noc w miasteczku. Zadzwoił wujek Benny i

powiedział mu, co zaszło.

- Owienie, musimy pozbyć się Majora - oznajmił ojciec, wracając do stołu.

Owen roztrząsał się cały, ale się nie odezwał. Ojciec pokrótce opowiedział o ucieczce i zabitej owcy.

- To staruszek - dorzuciła z fałszywą serdecznością matka. - To stare psisko i miał zacne życie, a kto wie, co go czeka, wzięwszy pod uwagę rozmaite choroby i niedole podeszłego wieku.

- Mógłby mieszkać tutaj - szepnął słabo Owen. - Nie wiedziałby, gdzie szukać owiec...

- Taki pies nie może mieszkać w mieście. No i nigdy nie wiadomo, co jeszcze strzeli mu do głowy.

- Pomyśl, jakby czuł się w mieście, uwiązany - dodała matka z wyrzutem.

Owen odszedł od stołu bez jednego słowa. Matka nie zawołała go, by wrócił i przeprosił.

Przywykłam do zabijania zwierząt. Wujek Benny chodził polować i łapał piżmaki, a ojciec każdej zimy zabijał lisy i sprzedawał skóry na nasze utrzymanie. Przez cały rok zabijał stare i kalekie albo nieprzydatne konie na pokarm dla lisów. Swego czasu miałam dwa sny na ten temat, które wciąż pamiętałam. Raz śniło mi się, że poszłam do komórki na mięso - obitej siatką szopy za stodołą, w której ojciec latem przechowywał wiszące na hakach, obdarte ze skóry i poćwiartowane kawałki koniny. Szopa stała w cieniu rajskiej jabłoni, na siatkach roiło się od much. Śniło mi się, że zajrzałam do środka i bez zdziwienia odkryłam, że tak naprawdę wiszą tam obdarte ze skóry i rozczłonkowane ludzkie ciała. Drugi sen był pewnie związany z historią Anglii, o której czytałam wtedy w encyklopedii. Przyśniło mi się, że ojciec położył na trawie przy wejściu do kuchni najzwyklejszy w świecie kłoc drewna i kazał ustawić się Owenowi, matce i mnie w rzędzie, żeby ściąć nam głowy. „Nic nie poczujecie - powiedział tak, jakby był to jedyny powód do obaw. - Za chwilę będzie po wszystkim”. Zachowywał się uprzejmie, spokojnie i rozsądnie, i przekonywał nas znużonym głosem, że wyjdzie nam to tylko na dobre. Przez głowę przemykały mi myśli o ucieczce, bezradne jak ptaki, którym ropa pozlepiła skrzydła. Sparaliżowała mnie ta rozwaga, wskazówki nieznośnie proste, bliskie i oczywiste, uspokajające oblicze szaleństwa.

Wbrew snom, na jawie nie bałam się wcale. Bez obaw chodziłam obok szopy, nigdy nie przerażał mnie też wystrzał. Lecz na myśl, że zabiją Majora, wyobrażając sobie, jak ojciec niespiesznie jak zwykle, rytualnie ładuje swoją dubeltówkę i woła psa, który niczego nie podejrzewa, bo przywykł do widoku ludzi z bronią, i jak mijają razem stodołę, a ojciec rozgląda się za dobrym miejscem... znowu ujrzałam zarys tamtej rozsądnej, bluźnierczej twarzy. Zastanowiła mnie właśnie ta premedytacja, świadoma decyzja o przestrzeleniu mózgu, przerywającym działanie całego organizmu - ten wybór i czyn, nieważne, konieczny czy uzasadniony, który sankcjonuje wszystko.

Śmierć okazała się realna. I nie dlatego, że nie można było jej zapobiec, a dlatego, że była upragniona - pożądana przez wszystkich tych dorosłych, włodarzy i oprawców o miłych, nieprzejednanych obliczach.

A przeze mnie? Nie chciałam, żeby to się stało, nie chciałam, by Major został zastrzelony, ale też ogarnęło mnie nerwowe podniecenie i żal. Obraz kaźni, który sobie wyobraziłam i który natchnął mnie tak czarną myślą... nie był jednak do końca nieprzyjemny. Rozpamiętywałam ufność Majora, jego cierpliwą czułość wobec ojca, którego w istocie lubił nie bardziej od innych, jego na wpół niewidzące wesołe oczy. Poszłam na górę, by zobaczyć, jak znosi to Owen.

Siedział na podłodze sypialni i bawił się dźwigiem. Nie płakał. Miałam niejasną nadzieję, że namówię go do jakiegoś ekscesu, nie żeby miało to coś pomóc, tylko moim zdaniem wymagała tego sytuacja.

- Jakbyś się pomodliła, żeby Major nie został zastrzelony, to nie zostałby zastrzelony? - spytał kategorycznym tonem.

Dotąd nie przyszła mi do głowy myśl o modlitwie.

- Modliłaś się, żebyś nie musiała nawlekać maszyny do szycia, no i nie musiałaś.

Stwierdziłam z przerażeniem, że za chwilę dojdzie do nieuniknionej konfrontacji religii i życia.

Podniósł się z podłogi, stanął naprzeciw mnie i poprosił w napięciu:

- Pomódl się. Jak to się robi? Zaczynaj!

- Nie wolno - odparłam - modlić się o takie rzeczy.

- Dlaczego?

Dlaczego? Bo - mogłam odpowiedzieć - nie modlimy się, żeby coś spowodować albo udaremnić, tylko o moc i łaskę radzenia sobie z tym, co nas spotyka. Kapitalne wyjście, ohydnie zalatujące przegraną. Ale nie pomyślałam o tym. Pomyślałam po prostu i wiedziałam, że modlitwa nie powstrzyma ojca przed uniesieniem dubeltówki i zawołaniem: „Major! Do nogi, Major...”. Modlitwa niczego nie zmienia.

Nie zmieniłby tego i sam Bóg. Skoro stoi po stronie dobra, miłosierdzia i litości, to dlaczego sprawia, że tak trudno po nie sięgnąć? Nieważne, że się mówi: „by były warte zachodu” - i tak nic z tego. Modlitwa o to, żeby coś nie zaszło, nie ma sensu, bo Boga nie obchodzi taki sprzeciw; to nie Jego sprawa.

Czy może istnieć Bóg niewykłany w Kościół, Bóg, który nie ulega żadnym zaklęciom ani krzyżom, prawdziwy i realny w świecie, obcy i nieprzewidywalny jak śmierć? Czy jest gdzieś Bóg niezwykły, bezstronny, nieogarniony przez wiarę?

- Jak to się robi? - Owen był zniecierpliwiony. - Trzeba uklęknąć na kolanach?

- To bez znaczenia.

Ale już ukląkł i zacisnął dłonie po bokach. A później, nie schylając głowy, zmarszczył się cały z wysiłkiem.

- Wstań! - powiedziała szorstko. - To nic nie pomoże. Nie działa, nigdy nic nie daje, Owen, wstań już, bądź posłuszny, skarbie.

Zamachnął się na mnie pięściami, nie spiesząc się z otwarciem oczu. Podczas modlitwy robił rozpaczliwe, krępujące miny, które odebrałam jako pełne pretensji i demaskujące, trudne do zniesienia jak widok ciała odartego ze skóry. Patrzenie z bliska na wierzącego jest równie miłe jak oglądanie obcinania palców.

Czy misjonarze miewają chwile takiej zadumy i zażenowania?

Przemiany i ceremonie

Nienawiść chłopców była groźna. Zajadła i żywa, przedziwnym trafem była wpisana w ich usposobienie jak miecz, który Król Artur wyjmował z kamienia w Wyborze tekstów dla klasy siódmej. Nienawiść dziewcząt tymczasem wydawała się mętna i łzawa, cierpko defensywna. Chłopcy osaczali ofiarę na rowerach, rozjeżdżając jej przestrzeń triumfalnie, bez cienia skruchy, a jakby z żalem, że koła nie mają ostrzy. Mówili byle co.

Mówili cicho: „Co tam, zdziry?”.

Mówili: „Ej, gdzie masz szparkę?”, z figlarnym obrzydzeniem.

Ich słowa odbierały ci prawo do odrębności, sprowadzały twoje istnienie do ich wyobrażeń, a im pozwalały na grymas wstrętu. Moja przyjaciółka Naomi i ja napominałyśmy się: „Udawaj, że nie słyszysz”, bo duma nie pozwalała nam zejść im z drogi. Czasem odkrzykiwałyśmy: „Umyj się w korycie, szkoda czystej wody!”.

Tego dnia nie chciało nam się po szkole wracać do domu. Spojrzałyśmy na reklamę filmu granego w kinie Publika i na zdjęcia młodych par w witrynie fotografa, a potem poszłyśmy do biblioteki, mieszczącej się w jednym z pomieszczeń ratusza. Na oknach po jednej stronie głównego wejścia do budynku widniał napis: DAM KA TOALE A, a po drugiej: CZY ELN A PUB IC NA. Napisów nigdy nie uzupełniono, ale wszyscy i tak wiedzieli, co znaczą.

Przy wejściu zwisał koniec sznura od dzwonka umocowanego pod kopułą, a obok była przybita zaśnieżona tabliczka z napisem: „Kara za nieuzasadnione użycie 100 dolarów”. Przez okna toalety wyglądały żony farmerów, w chustkach i kaloszach, czekając, aż przyjdą po nie mężowie. W

bibliotece zwykle nie było nikogo poza bibliotekarką Bellą Phippen, głuchą jak pień i kulawą po chorobie Heinego-Medina. Za zgodą Rady Miejskiej została zatrudniona w bibliotece, bo w żadnej innej pracy nie dałaby sobie rady. Rzadko kiedy zdarzało jej się opuszczać jakby gniazdo, które uwiła sobie za biurkiem z poduszek, narzut, puszek po herbatnikach, przenośnej kuchenki, czajniczka i kłębków całkiem ładnej wstążki. Namiętnie robiła identyczne igielniki, składające się z laleczki w sukience ze wstążki, pod którą wszywała poduszeczkę na igły. Obdarowywała nimi wszystkie dziewczyny z Jubilee, które wychodziły za mąż.

Gdy raz zapytałam ją o jakiś tytuł, wylazła zza biurka, pokuśtykała ciężko między półki i wróciła z książką. Podając mi ją, rzekła donośnym, samotniczym głosem niesłyszanej:

- Jest prześliczna.

Była to Wygrana Barbary Worth.

W bibliotece było pełno takich książek. Starych, o zmiętych matowych niebiesko-zielonobrazowych okładkach, z lekko poluzowanymi stronicami. Na frontyspisie wielu z nich widniała, namalowana akwarelą, blada dama w stroju rodem z płócien Thomasa Gainsborough, podpisana słowami w rodzaju: „Lady Dorothy szukała odosobnienia w ogrodzie różanym, sprzyjającym zadumie nad treścią tej zagadkowej wiadomości (s. 112)”.

Jeffrey Farnoll. Marie Corelli. Księżę dynastii Dawidów. Czarujący, tęskni, sfatygowani, poczciwi starzy przyjaciele. Przeczytałam je już dawno. Inne książki rozpoznawałam po grzbiecie, znałam zakrętas każdej z liter w ich tytułach, choć nigdy ich nie dotknęłam, nigdy nie wyjęłam z półki. Czterdzieści lat wiejskiego kaznodziei. Szeregi Królowej w czas pokoju i wojny. Były jak przechodnie, których mija się dzień po dniu na ulicy, lecz zna się jedynie ich twarze - coś takiego mogło się zdarzyć nawet w Jubilee.

W bibliotece czułam się cudownie. Ściany zadrukowanych stronic, świadectwo tyłu wymyślonych światów - dodawało mi to otuchy. W

przeciwieństwie do Naomi, którą przytłaczał taki ogrom książek, deprymował i nastrojał podejrzliwie. Kiedyś czytywała... powieści kryminalne dla dziewcząt, ale z nich wyrosła. W Jubilee nikt się temu nie dziwił; czytanie było tak powszednie jak żucie gumy, nawyk, który się zarzuca, kiedy wymagają tego powaga i uciechy dorosłości. Zwyczaj kultywowały więc głównie stare panny, wśród panów traktowano go jako rzecz wstydliwą.

Aby Naomi nie nudziło się, gdy oglądałam książki, zawsze znajdowałam jej do czytania coś, czego nigdy nie spodziewałaby się znaleźć w powieściach. Usiadła na składanej drabince, nie używanej przez Belle Phippen, a ja przyniosłam jej opasy tom Krystyny, córki Lavransa w zielonej oprawie. Odszukałam fragment, w którym Krystyna rodzi pierwsze dziecko, godzina za godziną, stronica za stronicą, kucając na sianie, we krwi i męczarniach. Podając książkę Naomi, poczułam lekki smutek. Ciągłe zdradzałam kogoś albo coś, sądząc, że to jedyny sposób na przetrwanie. Nie uważałam tej książki za coś wyjątkowego. Swego czasu marzyłam o życiu w jedenastym wieku i nawet chciałam rodzić dziecko na sianie jak Krystyna, a zwłaszcza mieć takiego ukochanego jak Erlend, błędnego, mrocznego i samotnego jeźdźca.

Przeczytawszy opis, Naomi odszukała mnie i zapytała:

- Musiała wyjść za mąż?

- Mhm.

- Tak myślałam. Bo jak dziewczyna musi się wydać, to umiera albo prawie umiera przy porodzie, albo coś jest nie tak z dzieckiem. Ma zajęczką wargę, zniekształcenie stopy albo nie po kolei w głowie. Moja mama widziała coś takiego.

Nie spierałam się z nią, ale też nie dałam temu wiary. Matka Naomi była pielęgniarką. Według jej źródeł - lub tego, co uważała za jej źródła Naomi - dzieci urodzone w czepku wyrastały na kryminalistów, mężczyźni spółkowali z owcami i płodzili pomarszczone kosmate stworzenia o ludzkich twarzach i

owczych ogonkach, które zdychały i przechowywano je potem w słojach, oraz że wariatki kaleczyły sobie części rodne wieszakami. Raz wierzyłam w to wszystko, to znów nie wierzyłam - w zależności od tego, czy byłam mniej, czy bardziej spięta. Nie lubiłam matki Naomi; miała arogancki, napastliwy głos i - jak ona - bezbarwne wyłupiaste oczy, i wciąż dopytywała się, czy dostałam już miesięczki. Ale każdy, kto zajmuje się sprawami życia i śmierci, kogo na co dzień pochłaniają takie rzeczy jak krwotok, mięsista pępowina, obrzydliwe rozwiązanie, każdy, kto ma taką pracę, powinien zostać wysłuchany bez względu na to, z jaką przyjdzie wieścią.

- Jest w książce opis, jak to robią?

Gorliwie pragnąc dokazać Naomi celowość literatury, jak pastor starający się przedstawić wiarę jako rzecz przydatną i zabawną, pospiesznie wyszukałam fragment, w

którym Krystyna i Erlend chronią się w stodole - który jednak wcale jej nie zadowolił.

- I to ma niby znaczyć, że to robią?!

Wskazałam zdanie, w którym Krystyna pyta siebie, czy to ten występek tak często opiewają w pieśniach.

Gdy wychodziłyśmy z biblioteki, zaczęło się ściemniać i farmerzy wyjeżdżali z miasta saniami. Wskoczyłyśmy na jedne z sań jadących ulicą Wiktorii. Woźnica, owinięty ciepłym grubym szalem, miał na głowie futrzaną czapę. Przypominał wikinga. Odwrócił się i klnąc, kazał nam zmykać, ale nie usłuchałyśmy go, przepełnione radosnym zuchwalstwem jak urodzeni w czepku przestępcy; przywarłyśmy do sań aż do bólu, rozpryskując śnieg nogami. I tak dotarłyśmy do rogu Kamieniarskiej, gdzie wpadłyśmy w zaspę. Gdy pozbierałyśmy z ziemi książki i odzyskałyśmy oddech, wrzasnęłyśmy jedna na drugą:

- Wynocha, łobuzy!

Obie liczyłyśmy i bałyśmy się zarazem, że ktoś usłyszy, jak nieprzyzwoicie wyrażamy się na ulicy.

Naomi mieszkała na Kamieniarskiej, a ja na Rzecznej; zaważyło to na naszej przyjaźni. Kiedy przeniosłam się do miasteczka, Naomi zawsze czekała na mnie rano pod swoim domem, który mijałam po drodze do szkoły. „Czemu tak chodzisz?” - pytała, a ja odpowiadałam: „Niby jak?”. Sama dziwnie przemykała ulicą, roztargniona, z brodą wciśniętą w kołnierz. Śmiałam się, urażona. Ale krytycyzm był wpisany w jej naturę. Gdy okazało się, że uważa mnie za przyjaciółkę, odczułam niepokój i upajające szczęście. Dotąd nie miałam przyjaciółki. Przyjaźń ograniczała wolność i poniekąd nauczyła mnie oszukiwania, ale też dzięki niej życie stawało się ciekawsze, nabierało sensu. Piski, brzydkie słowa i wpadanie w zaspę nie cieszą, kiedy uskutecznią się je w pojedynkę.

No i poznałyśmy się tak dobrze, że nie mogłyśmy się nie przyjaźnić.

Wspólnie zgłosiłyśmy się do opieki nad tablicami, co znaczy, że zostawałyśmy po lekcjach i czyściłyśmy tablice, a potem brałyśmy czerwone, białe i niebieskie szczotki i waliłyśmy nimi o ceglany mur szkoły, tworząc śmieszne wzory z kredowego pyłu. Wchodząc, słyszałyśmy dobiegającą z pokoju nauczycielskiego nieznaną melodię, śpiew panny Farris i zgodnie stwierdzałyśmy, że to przecież aria z operetki.

Rokrocznie w marcu szkoła wystawiała operetkę, co wymagało nakładu rozmaitych sił i środków i na pewien czas wywracało nasze życie do góry nogami. Za wystawienie operetki odpowiadali: panna Farris, która przez resztę roku szkolnego nie zajmowała się niczym szczególnym, tylko uczyła trzecie klasy i co rano podgrywała na pianinie Marsza tureckiego, by zapędzić nas na lekcje, i pan Boyce, organista ze Zjednoczonego Kościoła, który dwa razy w tygodniu prowadził w szkole zajęcia muzyczne.

Pan Boyce budził zaciekawienie i awersję, bo w niczym nie przypominał

zwykłego nauczyciela. Był niski, miał rzadkie wąsy, okrągłe oczy i ciapowatą minę jak przeżute toffi. Pochodził z Anglii. Przyjechał do Kanady na początku wojny. Przeżył zatopienie Athenii. Pan Boyce w szalupie na Północnym Atlantyku - coś niewiarygodnego! Już po przebiegnięciu kilku kroków z samochodu pod drzwi szkoły zimą dostawał nerwowej zadyszki. Przynosił do klasy gramofon i puszczał na przykład uwerturę Rok 1812, pytając, do jakich refleksji skłania nas ta muzyka, jakie uczucia budzi. Przywykli do pytań faktograficznych, konkretnych, popatrywaliśmy na podłogę, chichotaliśmy i trzęśliśmy się lekko, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego. Patrzył na nas z niechęcią i mówił: „Zapewne myślicie tylko o tym, jak bardzo nie chce wam się tego słuchać”, i wzruszał ramionami w sposób zbyt delikatny, zbyt... osobisty jak na nauczyciela.

Panna Farris urodziła się w Jubilee. I ona chodziła do tej szkoły, wspinała się po tych długich schodach, wydeptanych w dwóch miejscach przez niezliczone nogi w takt Marsza tureckiego, którego pewnie grano tutaj od zarania dziejów. Jej imię - Elinor - znali wszyscy. Mieszkała w (swoim własnym) małym domku blisko chodnika przy Kamieniarskiej, nieopodal domu Naomi, i chodziła do Zjednoczonego Kościoła. Jeździła na łyżwach, raz w tygodniu, wieczorami, przez całą zimę, i nosiła garsonkę z ciemnoniebieskiego aksamitu, uszytą własnoręcznie, bo nigdy nie byłoby jej stać na taką ze sklepu. Do garsonki, obszytej białym futerkiem, miała dopasowaną białą futrzaną czapkę i mufkę. Spódnica była krótka i szeroka, podbita bładoniebieską taftą; całości dopełniały białe trykoty. Taki strój mówi wiele na temat charakteru właścicielki.

Panna Farris miała swoje lata. Farbowała henną włosy, przycięte zgodnie z modą panującą w latach dwudziestych; zawsze różowała policzki i podmalowywała usta, nadając twarzy uśmiechnięty wyraz. Na ślizgawce zataczała koła, aż jej spódnica wzdymała się niczym błękitny żagiel. Mimo to panna Farris sprawiała wrażenie oschłej, drętwej i naiwnej, a jej jazda na łyżwach była raczej popisem nauczycielki niż kobiety.

Ubrania szyła sobie sama. Nosiła bluzki z długimi rękawami, z golfem, rustykalne koszule ściągane u dołu sznurkiem i obszyte ozdobną tasiemką, wielkie białe żaboty i mankiety z koronek, wykładane lustrzanymi gwiazdkami guziki w jaskrawych kolorach. Ludzie śmiali się z niej, choć nie tak bardzo jak z przyjezdnych. Fern Dogherty, która wynajmowała u nas pokój, mówiła: „Biedactwo, chce złapać mężczyznę, ostatecznie każdy ma

prawo robić to po swojemu”.

Tyle że starania panny Farris kończyły się niepowodzeniem. Co roku ona i pan Boyce romansowali niby, zwykle w atmosferze skandalu. Działo się to jakoby w trakcie przygotowań do inscenizacji operetki. Podobno obściskiwali się, grając na pianinie, on trącał stopą jej stopę na pedale, a nawet zwracał się do niej po imieniu. Lecz najrozmaitsze pogłoski na ich temat traciły sens, gdy tylko spojrzano się na pannę Farris, jej drobną kościstą twarzyczkę, ledwo muśniętą różem, wstydliwie ożywioną, igrającą w kącikach jej ust rozedrgany uśmiech, jasne wystraszone oczy. Jeżeli czegoś pragnęła, to chyba nie pana Boyce'a. Wbrew zdaniu Fern Dogherty wątpię, aby chodziło o mężczyznę.

Pasjami kochała operetkę. Jednak z początku nie dała nic po sobie poznać, kiedy weszła do naszej klasy z panem Boyce'em około drugiej pewnego mglistego śnieżnego popołudnia, a my, na wpół uśpione przepisywałyśmy coś z tablicy i panowała taka cisza, że dało się słyszeć bulgotanie wody w rurach gdzieś w głębi budynku. Gdy pan Boyce podał ton, prawie szeptem kazała wszystkim wstać i zaśpiewać:

Znacie Johna Peela, co płaszcz ma pstrokaty

Znacie Johna Peela, co ze słońcem wstaje

Znacie Johna Peela, kiedy on w dal siną

Z ogarami na koniu rankiem się zapuszcza?

Nasz nauczyciel i dyrektor szkoły pan McKenna pokazał nam, co o tym sądzi, nie przerywając pisania na tablicy. „Dolinę Nilu chroniły przed napaścią trzy sąsiednie pustynie - Libijska, Nubijska i Arabska”. Jak mógł, starał się walczyć o swoje, ale ostatecznie i tak był bezradny. Pieśń rozrastała się, niweczyła jego zasady, burzyła przyjęty rytm lekcji jak ogrodzenia z zapalek. Panna Farris i pan Boyce taktownie chodzili po klasie na paluszkach,

z pochylonymi głowami wylawiając pojedyncze głosy. Do czasu. Na razie jeszcze trzymali na wodzy swą muzyczną pasję, aby uwolnić ją w stosownej chwili, aż nadmie się jak cyrkowy balon, przytłaczając nas swoim ogromem.

Łagodnie skinęli na część osób, by usiadły. Musiałam usiąść ja i - co mnie ucieszyło - Naomi także. Innym kazali śpiewać dalej, wywołując niektórych na środek kiwnięciem głowy.

Obsadzanie operetki było nieobliczalne. Okazało się, że by stwierdzić, kto pasuje do danej roli w stu procentach, kto ma nikłe szanse, a kto w ogóle nie nadaje się do spektaklu, należy zaprząć uczniów do składania wieńca maków na pomniku z okazji rocznicy zakończenia wojny, do wyborów rady Uczniowskiego Kółka Czerwonego Krzyża i do noszenia listów od jednego nauczyciela do drugiego przez dziwnie opustoszałe korytarze, że nie wspomnę o innych niedorzecznościach. Na czele listy znalazły się: Marjory Coutts, której ojciec był adwokatem i członkiem lokalnej legislatury, i Gwen Mundy, której ojciec miał zakład pogrzebowy i sklep z meblami. Nikt nie kwestionował ich pozycji. Co więcej - gdy nadarzyła się okazja wpłynięcia na skład zarządu Kółka - bez wahania, z powagą i wyczuciem wybraliśmy je sami. Od lat cieszyły się sympatią w miasteczku i w szkole, zdecydowane, taktowne, dyskretne i uprzejme, zasługiwały na to bardziej od innych uczniów. Ci, którzy nie budzili zaufania, wykazywali zapędy dyktatorskie, potykali się po drodze do pomnika albo zerkali do listów na korytarzu, byli wybierani sporadycznie, zbyt ambitni i niepewni, jak Alma Cody, znawczyni tajników płci, jak Naomi, jak ja.

Równie oczywiste jak wybór Marjory i Gwen, było to, że nigdy nie zostaną wybrani: gruba Beulah Bowes o zwisającym z krzesła zadzie, w który chłopcy wbijali stalówki, milcząca Włoszka, która często zwalniała się z lekcji z powodu choroby nerek, i ślamazarny wąty albinos, którego ojciec prowadził sklep spożywczy i który przeżył szkołę dzięki licznym daninom w postaci żelków, cukierków z lukrecji i ciągutek. Tacy jak oni siedzieli w ostatnich rzędach, nigdy nie byli wywoływani do rozwiązywania zadań arytmetycznych na tablicy, a w Dniu Świętego Walentego dostawali po dwie kartki (od Gwen i Marjory, które spokojnie słały je każdemu, bez obaw o własną reputację). Przechodzili tak z klasy do klasy, stopień za stopniem, w sensnej, nienaruszalnej samotności. Włoszka pożegnała się z życiem jako

pierwsza z nas, jeszcze w ogólniaku; wspomiano ją ze zmieszaniem i spóźnioną dumą.

„W końcu była w naszej klasie”.

Dobry głos można odkryć niemal na każdym kroku. Beulah Bowes, Włoszka i albinos nie ujawnili takich zdolności, co bynajmniej nie przesądzało sprawy. Bo oto serca panny Farris i pana Boyce’a podbił bez reszty chłopiec, który siedział za mną, chłopiec, którego umieściłabym na samym końcu listy rzadko obsadzanych: Frank Wales.

Jego wybór nie powinien był mnie zdziwić. Słyszałam go za sobą co rano, kiedy śpiewaliśmy Boże, chroń króla, i raz w tygodniu, podczas odwiedzin pana Boyce’a, w Johnie Peelu, „Łagodnym pływ nurtem, słodka Afton i Jak daniel złąkniony chłodzących strumieni, gdy go zgrzeje pościg (dość długo sądziłam, że w pieśni chodzi o młodzieńca imieniem Daniel). Śpiewał nieskazitelnym jeszcze sopranem, naturalnym, wprost niezemskim, kojącym i nierzeczywistym jak dźwięk fletu. (Flet prosty, na którym nauczył się grać do roli w operetce, stał się dla niego jakby przedłużeniem głosu.) Frank był nieświadomy swojego daru do tego stopnia, że kiedy przestawał śpiewać i jego głos raptownie zniknął, odnosiło się wrażenie obcowania z jakimś abstrakcyjnym bytem.

O Franku Walesie wiedziałam tylko tyle, że robi szkaradne błędy ortograficzne. Musiałam poprawiać mu sprawdziany z pisowni. A potem szedł do tablicy, potulny, acz niewzruszony, i przepisywał trzykrotnie każdy wyraz, co najwyraźniej też niewiele pomagało. Trudno było uwierzyć, że jego błędy to nie przekora ani uparty złośliwy żarcik, ale też właściwie nic nie świadczyło na jego niekorzyść. Poza tym nie był ani zbyt inteligentny, ani głupi. Zapewne wiedział, gdzie leży Morze Śródziemne, ale o położeniu Morza Sargassowego nie miał pojęcia.

Kiedy wrócił do ławki, odwróciłam się i podałam mu linijkę, na której napisałam: „Jaką dostałeś rolę?”. Klasa stanowiła obszar zawieszenia broni, gdzie dopuszczalna była

neutralna, lecz tajna komunikacja między dziewczętami a chłopcami.

Odpisał na odwrotnej stronie: „Szczurołapa”.

I tak dowiedziałam się, że wystawiamy Flecistę z Hameln. Poczułam zawód na myśl, że w naszej operetce nie będzie scen dworskich, dam dworu, pięknych kostiumów. Niemniej bardzo pragnęłam w niej zagrać. Panna Farris zaczęła wybierać tancerki do sceny wesela wieśniaków.

- Potrzebuję cztery dziewczynki, które potrafią trzymać głowę prosto i mają poczucie rytmu. Marjory Coutts, Gwen Mundy i kto jeszcze? - Powędrowała wzrokiem po ławkach, zatrzymując się na kilku, również na mojej, w której siedziałam z wyciągniętą szyją i wyprężonymi ramionami, z promiennym, ale dumnie niezobowiązującym wyrazem twarzy, gwałtownie, w wymyślony przez siebie sposób wykręcając palce pod blatem, by dodać sobie otuchy. - Alma Cody i... June Gannett. A teraz czterech chłopców, których taniec nie przyniósłby nam wstydu...

Cierpiałam. A jeśli każą mi tylko statystować, wypchną mnie na sam tył sceny? Kto wie, czy w ogóle na niej nie stanę? Część uczniów miała siedzieć na ustawionych rzędami ławkach pod sceną, po dwóch stronach pianina, na którym grał pan Boyce, z dzieciakami z niższych klas, wybranymi do chóru, wszyscy ubrani jednakowo, w ciemne spódnice i białe bluzki, w białe koszule i ciemne spodnie. W ciągu minionych trzech lat przesiedziałam tam Księżniczkę czardasza, Tancerzy z Kerry i Skradzioną koronę. I pewnie z tych miejsc mieli oglądać Flecistę z Hameln Włoszka, gruba dziewczucha i albinos. Tylko nie ja! Nie ja! Nie wierzyłam w tę straszną niesprawiedliwość, która miała mnie powstrzymać przed wejściem na scenę.

Naomi też nie dostała roli. Nie rozmawialiśmy o tym po drodze do domu, tylko stroiłyśmy żarty z wszystkiego, co wiązało się z operetką.

- Ty będziesz panną Farris, a ja panem Boyce'em. Ach, najukochańsza,

moja ty ptaszyno, muzyka Flecisty z Hameln budzi we mnie dzikie żądze. Kiedy wreszcie pozwolisz uścisnąć się tak mocno, że strzeli ci kręgosłup, bo jesteś przeokropnie chuda?

- Nie jestem przeokropnie chuda, lecz przepiękna, a od twoich wąsów dostaję wysypki. Co poczniemy z panią Boyce, najdroższy?

- Nie martw się, najśłodszy mój aniele. Zamknę ją w ciemnej szafie pełnej karaluchów.

- Obawiam się, że może uciec.

- W takim razie zmuszę ją do połknięcia arszeniku, potnę na kawałeczki piłą i spuszczę w klozecie. Albo nie! Rozpuszczę ją w wannie ługu. Przetopię jej złote plomby na piękne ślubne obrączki dla nas.

- Skarbie, jakiś ty romantyczny!

Naomi została obsadzona w roli matki, która mówi: „Marteczko moja śliczna, pamiętasz, jak płąsałaś co dzień rano, gdy ja próbowałam zaplatać ci włosy? A ja cię tak beształam! Ach, żebym choć raz jeszcze mogła ujrzeć twoje pląsy!”. Miała też następującą kwestię w ostatniej scenie przedstawienia: „Cieszę się tak, że już nigdy nie powiem złego słowa o sąsiadach, przestanę być sknerą, co wiecznie plotkuje!”. Uznałam, że wybrano ją z uwagi na niską i krępą sylwetkę; nietrudno było jej nadać wygląd statecznej matrony. Tego dnia musiałam wracać ze szkoły sama; uczniowie z rolami mówionymi zostali na próbie.

- Co z tą operetką? - zapytała matka, mając na myśli, czy dostałam rolę.

- Jeszcze nic nie robią. Nie ma nawet obsady.

Po kolacji poszłam na Kamieniarską i zatrzymałam się pod domem panny Farris. Nie bardzo wiedziałam po co. Zaczęłam łązić w tę i z powrotem po ubitym śniegu; bezszelestnie. Panna Farris, jak to ona, nie zaciągnęła żaluzji. Dom był maleńki, prawie jak domek dla dzieci, biały z niebieskimi okiennicami, spiczastym dwuspadowym dachem oraz oknami i drzwiami zwieńczonymi falistym drewnianym ornamentem. Wybudowała go za pieniądze po zmarłych rodzicach. Podobne domy - urocze, nieco dziwaczne, jakby przeznaczone do zabawy, a nie do mieszkania - pokazywano nieraz w filmach, ale w tej okolicy były czymś niespotykanym. W porównaniu z innymi domami w Jubilee dom panny Farris zdawał się nie

mieć tajemnic, nie budził w nikim sprzeciwu. Ludzie mówili: „Taki ładny, jak nieprawdziwy”, i właściwie nic poza tym, nic im w nim nie przeszkadzało.

Znudzona, pokręciłam się tam jeszcze chwilę i wróciłam do domu.

Następnego dnia panna Farris wkroczyła do klasy w towarzystwie June Gannett, podeszła do mojej ławki pewnym krokiem i powiedziała: „Podnieś się, Del”, w taki sposób, jakbym miała zrobić to bez napominania i - w coraz bardziej operetkowym stylu - kazała nam stanąć plecami do siebie. Zrozumiałam, że chodzi o wzrost June, ale nie wiedziałam, czy jest za niska, czy też za wysoka, nie mogłam więc odpowiednio skurczyć się ani rozciągnąć. Panna Farris położyła nam dłonie na głowach, przybliżając je do siebie niezgrabnym ruchem. Stała tak blisko, że poczułam ostrą woń jej potu. Jej ręce trzęsły się, a ciało przenikał słaby jeszcze, ale już niebezpieczny dreszczyk podniecenia.

- June, jesteś o pół cala za wysoka, moje dziecko. Zobaczymy, czy jakoś da się zrobić z ciebie matkę.

Naomi, ja i inni wymieniliśmy stosownie obojętne spojrzenia; pan McKenna powiódł po sali nachmurzonym wzrokiem.

- Kto będzie ci partnerował? - szepnęła Naomi parę godzin później, w

szatni, gdy przepychaliśmy się po buty. Musiałyśmy wychodzić kolejno, rzędami, brać wierzchnie ubrania z szafek, zanosić je do klasy i kłaść na swoich miejscach dla zachowania porządku.

- Jerry Storey - wyznałam.

Nie byłam zbyt zadowolona z doboru partnerów, który najwyraźniej miał być strzałem w dziesiątkę. Gwen Mundy i Marjory Coutts przydzielono Murraya Heala i George'a Kleina, którzy byli poniekąd ich męskimi odpowiednikami w klasie - bystrzy, wysportowani i, gdy wymagała tego sytuacja, w miarę kulturalni. Alma Cody dostała Dale'a McLaughlina, syna duchownego ze Zjednoczonego Kościoła. Był on wysoki, niemrawy, bezsensownie zuchwały, nosił grube, ciężkie okulary i miał zezą. Odbył już stosunek płciowy, mniej więcej, z Violet Toombs w składziku na rowery za szkołą. Mnie dostał się Jerry Storey z burzą loczków na głowie i oczami wybałuszonymi od nadmiaru wiedzy. Na chemii podnosił rękę i opisywał swoje domowe doświadczenia znużonym, monotonnym głosem. Znał nazwy wszystkiego - żywiołów, roślin, rzek i pustyń na mapie. Wiedział, gdzie leży Morze Sargassowe. Gdy ćwiczyliśmy tańce, ani razu nie spojrzał mi w twarz. Pociły mu się ręce. Mnie także.

- Biedactwo! - uzalała się nade mną Naomi. - Wszyscy będą teraz myśleć, że go lubisz.

Nie obeszło mnie to jednak. Operetka stała się wiodącym tematem w szkole. Tak jak podczas wojny każdy zapominał, co stanowiło o życiu przed jej wybuchem - nikt już nie pamiętał, jak wyglądała szkoła, nim zapanowały w niej podniecenie, zamęt i napięcie związane z przygotowaniem do spektaklu. Próby tańca odbywały się po szkole, jak również w godzinach nauki, w pokoju nauczycielskim. Nigdy jeszcze tam nie byłam i trochę zdziwił mnie widok małego kredensu z kretonowymi zasłonkami, kubków do herbaty, przenośnej kuchenki, butelki aspiryny, wysiedzianej skórzanej kanapy. Nauczyciele nie kojarzyli mi się dotąd z tak prozaiczną, a nawet nieco niechlujną codziennością.

Co rusz działo się coś dziwnego. Pod stropem pokoju nauczycielskiego był

właz kanalizacyjny. Któregoś dnia przyszliśmy na próbę i zobaczyliśmy tam, odziany w szarobrazowe spodnie, zadek... pana McKenny, który strasznie się wykreczał, próbując na oślep wymacać pod nogami drabinkę. Zniósł kilka tekturowych pudeł, które odbierała od niego panna Farris, z okrzykami:

- O to, to, to, to właśnie! Trzeba dobrze przejrzeć te bogactwa!

Zerwała sznurek z kolejnego pudła silnym szarpnięciem i wysypała ufarbowany na czerwononiebiesko kawałek gazy, ozdobiony pętelkami ze złotych i srebrnych nici, jakie wieszają się na choince. Później korony z kartonu obłożonego złotkiem i sreberkiem. Rdzawe aksamitne bryczesy, żółty szal w tureckie wzory, z frędzlami, kilka sukien dworskich z popielatej, szeleszczącej jak papier tafty. Pan McKenna, któremu nawet nie podziękowała, stał z boku, otrzepując kurz ze spodni.

- Dzisiaj nie tańczymy! Chłopcy, idźcie grać w hokeja! (Ubzdurzyła sobie, że to jedyne pozaszkolne zajęcie chłopców.) Dziewczęta, pomóżcie mi to uporządkować. Co z tego pasuje do wioski w średniowiecznych Niemczech? Nie wiem, nie wiem. Te suknie są zbyt strojne. Zresztą i tak rozleciałyby się na scenie. Nagrały się w Skradzionej koronie. Okres świetności mają już za sobą. Czy te bryczesy nadadzą się dla majora? O właśnie, właśnie! Muszę zrobić dla niego łańcuch! Muszę też poprawić kostium dla Franka Walesa. Ostatni nasz Szczurołap był dwa razy grubszy. Kto to był? Zapomniałam, w każdym razie grubas. Obsadziliśmy go wyłącznie z uwagi na głos.

- Do ilu operetek są tutaj kostiumy? - spytała, przybierając swój uprzejmy, miły ton, Gwen Mundy, która nie wstydziła się nauczycieli.

- Do sześciu - odparła fatalistycznie panna Farris. - Do Flecisty z Hameln, Księżniczki czardasza, Skradzionej korony, Kniazia arabskiego, Tancerzy z Kerry, Córki drwala. Kiedy ruszamy z pracą nad nowym przedstawieniem, mamy do obsadzenia zupełnie nową grupę uczniów, no i za każdym razem modlimy się, by publiczność zapomniała poprzedni spektakl. - Podniosła podbity czerwienią płaszcz z czarnego aksamitu, otrzepała go i narzuciła sobie na ramiona. - Nosił go na scenie Pierce Murray, pamiętacie, gdy grał

kapitana w Księżniczce czardasza. No skąd! Nie możecie pamiętać, bo to było w trzydziestym siódmym roku. Potem zginął, jako lotnik sił powietrznych. - Powiedziała to z roztargnieniem, jakby Murray zasłużył się w życiu tylko i wyłącznie rolą w jej operetce. - Ilekroć go zakładał, robił obrót, o, taki, i odsłaniał podszewkę.

Wykonała wyszukany obrót. Jej wskazówki, zarówno dotyczące grania, jak i tańca, były mocno egzaltowane, tak jakby chciała nas poruszyć, porwać za sobą. Obrażała nas, mówiła, że tańczymy jak starzy artretycy, że powkłada nam do butów fajerwerki, ale też nie odstępowała nas ani na chwilę, jakbyśmy mimo wszystko potrafili wykrzesać z siebie ogień i zatańczyć olśniewająco pięknie; tak jakby była zdolna wydobyć z nas coś, o co nikt dotąd nawet nas nie podejrzewał.

Do pokoju nauczycielskiego przyszedł pan Boyce, po flet prosty, na którym uczył grać Franka Walesa. Zobaczył obrót.

- Con brio - rzekł z powściąganym zaskoczeniem, jak to Anglik. - Con brio, panno Farris!

Panna Farris, wciąż rozkołysana, ukłoniła się wytwornie - za naszą niemą zgodą, bo rumieniec, który zalał jej uróżowane policzki jak promienie wschodzącego słońca, nie miał w tym momencie nic wspólnego z panem Boyce'em i był jedynie oznaką radosnego spełnienia tancerki. Złapaliśmy con brio. Nie zrozumieliśmy znaczenia frazy i wcale się tym nie przejęliśmy, ale zabrzmiała ona absurdalnie - jak każdy wyraz w obcym języku - i dramatycznie wybuchowo. Jej trafność została rozpoznana. Długo po zakończeniu operetki panna Farris nie mogła przejść szkolnym korytarzem czy minąć nas po drodze na ulicy, z beztroskim żwawym śpiewem na ustach, jak miała to w zwyczaju („Młody Minstrel - dzień dobry, dziewczynki! - na wojenkę idzie...”) - nie słysząc gdzieś w pobliżu tych słów, szeptanych przez nas niby ukradkiem. „Con brio, panno Farris”. Czuliśmy, że puentują jej szczęście, dodają jej animuszu.

Zaczęliśmy chodzić na próby do ratusza. W wielkiej sali koncertowej jak zawsze szalały przeciągi, a kurtyna z odwiecznego granatowego aksamitu, z

frędzlami, wyglądała dostojnie jak zwykle. W dni przyćmione zimą paliły się tam lampy, lecz tylny kraniec widowni był ciemny i panna Farris znikła nam czasem z oczu, krzycząc: „Nic tu nie słycać! Nie słyszę ani słowa! Czego się boicie? Chcecie, żeby widzowie z tylnych rzędów domagali się zwrotu pieniędzy?!”.

Jej desperacja powoli sięgała zenitu. Ciągle miała w rękach jakieś szycie. Któregoś dnia przywołała mnie i wręczyła mi kawałek złotego galonu, którym obszywała aksamitną czapkę majora. Kazała mi iść biegiem do sklepu Walkera i kupić ćwierć jarda identycznego. Drżała, jej rozwibrowanie stało się jeszcze bardziej widoczne. „Nie zwlekaj” - upomniała, tak jakbym szła po niezbędne lekarstwo czy też niosła wieść, która ma ocalić armię. Wybiegłam więc w rozpiętym płaszczu - i otoczyło mnie przysypane świeżym śniegiem Jubilee, jego ciche ulice, zasnute bielą. Ratusz za mną zdawał się jarzyć jak sztuczne ognie, rozświetlony fanatycznym wprost oddaniem. Oddaniem tworzeniu rzeczy nierealnej, nie do końca wprawdzie potrzebnej, ale - odkąd w nią uwierzyliśmy - najważniejszej w życiu.

Wyzwoleni przez operetkę z rutyny codzienności, wspominając klasę - gdzie pan McKenna robił sprawdziany z ortografii i kazał rozwiązywać w pamięci równania uczniom, których nie obsadzono - jako smutne i pogrążone w mroku porzucone miejsce, staliśmy się teraz sprzymierzeńcami panny Farris. Łącząc, przygotowane wpierw osobno, części operetki, traktowaliśmy ją już jako całość. Zawarta w niej historia wzruszyła mnie i nadal wzrusza. Myślałam, jak bardzo wyobcowaną, silną, a zarazem bezbronną i tragiczną postacią jest Szczurołap. Nie dziwiło go żadne łajdactwo; gnębiony przez wszystkich wokół, zachował swój znękany honor niczym Humphrey Bogart. Nawet jego zemsta (zepsuta oczywiście przez zmienione zakończenie) nie wydawała się złowroga, tylko niemal czuła, była straszliwym czułym odwetem w imię wyższej konieczności. Według mnie Frank Wales, „mistrz” ortografii, wszedł w rolę płynnie, naturalnie, nie siłąc się na aktorstwo. Wniósł na scenę właściwą sobie rezerwę i obojętność, i to się sprawdziło. Po raz pierwszy zobaczyłam, jaki jest naprawdę, jak wygląda. Zobaczyłam jego wydłużoną wąską głowę, ciemne, przyszczyżone krótko jak szorstka wycieraczka włosy, twarz pełną melancholii, pod którą krył się jakby nigdy nieujawniony komizm, blizny po wypryskach i świeżo rozkwitłą krostę na karku. Ciało miał smukłe tak jak twarz. Jak na chłopca z naszej klasy był średniego wzrostu - to znaczy: mierzył ociupinę mniej ode mnie. Poruszał się

żwawym, swobodnym krokiem, krokiem człowieka, który nie potrzebuje ani kryć się w cieniu, ani też zwracać na siebie uwagi. Niezmiennie nosił błękitno-szary sweter z cerą na łokciu - i tę przydymioną barwę, tak zwykłą, powściągliwą i tajemniczą, odbierałam jako jego kolor, kolor jego jaźni.

Zakochałam się w nim. Pokochałam Szczurołapa. Kochałam Franka Walesa.

Musiałam z kimś o nim porozmawiać, porozmawiałam więc z matką, udając, że jestem wobec niego obiektywna i krytyczna.

- Potrafi śpiewać, ale jest za niski. Nie sądzę, by na scenie wyróżniał się na tle innych.

- Jak się nazywa? Wales? To syn tej gorseciarki? Kiedyś kupowałam gorsety u Walesowej... wyszczuplające, ale już ich nie ma. Mieszkała na Beggsa, za cmentarzem.

- To na pewno jego matka - wpadłam w dziwną euforię na myśl, że coś łączy rodzinę Franka Walesa z moją, jego życie z moim. - Chodziłaś do niej? Była u nas?

- Chodziłam, inaczej się nie dało.

Chciałam zapytać, jak wyglądał dom, czy w salonie wisały fotografie, o czym mówiła jego matka, czy wspominała o dzieciach. Gorąco liczyłam, że się zaprzyjaźniły, że gawędziły o najbliższych, że przy kolacji tego dnia, gdy się poznały, pani Wales powiedziała: „Miałam dziś uroczą klientkę; przymierzała gorset, jej córka jest w tej samej klasie co ty...”. Co by z tego wynikło? Wzmianka o mnie w jego obecności, mój obraz przed jego oczami.

Atmosfera uniesienia, jaka opanowała ratusz, udzieliła się nie tylko mnie. Zrytualizowana niechęć między chłopcami a dziewczętami zaczęła pękać w szwach. Nie sposób było ją podtrzymywać, a jeśli już, to żartobliwie, z poufałym zmieszaniem.

Wracając do domu, Naomi i ja jadłyśmy batoniki toffi po pięć centów, z uwagi na ziąb strasznie trudne do gryzienia i jeszcze trudniejsze do żucia. Rozmawiałyśmy z pełnymi ustami. Ostrożnie.

- Kogo chciałabyś za partnera, gdyby nie musiał to być Jerry Storey?

- Nie wiem.

- Murraya? George'a? Dale'a?

Pewnie pokręciłam głową, hałaśliwie ssąc kęs toffi.

- Franka Walesa - orzekła Naomi diabolicznym tonem. - Powiedz, tak czy nie? No, mów! A ja ci powiem, kogo ja bym chciała.

- Nie miałabym nic przeciwko - odparłam bez pośpiechu przytłumionym głosem - Frankowi.

- A ja mogłabym się obejść Dale'em McLaughlinem - oznajmiła Naomi buńczucznie i dość zaskakująco, bo ukrywała to o wiele lepiej niż ja. Odwróciła się przy zaspie, by wypluć nadmiar śliny, i wróciła do jedzenia batonika. - Chyba oszalałam - powiedziała w końcu. - Bardzo mi się podoba.

- Mnie bardzo podoba się Frank Wales - wyznałam szczerze. - Też chyba oszalałam.

Później rozmawiałyśmy już tylko o tych dwóch chłopcach. Nazwałyśmy ich FZ. W skrócie od fatalnego zauroczenia.

- Idzie twój FZ. Żebyś nie zemdlą!a!

- Może sprawisz swojemu FZ jakąś maść na te pryszcze!

- FZ chyba spojrział na ciebie, no ale ma zeza, więc nigdy nie wiadomo.

Obmyśliłyśmy tajny system kodów obejmujący unoszenie brwi, przebieranie dłonią przy piersi, jak również bezgłośnie wypowiedane słowa typu „Ale ciśnie!” (gdy stawałyśmy obok nich na scenie), „Furia, ślepa furia” (gdy rozmawiając z Alną Cody, Dale McLaughlin pstryknął ją palcem w szyję) i „Pęknię” (gdy połaskotał Naomi pod pachą i krzyknął: „Z drogi, tłuściochu!”).

Naomi zainteresowała się incydentem w składziku na rowery. Dziewczyna, z którą zrobił to Dale McLaughlin, chora na astmę Violet Toombs, wyprowadziła się z miasteczka.

- I bardzo dobrze, bo okryła się tu hańbą!

- Nie tylko ona tego chciała.

- Akurat! Wszystko przez nią.

- Jak przez nią, skoro przycisnął ją do ziemi?

- Niemożliwe - odrzekła stanowczo Naomi - bo nie mógł jej przyciskać i równocześnie... wkładać fiutka. Chyba się ze mną zgodzisz?

- Nie mogłabyś go zapytać? Powiem mu, że cię to ciekawi.

- Według mojej matki zawsze winna jest dziewczyna - Naomi całkiem

zignorowała tę sugestię. - Cała odpowiedzialność spoczywa na dziewczynie, bo nasze narządy płciowe są w środku, a chłopcy mają je na wierzchu, i my umiemy opanować popęd o wiele lepiej niż oni. Chłopak musi sobie ulżyć - pouczyła mnie złowieszczym, acz osobliwie pobłażliwym tonem, dopuszczającym anarchię i zagadkowe okrucieństwo powszechne w tym bliskim świecie.

Rozmowy tego rodzaju pociągały mnie, a jednak, dochodząc do końca Rzecznej,

nie raz żałowałam, że nie udało mi się zachować tego sekretu dla siebie, jak każdy, komu nie udaje się utrzymać swojej tajemnicy. „Frankowi Walesowi nie staje, bo nie dostał mutacji” - stwierdziła Naomi, zapewne przekazując kolejne objawienie swojej matki, co zaintrygowało mnie i zaniepokoiło, tak jakbym dotąd błędnie określała uczucia wobec niego, kierowała je w jakąś nieodgadnioną sferę. Nie bardzo wiedziałam, czego chcę od Franka Walesa. Raz po raz miewałam sen na jawie z jego udziałem. Wyobrażałam sobie, że wraca ze mną do domu po spektaklu operetki. (Pomału oswajaliśmy się z myślą, że tego wieczoru chłopcy - niektórzy - będą szli do domu z - niektórymi - dziewczętami, ale Naomi i ja nawet tego nie rozważaliśmy, oszczędne w wyrażaniu naszych najzarliwszych pragnień.) Szliśmy przez zanurzone w ciszy ulice Jubilee, szliśmy pod latarniami, a nasze drżące cienie stapały się ze śniegiem i w tym cudownym, mrocznym, opustoszałym miasteczku otaczał mnie swoim prawdziwym, niewiarygodnym, lecz kojącym i czułym śpiewem, albo - w bardziej realistycznych wariantach snu - niesłychalną muzyką swojego istnienia. Miał na sobie spiczastą czapkę, przypominającą błazeńską, i kolorowy - z przewagą błękitu - płaszcz ze skrawków, który uszyła dla niego panna Farris. Często przywoływałam tę wizję, zasypiając, i ogarniała mnie niesamowita błogość, czułam przypływ spokoju i zadowolenia. Potem przymykałam oczy i, niesiona radością, wpływałam w noc, tyle że to, co mi się wtedy śniło, nie było przyjemne, a pełne prozaicznych trosk, jak zawieruszone gdzieś skarpetki czy bezowocne poszukiwania mojej klasy, bądź lęków - jak we śnie, w którym tańcząc na scenie ratusza, uzmysławiam sobie, że zapomniałam przybrać głowę.

Na próbie generalnej panna Farris wrzeszczała wniebogłosy: „Nie wytrzymam, rzucę się z tej wieży! Jeszcze chwila! Chcecie mnie mieć na sumieniu?!”. Przeciągnęła rozcapierzonymi palcami po policzkach tak zajadle, jakby chciała wydrapać w nich dziury. „Wróć, wróć, darujmy sobie

ten ostatni kwadrans! Odpuśćmy ostatnie pół godziny! Zaczynjcie jeszcze raz, od początku!”

Pan Boyce uśmiechnął się, rozanielony, i zaintonował początkowy refren.

I wreszcie nadszedł ten wieczór. O stosownej porze salę wypełnili ludzie. Wystrojeni, szurali nogami, niecierpliwie pochrzękując na widowni, gdzie dotąd panował mrok i rozbrzmiewały echem nasze głosy. Scena zdawała się oślepić blaskiem świateł i, zastawiona teraz kartonowymi fasadami domów i fontanną z tektury, wydawała się nam wprost niewyobrażalnie ciasna. Wszystko działo się w zawrotnym tempie i raptem skończyło się, urwało. Teraz nie mieliśmy już wpływu na nic. Nasze wysiłki stały się nieodwołalne. Po tylu przygotowaniach, próbach trudno było uwierzyć, że oto wystawiamy operetkę. Pan Boyce włożył frak, w którym podobno wyglądał idiotycznie.

Izbę posiedzeń Rady Miejskiej, mieszczącą się bezpośrednio pod sceną i połączoną z nią schodkami, podzielono na garderoby za pomocą zasłon na sznurach. Panna Farris, w fartuchu na nowej karminoworóżowej sukni z baskinką, tuszowała sobie brwi i szminkowała usta, malowała czerwone kropki w kącikach oczu, muskała płatki uszu ochrą i obsypywała włosy mąką. Panował przeraźliwy rwetes. Zapodziały się niezbędne części kostiumów; ktoś nadepnął na rąbek spódnicy żony majora i rozdarł ją w pasie. Alma Cody wzięła cztery tabletki aspiryny na uspokojenie i dostała zawrotów głowy. Zlana zimnym potem, siedziała na podłodze, powtarzając, że zaraz zemdleje. Pozrywała się część zasłon. Chłopcy zobaczyli dziewczęta w bieliźnie, a dziewczęta chłopców. Ubrane w czarne spódnice i białe bluzki, chórzystki miały zakaz wstępu do izby posiedzeń, ale złamały go i śmiało ustawiły się w szeregu przed panną Farris, która, nieporuszona, umalowała je wszystkie.

Wcale się nie denerwowała. Sądziliśmy, że będzie się pieklić jak przez cały tydzień, lecz - nic podobnego.

- Może się upiła - rzekła Naomi, rumiana jak przystało na matronę. - Wyczułam coś od niej.

Ja nie wyczułam niczego poza wodą toaletową Dzikie Róże i ostrym zapachem potu. Tak czy owak lśniła od cekinów zdobiących zakiet jej sukni w cyrkowo wojskowym stylu i nieomal unosiła się nad ziemią jak nie ona, mówiła łagodnie, poruszając się w całym tym zgiełku z nadspodziewanym spokojem.

- Zepnij spódnicę agrafką, Louise - poradziła żonie majora. - Już nic nie da się z tym zrobić. Z widowni na pewno nikt tego nie zauważy.

Niebywałe! Nie dalej jak wczoraj użerała się o najdrobniejszy szczegół, trzykrotnie kazała matkom pruć kostiumy i szyć wszystko od nowa!

- Takiej zdrowej, silnej dziewczyny jak ty nie zbije z nóg byle aspiryna, nawet gdybyś

zażyła jeszcze sześć tabletek - oświadczyła Almie Cody. - Wstawaj, moja panno!

Tancerki były ubrane w jaskrawe jedwabne spódnice, czerwone, żółte, zielone i niebieskie, oraz króciutkie haftowane białe bluzki, ściągane sznurkiem. Alma rozluźniła bluzeczkę, odsłaniając dół zuchwałych piersi. Pani Farris uśmiechnęła się tylko na to i odpłynęła w swoją stronę. Najwyraźniej nie dałaby się teraz sprowokować nikomu ani niczemu.

Tuż przed rozpoczęciem tańca moje przybranie głowy - wysoki średniowieczny stożek z kartonu owiniętego żółtą siatką, ze sflaczałym welonem, przekrzywił się lekko i zaczął niebezpiecznie zjeżdżać na bok. Musiałam przechylać głowę, jakby mnie strzykało w karku, i dotańczyłam tak do końca, zaciskając zęby, z przyklejonym uśmiechem.

Po odśpiewaniu Boże, chroń Króla, gdy kurtyna zapadła po raz ostatni, pobiegliśmy ulicą do fotografa, jeszcze w kostiumach, bez płaszczy, żeby

zrobił nam zdjęcia. Stłoczyliśmy się ciasno w oczekiwaniu wśród sepiowych wodospadów i włoskich ogrodów, które kiedyś służyły mu za tło. Dale McLaughlin znalazł krzesło, na którym zasiadali ojcowie rodzin w otoczeniu żon i dzieci. Ledwie usiadł, Alma Cody śmiało siadła mu na kolanach, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Jestem taka słaba. Jestem wykończona. Wiesz, że zażyłam cztery tabletki aspiryny?

Stałam przed nimi.

- Siadaj, siadaj! - zachęcił wesoło Dale.

Szarpnął mnie, tak że zwałam się na Almę, która wrzasnęła. Rozwarł długie nogi i obie runęłyśmy na podłogę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Mój średniowieczny stożek potoczył się pod krzesło. Dale podniósł go i wcisnął mi na głowę tyłem na przód. Welon opadł mi na oczy.

- Pięknie tak wyglądasz, w ogóle nic nie widać - rzucił Dale.

Próbowałam otrzepać stożek i założyć go jak trzeba. Nagle spomiędzy kotar wyłonił

się Frank Wales, już po zdjęciu, w swoim lichym, acz olśniewającym kostiumie.

- Teraz tancerze! - krzyknęła gniewnie żona fotografa, wystawiając głowę zza zasłony.

Nie uporawszy się jeszcze ze stożkiem, miałam pozować jako ostatnia.

- Przejrzyj się w moich okularach - zaproponował Dale, więc się przejrzałam, choć speszył mnie widok jego samotnego, uciekającego w bok oka, którym w dodatku łytał pożądliwie.

- Powinieneś odprowadzić ją do domu - zwrócił się do Franka Walesa.

- Kogo?

- No ją - odpowiedział Dale, wskazując mnie skinieniem. Moja głowa zachybała w jego okularach. - Nie znasz jej? Siedzi przed tobą w ławce.

Przeraziła mnie myśl, że stanę się obiektem kpiny. Poczułam pod pachami pierwsze strużki potu, nieomylny znak wzbierającego lęku przed upokorzeniem. Moja twarz zadrżała w głupkowatych oczach Dale'a. Perspektywa rychłego spełnienia marzeń przeraziła mnie raptem i obezwładniła.

Frank Wales odrzekł z namysłem i niebywałą galanterią:

- W sumie mógłbym, tylko że to kawał drogi.

Miał na myśli nasz dom przy Drodze na Moczary; długie wędrówki do szkoły przyniosły mi pewną popularność w klasie. Czyżby nie wiedział, że zamieszkałam w miasteczku? Szkoda było czasu na i tak zbędne wyjaśnienia, a poza tym istniało drobne ryzyko, którego wolałam nie podejmować, obawa, że wyśmieje mnie tym swoim cichym refleksyjnym parsknięciem i stwierdzi, że tylko żartował.

- Wszyscy tancerze! - ryknęła żona fotografa.

Odwróciłam się i po omacku ruszyłam za nią przez kotary. Rozczarowanie ustąpiło po chwili miejsca wdzięczności losowi. Powtarzałam w myśli słowa, które wypowiedział tonem nad wyraz łagodnym, rzeczowym, pełnym aprobaty, pięknym, jako pochwałę i prośbę o przebaczenie. Zniewalające

uczucie spokoju, jakiego doznawałam, pogrążając się w marzeniach, zawładnęło mną bez reszty podczas pozowania do zdjęć, poniosło mnie z powrotem do izby posiedzeń i towarzyszyło mi, gdy się przebieraliśmy - nawet kiedy Naomi powiedziała:

- Ludzie zrywali boki, jak przekrzywiałaś głowę w tańcu. Wyglądałaś jak marionetka ze zwichniętą szyją. Ale nie miałaś wyjścia. - Była w złym nastroju, który ciągle się pogarszał. Szepnęła mi do ucha: - Pamiętasz, co ci mówiłam o Dale'u McLaughlinie? To wszystko nieprawda. Wygłupiałam się, żebyś mi zdradziła swoje tajemnice, ha, ha, ha!

Panna Farris odruchowo zbierała i składała nasze kostiumy. Górę sukni miała obsypaną mąką i jej biust sprawiał wrażenie wklęsniętego, tak jakby się omsknął. Niemal nie podnosząc głowy, upomniała:

- Dziewczęta, proszę też pozdejmować te kokardki z butów. To wszystko przyda się następnym razem.

Przeszłam przez salę do wyjścia, gdzie czekali: matka, Fern Dogherty i mój brat Owen, w odświętnym stroju, z chorągiewką (przed podniesieniem kurtyny dzieciaki z młodszych klas musiały defilować, walić w werble i robić inne, równie bezsensowne rzeczy), którą pozwolono mu zatrzymać - i którą dźgał zaspę.

- Musiałaś się tak guzdrać? - zapytała matka. - Śliczny spektakl, skreśliło ci szyję? Ten cały Wales zapomniał zdjąć czapkę na Boże, chroń Króla.

Jej niekonwencjonalna ogląda zawsze wprawiała mnie w zdumienie.

W ciągu zaledwie tygodnia wszyscy zapomnieli o operetce. Wiszące jeszcze w szatni, wciąż niezwrócone części kostiumów przywoziliśmy na myśl choinkę szarzejącą na ganku miesiąc po świętach, nie całkiem rozebraną z anielskich włosów, jako przypomnienie czasu gorączkowych starań, które nagle wydają się zupełnie próżne. Powrót do solidnych, niepodważalnych

reguł pana McKenny przywrócił nas do rzeczywistości. Codziennie rozwiązywaliśmy kilkanaście działań arytmetycznych, żeby nadrobić zaległy materiał, bez obaw słuchając uwag typu: „Tak bardzo opuściliśmy się w nauce, że odtąd musimy porządnie przysiąc fałdów”. „Jedziemy z tym koksem!”, „wcisnąć gaz do dechy!”, „dorzućcie do pieca!”- wszystkie te ulubione powiedzonka pana McKenny, banalne i przewidywalne, sprawiały nam teraz osobliwą radość. Dźwigając do domu wielkie stopy książek, z mozołem szkicowaliśmy mapę Ontario i (najtrudniejszą na świecie) Wielkich Jezior - i uczyliśmy się na pamięć Wizji sir Launfala.

Zostaliśmy poprzესadzani. Sprzątanie ławek i zmiana sąsiadów okazały się nader inspirujące. Frankowi przypadło miejsce na drugim końcu sali. Któregoś dnia przyszedł woźny i wyciągnął z jednej z lamp coś, co tkwiło w niej aż od Halloweenu. Dotąd sądziliśmy, że to kondom, i kojarzyliśmy go z nazwiskiem Dale’a McLaughlina, ale ku naszemu zdumieniu okazało się, że jest to najzwyczajniejsza w świecie stara skarpetka. Widocznie nadszedł czas, by rozwiązać pogłoski. Przejść do konkretów, jak powiedziała by pan McKenna.

Moja miłość bynajmniej nie stopniała wraz z zimowym lodem. Nadal śniłam na jawie, czerpiąc jednak z przeszłości, bo teraz nie bardzo miałam czym podsycać te marzenia. Zmiana pory roku była tu decydująca. Według mnie nie wiosna, lecz zima nastrajała do miłości. Zimą udomowiona rzeczywistość kurczyła się znacznie i w małym, odciętym od świata kosmosie, który zamieszkiwaliśmy, żarliwe pragnienia zakwitwały chętniej. Wiosna zaś odsłaniała prozaiczną topografię okolicy - długie brunatne drogi, popękane wiekowe chodniki, połamane przez zimowe wichry gałęzie drzew, które musieliśmy uprzętać z ogrodów. Wiosna dobitnie ujawniała dystanse między nami.

W przeciwieństwie do większości naszej klasy, Frank Wales nie poszedł do liceum, tylko zatrudnił się w miejscowej pralni chemicznej. Jako że właściciel dopiero rozważał wprowadzenie furgonetek, klienci odbierali ubrania sami i do domu dostarczano im tylko niektóre. Frank Wales roznosił je po Jubilee i czasem spotykaliśmy go przy tym zajęciu, wracając ze szkoły. Witął nas różnym, poważnym, uprzejmym tonem przedsiębiorcy albo pracownika, który zwraca się do kogoś, kto jeszcze nie rozumie, czym jest odpowiedzialność. Stos prania, które sumiennie przyciskał do piersi,

częściowo zasłaniał jego chłopcą, niewyrośniętą postać.

Długo - bodajże przez pół roku - chodziłam do pralni chemicznej roztrzępotana z podniecenia, licząc, że go tam spotkam, lecz na próżno. Klientów zawsze obsługiwał sam właściciel albo jego żona, oboje drobni, znużeni, o niebieskich oczach, wyglądający tak, jakby chemikalia, które plamiły im skórę, zdołały przeniknąć nawet ich krwioobieg.

Panna Farris utonęła w rzece. Stało się to, gdy uczęszczałam do liceum, a więc zaledwie trzy, cztery lata od wystawienia Flecisty z Hameln. Dopóki nie dowiedziałam się, że nie żyje, w moim poczuciu na zawsze utkwiała w przeszłości, i to na poziomie najbardziej naiwnych, prymitywnych doznań, fałszywych nadziei. Sądziłam, że jest na to skazana, tym bardziej więc zdumiało mnie, że wyrwała się z kolein czasu, aby popełnić coś takiego. O ile to ona była sprawczynią swojej śmierci.

Możliwe, choć mało prawdopodobne, że panna Farris wybrała się na przechadzkę brzegiem rzeki na północy miasteczka, nieopodal betonowego mostu, pośliznęła się, wpadła do wody i nie zdołała się uratować. Lokalny „Herald-Advance” wykluczał możliwość, że została wyprowadzona przez kogoś z domu i pchnięta do wody. Opuściła dom wieczorem, nie zamknąwszy drzwi. Nie pogasiła świateł. Część mieszkańców Jubilee, podekscytowanych myślą o tajemniczych nocnych przestępstwach, uważała, że ktoś ją zamordował. Inni - z grzeczności, czy też ze strachu - utrzymywali, że był to wypadek. Obie ewentualności stały się przedmiotem dyskusji i sporów. Ci, którzy sądzili, że panna Farris popełniła samobójstwo (a w końcu przychyliła się do tego większość), poruszali tę kwestię niechętnie i trudno im się dziwić. Słowa i tak nie zmieniłyby niczego. Zagadka jej śmierci objawiła się bez żadnych nadziei na wyjaśnienie, bezceremonialnie jak czyste błękitne niebo. Po prostu.

Panna Farris w aksamitnym stroju, w zawadiackiej futrzanej czapce, która podryguje na jej głowie i wyróżnia ją spośród łyżwiarzy, panna Farris con brio, panna Farris malująca dziewczęta w izbie posiedzeń, panna Farris, twarzą w dół, unosząca się bez oporu na falach Wawanash, sześć dni zanim została znaleziona. Ciąg obrazów, które nie układają się w logiczną sekwencję i jedynie z konieczności zostaną zapamiętane jako nierozzerwalna całość.

Operetki. Flecista z Hameln, Księżniczka czardasza, Skradziona korona, Książ arabski, Tancerze z Kerry, Córka drwala.

Wypuszczała je z siebie jak bańki, kształtowane w rozedrganiu, z wielkim mozołem, a

później uwalniane niemal od niechcenia, dopóki nie znikną, uwieczniając jednak nasze dorastanie i jej niepokonaną nieodwzajemnioną miłość.

Pan Boyce natomiast wyjechał z Jubilee, gdzie, jak powiadano, zawsze czuł się nieswojo, zatrudnił się jako organista kościelny i nauczyciel muzyki w Londynie, ale - spieszę donieść - nie tym prawdziwym, tylko niewielkim miście na zachodzie prowincji Ontario. Doszły nas słuchy, że wiodło mu się tam nieźle, bo znalazł podobnych sobie ludzi.

Żywoty dziewcząt i kobiet

Zaspy wzdłuż głównej ulicy zrobiły się tak wysokie, że w jednej z nich, między chodnikiem a jezdnią, naprzeciwko poczty, wydrążono korytarz, którego fotografia została opublikowana w lokalnym „Herald-Advance”, by czytelnicy mogli ją wyciąć i posłać znajomym lub krewnym mieszkającym w łagodniejszej strefie klimatycznej, w Anglii, Australii czy Toronto. Zdjęcie przedstawiało wyłaniający się z bieli wierzchołek ceglanej wieży zegarowej i - na dowód, że nie jest to fotomontaż - stojące w śniegowym przejściu dwie kobiety. Obie pracowały na poczcie, więc tylko narzuciły płaszcze, nie zapinając nawet guzików. Jedną z nich była Fern Dogherty, nasza lokatorka.

Matka wycięła zdjęcie, bo widniała na nim Fern, jak również po to, bym je przechowała i mogła pokazać kiedyś swoim dzieciom.

- Nigdy nie zobaczą czegoś podobnego - powiedziała. - Bo wtedy śnieg będzie już zbierany przez maszyny, a potem... rozpraszany. Albo ludzie zamieszkają w przezroczystych domach z regulacją ogrzewania, tak że zmiany pór roku przestaną się dla nich liczyć.

Zastanowiło mnie, skąd bierze całą tę niepokojącą wiedzę o przyszłości. Nie mogła doczekać się czasów, gdy miejsce miasteczek jak Jubilee zajmą betonowe grzyby i konchy z ruchomymi korytarzami powietrznymi dla mieszkańców, gdy wieś zostanie na zawsze ujarzmiona pod rozległymi pasami bruku. Nic nie miało już wyglądać tak jak teraz, patelnie, spinki do włosów, wieczne pióra czy zadrukowane strony miały przestać istnieć, a moja rodzicielka nie tęskniłaby za niczym.

Uwaga o dzieciach też wprawiła mnie w zdumienie, bo wcale nie zamierzałam zostać matką. Aspirowałam do wielkości, przemykając po ulicach jak zesłaniec albo szpieg, niepewna, skąd, jak również kiedy przyjdzie sława, bo mimo wszystko instynkt przekonywał mnie, że nadejść musi. Mimo że matka zawsze podzielała i podsyciała to pragnienie, postanowiłam nie rozmawiać z nią już na ten temat, bo była niedyskretna i jej nadzieje uwidaczniały się w zbyt rażący sposób.

Fern Dogherty. Uwieczniona na zdjęciu w gazecie, jak z kokieterią podtrzymuje

postawiony kołnierz eleganckiego zimowego płaszcza, który szczęśliwym trafem włożyła tego dnia do pracy.

- Wyglądam w tym płaszczu jak arbuz - powiedziała.

Pan Chamberlain, który stał obok, uszczypnął ją lekko w nadgarstek.

- Wielkie stare arbużisko z łykowaną skórą.

- Nie bądź złośliwy - rzekła Fern. - Naprawdę.

Jej głos był zbyt cichy, wziąwszy pod uwagę jej wzrost i tuszę, żaloszny, udręczony, ale w gruncie rzeczy przyjazny, dobroduszny. Wszystkie atrybuty, które rozwinęła w sobie matka, stając w szranki z życiem - przenikliwość, inteligencja, zdecydowanie, wyczulenie - znalazły swe przeciwieństwo w Fern, z jej wiecznym narzekaniem, leniwymi ruchami, obojętną życzliwością. Fern miała śniadą skórę, nie oliwkową, tylko jakby przykurzoną, matową, w brązowe plamki wielkości monet, nakrapianą jak ziemia pod drzewem w słoneczne popołudnie. Jej zęby były mocne, białe, lekko wystające, ze szparkami. Obie te cechy, które same w sobie nie wydają się zbyt atrakcyjne, nadawały jej łobuzerski, zmysłowy urok.

Miała satynowy szlafrok w rubinowym kolorze, przepiękny, który pysznie opływał jej krągły brzuch i uda. Zakładała go w niedzielne poranki, gdy siadała w naszej jadalni, by napić się herbaty i zapalić przed wyjściem do kościoła. Spod szlafroka, rozciętego przed kolanem, wyłaniał się skrawek obcisłej koszuli nocnej z białego sztucznego jedwabiu. Nie znosiłam koszul nocnych, bo kiedy spałam, owijały mi się wokół ciała i krępowały ruchy, a poza tym nie zakrywały części intymnych. W dzieciństwie Naomi i ja rysowałyśmy ludzi o odrażających genitaliach. Grube waginy naszych kobiet były porośnięte ostrymi kolcami niczym grzbiet jeżozwierza. Mając na sobie koszulę nocną, nie mogłam pozbyć się myśli o tej wstrętnej kępce, którą przyzwoicie zasłoniłaby piżama. Matka jadała niedzielne śniadania w obszernej piżamie w paski, spłowiałym rdzawym kimonie, wiązanym tasiemką z pomponami, i wełnianych szydełkowych kapciach z podeszwą.

Fern Dogherty i matka przyjaźniły się mimo dzielących je różnic. Matka ceniła w

ludziach doświadczenie, ciekawość nauki i kultury we wszelkich przejawach i wreszcie nieposzlakowaną opinię w miasteczku. A Fern nie była tylko

pracowniczką poczty. Swego czasu uczyła się śpiewu, studiowała w Królewskim Konserwatorium Muzycznym. Teraz śpiewała w chórze Zjednoczonego Kościoła. Śpiewała Wiem, że mój Odkupiciel żyje w Niedzielę Wielkiej Nocy, a na weselach: Bowiem, Obiecay, jak również Głos, który natchnął Eden. W sobotnie popołudnia, gdy poczta była nieczynna, słuchała z matką transmisji koncertów z Metropolitan Opera. Matka miała książkę z librettami. Wyciągała ją wtedy i śledziła fabułę, rozpoznając kolejne arie, ujęte w książce wraz z przekładem. Pytała Fern o różne rzeczy, ale ona wbrew pozorom nie znała się na operze i nieraz myliło jej się, czego słuchają. Czasami jednak pochylała się, wspierając łokcie na stole, i nie ze swobodą, tylko w czujnym spięciu nuciła, pogardliwie opuszczając obce słowa. „Tarararara-taram-tam-tam-tadam...” Moc i powaga jej śpiewu zadziwiały mnie za każdym razem. Jej zaś nie krępowało wydobywanie tych wielkich, dętych uczuć, którymi w życiu nigdy nie zaprzętała sobie głowy.

- Chciałaś zostać śpiewaczką operową? - zapytałam.

- Skąd. Chciałam pracować na poczcie. Właściwie chciałam i nie chciałam śpiewać. Tylko, wiesz, ta ciągła praca, próby. Nie miałam do tego serca, może i szkoda... Zawsze wolałam po prostu dobrze się bawić. - W sobotnie popołudnia nosiła spodnie i sandały odsłaniające polakierowane pękate palce stóp. Co rusz upuszczała popiół na brzuch, który - bez pasa wyszczuplającego - sterczał, jakby była w ciąży. - Zrzuńnię sobie głos tym paleniem - rzuciła z zadumą.

Śpiew Fern wzbudzał podziw mieszkańców Jubilee, według których jednak był on na granicy popisu i dzieci naśladowały ją czasem na ulicy, wydając przeraźliwe piski albo wycia. Matka mogłaby uznać to za przejaw prześladowania. Bo już zdarzyło jej się niemal bezpodstawnie pocieszać parę Żydów, która prowadziła sklep z artykułami z demobilu, i pokurzonego milczącego Chińczyka w pralni - słowami przepelnionymi obłądnym współczuciem, donośnymi i rozwlekłymi zapewnieniami o przyjaźni. Według wszelkich oznak na niebie i ziemi Fern nigdy nie doświadczyła prześladowań. Niemniej moje stare ciotki ze strony ojca wypowiadały jej nazwisko w osobliwy sposób, tak jakby zawierało kamyk, który musiały przegryźć i wypluć. A Naomi wciąż powtarzała: „Ta cała Fern Dogherty urodziła dziecko”.

- Nic podobnego - odpowiadałam w odruchu obrony.

- Owszem. Jak miała dziewiętnaście lat. Właśnie za to wywalili ją z konserwatorium.

- Skąd wiesz?

- Od matki.

Matka Naomi miała wszędzie szpiegów. Wśród jej wiernych, oddanych informaterek były kobiety, którymi zajmowała się kiedyś podczas porodu, a także krewne osób, które pielęgnowała na łożu śmierci. Jako pielęgniarka odwiedzała wiele domów i - działając jak odkurzacz - wysysała z chorych i ich rodzin rzeczy, do których nikt nie miał dostępu. Czułam wewnętrzny nakaz, by sprzeczać się o to z Naomi, bo Fern była naszą lokatorką, a Naomi ciągle obgadywała ludzi, z którymi mieliśmy do czynienia. („Twoja matka to ateistka”, powtarzała z ponurą satysfakcją, a gdy odpowiadałam: „Wcale nie, jest agnostyczką”, próbując roztropnie jej to wytłumaczyć, przekrzykiwała mnie słowami: „Na to samo wychodzi!”.) Nie potrafiłam się zemścić, po trosze z grzeczności i tchórzostwa, mimo że ojciec Naomi należał do jakiejś dziwnej, skompromitowanej sekty i łaził po miasteczku, głosząc prorocтва, bez swoich sztucznych zębów, które zapominał włożyć.

Odtąd, gdy tylko Fern była w pobliżu, zachwycałam się zdjęciami niemowląt w gazecie, wykrzykując: „Ależ ono słodkie!”, i bacznie przyglądałam się jej twarzy z nadzieją, że dostrzegę tam cień skruchy, pragnienie macierzyństwa, jakbym liczyła, że wymogę na niej wybuch płaczu, że dramatycznie wzniesie w górę puste ręce, do głębi poruszona reklamą talku albo przetartego mięsa.

Ponadto według Naomi Fern robiła z panem Chamberlainem różne rzeczy, tak jakby byli małżeństwem.

Fern zamieszkała u nas za sprawą pana Chamberlaina. Wynajmowaliśmy dom jego matki, która od trzech lat przebywała w szpitalu okręgowym, ślepa i przykuta do łóżka. Matka Fern zapoznała się z nią tam, gdy poszła kogoś odwiedzić. Pracowała wtedy na poczcie w Błękitnej Rzece. Pan Chamberlain pracował w rozgłośni radiowej Jubilee i zamieszkał w małym mieszkaniu w tym samym budynku co ona, bo prowadzenie domu byłoby dla niego kłopotliwe. Matka mówiła o nim „przyjaciół Fern” - pouczającym tonem, jakby z intencją, że słowo „przyjaciół” nie znaczy w tym przypadku więcej, niż powinno.

- Lubię swoje towarzystwo - powtarzała. - Szkoda im czasu na głupoty.

„Głupoty”, czyli: flirtowanie, sprośności i seks.

Postanowiłam sprawdzić, czy w słowach Naomi tkwi choć ziarno prawdy.

- Przecież Fern mogłaby wyjść za pana Chamberlaina.

- Co takiego? A ktoś tak uważa?

- Wszyscy o tym wiedzą.

- Ja nie wiem i nikt nie wie. Nawet nie obito mi się to o uszy. Usłyszałaś to pewnie od Naomi, prawda?

Naomi nie była lubiana w naszym domu i jej rodzice też nie darzyli mnie sympatią. Oba nam przypisywano szerzenie zła, w moim przypadku - ateizmu, a w przypadku Naomi - fascynacji seksem.

- W miasteczku pleni się nieobyczajność, zepsucie formalnie zawładnęło ludźmi! Myślisz, że przyjąłabym Fern do domu, gdyby nie była cnotliwa? -

rzekła na koniec z mądrą miną.

W tym roku, na początku nauki w liceum, Naomi i ja wciąż rozprawiałyśmy o seksie - w tonie wykluczającym jednak szczerze wyznania czy zwierzenia. Był to ton wyuzdany, pogardliwy, przepełniony fanatyczną niemal ciekawością. Jeszcze przed rokiem chętnie wyobrażałyśmy sobie siebie jako ofiary miłosnych wzlotów. Teraz zmieniłyśmy się w obserwatorki, a raczej eksperymentatorki, chłodne, wyrachowane, triumfujące. Miałyśmy książkę, którą Naomi znalazła w starym kufrze matki pod obłożonymi kulkami przeciw molom paradnymi kocami.

„Podczas inicjacji należy zachować ostrożność - czytałyśmy na głos - zwłaszcza jeśli męski narząd jest nietypowych rozmiarów. Dla właściwego nawilżenia zaleca się stosowanie wazeliny”.

- Osobiście wolę masło. Lepiej smakuje.

„W ostatniej fazie ciąży można uciec się do stosunków międzydudowych”.

- Więc wtedy robi się to nadal?

„W przypadku znacznej otyłości kobiety zaleca się pozycję od tyłu”.

- Tak wkłada Fern! - olśniło Naomi. - Fern jest bardzo otyła.

- Łeee! Mdli mnie od tej książki.

Odnotowano przypadki mężczyzn, przeczytałyśmy, u których narząd płciowy w stanie wzwodu osiąga długość czternastu cali. Naomi wypluła gumę do żucia, rozwałkowała ją w dłoniach i mocno rozciągnęła, po czym ujęła jej koniec w palce i zakołysała nią w powietrzu.

- Pan Chamberlain, rekordzista!

Odtąd, ilekroć Naomi przychodziła do mnie pod obecność pana Chamberlaina, ona lub ja, a czasem obie wyjmowałyśmy gumę z ust, rozciągałyśmy ją i niewinnie machałyśmy nią w powietrzu, prowokując dorosłych. Pan Chamberlain mówił wtedy: „Ciekawa zabawa”, a matka: „Przestańcie, coś obrzydliwego!”. (Miała na myśli gumę.) Obserwowałyśmy pana Chamberlaina i Fern w nadziei na jakieś oznaki rozpasania, chuci, lubieżne spojrzenia, nieprzyzwoite gesty. Lecz bez skutku. Okazało się, że prawda nie spełnia moich oczekiwań. A przecież, jak Naomi, lubiałam snuć fantazje na ich temat, wyobrazać sobie, jak stękają, jęczą, kołują się w poskrzypującym łóżku (w którymś z domków turystycznych nad jeziorem, bo według Naomi nie jeździli do Tupperton, by podziwiać uroki krajobrazu). W moim pojęciu wstręt i rozkosz nie tylko nie wykluczały się nawzajem, ale były wręcz nierozdzielalne.

Pan Chamberlain, Art, bo tak brzmiało jego imię, pracował jako lektor wiadomości w radiu. Poza tym czytał wszystkie ważne i poważne ogłoszenia. Jego piękny postawiony głos, przetykany muzyką organową, sączył się rozkosznie jak płynna czekolada w nadawanym co niedzielę programie „Ku pamięci”, finansowanym przez miejscowy salon pogrzebowy. Czasami zapraszał do tej audycji Fern, która śpiewała pieśni religijne jak Wędrując, pogrążam się w zadumie, i niereligijne, ale pełne smutku jak Kres wysnionego dnia. W radiu mógł wystąpić prawie każdy. Nawet ja deklamowałam kiedyś wierszyk w Sobotnim poranku młodych, a Naomi grała na pianinie Dzwony od Świętej Marii. Włączając odbiornik, niemal zawsze można było usłyszeć kogoś znajomego, a przynajmniej znane nazwisko, wymieniane w dedykacji piosenki. („Utwór ten adresujemy, między innymi, do państwa Otis, z okazji dwudziestej ósmej rocznicy ślubów małżeńskich, na prośbę syna George’a oraz jego żony Etty i trojga dzieci, Lorraine, Marka i Lois, a także siostry pani Otis, zamieszkałej przy Porterfield Road pani Towley”). I ja zadzwoniłam do radia z dedykacją dla wujka Benny’ego, gdy skończył czterdzieści lat, ale matka nie zgodziła się, by podali jej nazwisko. Wolała słuchać rozgłośni Toronto, nadającej na żywo koncerty z Metropolitan Opera, wiadomości bez reklam i radioturnieju, rywalizując z czterema panami, którzy - sądząc po głosach - mieli małe spiczaste bródki.

Pan Chamberlain musiał też czytać reklamy i robił to z wielkim przejęciem, polecając krople na katar z drogerii Crossa, niedzielne kolacje w hotelu

Brunswick czy usługi firmy Wickert i Synowie, speców od usuwania padłego inwentarza. „Co u Wickerta, gałganie?”, witała go Fern, na co klepał ją czasem w pupę ze słowami: „Powiem mu, że jesteś bliska zejścia!”. „Chyba ty, na moje oko!” - odpowiadała Fern bez złości, a on padał na krzesło, uśmiechając się do matki, aby poczęstowała go herbatą. Jego jasne niebieskozielone oczy nie miały wyrazu, tylko ten kolor, prześliczny, wprost wymarzony na sukienkę. Pan Chamberlain ciągle był zmęczony.

Białe ręce, równo przycięte paznokcie, przerzedzone, starannie zaczesane włosy, ciało, które nie kłóciło się z ubraniem, tylko zdawało się z nim zlewać, jakby był złożony z garnituru, koszuli i krawata - według mnie nie przydawały mu męskości. Nawet wujek Benny, przeraźliwie chudy, z zapadniętą klatką piersiową i uszkodzeniem oskrzeli, miał w spojrzeniu i ruchach coś nieobliczalnego, budzącego niepokój, podobnie ojciec, który jednak był bardziej łagodny. Ale to pan Chamberlain, który teraz strzepywał do popielniczki papierosa, walczył na wojnie w korpusie pancernym. Gdy odwiedzał nas - a raczej Fern, z czym krył się dość długo - był zasypywany przez ojca pytaniami na temat wojny. Ich podejście do niej różniło się diametralnie. Ojciec postrzegał wojnę jako pewien zamysł, realizowany poprzez celowe działania, chybione bądź pomyślne. Pan Chamberlain zaś traktował ją jako zlepek anegdot, służących li tylko rozbawieniu słuchacza.

Opowiadał więc, na przykład, o swoim chrzcie bojowym, doprawdy niebywałym. Otóż część czołgów wjechała w las, zawróciła i omyłkowo kierując się w stronę, z której mieli nadjechać Niemcy - ostrzelała czołg ze swojego oddziału.

- Wyszadzili go w powietrze! - rzekł pan Chamberlain niefrasobliwie, z szelmowską miną.

- Byli w nim żołnierze?

Spojrzał na mnie z udawanym zaskoczeniem, jak zwykle, gdy się odzywałam, tak jakbym właśnie stanęła przed nim na głowie.

- No chyba.

- A więc... zginęli?

- Pewnie coś im się stało. W każdym razie później ich nie widywałem. Bach!

- Zabici przez swoich, okropność! - wykrzyknęła matka, zgorziona, ale i mocno zbita z tropu.

- Tak bywa na wojnie - powiedział ojciec łagodnie, lecz poważnie, jakby sprzeciw mógł ujawnić w nim kobiecą naiwność. Pan Chamberlain zaśmiał się tylko i zaczął opowiadać, co zrobili na koniec wojny. W ostatnim radosnym uniesieniu wysadzili kuchnię połową, celując w nią ze wszystkich dział i karabinów.

- Jak w przedszkolu - stwierdziła Fern. - Widać, że nie dorośliście do wojny. Brzmi to tak, jak byście tam mieli niezły ubaw, durnie!

- Właśnie o to mi chodzi, żeby się wspaniale bawić.

Kiedyś oznajmił nam, że zna Florencję, co nie było dziwne, bo walczył we Włoszech. Niemniej matka aż podskoczyła na krześle, drżąc z przejęcia.

- Był pan we Florencji?

- No tak - odparł bez entuzjazmu.

- We Florencji, pan był we Florencji - powtarzała matka, speszona i uradowana. Domyśliłam się jej emocji, jednak liczyłam, że nie będzie ich zbyt dużo. - Niesłychane - powiedziała. - Naturalnie wiem, że to we Włoszech, ale to przedziwne...

Chodziło jej o to, że te same Włochy, o których rozmawialiśmy i gdzie toczyła się wojna, były miejscem historycznym, ojczyzną dawnych papieży, Medyceuszów, Leonarda da Vinci, rodziny Cencich, cyprysów, Dantego Alighieri.

Ciekawe, że przy całej fascynacji przyszłością matka żywo interesowała się historią. Pobiegła do salonu i przyniosła dodatek do encyklopedii poświęcony sztuce i architekturze, pełen zdjęć posągów, obrazów i budowli, w większości wykonanych w rozproszonym, chłodnym, muzealnie szarym oświetleniu.

- Proszę! - otworzyła go na stole przed panem Chamberlainem. - Oto pańska Florencja. Dawid dłuta Michała Anioła. Widział go pan?

Nagi mężczyzna. Jego nieosłonięty marmurowy penis zwieszał się jak płatek przywiedłej lilii. Nie mogłam uwierzyć, że moja zapiekle i nieznośnie przyzwoita matka pokazuje nagle wszystkim coś takiego. Fern o mało nie pękła, usiłując tłumić wybuch śmiechu.

- Nie miałem okazji go widzieć. Same posągi. Ten słynny, tamten słynny. Nie sposób się przed nimi opędzić.

Uznałam, że nie nadaje się do takich rozmów. Ale matka paplała dalej.

- Z pewnością widział pan drzwi z brązu? Wspaniałe brązowe drzwi do baptysterium? Artysta poświęcił pracy nad nimi całe życie. Proszę popatrzeć. Jakże on się nazywał... Ghiberti, tak, Ghiberti. Całe życie.

Pan Chamberlain widział pewne rzeczy, a innych nie zobaczył. Obejrzawszy zdjęcia w miarę cierpliwie, oznajmił, że nie lubi Włoch.

- Może i dałoby się tam wytrzymać, gdyby nie Włosi.

- Ma pan na myśli zepsucie? - spytała z ubolewaniem matka.

- Zepsucie, może i tak. Nie wiem do końca. Nie mają skrupułów. Nieraz podchodził do mnie na ulicy człowiek, żeby mi sprzedać własną córkę. Działo się to stale.

- Po co mieliby sprzedawać dziewczyny? - zapytałam, przybierając nieprzejędny wyraz niewinności, co zawsze przychodziło mi bez trudu. - Jako niewolnice?

- Poniekąd - odpowiedziała matka i zamknęła książkę, wyrzekając się Michała Anioła i drzwi z brązu.

- Niewiele starsze od Del - dorzucił pan Chamberlain z odrazą, która w jego ustach zabrzmiała nieco fałszywie. - A niektóre nawet młodsze.

- Szybciej dojrzewają - wtrąciła Fern. - Wiadomo: ciepły klimat.

- Del, odnieś książkę na miejsce - niepokój w głosie matki przypominał trzepot skrzydeł.

Usłuchałam jej nie bez ociągania. Nie poszłam jednak do salonu, tylko na górę, do pokoju matki. Przebrałam się w jej czarny szlafrok z wiskozy, usiany bukietkami różowo-białych kwiatów. Nietrafiony prezent, którego nigdy nie nosiła. Z dreszczem podniecenia przejrzałam się wyzywająco w jej trójskrzydłowym lustrze. Zsunęłam szlafrok z ramion i udrapowałam go na piersiach, na tyle dużych, by wypełnić pucharki do lodów. Zapaliłam kinkiet nad toaletką. Jego łagodne ciepłe światło nadało mojej skórze miodowy blask. Patrząc na swoje wysokie okrągłe czoło i piegi na różowej twarzy, niewinnej jak jajo, przeobraziłam się w szelmowską piękność o alabastrowej skórze. Moje cienkie jak źdźbła trawy jasnobrązowe włosy zmieniły się w gęste złote pukle. Głos pana Chamberlaina, gdy mówił „niewiele starsze od Del”, muskał moje ciało jak wiskoza, otaczał mnie i zagarniał. Poczułam się zagrożona i

godna pożądania. Myślałam o dziewczętach z Florencji, o dziewczętach z Rzymu, o moich rówieśnicach, które można kupić. Czarne włosy pod pachami Włoszek, czarny puch nad ich górną wargą... „Szybciej dojrzewają, wiadomo: ciepły klimat”. Rzymskie katoliczki. Mężczyźni płacą im za oddanie. Co mówią? Czy rozbierają je, czy czekają, aż zrobią to same? Czy zdejmują spodnie, czy rozpinają tylko rozporek i wystawiają im fiuta? Nie do pojęcia był dla mnie etap pośredni, przejście od zachowania dopuszczalnego do dziwnego zwierzęcego aktu. W książce matki Naomi nawet o tym nie wspomniano.

W jednym z domów w Jubilee mieszkały trzy prostytutki - licząc blisko sześćdziesięcioletnią panią McQuade, która go prowadziła. Dom stał na północnym krańcu głównej ulicy, w ogrodzie zarosłym malwami i mleczem, przy stacji obsługi samochodów. Czasami, w słoneczne dni, dwie młodsze kobiety wylegiwały się przed domem na leżakach, ubrane we wzorzyste sukienki, w papuciach na gołych białych nogach. Jedna czytywała „Z Życia Gwiazd”. Naomi powiedziała mi, że ma na imię Peggy i że raz obsłużyła w męskiej toalecie sali tanecznej Gayla całą kolejkę klientów. Kucając. Coś podobnego! (Według innego źródła wyczynu tego dokonała, a raczej przeżyła go sama pani McQuade, nie w toalecie Gayli, lecz na tyłach kawiarni Sina Sowa.) Bardzo chciałam zobaczyć więcej Peggy niż tylko jedwabiste szaropopielate loczki nad gazetą. Pragnęłam zobaczyć, jak wygląda. Spodziewałam się ujrzeć w jej twarzy poblask zepsucia, plugawy jak opary unoszące się nad trzęsawiskiem. Zdziwiłam się trochę, że czyta gazetę, że zawarte tam wiadomości znaczą dla niej to samo co dla innych, że je i pije jak my, że mimo wszystko jest istotą ludzką. W moim pojęciu przeszła z prozaicznego człowieczeństwa w stan doskonałej deprawacji i jako diametralne przeciwieństwo świętej była równie samotna i nieodgadniona. Jej codzienne atrybuty - kolorowy tygodnik, rozsunięte zasłony w kropki, pełne nadziei pelargonie w blaszanych puszkach w oknie burdelu - wydawały mi się świadomie ponętym oszustwem, pozorem codzienności, otoczką dla jej bezwstydu, wybuchów nieposkromionej chuci.

Przesunęłam dłońmi po biodrach osłoniętych chłodnym szlafrokiem. Gdybym urodziła

się we Włoszech, moje ciało byłoby już zdatne do użycia, pokryte sińcami, doświadczone. Nie z mojej woli. Nagle opanowała mnie myśl o tym, że jestem bezwolną dziwką. Myśl kojąca, kusząca nieodwracalnością tej

kondycji, nęcąca wyzuciem zarówno z tęsknot, jak i lęków.

Od tego dnia zaczęłam oddawać się niepewnym, porwanym snom na jawie. Wyobrażałam sobie, że stoję przed panem Chamberlainem, w kwiecistym czarnym szlafroku matki, zsuniętym na ramiona, jak przed lustrem. A później podpowiadam mu, by zdjął mi szlafrok i ujrzał mnie nago. Aby jednak to się stało, pozbywałam się najpierw wszystkich osób postronnych. Matkę wysyłałam z domu, żeby sprzedawała encyklopedie, a brata wyganiałam na wieś. Musiało dziać się to podczas letnich wakacji i przed powrotem Fern z poczty. Tak więc schodziłam na dół w upalne i duszne ciche popołudnie, ubrana tylko w szlafrok. Nalewając do szklanki odrobinę wody z kranu, nie zauważałam pana Chamberlaina, który w milczeniu siedział w kuchni, po czym... rzucał się na mnie obcy pies, sprowadzony do domu wyłącznie na tę okoliczność, i zdzierał ze mnie szlafrok. W innym wariacie marzenia zahaczałam okryciem o gwóźdź wystający z krzesła, tak że zsuwało się ze mnie i opadało na podłogę. Wszystko przez przypadek, bez jakichkolwiek starań z mojej strony, a zwłaszcza ze strony pana Chamberlaina. Marzenie urywało się wraz z odsłonięciem ciała, a nieraz nawet wcześniej, bo, tworząc jego misterną scenę, gubiłam się w szczegółach. Moment olśnienia miał być spontaniczny, porażający jak światło. Nigdy nie wyobrażałam sobie reakcji pana Chamberlaina, nigdy też nie widziałam wyraźnie jego twarzy. Jego obecność była nieodzowna, ale mglista. Niejasno jawił mi się jako mężczyzna bez wyrazu, ale silny, naładowany niemal namacalnym prądem jak niebieska lampa fluorescencyjna.

Ojciec Naomi przyłapał nas, gdy biegiem mijałyśmy jego drzwi po drodze na dół.

- Wstąpcie do mnie, panienki, rozgośćcie się, zapraszam.

Nadeszła już wiosna i było wietrzne słoneczne popołudnie. Ojciec Naomi, nie wiedząc czemu, palił śmieci w okrągłym blaszanym piecyku w swoim pokoju, gdzie panował przeraźliwy smród i zaduch. Na sznurku wzdłuż ściany wisały świeżo uprane skarpetki i bielizna. Naomi i jej matka traktowały go dość obcesowo. Pod nieobecność matki, jak teraz, Naomi otwierała mu na kolację puszkę spaghetti i rzucała je na talerz. Gdy ją pytałam: „Nawet nie podgrzejesz?”, odpowiadała: „Po co? I tak by się nie

zorientował”.

Na podłodze pokoju piętrzyły się stosy broszur, jak się domyśliłam, związanych z religią, którą wyznawał. Naomi czasem musiała odbierać je na pocztę. Idąc za sugestią matki, szydziła z jego przekonań. „Same przepowiednie - powtarzała. - Koniec świata przepowiadali już trzy razy!”

Siadłyśmy na krawędzi łóżka, przykrytego nie narzutą, tylko szorstkim, mocno przybrudzonym kocem, a ojciec Naomi usiadł w fotelu bujanym naprzeciw nas. Był starcem. Matka Naomi pielęgnowała go, zanim się związali. Mówił bardzo wolno, cedząc słowa, i choć w przerwach między nimi nie zapominał o rozmówcy, to wbijał blade oczy w jego czoło, jakby z nadzieją, że znajdzie tam wypisane dokończenie myśli.

- Czytanie z Pisma Świętego - rzekł łagodnie i z emfazą, tonem człowieka, który nie dopuszcza ewentualnego sprzeciwu.

Otworzył w zaznaczonym miejscu, wydrukowaną dużą czcionką, Biblię - i zaczął czytać przenikliwym starczym głosem, przerywając raz po raz, bez wyczucia rytmu.

Wtedy podobne będzie królestwo niebieskie do dziesięciu panien, które wzięły swoje lampy i wyszły na spotkanie pana młodego. Pięć z nich było nierozsądnych, a pięć roztropnych. Nierozsądne wzięły lampy, ale nie wzięły z sobą oliwy. Roztropne zaś razem z lampami zabrały również oliwę w naczyniach. Gdy się pan młody opóźniał, zmorzone snem, wszystkie zasnęły. Lecz o północy rozległo się wołanie: „Pan młody idzie, wyjdźcie mu na spotkanie!”. Wtedy powstały wszystkie owe panny i opatrzyły swe lampy. A nierozsądne rzekły do roztropnych: „Użyczcie nam swej oliwy, bo nasze lampy gasną”.²

Później oczywiście - bo przypomniało mi się, że to już słyszałam - okazało się, że roztropne panny nie oddały im grama oliwy w obawie, że im jej zabraknie, więc głupie panny musiały ją kupić, a gdy odeszły, nadszedł pan młody i nie dostały się na ucztę weselną. Zawsze wydawało mi się, że przypowieść ta, której skądinąd nie lubiłam, mówi o rozwadze, gotowości i

tak dalej. Tymczasem on najwyraźniej sądził, że dotyczy seksu. Zerknęłam ukradkiem na Naomi, sprawdzając, czy nie wciąga śmiesznie ust w kącikach, jak zwykle, gdy była mowa o tych sprawach, ale ona siedziała z zaciętą i niezadowoloną miną, zniesmaczona przedmiotem mojej skrytej radości - potokiem poetyckich słów i archaicznych zwrotów.

„Wtedy podobne będzie”, „zmorzone snem”, „opatrzyły lampy”. Rozdrażniły ją one do tego stopnia, że nie potrafiła cieszyć się nawet niewinnością panien.

Ojciec zamknął bezzębne usta. Chytrze i zgrabnie jak dziecko.

- Na razie tyle. Zastanówcie się nad tym, gdy nadejdzie pora. Tkwi tu nauka dla dziewcząt.

- Stary pacan - podsumowała go Naomi już na schodach.

- A ja... mu współczuję.

Szturchnęła mnie w bok.

- Prędzej, chodźmy stąd, bo jeszcze znowu coś wymyśli. Od tego czytania Biblii wyleżą mu wreszcie gały. I dobrze, niech ma za swoje.

Pobiegłyśmy w górę Kamieniarskiej. W te długo gasnące wieczory zapędzałyśmy się w każdy kąt miasteczka. Wałęsałyśmy się pod kinem Publika, kawiarnią Sina Sowa, salą bilardową. Siadałyśmy na którejś z ławek przy pomniku i na każdy dźwięk klaksonu machałyśmy do przejeżdżających samochodów, a ich kierowcy śmiali się zza szyby, wystraszeni naszą niewinnością, wybujaną beztroską. Raz weszłyśmy do damskiej toalety w ratuszu - z jej zawilgłymi betonowymi ścianami, moką posadzką i ostrym zapachem amoniaku - i na drzwiach, na których podpisywały się tylko

najgorsze kretyнки, uwieczniłyśmy nazwiska niepodzielnych władczyń naszej klasy - Marjory Coutts i Gwen Mundy. Poniżej nabazgrałyśmy szminką sprośne rysunekzki. Czemu to zrobiłyśmy? Z nienawiści do tych dziewcząt, wobec których zawsze byłyśmy służalczo przemiłe? Poniekąd. Nie cierpiałyśmy ich za nietykalność, grzeczny brak ciekawości świata, za wszystko, dzięki czemu - kulturalnie i radośnie - unosiły się na falach życia w Jubilee, by potem popłynąć na studia wyższe, a później ku zaręczynom i związkom z lekarzami czy adwokatami w odległych, zamożniejszych miastach. Nie znosiłyśmy ich dlatego, że nigdy nie weszłyby do damskiej toalety w ratuszu.

Uciekłyśmy stamtąd, niepewne, czy to, co zrobiłyśmy, jest przestępstwem.

Uwielbiałyśmy się zgrywać. Przechodząc pod latarniami bladymi jak kwiaty wycięte z bibułki, mijając nieoświetlone okna, zza których - liczyłyśmy - wszyscy nam się przyglądają, odgrywałyśmy różne rzeczy.

- Udawaj porażenie mózgu. No dalej!

W jednej chwili bezwładnie zachwiałam się na nogach i zwiesiłam głowę. Przewracając oczami, zaczęłam mówić bez związku, bełkotać z gniewnym zacięciem.

- Rób tak aż do przecznicy. Może kogoś spotkamy. Nie przestawaj. No już!

Spotkałyśmy wiekowego doktora Combera, wiotkiego i dostojnego, w pięknym ubraniu. Przystanął, zastukał laską i zaprotestował.

- Cóż to za przedstawienie?!

- Padaczka, panie doktorze - odpowiedziała płaczliwie Naomi. - Bez przerwy ma takie ataki.

Żarty z biednych, bezradnych chorych ludzi. Niestosowne, bezduszne,

cudowne.

Poszliśmy do parku, zapuszczonego, opustoszałego trójkąta ziemi, za sprawą potężnych cedrów zbyt ponurego, by chciały bawić się w nim dzieci, i nieciekawego dla spacerowiczów. Bo komu z miejscowych chciałoby się podziwiać tutaj identyczne drzewa, błoto i trawę, jak te, które zewsząd napierały na miasteczko? Mieszkańcy Jubilee woleli przechadzać się po śródmieściu, oglądać wystawy, gawędzić na rogach ulic, czuć, że coś robią, że coś się dzieje. Naomi i ja wdrapywałyśmy się na rozłożyste cedry, zdzierałyśmy na nich kolana, wrzeszczałyśmy - donośniej, niż gdy byłyśmy młodsze - na widok zdradliwie uginających się konarów. Wydając małpie krzyki, zwieszałyśmy się z gałęzi na rękach albo nogach, gotowe wprawić w osłupienie miasteczko pod nami.

Wokół pełno było odgłosów tej pory roku. Gdzieś w dali dzieci podskakiwały na chodniku i śpiewały czystymi, żarliwymi głosami.

Na wzgórzu mieszka sobie pani -

Kim ona jest, ja nie wiem.

Choć nosi srebro i złoto,

To nie ma porządnych butów.

Dochodziły nas też wrzaski pawie. Zeskoczyłyśmy z drzewa i pobiegłyśmy je obejrzeć, przez park, na biedną bezimienną ulicę nad rzeką. Pawie należały do miejscowego śmieciarza Porka Childsa. Ulica nie miała chodnika. Stapałyśmy między kałużami, które połyskiwały w miękkim błocie. Woliera dla pawie stała za domem, nigdy nie malowana jak on.

Pawie spacerowały wśród ogołoconych z liści dębów. Odwiedzałyśmy je

każdej wiosny.

Nie traciłyśmy czasu na samice, ubarwione ponuro jak ich wybieg. Ale samce urzekały nas niezmiennie. Zdumiewające kolorami upierzenia, jaskrawym lazurem piersi, podgardla i szyi, spod którego wyzierały nieco ciemniejsze pióra jak kleksy albo rośliny wód tropikalnych. Jeden rozłożył ogon, ukazując zasnutę atłasem, jakby ślepe oka. Nedorzeczne koronowane głowy. Ozdobę zimnej wiosny, cud Jubilee.

Wrzaski, które rozległy się teraz, nie pochodziły od żadnego z nich. Nasz paw podniósł oczy na coś, czego, o dziwo, nie spostrzegłyśmy od razu - jedyne białego ptaka, który, też z rozpostartym ogonem, spadał z drzewa, szamocząc się między gałęziami jak piana wśród kamieni. Nieskazitelna biel, czysta jak błogosławieństwo. To z jego, niewidocznego z dołu, dzioba dobywały się te rozpaczliwe, pełne skargi, rozgorączkowane krzyki.

- Drą się, jak spótkują - orzekła Naomi.

- Drą się kotki - odparłam, przypominając sobie coś takiego z domu na wsi. - Jak kocur im wsadza, wydzierają się jak opętane.

- Ty byś nie wrzeszczała?

Musiałśmy się zbierać, bo spośród pawi wyłonił się Pork Childs i szybkim, rozkołysanym krokiem zmierzał w naszą stronę. Nie miał palców u stóp, bo amputowano mu je dawno temu, nim jeszcze wstąpił do Kościoła baptystów, kiedy pijany w sztok wleciał do rowu i zamarznął. „Cześć, chłopcy! Cześć, dziewczęta!” - witał zza kierownicy śmieciarki i smutne, i słoneczne ulice, zawsze bez odpowiedzi. Zwiąłyśmy przed nim.

Pod moim domem stał zaparkowany wóz pana Chamberlaina.

- Wejźmy - rzekła Naomi. - Chcę zobaczyć, co wyprawia z Fern.

Nie wyprawiał niczego. Fern przymierzała w jadalni szyfonową sukienkę w kwiaty, którą uszyła z pomocą matki na wesele Donny Carling, gdzie miała wystąpić z recitalem. Matka siedziała bokiem na krześle przed maszyną do szycia, a Fern obracała się przed nią jak wielki rozłożony do połowy parasol.

Pan Chamberlain sączył prawdziwego drinka w postaci whisky z wodą. Whisky przywiózł sobie z Porterfield, bo w Jubilee obowiązywał zakaz handlu alkoholem. Byłam na poły zawstydzona i dumna, że Naomi zobaczyła na kredensie butelkę, rzecz, która w jej domu nie pojawiłaby się nigdy. By usprawiedliwić alkohol w ręku pana Chamberlaina, matka oznajmiła, że przeszedł na wojnie koszmar.

- Proszę, jakie śliczne młode damy! - zachwycił się sztucznie. - Wiosenny wdzięk i gracia. Świeżutkie, prosto z pola!

- Dałby nam pan łyka - powiedziałam, popisując się przed Naomi, ale on roześmiał się i nakrył dłonią szklanekę.

- Najpierw musicie się pochwalić, gdzie byliście.

- U Poraka Childsa, oglądać pawie.

- Oglądać pawie, cudowne - zaczął podśpiewywać.

- Niechże nas pan poczęstuje.

- Del, zachowuj się jak należy - upomniała matka z ustami pełnymi szpilek.

- Chcę tylko spróbować, jak smakuje.

- Nie dam ci się napić za darmo - nęcił pan Chamberlain. - Musisz mi pokazać sztuczkę. Musisz podnieść łapki i poprosić mnie jak piesek.

- Mogę udawać fokę. Mam udawać fokę?

Uwielbiałam to robić. Nigdy nie obawiałam się, że może mi coś nie wyjść, nigdy nie miałam obaw, że się skompromituję czy wygłupię. Kiedy pokazałam to raz w szkole, na zebraniu Uczniowskiego Kółka Czerwonego Krzyża, wszyscy płakali ze śmiechu i ten przepełniony zachwytem śmiech był tak krzepiący, tak oczyszczający, że mogłabym udawać fokę już przez resztę życia.

Uklękałam i zaczęłam uderzać się łokciami po bokach, machając dłońmi jak płetwami i gromko poszczekując. Odgapiłam to z jednej ze scen ze starego filmu z Mary Martin, w której Mary śpiewa nad turkusową sadzawką, a foki odpowiadają jej chórem.

Pan Chamberlain wolnym ruchem przybliżył mi szklankę do ust i cofał ją, gdy tylko przestawałam czekać. Klęczałam naprzeciw niego. Fern stała tyłem do mnie, unosząc ramiona. Nie widziałam też twarzy matki, która upinała jej sukienkę w pasie. Naomi, która dość naoglądała się mnie w roli foki, zajęła się matką i Fern, żywo zainteresowana szyciem. Pan Chamberlain w końcu pozwolił mi dotknąć wargami brzegu szklanki i - wolną ręką - zrobił coś, co nie mogło być zauważone. Włożył mi ją pod luźny krótki rękaw swetra, pod spoconą pachę, i szybkim ostrym ruchem przejechał nią po skrytej pod bluzką piersi, naciskając, gniotąc uległe ciało. Po czym natychmiast się odsunął. Było to jak klaps, który ma zabołeć.

- No i jak smakuje whisky? - spytała potem Naomi.

- Jak siki.

- W życiu nie piłaś sików! - Spojrzała na mnie ze zdumieniem, czujna jak zawsze, kiedy coś przed nią ukrywałam.

Chciałam się jej zwierzyć, ale zachowałam to dla siebie. Gdybym jej powiedziała, musiałabym to przed nią odegrać.

Wyobraziłam sobie, jak się dopytuje: „Jak? Jak trzymał tę rękę na początku? Którędy wsunął ją pod sweter? Pocierał czy ścisnął, czy jedno i drugie? Palcami czy dłońią? W ten sposób?”.

W miasteczku był dentysta, doktor Phippen, brat głuchej bibliotekarki, który podobno włożył jednej dziewczynie rękę pod spódnice, przeglądając jej tylne zęby. Ilekroć przechodziłyśmy pod jego oknami, Naomi i ja mówiłyśmy na cały głos: „Może byś się zapisała do doktora? Doktor Obmacywacz Phippen jest bardzo dokładny!”. Czułam, że w przypadku pana Chamberlaina wyglądałoby to podobnie. Nabijałybyśmy się z niego, licząc, że wywołamy skandal. Kombinowałybyśmy, jak go sprowokować, a tego nie chciałam.

- Piękny był - powiedziała Naomi ze znużeniem w głosie.

- O co ci chodzi?

- Tamten paw. Na drzewie.

Zdumiało mnie i trochę rozdrażniło, że użyła słowa „piękny” w odniesieniu do ptaka i że w ogóle go zapamiętała, bo dotąd nie dostrzegała pewnych rzeczy, nie poświęcała im cienia uwagi. Już gdy wracałyśmy do domu, postanowiłam napisać wiersz o pawiu. To, że Naomi też o nim myślała, było niemal jak przekroczenie, bo nigdy nie dopuszczałam jej ani nikogo, do tak osobistych doznań.

Zaczęłam pisać wiersz przed położeniem się do snu.

Co jęczy wśród drzew w te

zawołowane noce?

Pawie czy może duch zimy?

Była to jego najlepsza część.

Rozmyślałam też o panu Chamberlainie, o jego dotyku, różnym od wszystkiego, co dotąd czytałam z jego oczu, głosu, śmiechu i anegdot. Był jak sygnał podany w chwili, gdy powinnam go zrozumieć. Naruszenie nieprzejezdne, kategoryczne, wolne od emocji.

Odtąd, ilekroć nas odwiedzał, podstawiałam mu się sama, podchodząc do niego, gdy wkładał kalosze w ciemnym korytarzu. Czekałam na ten sygnał i zawsze go dostawałam. Zamiast uszczypnąć mnie najpierw w rękę, poklepać po ramieniu czy objąć w ojcowskim albo przyjacielskim geście, od razu przechodził do rzeczy. Bez ceregieli łąpał za biust, pośladki, uda, brutalny jak piorun. I właśnie tak wyobrażałam sobie kontakt seksualny - przebłysk szaleństwa, nierealne, bezwzględne, wzgardliwe przekroczenie pozorów przyzwoitości. Pozbyłam się myśli o miłości, czułości i oparciu, podsycanych uczuciem wobec Franka Walesa. Wydawały mi się teraz miałkie i dziwnie infantylne, podczas gdy sekretne pogwałcenie intymności wiązało się z aprobatą, stokroć ważniejsze od czczej kurtuazji, sympatii czy szacunku.

Bynajmniej jednak nie dążyłam do seksualnego zespolenia. Błysk pioruna nie musi nieść ze sobą burzy.

Ale gdy pan Chamberlain zatrafił na mnie, zadrżały mi kolana. Czekał pół kwartału za szkołą. Nie było ze mną Naomi. Miała zapalenie migdałków.

- Gdzie twoja przyjaciółka?

- Jest chora.

- Przykre. Podwieźć cię do domu?

W samochodzie trzęsłam się cała, a w ustach zaschło mi tak, że prawie nie mogłam mówić. Czy na tym polega pożądanie? - pomyślałam. Na potrzebie poznania i obawie graniczącej z bólem? Sama z nim, niechroniona przez ludzi ani sytuację, czułam się nieswojo. Co zamierzał w biały dzień, na siedzeniu wozu?

Nie przysunął się do mnie ani odrobinę. Ale też nie skierował się ku Rzecznaj. Spokojnie jechał bocznymi ulicami, omijając pozostałe po zimie wyboje.

- Zgodziłabyś się mi pomóc, gdybym cię poprosił o przysługę? - spytał.

- Jasne.

- Jak sądzisz, o co chodzi?

- Nie wiem.

Zaparkował za sklepem nabiałowym, pod kasztanami, które wypuściły pierwsze, żółtawozielone listki. Tutaj?

- Chodzisz do pokoju Fern? Poszłabyś tam, jak nikogo nie będzie w domu?

Pomału ocknęłam się z nadziei, że mnie zgwałci.

- Weszłabyś do jej pokoju i przeprowadziła dla mnie małe śledztwo. Poszukałabyś czegoś, na czym bardzo mi zależy. Co by to było według ciebie, hm? Jak sądzisz, co mnie interesuje?

- Co?

- Listy - pan Chamberlain odpowiedział znacznie ciszej i rzeczowym tonem, przygnębiony myślą, której nie potrafiłam przeniknąć. - Zobacz, czy są tam jakieś listy. Może w którejś z szuflad. Mogą też być w szafie. Na pewno trzyma je w jakimś starym pudełku. W plikach. Kobiety tak robią.

- Od kogo?

- Ode mnie, rzecz jasna. Nie musisz ich czytać, zerknij tylko na podpis. Pisałem je dość dawno, może trochę pożółkły ze starości, kto wie? Piórem, jak dobrze pamiętam, więc powinny być czytelne. Dam ci wzór podpisu, żebyś miała łatwiej.

Wyjął ze schowka kopertę i napisał na niej: „Del jest niegrzeczna”.

Włożyłam ją do podręcznika łaciny.

- Nie pokazuj tego Fern, boby rozpoznała moje pismo. Ani mamie. Mogłoby ją zastanowić i pewno by się zdziwiła, prawda?

Odwiózł mnie do domu. Chciałam wysiąść na rogu Rzecznej, ale się nie zgodził.

- Wyglądałoby to tak, jakbyśmy się z czymś kryli. Tylko jak mi o tym powiesz? Może w niedzielę wieczór, gdy przyjdę na kolację. Spytam, czy odrobiłaś już zadanie. Jeśli je znajdziesz, odpowiesz, że tak, a gdybyś nie znalazła, odpowiesz, że nie. A gdyby nie udało ci się do niej zakraść, powiedz, że zapomniałaś o zadaniu.

Kazał mi powtarzać: „«Tak» znaczy «znalazłam», «nie» znaczy «nie znalazłam», «zapomniałam» znaczy «nie udało mi się zajrzeć»,.. Poczułam się urażona, że mnie tak musztruje - byłam znana ze świetnej pamięci.

- Dobrze, dzięki.

Szturchnął mnie pięścią w udo, mocno, ale ukradkiem, by nie spostrzegł tego jakiś przechodzień. Wzięłam torbę i wywlokłam się z samochodu. Kiedy już byłam sama, wciąż z obolałą nogą, wyjęłam kopertę i przeczytałam, co napisał. „Del jest niegrzeczna”. Pan Chamberlain dostrzegł we mnie skłonność do zdrady i występku i postanowił się mną posłużyć. Wiedział, że nie rozpłaczę się, gdy ugniatał moje piersi, wiedział, że nie wspomnę o tym matce, i teraz też wiedział, że nie powiem Fern o rozmowie, tylko pójdę na przeszpiegi, tak jak mu przyrzekłam. Czyżby odgadł moją prawdziwą naturę? Bo przecież robiąc nudne pomiary kątomierzem i kompasem i ślęcząc nad łacińskimi zdaniami („po rozbiciu obozu i zarżnięciu ukradkiem koni wroga Wercyngetoryks przygotowywał się do bitwy nazajutrz”), byłam świadoma swojego zepsucia, wybujającego jak wiosenne zboże, ciała, które zakwitowało pod dotykiem niewidzialnymi sińcami. Ubrana w niebieską bluzeczkę i spodenki, myjąc się mydłem, które nieomal zdzierało mi skórę, po meczu siatkówki, przeglądałam się w lustrze dziewczęcej umywalni i uśmiechałam się skrycie na widok swojej rumianej twarzy, na myśl o bezceństwach, które stały się moim udziałem, świństw, do jakich byłam zdolna.

Do pokoju Fern zakradłam się w sobotę rano, gdy matka pojechała, by posprzątać trochę wokół domu na wsi. Niespiesznie obejrzałam misia koalę siedzącego na poduszce, rozsypany na toaletce puder, zaschnięte resztki dezodorantu w słoiczkach, balsam, krem na noc, starą szminkę i niedokręconą buteleczkę lakieru do paznokci. Nieostre zdjęcie jakiejś pani, zapewne matki Fern, w uszytej jakby z chust, wielowarstwowej sukni, z pulchnym bobasem na rękę, chyba Fern. Na pewno Fern, z burzą loków na główce, w płaszczyku z rozkloszowanymi rękawami, z pękiem róż w rączce. Zerknęłam też na powtykane za lustro, pogięte fotografie. Pan Chamberlain w modnym słomkowym kapeluszu, w białych spodniach, wpatrzony w obiektyw, jakby widział więcej od obiektywu. Fern, szczuplejsza niż teraz, ale i tak tęga, w szortach, siedząca na kłodzie w jakimś lesie, na wakacjach. Pan Chamberlain z Fern, wystrojeni (ona z bukiecikiem), uwiecznieni przez fotografa ulicznego w jakimś obcym mieście, przechadzający się pod markizą kina, w którym wyświetlano Podnieść kotwicę! Piknik pracowników poczty w parku w Tupperton, pochmurny dzień i rozbawiona Fern w luźnych spodniach, unosząca kij do baseballu.

Nie znalazłam żadnego listu. Przeszukałam szuflady i półki w szafie, zajrzałam pod łóżko, a nawet do walizki. Znalazłam jednak trzy, schowane osobno, pliki korespondencji, owinięte gumką.

Jeden z nich zawierał „łańcuszek” i jego niezliczone kopie, wykonane ołówkiem albo atramentem, różnymi charakterami pisma, bądź też napisane na maszynie lub odbite na powielaczu.

Ta modlitwa obiega kulę ziemską już po raz szósty. Zapoczątkował ją na wyspie Wight pewien jasnowidz, któremu objawiła się we śnie. Przepisz ten list sześć razy i poślij go do sześciu przyjaciół, a potem przepisz załączoną modlitwę i roześlij do pierwszych sześciu osób z załączonej listy. Sześć dni po otrzymaniu tego listu zaczniesz dostawać kopie tej modlitwy ze wszystkich stron świata. Przyniosą ci one błogosławieństwo i pomyślność, **JEŚLI NIE PRZERWIESZ ŁAŃCUSZKA**. Jeżeli przerwiesz łańcuszek, w ciągu sześciu miesięcy od otrzymania przez ciebie tego listu spotka cię jakieś nieszczęście. **NIE PRZERYWAJ ŁAŃCUSZKA, NIE OPUSZCZAJ SEKRETNEGO SŁOWA NA KOŃCU. ZA SPRAWĄ TEJ MODLITWY NA ŚWIECIE SZERZĄ SIĘ SZCZĘŚCIE I POMYŚLNOŚĆ.**

Panie, obdarz dziś tego przyjaciela/-ciółkę

Pokojem i miłością

Ulecz go (ją) z trosk, pobłogosław jego (jej)

serce,

Natchnij go (ją) miłością oraz siłą,

która go (jej) nigdy nie opuści.

KARKAHMD

Na drugi plik składało się kilka arkuszy rozmazanego druku, przedzielonego niewyraźnymi szarymi ilustracjami przedstawiającymi coś, co wzięłam za worki do lewatywy z płataniną rurek, a co po przeczytaniu tekstu okazało się przekrojami męskich i żeńskich narządów płciowych - z nałożonymi lub wsuniętymi: prezerwatywami, krążkami dopochwowymi, tamponami (cała ta fachowa terminologia była dla mnie nowością). Wertując je, poczułam niepokój i silny ból w lędźwiach, toteż zaczęłam czytać. Przeczytałam o żonie ubogiego farmera z Karoliny Północnej, która rzuciła się pod koła wozu, gdy okazało się, że ma urodzić dziewiąte dziecko, o kobietach, które umierały w czynszówkach w wyniku powikłań ciąży, porodu lub makabrycznych aborcji, dokonywanych za pomocą szpilek do kapeluszy, wieszaków, drutów. Przeczytałam, a raczej przejrzałam statystyki demograficzne, ustawy, które uchwalono w różnych krajach, dopuszczające i zakazujące aborcji, ustępy o kobietach, które aresztowano za jej propagowanie. Znalazłam także instrukcje obsługi rozmaitych przyrządów. W książce matki Naomi też był rozdział na ten temat, ale nie dotarłyśmy do niego, ugrzęznąwszy w „Przypadkach i rodzajach stosunku”. Użyte w tym kontekście słowa „mydliny” i „galaretka”, a nawet „wagina” sprawiły, że cała rzecz wydała mi się żmudna i odarta z tajemnicy, związana z maściami, bandażami i szpitalem - i ogarnęło mnie takie samo obrzydzenie i głupia bezradność, jak kiedy musiałam rozbierać się u lekarza.

Trzeci plik zawierał różne maszynopisy. Niektóre miały tytuły - „Jak zrobić loda”, „Skarga żony kierowcy ciężarówki”.

Mężu, drogi mężu, co ja biedna pocznę

W gorącym pragnieniu, żebyś mi dogodził?

Ciągle jesteś w drodze, a jak nie, to śpisz.

(Szczenę, jak mi zaraz chuja nie włożysz!)

Zdumiało mnie, że dorośli mogą znać albo pamiętać takie słowa. Pożądliwe spiętrzenia wersów, krótkie, pisane mięsistą czcionką frazy buchały chucią jak ognisko oblane paliwem. Wierszyki były jednak pełne powtórzeń i udziwnień, czuło się, że prokurowano je na siłę, z mozołem; monotonne i ciężkie, wiały przeraźliwą nudą. Ale też same nieprzyzwoite słówka tchnęły jakąś siłą, zwłaszcza „pieprzyć”, w które dotąd nie wczytywałam się specjalnie, widząc je, nabazgrane na chodnikach albo płotach. Dopiero teraz zachwyciło mnie swoją brutalną dosadnością, hipnotyczną fantazją.

Kiedy pan Chamberlain spytał, czy odrobiłam zadanie, odpowiedziałam, że nie. Nie dotknął mnie przez cały wieczór. Ale w poniedziałek czekał pod szkołą.

- Przyjaciółka nadal chora? Smutne. Ale miło. Prawda, że miło?

- Co?

- Ptaki są miłe. Drzewa są miłe. Miło, że możesz wybrać się ze mną na przejażdżkę, że chodzisz dla mnie na przeszpiegi.

Wypowiedział to infantylnym tonem. Zło w jego pojęciu nie było niczym wielkim, wyjątkowym. Jego głos wskazywał, że można robić wszystko, absolutnie wszystko, i obracać to w żart, kpinę z solidnych, solennych, etycznych i uczuciowych ludzi, ludzi, którzy „traktują się poważnie”. Właśnie tego w nich nie cierpiał. Miał odpychający uśmiezek, a lekkomyślność, bez troskę pokrywał bezgranicznym samozadowoleniem. Dlatego nawet przez chwilę nie zastanawiałam się, czy powinnam z nim pojechać i zrobić, co zechce. Podejrzany charakter bynajmniej nie odstręczał mnie od niego, ale wręcz fascynował.

Podniecenie, które wzbudziły sprośne wierszyki Fern, zawładnęło mną bez reszty.

- Dobrze się rozejrzałaś? - zapytał zwykłym tonem.

- Mhm.

- Nic nie znalazłaś? Przeszukałaś wszystkie szuflady? Szuflady toaletki.
Pudła na kapelusze, walizki? Szafę też?

- Szukałam wszędzie - odparłam z powagą.

- Pewnie się ich pozbyła.

- Nie jest zbyt sentymentalna.

- Senamentalna? Nie rozumiem tych długich wyrazów, malutka.

Zostawiliśmy w tyle miasteczko. Pojechaliśmy na południe autostradą numer cztery i skręciliśmy w pierwszą boczną drogę.

- Piękny ranek - powiedział pan Chamberlain. - Przepraszam: piękne przedpołudnie, piękny dzień.

Spojrzałam przez szybę. Oswojony krajobraz zmienił się przez jego obecność, za sprawą jego głosu, obezwładniającego przecucia tego, co mieliśmy razem załatwić. Przez lata patrzyłam na drzewa, łąki, pejzaż ze skrytym przejściem. Bywały takie dni, nastroje, gdy na widok kępy traw, płotu, sterty kamieni doznawałam prawdziwego, bezbrzeżnego uniesienia, które, pełna nadziei, przypisywałam Bogu. Rzecz jasna nie mogłam oddawać mu się przy kimś, a teraz, przy panu Chamberlainie, cała przyroda wokół utraciła nieziemski powab, stała się obłądnie erotyczna. Zapanowała najbardziej bujna, najzieleńsza pora roku. W rowach zakwitwały pospolite stokrotki, lnice, jaskry, a kotliny, pełne bezimiennych złocistych krzewów, połyskiwały wezbranymi strumieniami. Zobaczyłam w tym wszystkim nieprzebraną ilość kryjówek. Zaorane pola w oddali wybrzuszały się bezwstydnie jak materace. Każda ścieżynka i polana w gąszczu, każde miejsce wyleżane w trawie przez krowę przyzywało mnie wyraźnie, kusiło

natarczywie jak określone słowa albo gesty.

- Mam nadzieję, że twoja mamusia nie zapuszcza się w te strony.

Stwierdziłam, że to niemożliwe. Matka bytowała w zupełnie innym świecie niż ten, w który właśnie wchodziłam.

Pan Chamberlain zboczył z drogi na ścieżkę, która urywała się w polu zarośniętym w połowie przez krzewy. Nagły bezruch samochodu, ustanie przyjaznego szumu i pędu, w którym byłam zawieszona, rozproszyło mnie trochę. Wyobrażenia zaczęły nabierać realnego kształtu.

- Przejdźmy się kawałek, tam, do strumienia.

Wysiadł po swojej stronie, ja po swojej. Ruszyłam za nim w dół zbocza, pośród rozkwieconych głógów, wydzielających słodkawy zapach drożdży. Był to szlak uczęszczany chętnie, o czym świadczyły, leżące w trawie, pomięte pudełka po papierosach, pusta butelka po piwie, papierki po gumie do żucia. Zewsząd otaczały nas niskie drzewa i zarośla.

- Tutaj się zatrzymamy, co ty na to? - zaproponował rozważnie pan Chamberlain. - Nad samą wodą mogłoby być mokro.

W półcieniu zrobiło mi się zimno, a przemożna ciekawość tego, co mnie czeka, zdusiła cały żar łaskoczący moje krocze, odrętwiało nagle, jakby przyłożono mi tam kostkę lodu. Pan Chamberlain rozpiął marynarkę, rozluźnił pas i rozsunął rozporek. Pogmerał chwilę w spodniach i zawołał cicho:

- Łuuu!

Członek, zupełnie inny niż Dawida z marmuru, sterczał przed nim, wzwiedziony, tak jak wyczytałam w książce. Zakończony niby główką, jak grzyb, był czerwonawofioletowy. Wyglądał głupkowato i śmiesznie w porównaniu, na przykład, z pełnymi ekspresji palcami dłoni i stóp, albo nawet z łokciem czy kolaniem. Nie wydał mi się groźny, być może wbrew intencjom pana Chamberlaina, który stojąc w rozkroku, napięty, z czujną miną rozchyłał majtki, by się nim pochwalić. Goły i bez wyrazu, paskudny kolorem otwartej rany, penis sprawiał wrażenie bezbronnego, swawolnego i naiwnego jak zwierzę z okazałym pyskiem albo nosem, którego groteskowo zwykły wygląd ma świadczyć o przyjaznym usposobieniu (podczas gdy piękno na ogół kojarzy się inaczej). Nie obudził jednak we mnie nowego podniecenia. Tak jakby nie miał ze mną nic wspólnego.

Nie spuszczał ze mnie wzroku i z uśmiechem, pan Chamberlain ujął członek w rękę i zaczął pompować go miarowo, nie za mocno, opanowanym, sprawnym ruchem. Jego twarz złagodniała; oczy, wciąż utkwione we mnie, zaszły mgłą. Stopniowo, jakby na próbę, przyspieszył tempo, poruszając dłonią coraz mniej rytmicznie. Przykucnął nade mną. Jego uśmiechnięte usta rozwarły się szerzej, odsłaniając zęby, a oczy wzniosły się lekko ku górze. Oddech stał się głośny i drżący. Teraz pracował ręką jak szalony, jęcząc, zgięty niemal w pół w spazmatycznym bólu. Twarz, którą, jak w obłędzie, raz po raz unosił nad krocza, była tępa i trzęsła się jak maska na kij, a rozpaczliwe odgłosy, które bezwiednie wydawał, miały w sobie coś teatralnego, nierzeczywistego. W istocie cały ten spektakl wśród niewzruszonych okrytych kwieciami gałęzi wydawał się sztuczny, dziwnie i przewidywalnie egzaltowany jak taniec indiański. Czytałam o opętaniu ciała rozkoszą, o seksualnej ekstazie, lecz określenia te nijak miały się do prymitywnego widowiska, skalkulowanego szaleństwa, które przyszło mi teraz oglądać. Pomyślałam, że jeśli pan Chamberlain nie osiągnie szybko celu, umrze. Wtem jęknął inaczej niż dotąd, bardziej rozpaczliwie i donośniej, zakwilił jakby od ciosu w krtań. Wydając nagle cichy, wdzięczny skowyt, strzyknął spermą, białawą mazią, prawdziwym nasieniem, które obryzgało mi rąbek spódnicy. Wyjął chusteczkę i wytarł najpierw ręce, a potem spódnicę.

- Fajnie ci, co? - uśmiechnął się do mnie, mimo że nie odzyskał jeszcze oddechu.

Nie mogłam pojąć, że po takich spazmach, po takim objawieniu męczyzna jakby nigdy nic chowa chusteczkę, dopina rozporek, wstaje i - wciąż

poczerwieniały z podniecenia - wraca tam, skąd przyszedł.

Odezwał się tylko raz, w samochodzie, gdy trochę ochłonął, nim przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Niezły widok, hm?

Pejzaż był jak po stosunku, daleki i pusty. I panu Chamberlainowi udzieliło się chyba coś z tej melancholii, czy raczej niepokoju, bo gdy dojeżdżaliśmy do miasteczka, kazał mi usiąść na podłodze auta, a potem pokłuczył trochę i wysadził mnie w odludnym miejscu, gdzie droga obniżała się za stacją benzynową. Najwyraźniej jednak nie do końca stracił humor, bo szturchnął mnie pięścią w krocze, tak jakby sprawdzał świeżość orzecha kokosowego.

Jak powinnam się domyślić, był to pożegnalny występ pana Chamberlaina. Wróciwszy do domu w południe, zastałam Fern w jadalni, przy stole nakrytym do obiadu. Z kuchni dobiegały krzyki matki, która zagłuszała się tłuczeniem kartofli.

- Nieważne, co mówią. Nie wyszłaś za mąż. Nie byłaś zaręczona. Nikomu nic do tego. To twoje życie, i kropka.

- Chcesz zobaczyć mój liścik miłosny? - zapytała Fern, rozkładając mi pod nosem kartkę papieru.

Droga Fern, ze względu na okoliczności, na które nie mam wpływu, wyruszam dziś moim wiernym pontakiem, kierując się na zachód. Na świecie jest masa rzeczy, których jeszcze nie znam, i nie widzę powodu, żeby się ograniczać. Może przyślę ci pocztówkę z Kalifornii czy z Alaski, kto wie? Bądź grzeczna jak zawsze, liź znaczki i otwieraj listy nad parą, może wreszcie kiedyś znajdziesz tam studolarówkę. Jak Mama umrze, wrócę pewnie do domu, ale nie na długo. Bywaj, Art.

List został napisany tą samą ręką, która skreśliła „Del jest niegrzeczna”.

- Gmeranie w cudzej korespondencji to przestępstwo - oświadczyła matka, wchodząc. - Według mnie nie popisał się dowcipem.

Rozdzieliła między nas marchewkę z puszki, tłuczone kartofle i klopsy. Bez względu na porę roku w środku dnia zawsze jadaliśmy solidne posiłki.

- Mimo wszystko nie straciłam apetytu - westchnęła Fern i oblała klops keczupem. - Mógł być mój. Przed laty, gdybym się postarała. Wspominał nawet w listach o małżeństwie. Żałuję, że ich nie zachowałam. Mogłam go pozwać za niedotrzymanie obietnicy.

- Całe szczęście, że tego nie zrobiłaś! - rzekła z ogniem matka. - Dokąd by cię to zawiodło?

- Chodzi ci o to, że go nie pozwałam, czy że nie wydałam się za niego?

- Że się nie wydałaś. Pozew o niedotrzymanie jest poniżający dla kobiety.

- I tak nic by nie wyszło z tego ślubu.

- Kształciłaś się na śpiewaczkę. Miałaś swoje pasje.

- Bawiłam się aż za dobrze. Wiedziałam o małżeństwie dostatecznie dużo, by nie mieć złudzeń, że oznacza koniec zabawy.

Mówiąc o zabawie, Fern miała na myśli potańcówki w Pawilonie w Lakeshore, drinki i kolacje w hotelu Regency w Tupperton, sobotnie wieczory w przydrożnych barach, do których zawsze ktoś tam ją podwoził. Matka nie mogła pojąć sensu takich rozrywek, podobnie jak nie rozumiała, dlaczego

ludzie wciąż wracają na diabelskie koło, choć przejażdżka na nim przyprawia ich o wymioty.

Wbrew zainteresowaniu operą Fern nie tragizowała swoich przeżyć. Wyznawała zasadę, że mężczyźni odchodzą - im prędzej, tym lepiej, bo są przeraźliwie nudni. Niemniej o panu Chamberlainie mówiła bez przerwy. Jak nakręcona.

„Niežnośny jak Art - zwróciła się raz do Owena przy kolacji. - Tak samo nie tykał żółtych jarzyn. Matka nie dała mu dość w skórę, gdy był mały. Ciągle mu to powtarzałam”.

„Jak chodzi o posturę, jesteś przeciwieństwem Arta - oznajmiła ojcu. - Nie sposób dopasować mu ubrania, bo ma nieproporcjonalnie długi tułów. Tylko u Ransoma w Tupperton można było coś dla niego znaleźć”.

„Raz jedyny widziałam, jak stracił cierpliwość. W Pawilonie. Wybraliśmy się tam, żeby potańczyć. Poprosił mnie jakiś facet, więc wstałam i poszłam z nim, bo niby czemu nie, a on wtulił mi się w szyję. I nagle zaczyna mnie lizać, jakbym była z lukru! Wtedy Art do niego: «Skoro już musisz się ślinić, to zostaw tę dziewczynę, bo jest moja!». I odepchnął go. Tak zrobił!”

Ilekcję wchodziłam do pokoju, w którym rozmawiała z matką, zapadała nienaturalna, wyczekująca cisza. Matka słuchała jej ze skołowaną, pełną niezachwianego współczucia zboląłą miną. Cóż miała robić? Fern była jej dobrą, być może jedyną, przyjaciółką. Ale o pewnych rzeczach wolałaby nie wiedzieć. Kiedy pan Chamberlain wyjechał, chyba trochę go jej brakowało.

„Potraktował cię podle - mówiła, gdy Fern bezradnie wzruszała ramionami z dwuznacznym uśmiechem. - Bez dwóch zdań. Nikt dotąd nie stracił w moich oczach tak szybko jak on. Ale też tęsknię za nim, bo jako lektor wiadomości był niezastąpiony”.

Rozgłośnia w Jubilee nie znalazła osoby, która umiałaby czytać najnowsze - pełne rosyjskich nazwisk - doniesienia bez paniki w głosie, a „Ku pamięci” prowadził przy wtórze Jezu, spełnienie ludzkich pragnień niejaki Bum Bach. Doprowadzało to matkę do furii.

Gdy moja znajomość z panem Chamberlainem zamknęła się, chciałam opowiedzieć o wszystkim Naomi. Ale Naomi wyszła z choroby lżejsza o piętnaście funtów, z zupełnie nowym spojrzeniem na świat. Wraz z tuszą straciła całą naturalność i prostotę. Wysławiała się staranniej i nie była już tak zaczepna jak dotąd. Nabrała szacunku do siebie. Siadała pod drzewem, ze spódnicą rozpostartą na trawie, patrzyła, jak gramy w siatkówkę i raz po raz dotykała czoła, sprawdzając, czy nie ma gorączki. Zajęta sobą, skupiona wyłącznie na swoim zdrowiu, nie zainteresowała się nawet tym, że pan Chamberlain wyjechał. Miewała potworne skoki temperatury. Sprośności zniknęły z jej rozmów i wyleciały jej też chyba z głowy, choć często wspominała, że podczas choroby doktor Wallis sam mył jej nogi gąbką i czuła się wtedy bezbronna, obnażona.

Nie dane mi było więc obrócić tego, co robił ze mną pan Chamberlain, w zabawną, acz straszną anegdotę. Nie wiedziałam, co z tym zrobić. Nie potrafiłam już myśleć o nim tak jak na początku, nie mogłam śnić o nim na jawie jako o zdecydowanym, prostodusznym, silnym zbereźniku, gotowym spełnić każdą moją zachciankę. Moja wiara w prosty występki osłabła. Najwidoczniej tylko w marzeniach zapadnia otwierała się tak łatwo i przyjemnie, wciągając ciało wyzute z myśli, z charakteru w otchłań szaleńczego rozpasania. Pan Chamberlain pokazał mi, że ekstaza nie jest tak oczywista, że człowiek nie może wyzwolić się z własnych ciemnych, pogmatwanych tęsknot.

W czerwcu w ogrodzie na tyłach Zjednoczonego Kościoła odbywało się doroczne przyjęcie truskawkowe. Fern poszła tam, by zaśpiewać, ubrana w szyfonową suknię w kwiaty, którą pomogła jej uszyć mama, a która zrobiła się teraz bardzo ciasna w talii. Po wyjeździe pana Chamberlaina mocno przybrała na wadze, tak że nie była teraz pulchna, tylko po prostu gruba, spęczniała jak suflet, a jej płamista, matowa dotąd skóra świeciła się, naciągnięta od nadmiaru tłuszczu.

- Przynajmniej nikt nie powie, że usycham z żalu - klepnęła się po brzuchu.
- Żeby tylko te szwy nie puściły, bo inaczej będzie skandal.

Słyszeliśmy stukot jej obcasów o bruk. W soczyste, ciche pochmurne wieczory pod drzewami dźwięki niosły się daleko. Gwar ludzi zebranych pod kościołem docierał aż do schodów domu. Czy matka też chciała włożyć zwiewną letnią sukienkę i kapelusz i wybrać się na przyjęcie? Jako towarzyska agnostyczka stanowiła ewenement w Jubilee, gdzie życie towarzyskie i religijne traktowano właściwie jako jedno. Fern namawiała ją, żeby się zebrała.

- Przecież należysz do wspólnoty. Od ślubu, dobrze pamiętam?

- Miałam już ukształtowany światopogląd. Wyszłabym na hipokrytkę. Jestem niewierząca.

- Myślisz, że oni wszyscy wierzą?

Czytałam na werandzie, wypożyczony z biblioteki, Łuk triumfalny. Biblioteka dostała niewielkie wsparcie finansowe i nabyła zapas nowych książek za radą doktorowej Wallis, która wprawdzie skończyła studia, ale, jak się okazało, nie miała gustu, jaki przypisywali jej radni. Ludzie skarżyli się, mówili, że trzeba było zasięgnąć rady Belli Phippen, ale z półek usunięto tylko jedną książkę - Handlarzy. Zdążyłam ją przeczytać. Matka przejrzała ją i po przeczytaniu paru stron wpadła w przygnębienie.

- Nie przypuszczałam, że druk może służyć czemuś takiemu!

- To o przemyśle reklamowym, o tym, jaki jest zepsuty.

- Obawiam się, że nie tylko on. Za chwilę będą pisać, jak się załatwiają, tylko tego brakuje! W Silasie Marnerze nie ma takich rzeczy. Ani u klasyków.

Potrafili pisać i to wystarczało.

Jakiś czas temu porzuciłam swoje ukochane książki, Krystynę, córkę Lavransa, powieści historyczne. Zaczęłam czytać literaturę współczesną. Somerseta Maughama. Nancy Mitford. Czytałam o bogatych i utytułowanych, którzy pogardzali ludźmi, jacy w Jubilee tworzyli elitę - aptekarzami, dentykami czy właścicielami sklepów. Poznawałam wielkie nazwiska, Balenciaga, Elsa Schiaparelli. Uczyłam się nazw drinków, alkoholi. Whisky z wodą sodową. Gin z tonikiem. Cinzano, Benedictine, Grand Marnier. Znałam nazwy hoteli, ulic, restauracji w Londynie, Paryżu, Singapurze. Bohaterowie tych książek sypiali ze sobą, robili to ciągle, ale - wbrew podejrzeniom matki - opisy tego, co robili w łóżku, wcale nie były drobiazgowo. W jednej z nich stosunek płciowy ujęto metaforycznie jako przejazd przez tunel (zapewne zakładając, że jest się pociągiem) na górską łąkę, porażająco piękną niczym niebiańskie pastwiska. Pisarze musieli go do czegoś przyrównywać, nigdy nie mówili, jaki jest naprawdę.

- Tam się nie da czytać! - zawołała matka. - Nic nie widać przy tym świetle. Chodź tu, usiądź na schodach.

Poszłam więc, ale nie chciała, bym czytała. Potrzebowała towarzystwa.

- Bzy przekwitają, zobacz. Niedługo pojedziemy na wieś.

Kiście bzów rosnących na krańcu podwórza, przy chodniku, niedawno jeszcze fioletowe, zbladły i przypominały teraz strzępy materiału w rdzawe kropki. Za nimi ciągnęła się przykurzona droga, a dalej, po drugiej stronie, kępy dzikich jeżyn przed nieczynną fabryką, na której fasadzie widniał duży, wyblakły chełpliwy napis: MUNDY, PIANINA.

- Żal mi Fern - powiedziała matka. - Współczuję jej takiego życia.

Jej smutny poufny ton zabrzmiał niepokojąco.

- Pewnie znajdzie sobie dziś nową sympatię.

- Co ty mówisz? Nie szuka nowego chłopca. Dość już przeszła. Zaśpiewa arię Haendla. Wciąż zachwyca głosem.

- Roztyła się.

Matka przemówiła do mnie poważnym, pełnym nadziei, pouczającym tonem.

- Czuję, że nadchodzą pewne zmiany w życiu dziewcząt i kobiet. Tak. Zależą one jednak tylko i wyłącznie od nich. Dotąd stanowił o nas jedynie związek z mężczyzną. Nic poza tym. Nie miałyśmy własnego życia, prawie jak zwierzę domowe. „Przytuli cię, kiedy osłabnie w nim żar pierwszej namiętności, bliższą ledwie od psa, droższą nieco od konia”. Tennyson. Tak to wygląda. Wyglądało. Zapragniesz jednak dzieci.

Tyle o mnie wiedziała.

- Niemniej liczę, że... będziesz rozważna. Bądź rozsądna. Nie daj się omamić. Gdy raz popełnisz ten błąd i dasz się... zwieść mężczyźnie, twoje życie przestanie już być twoje. Stanie się brzemieniem jak dla innych kobiet.

- W dzisiejszych czasach istnieje kontrola urodzeń - przypomniałam jej.

Spojrzała na mnie, zaskoczona, choć swego czasu sama przyniosła wstyd rodzinie, pisząc do lokalnego „Herald-Advance”, że „każda kobieta w hrabstwie Wawanash powinna otrzymać z funduszy publicznych środki antykoncepcyjne, by mogła ustrzec się przed nadmiarem potomstwa”. Chłopcy w szkole ryczeli na mój widok: „Ej, kiedy to mamunia rozdaje kondomy?”.

- To nie koniec, aczkolwiek dzieci są oczywiście wielkim dobrodziejstwem i kościół potępia antykoncepcję jak wszystko, co mogłoby złagodzić trudy życia doczesnego. Mam na myśli godność. Szacunek do samej siebie.

Niezupełnie zrozumiałam, dokąd zmierza, lecz nawet gdybym zrozumiała, przeciwstawiłabym się jej na pewno. Musiałabym sprzeciwić się wszystkiemu, co tłumaczyła mi z taką powagą, z takim upartym optymizmem. Drażniła mnie, ilekroć okazywała troskę o moje życie, troskę, której potrzebowałam i którą traktowałam jako oczywistość. Poza tym czułam też, że to, co stara się mi wpoić, niewiele różni się od zwykłych rad udzielanych dziewczętom i kobietom, które jakoby powinny być ostrożne, solenne i zapobiegliwe, podczas gdy mężczyźni mają się bawić, szaleć, porzucać, co im niewygodne, i wracać do domu z dumą. Bez chwili namysłu postanowiłam robić to samo.

Ochrzczenie

Na początku trzeciego roku ogólniaka Naomi zmieniła profil na handlowy. Uwolniona od łaciny, fizyki i algebry, wspinała się teraz na drugie piętro szkoły, gdzie pod spadzistym dachem przez cały dzień stukwały maszyny do pisania, a ściany były obwieszane maksymami w ramkach, przygotowującymi ucznia do życia w świecie interesów. „Moim kapitałem są czas i energia, jeśli je roztrwonię, nic mi nie zostanie”. W porównaniu z klasami na innych piętrach, gdzie tablice pokrywały obce słówka i abstrakcyjne wzory, a ze ścian straszyły ryciny okrętów, katastrof morskich i podniecających, ale ocenzurowanych przygód herosów z mitologii - wchodziło się tam jakby w chłodne dzienne światło, do prawdziwego, wypełnionego zgiełkiem świata. Z przyjemnością. Naomi była zadowolona.

W marcu znalazła sobie pracę w biurze sklepu nabiałowego. Skończyła z nauką. Któregoś dnia zaprosiła mnie tam po czwartej. Poszłam więc, nieświadoma, co mnie czeka. Sądziłam, że Naomi powita mnie z za kontuaru jakąś komiczną miną. Miałam zamiar zbesztać ją drżącym głosem staruszki: „Co to ma znaczyć? Wczoraj kupiłam u was tuzin jajek i wszystkie są zgniłe!”.

Biuro mieściło się w niskim otynkowanym aneksie, dobudowanym do starej mleczarni. Były tam lampy fluorescencyjne oraz nowe metalowe szafy na dokumenty i biurka - przestrzeń, w której od razu poczułam się nieswojo - i panował rzetelny hałas sumatora i maszyn do pisania. Poza Naomi pracowały tam dwie dziewczyny, których imiona, Molly i Carla, poznałam później. Ubrana w różowo-zieloną plisowaną spódniczkę i różowy sweterek, nowe, Naomi miała koralowe paznokcie i całkiem twarzową fryzurę. Uśmiechnęła się do mnie, ledwie kiwnęła ręką znad maszyny w niemym powitaniu, i zaczęła pisać w obłąkańczym tempie, prowadząc wesołą, chaotyczną, niezrozumiałą pogawędkę z koleżankami. Po kilku minutach krzyknęła, że skończy o piątej. Odparłam, że muszę wracać. Czułam, że Molly i Carla przyglądają mi się, taksują wzrokiem moje poplamione

atramentem czerwone dłonie, ześlizgującą się z ramion wełnianą chustkę, nieład na głowie, pensjonarską stertę książek pod pachą.

Zadbane dziewczęta napawały mnie śmiertelnym przerażeniem. Nie zbliżałam się do nich nawet, z obawy, że śmierdę. Sądziłam, że dzieli nas tak wiele, jakbyśmy były ulepione z innej gliny. Ich chłodne dłonie nie brudziły się i nie pociły, kapelusze nie przekrzywiały się na głowie ani odrobinę; zawsze miały suche pachy (nie wiedziały więc, co znaczy przyciskać łokcie do boków, żeby ukryć haniebnie ciemne półkola na sukience) i nigdy, ale to nigdy nie zdarzył im się ten raptowny, niedający się powstrzymać żadnym tamponem wybuch krwi, która ścieka obrzydliwie po wewnętrznej stronie uda. Skądże! Ich miesiączki przebiegały dyskretnie, natura służyła im i nigdy ich nie zawodziła. Tak zresztą jak moja szorstkość nie przekładała się na ich wyrefinowanie i było już za późno, aby odwrócić tę różnicę. A Naomi? Podobnie jak ja nabawiła się kiedyś kurzajek, cierpiała na grzybicę stóp, chowała się ze mną w toalecie, gdy razem padałyśmy ofiarą kobiecej przypadłości i bała się robić kozły przed całą klasą, żeby nie pośliznąć się przypadkiem albo nie dostać krwotoku - zbyt zdeprymowana, by prosić o zwolnienie z gimnastyki. Nie mogłam pojąć, skąd ta przebieranka, lakier na paznokciach, pastelowy sweterek...

Wkrótce bardzo zaprzyjaźniła się z Molly i Carłą. Ilekroć odwiedzała mnie w domu albo wzywała do siebie, mówiła głównie o swoich dietach, sposobach pielęgnacji skóry, metodach mycia włosów, strojach i krążkach macicznych (Molly od roku była mężatką, a Carla szykowała się do ślubu w czerwcu). Czasami, gdy byłam u niej, przychodziła Carla i w kółko rozmawiały o praniu swetrów i bielizny albo o myciu głowy. „Uprałam kardigan! Taaak? W zimnej czy w letniej wodzie? W letniej, ale chyba mu nie zaszkodziła. Jak sobie poradziłaś z karczkiem?” Siedziałam i myślałam o swoim niechlujnym swetrze, tłustych włosach i wypłowiałym biustonoszu z ramiączkiem spiętym agrafką. Moje swetry zbiegały się albo poszerzały w dekolcie po praniu. Wiedziałam, że nie dbam o nie zbyt, ale też zawsze ogarniało mnie fatalistyczne przecucie, że i tak skurczą się albo sflaczeją. Oczywiście myłam też włosy i nawijałam je na upiorne stalowe wałki, które uniemożliwiały sen. Nieraz spędzałam przed lustrem wiele godzin, pracowicie wyskubując brwi, oglądając się z profilu, cieniując twarz jasnym i ciemnym pudrem, aby podkreślić jej walory i ukryć niedostatki według zaleceń z magazynów dla pań. Zabiegi te wymagały dużej cierpliwości, której

nie miałam, jednak wszystko - od reklam, przez prozę Francisa Scotta Fitzgeralda, po okropne piosenki w radiu - utwierdzało mnie w przekonaniu, że muszę, muszę się jej uczyć. Miłość unika niewydepilowanych kobiet.

Jeżeli zaś chodzi o mycie włosów, to akurat zaczęłam czytać artykuł w jakimś magazynie, poświęcony zasadniczej różnicy między myśleniem kobiet i mężczyzn w odniesieniu do doświadczeń seksualnych (tytuł mylnie sugerował, że tekst skupia się na kwestii seksu). Autor, słynny nowojorski psychiatra, uczeń Freuda, twierdził, że różnicę między męskim a kobiecym punktem widzenia trafnie uwidaczniają myśli chłopca i dziewczynki siedzących na ławce w parku, patrzących na księżyc w pełni. Chłopiec myśli o wszechświecie, o jego bezmiarze i tajemnicy, a dziewczynka: „Powinnam umyć głowę”. Wstrząsnęło to mną tak mocno, że odłożyłam artykuł. Zrozumiałam, że moje myśli biegną zupełnie innym torem niż myśli dziewczynki - księżyc nigdy nie kojarzył mi się z myciem włosów. Czułam, że jeśli pokażę to matce, powie: „Tak, tak, że niby kobieta nie ma mózgu, doprawdy wściec się można od tych mizoginistycznych głupot!”. Nie przekonałaby mnie jednak wcale. Specjalista z Nowego Jorku musiał znać się na rzeczy. Poza tym kobiety pokroju mojej matki stanowiły mniejszość, było to dla mnie oczywiste. Mało tego - nie chciałam być jak ona, dziewiczo cierpka i naiwna. Chciałam wzbudzać miłość mężczyzn i patrząc na księżyc, myśleć o kosmosie. Poczulałam się osaczona, zdana na własne siły, tak jakby musiało istnieć wyjście z sytuacji bez wyjścia. Nie miałam ochoty zagłębiać się w artykuł, który jednak przyciągał mnie podobnie jak w dzieciństwie pewna ilustracja w książce z bajkami, przedstawiająca mroczne fale morskie i kolosalnych rozmiarów wieloryba. Nerwowo przemykałam wzrokiem po stronie, zatrzymując się na stwierdzeniach typu: „Kobieta traktuje wszystko osobiście, zjawiska interesują ją jedynie wtedy, gdy przekładają się na jej własne doświadczenia; w dziełach sztuki widzi swoje życie lub swoje fantazje”. W końcu przedarłam magazyn na pół i wepchnęłam go do kubła na śmieci przed domem, próbując o nim zapomnieć. A potem, ilekroć natykałam się na artykuł w rodzaju „Wielki powrót kobiecości!” albo quiz dla nastolatek z nagłówkiem „Martwi cię, że chcesz być chłopcem?”, przewracałam szybko stronę, jakby w strachu, że coś mnie ugryzie. Mimo że myśl o byciu chłopcem nigdy nie przyszła mi do głowy.

Dzięki Molly i Carli i za sprawą posady Naomi zaczęła obracać się w towarzystwie, o którego istnieniu w Jubilee ani ona, ani ja nie miałyśmy

pojęcia. Należały do niego dziewczęta pracujące w sklepach, w biurach i dwóch bankach, jak również kilka mężatek, które właśnie zwolniły się z pracy. Te, które nie miały męża ani chłopca, chodziły wspólnie na tańce. Jeździły do Tupperton, na kręgle. Wydawały dla siebie przyjęcia z okazji nadchodzącego ślubu i gdy któraś spodziewała się dziecka (ten drugi, nowy u nas, zwyczaj oburzał staruszki). Ich rozmowy, pełne skandalicznych zwierzeń, ograniczały rozmaite uprzejmości i konwenanse. Zamiast dogryzać sobie, boczyć się i obrzucać wyzwiskami jak w szkole, spierały się taktownie, nigdy wprost, i zajmowały się takimi problemami jak ciąża, aborcja, porzucenie - o których wiedziały wszystko i których pilnie strzegły przed resztą miasteczka. W ich ustach najniewinniejsze, najcieplejsze i najserdeczniejsze słowa nieraz znaczyły coś zgoła odmiennego. Tolerując rzeczy, które większość mieszkańców Jubilee uznałaby za niemoralne, krytykowały każde odstępstwo od mody, niestaranny strój albo fryzurę, jak również niedostatek ogłady towarzyskiej na przyjęciach.

Od pierwszej wypłaty Naomi zaczęła robić to, co wszystkie one przed zamążpójściem. Chodziła po sklepach i kazała odkładać dla siebie różne rzeczy, za które płaciła w ratach z miesięcznych pensji. W sklepie z artykułami żelaznymi zamówiła cały zestaw garnków i patelni, u jubilera srebra stołowe, a w sklepie Walkera - koc, komplet ręczników i lnianą pościel. Miała to być jej wyprawa. Nigdy, odkąd ją znałam, nie planowała niczego tak starannie. „Kiedyś trzeba zacząć - mówiła z irytacją w głosie. - Jak ty chcesz się wydać, z dwoma talerzami i starą ścierką?”

W sobotnie popołudnia chodziłam z nią do sklepów, gdzie uiszczala kolejne opłaty, oglądała swoje przyszłe dobra i mówiła, dlaczego - jak Molly - zamierza przejść na gotowanie bez wody i że jakość materiału poznaje się po liczbie nitek na cal kwadratowy. Ta nowa, nudna i wciąż czymś pochłonięta Naomi zdumiewała mnie i onieśmiewała. Miałam wrażenie, jakby zostawiła mnie daleko w tyle. Bynajmniej nie chciałam pójść w jej ślady, ale też czułam, że podąża swoją drogą konsekwentnie, że jej życie jakoś się rozwija. Czy to samo można by powiedzieć o mnie?

Moim ulubionym zajęciem w sobotnie popołudnia było słuchanie w domu transmisji z Metropolitan Opera. Zwyczaj ten datował się od czasów, gdy nasza lokatorka Fern Dogherty słuchała z matką oper w radiu. Fern

opuściła Jubilee, wyjechała za pracą do Windsoru w Ontario i (rzadko) pisała do nas pełne ogólników pogodne listy o swoich wypadach do nocnych klubów za rzeką Detroit, wyścigach, występach w amatorskim kółku operowym, o tym, że świetnie się bawi. Nowa Naomi podsumowała ją z wyższością: „Ta cała Fern to jedna wielka kpina”. W pojęciu Naomi i jej przyjaciółek - dla których najważniejszy cel stanowiło małżeństwo - kobiety starsze, które nie wyszły za mąż, czy to idealistyczne stare panny, czy też dyskretne awanturnice jak Fern, nie zasługiwały na cień współczucia. „Jak to: kpina?”, spytałam dociekliwie, ale Naomi wytrzeszczyła na mnie swoje blade, jasne oczy i powtórzyła: „Kpina, po prostu kpina!”, gotowa skompromitować rodzącą się herezję, zdusić ją w zarodku argumentami nie do zbicia.

Matka przestała interesować się operą. Znała na pamięć bohaterów, fabuły i libretta, rozpoznawała sławne arie, nie miała więc co odkrywać. Nieraz bywała poza domem, bo nadal sprzedawała encyklopedie i musiała zachęcać klientów, którzy już je zakupili, do zamawiania corocznych suplementów. Ale nie czuła się dobrze. Najpierw dotknął ją szereg nietypowych dolegliwości - brodawki podeszew, zapalenie oka, powiększenie węzłów chłonnych, dzwonięcie w uszach, krwotoki z nosa, dziwne łuszczenie się skóry. Bez przerwy chodziła do lekarza. Gdy tylko jej się poprawiało, zapadała na coś nowego. Okazało się, że cierpi na osłabienie energii, opada z sił, o co nikt by jej nie podejrzewał. Miewała jednak lepsze dni. Pisywała listy do gazet, próbowała uczyć się astronomii. Ale czasem szła do siebie, kładła się do łóżka i wołała mnie, żebym okryła ją kocem. Zawsze robiłam to niedbale, przywoływała mnie więc znowu, prosząc, bym porządnie opatuliła jej kolana i stopy. A potem mówiła marudnym, figlarnym dziecinnym głosem: „Pocałuj matkę”. Dawałam jej suchego skąpego całusa w skroń. Jej włosy przerzedziły się mocno. Odślonięta biała skóra skroni przybrała niezdrowy cierpiętniczy wygląd, który napawał mnie niechęcią.

Tak czy inaczej podczas słuchania Łucji z Lammermooru, Carmen i Traviaty wołałam być sama. Pewne fragmenty muzyczne poruszały mnie tak, że nie mogłam usiedzieć na miejscu i chodziłam w koło po jadalni, śpiewając w głowie wraz z głosami z radia, obejmując się i ściskając łokcie. Moje oczy napełniały się łzami. Ponoсила mnie fantazja. Wyobrażałam sobie kochankę, burzliwe porywy serca, rozedrgane zwieńczenie naszej namiętności. (Nieświadoma, że traktuję dzieło sztuki dokładnie tak, jak opisał to nowojorski psychiatra.) Lubieżne poddanie się. Nie mężczyźnie, lecz przeznaczeniu, ciemności, śmierci. A najbardziej ukochałam sobie Carmen.

Et laissez moi passer! - syczałam przez zęby, z myślą, że dramat Don Josego, poddanie się przez Carmen doniosłości ostatecznego gestu i wyobrażenia o samej sobie są stokroć ponętniejsze od seksu.

Muzyka operowa pobudzała u mnie apetyt. Po wysłuchaniu ostatniego aktu zwykle szłam do kuchni i przygotowywałam kanapki z jajkiem sadzonym, stopy placuszków przełożonych miodem i masłem orzechowym i gęstą mdłą mieszankę własnego pomysłu, złożoną z kakao, syropu kukurydzianego, brązowego cukru, wiórków kokosowych i siekanych orzechów, którą trzeba było jeść łyżką. Obżarstwo koίło mnie najpierw, a potem przygnębiało jak masturbacja. (Masturbacja. Naomi i ja przeczytałyśmy kiedyś w książce jej matki, że chłopki na wschodzie Europy robią to marchewką, a Japonki używają kulek gejszy, i że notorycznego onanistę poznaje się po mętnym spojrzeniu i niezdrowej cerze - i łążyłyśmy po Jubilee, wypatrując tych objawów w twarzach ludzi, z myślą, że onanizm to proceder dziwny, komiczny i paskudny. W istocie wszystko, czego dowiadywałyśmy się o seksie, bawiło nas i napawało wstrętem albo, jak mawiałyśmy, „śmieszyło do wyrzygania”. A teraz nie rozmawiałyśmy o tym wcale.) Czasem po przejedzeniu pościłam przez parę dni i piłam, rozpuszczone w ciepłej wodzie, duże dawki soli gorzkiej, licząc, że jeśli wyrzucę wszystko z siebie jak najszybciej, nie zdążę przybrać na wadze. Nie byłam jakoś specjalnie gruba, tylko tęgawa, pełna na tyle, że ubóstwiałam książki, w których opisy obfitych kształtów kobiecych były pełne czułości, przesycone subtelnym erotyzmem, a te, w których kobiety godne pożądania przedstawiano jako szczupłe, budziły we mnie głębokie przygnębenie. By dodać sobie otuchy, powtarzałam w myślach wers z wiersza o „kochanicy o potężnych, gładkich niby marmur kończynach”. Podobało mi się zwłaszcza słowo „kochanica”, okazałe, pełne majestatu, bo przecież kochanica nie może być zbyt szczupła. Lubiłam oglądać reprodukcję Wielkich kąpiących się Cézanne’a w poświęconym historii sztuki suplementcie do encyklopedii, a potem przeglądać się nago w lustrze. Tyle że moje trzęsące się uda przypominały twaróg w przezroczystym worku.

Tymczasem Naomi rozglądała się za kandydatem na męża.

Do biura sklepu nabiałowego przychodził regularnie niejaki Bert Matthews, kawaler, tuż przed trzydziestką, o zatroskanej jowialnej twarzy, z fryzurą jak

futrzana czapka zatknięta na pomarszczoną głowę. Pracował w inspekcji drobiu. Naomi zdradziła mi z niesmakiem, co mówił do Molly i Carli. Nieustannie pytał Molly, czy już zaszła w ciążę, ukradkiem lustrując jej brzuch z boku, i udzielał Carli rad na temat jej zbliżającej się podróży poślubnej. Nazywał Naomi „ciasteczkiem”. Na jej widok wciskał klakson i zwalniał, a ona odwracała głowę ze słowami: „Boże, chroń mnie przed tym głupkiem!”, i stroiła miny do swojego odbicia w wystawach.

Bert Matthews założył się z nią o dziesięć dolarów, że nie będzie mogła spotkać się z nim na zabawie w sali tanecznej Gayla. Naomi postanowiła pójść tam - dla dziesięciu dolarów i by udowodnić mu, że jednak może. Matka na pewno by jej nie puściła, ale matka wyjechała z miasteczka do chorego, a ojcem Naomi nie musiała się przejmować. „Jest zniedołężniały” - mówiła, wyraźnie rozkoszując się zimną melodią tego słowa. Spędzał czas w swoim pokoju, z Biblią, otoczony książkami o tematyce religijnej, porządkując prorocтва.

Naomi chciała, żebym wybrała się z nią i została u niej na noc. Powiedziałam matce, że idziemy do kina. Czułam, że powinnam to zrobić - nie dlatego, by przypodobać się Naomi, ale dlatego, że szczerze nie znosiłam sali tanecznej Gayla i bałam się jej.

Sala taneczna Gayla mieściła się pół mili na północ od miasteczka, przy autostradzie. Budynek pokrywały bale ze sztucznego tworzywa w czekoladowym kolorze, a okna nie miały szyb, tylko drewniane okiennice, szczelnie zamykane na dzień i otwierane szeroko wieczorem. Gdy czasem przejeżdżałam tamtędy z matką, mówiła: „Przyjrzyj się Sodomie i Gomorze!”. Odnosiło się to do słów pastora prezbiteriańskiego, który przyrównując w kazaniu Gaylę do tych dwóch miast, przepowiadał jej podobny los. Matka dodawała jednak, że porównanie to jest pozbawione sensu, bo praktyki, za które Bóg pokarał Sodomę i Gomore, były nienaturalne. (Fern Dogherty, której to tłumaczyła, odparła spokojnie i zagadkowo: „Naturalne czy nienaturalne, to chyba zależy?”). Matka była w niełatwej sytuacji. Dla zasady musiała ośmieszać stanowisko Kościoła prezbiteriańskiego, tymczasem już sam widok Gayli raził ją nie mniej niż prezbiterian. Budynek, jego ślepe okna, brudne, zaśmiecone pole wokół i podejrzana sława wywoływały u mnie podobne skojarzenia.

Podobno w sosnowym lasku nieopodal walały się, jak stare skóry węży, prezerwatywy.

Wybrałyśmy się tam któregoś piątkowego wieczoru, w kwiecistych sukienkach marszczonych w pasie. Staralam się wyglądać jak najlepiej. Umyłam się, ogoliłam nogi, wtarłam pod pachy dezodorant, uczesałam włosy. Włożyłam sztywną halkę, która drapała mi uda, i gorset, który zamiast mnie wyszczuplić, ścisnął żebra tak mocno, że jeszcze bardziej uwypuklił talię, którą musiałam zakryć plastikowym paskiem, ściągniętym tak bardzo, że pociłam się pod nim. Na szyję i twarz nałożyłam beżowy fluid jak farbę, a moje usta, grubo umalowane czerwoną szminką, przypominały cukrowy kwiat na torcie. Włożyłam sandały, do których wpadał mi żwirek. Naomi miała wysokie obcasy. Był już czerwiec. Ciepłe łagodne powietrze, rozedrgane skrzydłami owadów, i niebo, prześwitujące między pniami czarnych sosen jak skórka brzoskwini, wprawiłyby mnie w znacznie lepszy nastrój, gdybym nie musiała teraz iść na tańce.

Naomi przeszła pierwsza przez niebrukowany prowizoryczny parking i wspięła się po schodkach oświetlonych gołą żarówką. Nawet jeżeli bała się tak jak ja, nie było tego po niej widać. Nie spuszczałam wzroku z jej pogardliwych obcasów i bladych jak biszkopty, umięśnionych, pewnych łydek. Przed wejściem kręcili się mężczyźni i chłopcy. Nie widziałam ich twarzy, ale nie podniosłam głowy. Widziałam tylko ich papierosy, kłamry pasów, połyskujące w mroku butelki. By ominąć ich ciche i swobodne, zapewne szydercze, budzące dziwny przestach słowa, starałam się wstrzymać słuch, tak jak się wstrzymuje oddech. Gdzie podziała się moja dawna pewność - fałszywa pewność tamtych dni wyniosłej błazenady? Nic z niej nie zostało. Myślałam z niedowierzaniem i nostalgią, jaka wtedy byłam śmiała, chociażby wobec pana Chamberlaina.

Tęga stara kobieta ostemplowała nam ręce fioletową pieczętką.

Naomi od razu znalazła Berta Matthews, który stał przy podeście do tańca.

- Nie przypuszczałam, że się tu spotkamy - rzucił. - Wypuściła cię mamusia?

Poprosił ją do tańca. Drewniany podest wznosił się parę stóp nad posadzką, a otaczająca go balustrada była obwieszona kolorowymi światełkami, które oplatały też cztery słupki w rogach i zwisały z dwóch krzyżujących się nad tancerzami żyłek. Całość przywodziła na myśl skąpany w blasku okręt, unoszący się nad ziemią i pokrytą trocinami podłogą. Poza tym oświetleniem i światłem z okna kuchni, z którego sprzedawano hot dogi, hamburgery, lemoniadę, colę i kawę - we wnętrzu panował mrok. Wokół rysowały się niewyraźne kształty ludzi stojących w grupkach, a wilgotne trociny pod nogami cuchnęły od porozlewanych napojów. Jakiś mężczyzna wyciągnął do mnie rękę z papierowym kubkiem. Pokręciłam głową, sądząc, że mnie z kimś myli. A potem pożałowałam. Bo gdyby został, poprosiłby mnie może do tańca.

Naomi wróciła po dwóch tańcach. Przyprowadziła Berta Matthews'a i szczupłego, lisiego mężczyznę o różowej twarzy i rudych włosach. Stanął z szyć podaną naprzód, wyginając długi tułów jak przecinek. Nie poprosił mnie do tańca, tylko - gdy rozbrzmiała muzyka - ujął mnie za rękę i pociągnął na podest. Ku mojemu przerażeniu był szalonym, pełnym polotu tancerzem. Raz po raz odpychał mnie od siebie żwawym ruchem i znów porywał w ramiona, kręcił piruety, pstrykał palcami, a wszystko to bez uśmiechu, z poważną, niemal wrogą miną. Starając się dotrzymać mu kroku, próbowałam nadążyć za jego słowami, bo podczas krótkich nieoczekiwanych przerw w tańcu, gdy byliśmy dostatecznie blisko, zabawiał mnie też rozmową. Mówił z holenderskim akcentem, nieprawdziwym. W tym czasie kilka gospodarstw w okolicy przejęli imigranci z Holandii, których ciepły, niewinny akcent i wyrażenia przeniknęły do lokalnych powiedzonek i żartów.

- Tańcz mnie luźno - powiedział, używając jednego z tych określeń.

Nie zrozumiałam, co ma na myśli, bo przecież tańczyłam go - a raczej sam się tańczył - z nadspodziewaną swobodą. Cały czas mówił w ten sposób; rozróżniałam pojedyncze słowa, nie pojmowałam jednak ich sensu. Być może nawet żartował, tyle że jego twarz pozostawała niewzruszona. Ale przewracał śmiesznie oczami i mówił „skarbie” zimnym tęsknym głosem, tak jakby nie do mnie. Usiłowałam wczuć się jakoś w dziewczynę, którą w swoim mniemaniu porwał do tańca, udawać, że jestem drobna, szykowna, bystra i

załotna. Jednak wszystko, co robiłam, każdy mój ruch i mina, którymi próbowałam mu odpowiadać, wydawały się opóźnione i w ogóle ich nie dostrzegał.

Tańczyliśmy, dopóki zespół nie zrobił sobie przerwy. Ucieszyłam się, że to już koniec i że nieznajomy został ze mną. Byłam pełna obaw, że zorientuje się, ile mam braków, i poszuka sobie innej. Pociągnął mnie z podestu w stronę okna kuchni, do którego przepychaliśmy się chwilę przez tłum, i kupił dwa piwa imbirowe w kubkach.

- Napij się - nakazał, porzucając holenderski akcent, znużonym i praktycznym tonem. Upiłam trochę z kubka. - Drugie też dla ciebie - dodał. - Ja tego nie piję.

Przesuwaliśmy się na drugi koniec sali. Rozpoznając powoli twarze, zauważyłam parę znajomych osób i uśmiechnęłam się do nich, niepewnie dumna, że tam jestem, dumna, że prowadzi mnie mężczyzna. Gdy w końcu dotarliśmy do Berta i Naomi, Bert wyjął pierśiówkę whisky i powiedział:

- Jak tam, kolego?

Nalał trochę do obu kubków. Naomi uśmiechnęła się do mnie szklście jak pływak po wyjściu z wody. Byłam zgrzana i spragniona. Wypiłam drinka trzema, czterema wielkimi haustami.

- O rany! - zdziwił się Bert Matthews.

- Pije jak smok - rzekła, zadowolona ze mnie, Naomi.

- To może się obejść bez dodatków - stwierdził Bert, wlewając mi alkohol do kubka.

Przechyliłam go, by podbić swoją popularność, bynajmniej nie zniechęcona smakiem whisky. Bert zaczął jęczeć, że nie może dłużej tańczyć. Powiedział, że boli go kręgosłup. Mój towarzysz - imieniem, jak się okazało, Clive - wydał z siebie zdumiewający jazgotliwy śmiech jak salwa z karabinu i szturchnął go pięścią w brzuch, nad kłamrą pasa.

- Kręgosłup go boli, taaa? Ciekawe czemu?

- Leżę sobie cicho, nic nie robię - odparł Bert wysokim marudnym głosem - a ona siada na mnie, to co było robić?

- Nie świntusz! - ucieszyła się Naomi.

- Kto świntuszy? Co ja takiego powiedziałem? Wymasowałabyś mi plecy, kiciu. Więc jak, Naomi, wymasujesz plecki?

- Guzik mnie obchodzą twoje plecy! Kup sobie maść, i tyle.

- A ty mi ją wetrzesz, hmmm? - zanurzył nos w jej włosach. - Wetrzesz jak należy?

Kolorowe światła zamazywały się i podrygiwały w górę i w dół jak rozciągane gumki recepturki. Policzki ludzi wokół wydłużyły się plugawo jak odbite w falistym zwierciadle. Głowy powiększyły się nieproporcjonalnie do tułowia. Nie widząc ich konturów, wyobraziłam sobie, jak oderwane od ciała, unoszą się w powietrzu na niewidzialnych tacach. Jeśli chodzi o zmianę percepcji, osiągnęłam szczyt pijaństwa. Kiedy doświadczałam tego stanu, Clive kupił hot dogi zawinięte w serwetki i skrzynkę piwa imbirowego, po czym wyszliśmy z Gayli i wylądowałam na tylnym siedzeniu wozu, z Clive'em, który objął mnie ręką i bez żenady zaczął łaskotać po opancerzonym brzuchu. Jechaliśmy autostradą w - jak mi się wydawało - zawrotnym tempie. Bert i Clive śpiewali na przemian, dyszkantem: Co z tego, że nie ma słońka, i tak pokocham się dziś wieczór!. Przez opuszczone do końca okna wpadał do środka wiatr i gwiazdy. Upiłam się, pomyślałam.

Wjechaliśmy do miasteczka. Domy przy głównej ulicy jakby przemawiały do mnie, ujawniając tymczasową, figlarną i radośnie nieprawdopodobną naturę świata. Zapomniałam o Clive'ie. Pochylił się nade mną, przycisnął twarz do mojej twarzy i wepchnął mi w usta język, przedziwnie wielki, mokry, zimny, pognieciony jak ścierka do naczyń.

Zatrzymaliśmy się za hotelem Brunswick.

- Tu mieszkam - oznajmił Bert. - To mój wesoły domek.

- Nie wejdziemy - orzekła Naomi. - Nie wolno przyprowadzać do pokoju dziewcząt.

- Zaraz się przekonamy.

Wśliznęliśmy się tylnymi drzwiami. Potem były schody i korytarz, na którego końcu błyszczał podobny do bańki mydlanej zbiornik jakiegoś czerwonego płynu, jak stwierdziłam, zamroczona, wprost porażająco piękny. Weszliśmy do pokoju i usiedliśmy w rażącym nagle świetle, osobno. Bert przysiadł, a potem położył się na łóżku. Naomi siedziała na krześle, a ja na rozprutym pufie, obie ze skromnie obciągniętymi spódnicami. Clive siadł na zimnym kaloryferze, ale zaraz wstał, żeby zasłonić okno, i nalał wszystkim whisky, mieszając ją z piwem imbirowym. Jedliśmy hot dogi. Wiedziałam, że źle robimy, zatrzymując się tu i wchodząc do środka. Moje szczęście ulatniało się i choć piłam dalej w nadziei, że powróci, czułam się tylko wzdęta, gruba, jakby spuchło mi wszystko, zwłaszcza palce.

- Popierasz równouprawnienie kobiet? - spytał Clive.

- Tak. - Starłam się pozbierać, ośmielona i poniekąd zobowiązana do udziału w dyskusji.

- Uważasz, że kara śmierci powinna dotyczyć też kobiet?

- Jestem prze... ciwniczką kary śmierci. Ale sko... ro już ma być, to tak, kobiet tak samo.

- Uważasz, że kobiety powinno się wieszać tak jak mężczyzn? - wyrzucił jak pocisk.

Zaśmiałam się buńczucznie, smutno. Pomału odzyskiwałam poczucie rzeczywistości.

Sprowokowało to Berta i Clive'a do żartów. Każdy dowcip zaczynał się serio i rozwijał się poważnie jak refleksyjna albo pouczająca anegdota, trzeba więc było zachowywać dużą czujność, żeby nie przegapić puenty, z rozdziawioną buzią. Bałam się, że jeśli nie roześmieję się od razu, uznają, że jestem za tępa, aby go zrozumieć, albo że mnie dotknął. Na większość tych dowcipów, poczynając od pierwszego, starałyśmy się reagować prosto i zwięźle, w taki sposób, by nie wyjść na idiotki, z pewną niechęcią i rozdrażnieniem, ale i przyzwalająco, śledzić je z przymrużonymi oczami i grymasem ironii, jakbyśmy znały dalszy ciąg.

- Chodź do łóżka - zaproponował Bert Naomi po kolejnym żarcie.

- Dzięki, dobrze mi tu - odparła i strzepując popiół z papierosa do hotelowej szklanki, zarzekła się, że nie wypije ani kropli więcej.

- Masz coś przeciwko łóżkom? Można sobie pofikać...

- To fikaj, proszę bardzo.

Clive nie mógł usiedzieć na miejscu. Cały czas biegał po pokoju, walczył z cieniem, objaśniał swoje żarty, przyskakiwał do Berta na łóżku, aż w końcu Bert też zerwał się na nogi i zaczęli udawać, że walczą, okładając się lekko na

ugiętych kolanach, ze śmiechem.

- Debile - stwierdziła Naomi.

Na koniec objęli się ramionami i spojrzeli na nas zdawkowo, jak z ringu.

- Poznaję po stroju, żeś jest kowboj - zaśpiewał Bert, a Clive mu odpowiedział: Poznaję po twoim, żeś ty kowboj też. Widać po naszym stroju, żeśmy są kowboje...

- E, bambus! - szepnął Bert złowieszczo.

- No?

- Cztery lata masz ty, czy pięć?

- A, nie wiem. Nie wiem, cztery czy pięć.

- Ej, bambus? Znasz się na babach?

- Nie.

- Masz cztery.

Roześmiałyśmy się, ale Naomi dodała:

- Znam to. Słyszałam na rewii w Tupperton.

- Muszę się załatwić - powiedziałam, wstając.

Najwyraźniej wciąż byłam pijana, bo normalnie nie powiedziałabym czegoś takiego przy mężczyznach.

- Masz moje pozwolenie - rzekł wspaniałomyślnie Bert. - Idź. Pozwalam ci opuścić pokój. Pójdiesz do końca korytarza, a potem otwórz drzwi z napisem... - Przyjrzał mi się badawczo i niemal wetknął mi twarz między piersi. - A! Już widzę: „Damska”.

Znalazłam toaletę i załatwiłam się, nie zamknąwszy drzwi, o których przypomniałam sobie po fakcie. Po drodze do pokoju zobaczyłam pękaty zbiornik czerwonego płynu, a za nim, na końcu korytarza, jakieś światło. Ruszyłam w jego stronę, mijając pokój Berta. Za światłem majaczyły drzwi, z uwagi na upał otwarte na drabinkę pożarową. Byliśmy na drugim, najwyższym piętrze hotelu. Zrobiłam krok do przodu, potknęłam się i o mało nie przeleciałam przez poręcz. Gdy doszłam do siebie, schyliłam się i z wielkim trudem zdjęłam sandały, żeby znów się nie potknąć. Zeszłam na sam dół drabinki. Od ziemi dzieliło mnie około sześciu stóp. Najpierw zrzuciłam sandały, dumna, że na to wpadłam, a potem usiadłam na dolnym stopniu, opuściłam się najniżej jak mogłam i skoczyłam, lądując na twardej ziemi, w zaułku między hotelem a rozgłośnią radiową. Włożyłam sandały, zdumiona, co robię, bo przecież chciałam wrócić do pokoju. Nie miałam pojęcia, dokąd pójść. Nasz dom na Rzeczej wyleciał mi z głowy i ubzdurałam sobie, że mieszkamy aż przy Drodze na Moczary. W końcu przypomniałam sobie o domu Naomi. Uznałam, że jeśli porządnie się zastanowię, uda mi się tam trafić.

Obijając się o ceglany mur hotelu, dotarłam na koniec zaułka i ruszyłam Stromą - najpierw pomyliłam kierunek, tak że musiałam zawrócić - i przeszłam na drugą stronę głównej ulicy, nie rozglądając się, ale było późno, więc i tak nie musiałam przejmować się samochodami. Nie sprawdziłam czasu, bo podobny teraz do księżyca zegar na wieży poczty rozmazał mi się przed oczami. Minąwszy główną ulicę, postanowiłam iść po trawie, ogrodami, bo chodnik był twardy. Znowu zdjęłam buty. Stwierdziłam, że muszę powiedzieć wszystkim o tym objawieniu - że chodnik sprawia ból, a miętka trawa koi. Dziwne, że nikt dotąd na to nie wpadł! Podeszłam pod dom

Naomi na Kamieniarskiej i - zapominając, że zostawiliśmy tylne drzwi otwarte - wspierałam się po schodach od frontu. Próbowałam otworzyć drzwi. Na próżno, więc zapukałam. Najpierw grzecznie, a potem mocniej i głośniejsze. Sądziłam, że Naomi jest w środku, usłyszysz i zejdziesz, by mnie wpuścić.

Światło nie zapaliło się, ale ktoś otworzył drzwi. Ojciec Naomi w nocnej koszuli, z gołymi nogami i siwymi włosami, świecił w mroku korytarza jak trup, który powstał z grobu. Zaczęłam: „Naomi...”, i zaraz się opamiętałam. Odwróciłam się, zeszłam po schodach niepewnym krokiem i skierowałam się ku Rzeczej, która przypominała mi się w tej samej chwili. Teraz byłam rozsądniejsza. Padłam na huśtawkę na werandzie i usnęłam, pograżając się w wirze mroku i światła, bezradności, smrodliwych beknięć po hot dogu.

Ojciec Naomi nie wrócił tej nocy do łóżka. Siedział i czekał na nią w ciemnej kuchni, a gdy się zjawiała, zdjął pas i bił ją po ramionach, rękach, nogach, po czym tylko się dało. Później kazał jej klęknąć na posadzce i modlić się, żeby już nigdy więcej nie próbowała alkoholu.

Natomiast ja zbudziłam się bladym świtem, zmarznięta, z mdłościami, obolała - i zdążywszy zbiec z werandy - zwymiotowałam w kępę łopianów koło domu. Tylne drzwi przez cały czas były otwarte. Włożyłam głowę pod zlew, próbując pozbyć się zapachu whisky, i, bezpieczna, wskoczyłam do łóżka. Gdy matka wstała, powiedziałam jej, że zrobiło mi się niedobrze u Naomi i wróciłam późno w nocy. Przeleżałam cały dzień z potwornym bólem głowy, rozhuśtanym żołądkiem, bardzo osłabiona, z poczuciem porażki i ulgi. Pocieszały mnie dziecinne rzeczy - stara lampka w stylu Przemineño z wiatrem, niebieskobiałe metalowe kwiaty przytrzymujące zasłony w kropki. Czytałam Życie Charlotte Brontë.

Przez okno widziałam zachwaszczone łąki za torami, fioletowawe czerwcową trawą. Patrząc na wciąż lekko wezbraną Wawanash i na srebrzyste wierzby, przeniosłam się, rozmarzona, do minionej epoki, gdy ludzie przechadzali się z zadumą, byli prawi, układni i czyści, kiedy panował niezmacony spokój.

Przyszła Naomi.

- Myślałam, że cię zabiję - powiedziała przenikliwym szeptem. - Jak mogłaś tak sobie odejść?

- Zachciało mi się rzygać.

- Akurat. Za kogo ty się uważasz? Clive to nie byle głupek. Ma dobrą pracę. Jest doradcą ubezpieczeniowym. Z kim chcesz się spotykać? Z licealistami?!

Pokazała mi ślady po uderzeniach i opowiedziała o ojcu.

- Gdybym wróciła z tobą, nie ośmieliłby się tego zrobić. Jak sądzisz, skąd wiedział, że wyszłam, do cholery?

- Nie pisnęłam słowa, a on też nie pytał. Pewnie coś mu się poplątało, albo wziął mnie za zjawę.

Naomi i tak umówiła się z Bertem na przyszły tydzień.

- Może mnie bić do znudzenia. Mam to gdzieś. Muszę mieć normalne życie.

Na czym polegała jej normalność? Był to świat dziewcząt ze sklepu nabiłowego, przyjęć, lnianej pościeli, garnków, patelni i sreber, zawilego kobiecego obrządku, ale też - potańcówki w Gayli, pijacka jazda po ciemku, słuchanie męskich żartów, znoszenie mężczyzn, czujna walka z nimi i łapanie ich, usidlanie. Oba aspekty tego życia były wzajemnie zależne, nierozzerwalne i podejmując je, oswajając, dziewczyna wkraczała na drogę do zamążpójścia. Inaczej się nie dało. Lecz ja miałam inne dążenia. Chciałam przyćmić Charlotte Brontë.

- Wstań, ubierz się i chodź ze mną do miasta. Dobrze ci to zrobi.

- Mdlu mnie strasznie.

- Jesteś dużym dzieckiem. Zamierzasz do końca życia kryć się tak przed światem?

Odtąd nasza przyjaźń osłabła. Przestałyśmy u siebie bywać. Gdy czasem spotykałyśmy się na ulicy zimą - ona w nowym płaszczu, lamowanym futrem, a ja ze stertą podręczników - opowiadała mi, co aktualnie robi. Zwykle umawiała się z kimś, o kim nigdy nie słyszałam, z Porterfield, Błękitnej Rzeki albo Tupperton. Szybko odstawiła Berta, którego rola, jak się okazało, sprowadzała się do zapraszania dziewcząt na pierwszą randkę. Zainteresowany tylko młodymi i niedoświadczonymi, wbrew swoim przechwałkom nie bałamucił ich i nigdy nie zrobił żadnej dziecka. Clive miał wypadek samochodowy, powiedziała, i amputowano mu nogę poniżej kolana. „Nic dziwnego, piją na umór i jeżdżą jak wariaci” - stwierdziła z jakąś matczyną rezygnacją, a nawet dumą, tak jakby picie na umór i szaleńcza jazda były czymś właściwym, godnym ubolewania, ale koniecznym. Wkrótce Naomi przestała zdawać mi raporty ze swoich poczynań. Widując się czasem na ulicy, rzucałyśmy sobie tylko zdawkowe „cześć”. Czułam, że w życiu, które niejasno i niepokojąco jawiło mi się jako prawdziwe, zaszła tak samo daleko, jak daleko zostawiła całą bezużyteczną i konkretną wiedzę wyniesioną ze szkoły.

Byłam celującą uczennicą. Zawsze musiałam mieć najlepsze stopnie. Przynosząc je do domu, już myślałam o następnych. Wydawały się namacalne, solidne jak żelazo. Otaczałam się nimi jak barykadą i każdy słabszy był jak niebezpieczna wyrwa.

W holu głównym szkoły, wokół listy zasłużonych byłych uczniów, którzy zginęli na wojnie w latach 1914-1918 i 1939-1943, wisały drewniane tarcze wszystkich klas, z małymi srebrnymi wizytówkami tych, którzy osiągnęli najwyższe wyniki w danym roku, dopóki nie rozplynęli się w pracy i macierzyństwie. Widniało tam moje nazwisko, chociaż nie co roku. Czasem przewyższał mnie Jerry Storey. Miał najwyższy jak dotąd iloraz inteligencji nie tylko w naszym liceum, ale i w całym hrabstwie Wawanash. Udawało mi się go pokonywać wyłącznie dlatego, że, pochłonięty naukami ścisłymi, był niecierpliwy i nieraz zapominał o przedmiotach, które nazywał „pracą pamięciową” (francuskim i historii), jak również o literaturze angielskiej,

którą traktował nieomal jak osobistą zniewagę.

Jerry i ja trzymaliśmy się razem. Rozmawialiśmy na korytarzu. Stopniowo stworzyliśmy własny żartobliwy język, pojęcia i słownictwo, którymi nie dzieliliśmy się z nikim innym. Nasze nazwiska pojawiały się razem w maleńkiej, odbijanej na powielaczu i prawie nieczytelnej gazetce. Najwyraźniej wszyscy uważali, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Nazywali nas „Trustem mózgów” albo „Ekspertami” z niejaką pogardą, którą Jerry znosił lepiej niż ja. Deprymowało nas, że zostaliśmy skojarzeni w parę jak dwa ostatnie okazy rzadkiego gatunku zwierząt - i drażniło, że przypisuje się nam podobieństwa, których nie widzieliśmy. W moim przekonaniu Jerry był sto razy dziwniejszy i brzydszy ode mnie, podczas gdy on uważał, że tylko ktoś bez pojęcia może uznać nas za równych pod względem intelektu, że nie dorastam mu do pięt jak byle kapelmistrz Toscaniniemu. Według niego, jak powiedział, gdy rozmawialiśmy o przyszłości, miałam pierwszorzędną pamięć, nierzadki u kobiet talent do języków i nieco ograniczoną zdolność logicznego myślenia przy niemal zerowej umiejętności abstrahowania. „Jesteś znacznie inteligentniejsza od większości mieszkańców Jubilee, ale nie zapominaj, że przy panującej teraz na świecie konkurencji twój potencjał umysłowy może się szybko wyczerpać” - oznajmił, dodając z powagą, że dotyczy to też jego. „Staram się zachować dystans. Wyróżniam się w ogólniaku, ale czy na politechnice też byłbym prymusem?” Mówiąc o swoich planach, kipiał ambicją, którą wyrażał jednak z lekkim sarkazmem, bez nadmiernej chętności.

Przyjęłam jego osąd jak żołnierz, bo nie podzielałam jego zdania. To znaczy: wiedziałam, że ma rację, ale też czułam się dość silna w tym, do czego (według mnie) nie miał dostępu i czego nie potrafiłby ocenić. Nie podziwiałam jego gimnastyki umysłowej, bo inni imponują nam jedynie wtedy, gdy są od nas w czymś lepsi. Jego umysł jawił mi się jak cyrkowy namiot pełen niewyraźnych przyrządów, które służyły mu do popisów spektakularnych i nudnych. Starannie kryłam się przed nim z tą myślą. Zachowywał uczciwość, mówiąc, co o mnie sądzi, a ja nie zamierzałam tego odwzajemniać. Dlaczego? Bo wyczuwałam w nim to, co kobiety wyczuwają w mężczyznach - przewrażliwienie na swoim punkcie, butę, despotyzm i brawurę. Wolałam nie zakłócać tego w nim i odnosiłam się do tego obojętnie, niemal z pogardą, której nigdy nie okazywałam. Uważałam się za taktowną, a nawet miłą. Nie sądziłam, że jestem nazbyt dumna.

Chodziliśmy razem do kina. Chodziliśmy na zabawy szkolne i tańczyliśmy fatalnie, skrępowani, rozdrażnieni sobą, upokorzeni rolą zakochanej pary, którą przyjęliśmy poniekąd z konieczności - dopóki nie odkryliśmy, że, by to przetrwać, należy się tym bawić. Ratowała nas parodia, autoironia. Gdy dopisywał nam nastrój, byliśmy pogodnymi, sympatycznymi, czasem kąśliwymi nieco przyjaciółmi raczej niż małżonkami o wieloletnim stażu. Jerry nazywał mnie „bakłażanem” na cześć koszmarnej sukienki z purpurowowinnej tafty, przerobionej z jednej z sukien, które zostawiła u nas Fern Dogherty. (Powodziło nam się gorzej niż przed wojną, bo hodowla srebrnych lisów przynosiła znacznie mniejsze zyski.) Gdy matka przerabiała suknię, liczyłam, że będzie twarzowa, a nawet że nada moim rozłożystym biodrom powabu jak toaleta Rity Hayworth na plakatach Gildy. Wkładając ją, próbowałam sobie wmawiać, że wyglądam doskonale, gdy jednak Jerry skrzywił się, westchnął z przesadą i powiedział piskliwym zachwyconym głosem: „Bakłażan!”, zrozumiałam, że jestem w błędzie. Postanowiłam obrócić to w żart i prawie mi się udało. Po wyjściu z domu improwizowaliśmy dalej na ulicy.

- Wczorajszy wieczór galowy w Arsenale Jubilee zaszczylicili swoją obecnością pan Jerry Storey III, potomek szacownego rodu, który wzbogacił się na nawozach, i wytworna panna Del Jordan, dziedziczka imperium futrzarskiego, para, która olśniewa wszystkich niepowtarzalnym i nieopisanym stylem tańca...

Często oglądaliśmy filmy o wojnie, która skończyła się rok przed tym, jak zaczęliśmy naukę w liceum. Po seansie chodziliśmy do restauracji Hainesa, którą woleliśmy od Siwej Sowy, bo tam spotykali się inni uczniowie, by grać na automatach i słuchać szafy grającej. Popijaliśmy kawę i paliliśmy papierosy mentolowe. Między boksami wznosiły się wysokie przepierzenia z ciemnego drewna, zwieńczone półkolistymi okienkami o ciemnozłotyach szybkach. Składając serwetki w geometryczne formy, nawijając je na łyżeczkę, rozdzierając na cieniutkie paski, Jerry opowiadał o wojnie. Opisywał batański marsz śmierci, metody tortur stosowane w japońskich obozach jenieckich, naloty na Tokio, zniszczenie Drezna; zasypywał mnie okropnościami, bombardował makabrycznymi statystykami. Bez cienia protestu, z opanowanym podnieceniem, z dziwnie uporczywą satysfakcją. Opowiadał też o nowych rodzajach broni, opracowywanych

właśnie przez Amerykanów i Rosjan, tak jakby ich niszczycielska moc była nieunikniona, potężna i niepokonana jak siły rządzące wszechświatem.

- No i broń biologiczna... mogliby przywrócić dżumę... wymyślają choroby, na które nie ma antidotum, przechowują zarazki... Gaz paralizujący... za pomocą oślepiających narkotyków można by kierować całą populacją...

Był przekonany, że wybuchnie nowa wojna, że zniesie nas z powierzchni ziemi. Wesoły, nieprzejednany, w drucianych okularkach, już teraz przygotowywał się do kataklizmu. Reagowałam konwencjonalnym przerażeniem, nieśmiałą kobiecą rozważą, co tylko prowokowało go do sprzeciwu, sprawiało, że straszyl mnie jeszcze bardziej i podważał moje argumenty. Nie było to trudne. Orientował się w sytuacji na świecie, wiedział, jak rozszczepiono atom. Ja byłam oswojona jedynie ze światem, który stworzyłam z pomocą kilku książek, osobliwym i inspirującym dla mnie samej. Ale słuchałam go. Nudziłam się, złościłam i powtarzałam, że skoro to wszystko prawda, to czemu wstaje rano i chodzi do szkoły, dlaczego marzy, by zostać wielkim naukowcem.

- Jeżeli świat się kończy i nie ma dla niego nadziei, skąd ona nagle w tobie?

- Jeszcze zdążę dostać Nobla - odparł pyszałkowato, żeby mnie rozbawić.

- Dziesięć lat?

- Powiedzmy: dwadzieścia. Przełomowych odkryć dokonują mężczyźni przed trzydziestym piątym rokiem życia.

Zazwyczaj mrucał potem cicho: „Wiesz, że się wygłupiam”. Miał na myśli Nagrodę Nobla, nie wojnę. Nie mogliśmy uciec przed panującym w miasteczku przesądem, jakoby przechwałki i zbyt wysokie mniemanie o sobie miały ściągać straszliwe nadprzyrodzone złe moce. A jednak zbliżyły nas do siebie właśnie te wielkie aspiracje, których wypieraliśmy się i

z którymi obnosiliśmy się przed sobą, które obśmiewaliśmy u siebie i za które darzyliśmy się szacunkiem.

W niedzielne popołudnia chodziliśmy na długie spacery wzdłuż torów, które zaczynały się tuż za moim domem. Chodziliśmy aż pod wiadukt nad wielkim zakolem rzeki i z powrotem. Rozmawialiśmy o eutanazji, genetycznej kontroli zaludnienia, o tym, czy istnieje dusza, czy wszechświat jest poznawalny. Nie zgadzaliśmy się w niczym. Spacerowaliśmy jesienią i w zimie. Zimą spieraliśmy się z opuszczonymi głowami, z rękoma w kieszeniach, z drobinkami szczypiącego śniegu na policzkach. Wyczerpani kłótnią, wyjmowaliśmy ręce z kieszeni i rozpościeraliśmy ramiona, by utrzymać równowagę na torach. Jerry miał długie szczudłowate nogi, małą głowę, kręcone włosy, okrągłe jasne oczy. Nosił czapkę w szkocką kratę z podbitymi futerkiem nausznikami, jak sobie przypominam, tę samą od szóstej klasy.

Pamiętam, że naśmiewałam się z niego tak jak wszyscy. I czasem jeszcze wstydziałam się z nim pokazywać, zwłaszcza osobom pokroju Naomi. Ale też dostrzegałam urok, osobliwy szorstki wdzięk, z jakim podporządkował się narzuconej mu przez Jubilee roli chłopka-roztropka, odgrywając ją ze stoicyzmem, a nawet kurtuazją, na jaką ja nie potrafiłabym się nigdy zdobyć. I z takim wejrzeniem pojawiał się na tańcach, niezdarnie prowadził mnie przez niekończący się zdradliwy parkiet, beznadziejnie zamachiwał się na piłkę podczas dorocznych obowiązkowych meczów baseballu, maszerował na zajęciach z przysposobienia obronnego. Nie mizdrzył się, nie udawał zwyczajnego chłopca, tylko zachowywał się jak zwykły chłopiec, świadomy, że jego poczynania i tak zawsze będą obśmiewane. Inaczej nie byłby sobą. A ja - która nie miałam tak jasno zakreślonych granic i przybierałam barwy ochronne, wyczuwając choćby cień zagrożenia - stwierdziłam, że warto przyswoić jego sposób bycia, bo dzięki temu wyzbędę się rozmaitych napięć.

Raz przyszedł do mnie na kolację, choć byłam temu przeciwna. Nie chciałam konfrontować go z matką. Bałam się, że matka wpadnie w popłoch, że, wiedząc o jego erudycji, będzie starała się mu sprostać. I tak też się stało. Poprosiwszy, by wytłumaczył jej teorię względności, cały czas potakiwała,

prowokowała go, dosłownie przyskakiwała do niego z okrzykami pustej aprobaty. Bez sensu choćby dlatego, że jego wyjaśnienia nie brzmiały składnie. Krytykowałam jedzenie jak zwykle przy gościach. Mięso wydawało się przegotowane, kartofle zbyt twarde, a fasola z puszki za zimna. Była niedziela, więc Owen z ojcem przyjechali z Drogi na Moczary. Owen zamieszkał tam na stałe i kultywował chamstwo. Gdy Jerry mówił, mój brat mlaskał głośno i zerkał na ojca z prostacką, tępą męską pogardą. Ojciec nie podchwycił tego, lecz prawie się nie odzywał, wyraźnie speszony entuzjazmem matki, którego pewnie starczyłoby jeszcze dla nich obu. Wściekła na wszystkich, czułam, że i dla Owena, i dla ojca (który nie okazywał tego, wiedząc, że pozory bywają mylne) Jerry jest dziwadłem spoza świata mężczyzn, bez względu na to, co sobą reprezentuje. Według mnie byli za głupi, żeby dostrzec jego siłę. A Jerry stwierdził, że nie warto zawracać sobie nimi głowy, bo są po prostu słabi. Kolacja przebiegała więc pod znakiem ogólnego braku szacunku.

- Śmiesz mnie, jak ludzie myślą, że wystarczy zadać parę pytań i zrozumieć problem bez żadnej znajomości jego podstaw.

- A śmieję się! - odparłam cierpko. - Żebyś się tylko dobrze bawił.

Ale matka polubiła go i odtąd wyczekiwała jego wizyt, ciekawa, jak zapatruje się na eksperymenty genetyczne, i czy sądzi, że maszyny przejmą władzę nad światem. Rozumiałam, że potok jej gorączkowych pytań zdumiewa go i deprymuje. Poczulałam się podobnie, gdy raz podniósł ze sterty moich książek Spójrz ku domowi, aniele (którą właśnie miałam zwrócić do biblioteki), otworzył ją i, zaskoczony, przeczytał beznamietnym głosem: „Kamień, liść, drzewo... O, zaginiony, przez wiatr oplakiwany duchu...”. Wyrwałam mu ją szybko, tak jakby jej zagrażał. „To coś znaczy?” - zapytał rozsądnie. - Według mnie brzmi głupio. Wyłumacz, chętnie się dowiem”.

- Jest strasznie nieśmiały - powtarzała matka. - To błyskotliwy chłopak, ale musi nabrać większej pewności siebie.

U Jerry'ego jadło się kolację o wiele przyjemniej. Jego matka była wdową po nauczycielu. Nie miała więcej dzieci. Pracowała jako sekretarka w

liceum, tak że już ją trochę znałam. Mieszkali w jednej części bliźniaka przy Stromej. Ścierki do naczyń, poskładane i wyprasowane starannie jak najlepsze płócienne chusteczki, leżały w szufladzie przesyconej cytrynową wonią. Na deser budowaliśmy z galaretki trójkolorowy niby-meczet z owocami w środku. Po kolacji - trzymając się swojej roli mędrka z godną podziwu swadą - Jerry poszedł do salonu, by rozwiązywać (przysłany pocztą, jak co tydzień) kolejny problem szachowy i zamknął szklane drzwi, abyśmy mu nie przeszkadzały. Wycierałam naczynia. Matka Jerry'ego opowiadała o jego nieprzeciętnej inteligencji. Mówiła o niej jak o rzadkim znalezisku, jak o czymś niesłychanie cennym i budzącym grozę, co przechowuje w szufladzie pod kluczem.

- Ty też masz wysoki iloraz inteligencji - dodała uspokajająco (miała dostęp do szkolnych dokumentów, a właściwie sprawowała nad nimi pieczę). - Ale wiesz, że iloraz Jerry'ego stawia go w samej czołówce mieszkańców okręgu. Na szczycie. Niebawem, prawda? To wielka odpowiedzialność dla mnie jako matki.

Zgodziłam się z nią.

- Spędzi lata na uniwersytecie. Będzie musiał zrobić doktorat. A potem pewnie jeszcze habilitacja, nie wiadomo, ile lat to zajmie. Całe lata.

Po trzeźwym tonie jej głosu sądziłam, że przejdzie do kosztów.

- Więc nie zadawaj sobie trudu - powiedziała rzeczowo. - Jerry nie mógłby się ożenić. Nie zgodziłabym się na to. Ilu to młodych mężczyzn musi się poświęcać, bo dziewczyna zaszła w ciążę. Obie znamy takie przypadki, wiesz, o co mi chodzi, w szkole. Śluby na chybcika. Taka moda w Jubilee. Nie apróbuję tego. Nigdy nie apróbowałam. Nie podoba mi się, że odpowiedzialność spada na barki chłopca. Niby dlaczego miałyby poświęcać karierę? Jak ci się wydaje?

- Racja.

- Wiedziałam, że nie zaprzeczysz. Jesteś zbyt inteligentna. Masz krążek maciczny? - zapytała raptem.

- Nie - odpowiedziałam tępo.

- Powinnaś więc sobie sprawić. Wiem, jak wy to teraz traktujecie. Dziewictwo poszło do lamusa. I niech tak będzie. Nie mówię, że mi się to podoba albo nie podoba, ale czasu nie cofniesz, prawda? Matka powinna była wziąć cię do lekarza, żeby ci dopasował krążek. Ja bym tak zrobiła, gdybym miała córkę.

Dużo niższa ode mnie, krępa, była wytworną paniusią o puszystych żółtych jak tulipan włosach z odrostami. Nosiła kolczyki, broszki i naszyjniki w dopasowanych, plastikowo jaskrawych kolorach. Paliła i pozwalała palić Jerry'emu w domu i ciągle sprzeczali się jak mąż i żona, która paczka jest czyja. Sądziłam, że okaże się nowoczesna, może nie tak rozwinięta intelektualnie jak moja (której nie dorównałby w tym nikt), na pewno jednak bardziej nowoczesna w podejściu do zwykłych rzeczy. Ale tego się nie spodziewałam. Patrząc na jej siwe odrosty, gdy mówiła o wizycie u ginekologa, myślałam o swojej matce, która propagowała antykoncepcję, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, by porozmawiać o tym ze mną; matce przekonanej, że kobieta - kobieta inteligentna - spółkuje wyłącznie wtedy, kiedy musi. I jej podejście do sprawy wydało mi się bliższe, stosowniejsze niż idiotyczna pobłażliwość i wulgarny pragmatyzm matki Jerry'ego. Uznałam, że matce nie wypada wspominać przy dziewczynie o intymności, która być może łączy ją z jej synem. Już sama myśl o intymnych chwilach z Jerrym była odrażająca. Co nie znaczy, że czasem się nie zdarzały.

Dlaczego odrażająca? Dziwna rzecz. Gdy przestawaliśmy rozmawiać, ogarniał nas jakiś niedowład. Spleceni wilgotnymi dłońmi, oboje zapewne myśleliśmy, kiedy je odsunąć, by nie popełnić nietaktu. Nasze ciała ocierały się niechętnie, bez radości, smętnie jak worki mokrego piachu. Nasze wargi zwierzały się - tak jak czytaliśmy i słyszeliśmy - lecz pozostawały zimne, a języki, chropawe narządy, męczyły się sobą nawzajem. Ilekroć Jerry kierował na mnie uwagę - tę szczególną uwagę - irytowałam się, nie wiedzieć czemu. Mimo wszystko jednak ulegałam mu ponuro. Każde z nas było dla drugiego jedyną możliwością nowych odkryć.

Ciekawość potrafi zaprowadzić dość daleko. Pewnego wieczoru, zimą, w salonie swojej matki (która wyszła na spotkanie wolnomularzy), Jerry poprosił, żebym się rozebrała.

- Po co?

- Można by się czegoś nauczyć. Nie widziałem jeszcze nagiej kobiety na żywo.

Poniekąd było to dla mnie kuszące. Słowa „naga kobieta” pochlebily mi skrycie, sprawily, że poczułam się bogata jak rozdawca bogactw. A poza tym uważałam, że moje ciało jest ładniejsze od twarzy, zwłaszcza bez ubrania - i nieraz chciałam móc się nim przed kimś pochwalić. Miałam też nadzieję - a ściślej: intrygowała mnie taka możliwość - że gdy posuniemy się nieco dalej, moje uczucia wobec Jerry'ego zmienią się i będę gotowa go przyjąć. Czyż nie wiedziałam wszystkiego o pożądaniu? Znalazłam się w starej jak świat sytuacji, próbując kierować naszą niemą męczarnię w stronę cielesnego spełnienia.

Nie chciałam rozbierać się w salonie. Nie bez ceregieli zgodził się, byśmy poszli na górę do jego pokoju. Wspinając się po schodach, czułam takie zaciekawienie, jakbyśmy byli dziećmi, które zaraz zdejmą przed sobą majtki. Zaciągając roletę, Jerry strącił ze stołu lampę, na co o mało nie uciekłam na dół. Nic nie burzy takiej chwili bardziej niż niezdarność, chyba że jest się zakochanym. Postanowiłam jednak zachować dobry nastrój. Pomogłam mu pozbierać lampę i porządnie nałożyć abażur i nawet nie miałam mu za złe, że włączył ją, by sprawdzić, czy działa. A potem odwróciłam się do niego plecami i rozebrałam się do naga. Zadowolona, że nie pomaga mi, ani mnie nie dotyka, położyłam się na łóżku.

Poczułam się niedorzeczna i olśniewająca.

Stał przy łóżku i patrzył na mnie, wykrzywiając się śmiesznie w zdumieniu. Czy uznał moje ciało za niestosowne i nieosiągalne tak samo jak ja jego? Czy chciał zobaczyć we mnie łatwą dziewczynę, pożądlivą, nieskrępowaną, bez

ciętego języka, z niewielkim zasobem słów, niezainteresowaną porządkiem we wszechświecie, gotową go przytulić? Oboje chichotaliśmy. Przyłożył mi palec do sutka, jakby sprawdzając, czy nie ma tam ciernia.

Czasem rozmawialiśmy językiem opartym luźno na komiksie Pogo.

- Fajna z ciebie babka pod względem figury.

- Wyposażona tak jak się należy?

- Czekaj no, zerknę w ściągę, sprawdzę.

- Ej, masz coś przeciwko małym cyckom?

- Nie każda ma małe? Wiesz, rzadko wychodzę.

- Koleś, to ty chyba...

- Ciii...

Zza okna dobiegł nas głos jego matki. Żegnała się z kimś, kto podwiózł ją do domu. Drzwi wozu zatrzasnęły się. Albo spotkanie wolnomularzy skończyło się wcześniej niż zwykle, albo my tak długo przekomarzaliśmy się na dole. Jerry porwał mnie z łóżka i wyprowadził z pokoju, nim zdążyłam coś na siebie narzucić.

- Szafa! - syknęłam. - Do szafy! Zmieszczę się... Ubiorę!

- Cicho - rzucił szeptem z furią na granicy płaczu. - Cicho, cicho!

Poblądły i roztrzęsiony, był nadszpiewanie silny. Wyrywałam się, odpychałam go, protestowałam, próbując go przekonać, że muszę wziąć ubranie, ale pociągnął mnie na schody kuchenne. Otworzył drzwi do piwnicy w momencie, gdy matka stanęła w korytarzu - usłyszałam jej wesoły okrzyk: „Jest tu kto?” - wepchnął mnie do środka i zaryglował drzwi.

Przycupnęłam na schodach piwnicy, sama, zamknięta, naga.

Zapalił światło, abym zorientowała się, gdzie jestem, i szybko je zgasił, pogarszając tylko sprawę, bo wokół zrobiło się jeszcze ciemniej. Siedziałam ostrożnie na stopniu, z zimnym, pełnym drzazg drewnem pod gołą pupą, starając się wymyślić, jak się stamtąd wydostać. „Gdy oczy przywykną do mroku, spróbuję znaleźć okno i jakoś je wyważyć, tylko co mi to pomoże, skoro jestem naga? Gdybym znalazła choć starą zasłonę albo kawałek ceraty, mogłabym się owinąć, ale nie pójdę tak przecież do domu! O tej porze, przed dziesiątą, nie pobiegnę przez miasteczko w takim stroju!”

Istniała nadzieja, że Jerry wypuści mnie, gdy jego matka zaśnie. Tak czy inaczej byłam gotowa go zamordować.

Słyszałam, jak rozmawiają w salonie, a potem w kuchni. „Musi się wysypiać dla urody?” - powiedziała matka i roześmiała się, chyba niemiło. Zwracał się do niej po imieniu, Greto. Stwierdziłam, że to straszliwie wymuszone, chore. Usłyszałam brzęk garnków i kubków. Wieczorne kakao, opiekane bułeczki z rodzynkami, a ja siedzę goła, zamknięta w jakiejś dziurze... Jerry z tym całym jego ilorazem! Taki mądry, a jednak imbecyl. Skoro jego matka jest taka nowoczesna i wie, że dzisiaj nie ma już na świecie dziewic - to czemu mnie tu wepchnął? Byłam wściekła i na nią, i na niego. Miałam ochotę walić w drzwi. Na to zasługiwał. I powiedzieć jego matce, że chcę ślubu na chybcika!

Moje oczy oswoiły się już trochę z mrokiem. Na świszczący odgłos zamykającej się pokrywki gdzieś na górze uniosłam wzrok dokładnie w tę stronę, gdzie powinnam - i zobaczyłam pod sufitem koniec rury. Ze zsypu na

ubrania wyleciało coś jasnego i ze stłumionym dźwiękiem wylądowało na posadzce. Pomału zlazłam na dół i czołgając się po zimnym betonie, modliłam się, by były to moje ciuchy, a nie brudy wyrzucone przez matkę Jerry'ego do prania.

Była to moja bluzka, sweter, spódnica, majtki, stanik i pończochy, a nawet kurtka, która wisiała w szafie w holu (to owinięte nimi buty wydały ten głuchy odgłos). Wszystko - oprócz pasa do pończoch, tak że nie mogąc ich włożyć, zwinęłam je i wepchnęłam pod biustonosz. Widziałam już teraz bardzo dobrze i po chwili spostrzegłam balię i wąskie okno nad nią. Zamknięte od środka na haczyk. Wdrapałam się na balię, otworzyłam je i wypełzłam na dwór przez śnieg. W kuchni było włączone radio, może aby mnie zagłuszyć, a może z uwagi na wieczorne wiadomości.

Z gołymi nogami pobiegłam do domu przez zimne ulice. Rozjuszona myślą o sobie nagiej na tym łóżku. Moim jedynym admiratorem był Jerry, który chichotał, wystraszony, i mówił narzeczem. Postanowiłam nie oddawać się nikomu. Nigdy.

Nazajutrz w szkole Jerry podszedł do mnie z brązową papierową torebką w ręku.

- Wybacz, panienko - rzekł cicho w stylu Pogo. - Zdaje się, że mam tu jedną twoją przynależność.

Był to oczywiście pas do pończoch. Polubiłam Jerry'ego na nowo. Wracając ze szkoły, zmieniliśmy poprzedni wieczór w ciąg zwariowanych scen komicznych rodem z niemego kina.

- Ja cię ciągnę na dół, a ty się szarpiesz w drugą stronę...

- Nie wiedziałam, co chcesz ze mną zrobić. Myślałam, że chcesz mnie wyrzucić na bruk jak cudzołożnicę...

- Żebyś widziała swoją minę, kiedy cię wepchnąłem do piwnicy!

- Trzeba było widzieć twoją, kiedy usłyszałeś matkę!

- Mamcia zjawiała się w najmniej stosownej chwili - rzekł Jerry, wypróbując angielski akcent, którego czasem używaliśmy. - Tak się bowiem złożyło, że na moim łóżku leżała rozebrana młoda osoba płci żeńskiej. Gdy przystąpiłem do tłumacz...

- Do niczego nie przystąpiłeś.

- Jasne.

Porażka ta o dziwo zbliżyła nas do siebie jeszcze bardziej. Traktowaliśmy swoje ciała na poły ostrożnie i poufale i nie stawialiśmy już sobie wymagań. Daliśmy sobie spokój z długim beznadziejnym przytulaniem i wsuwaniem języków w usta. Poza tym pochłaniały nas nowe sprawy: do szkoły przyszły formularze egzaminów stypendialnych i harmonogramy zajęć różnych uczelni. Z radością i przerażeniem wypatrywaliśmy czerwca, w którym mieliśmy zdawać pisemnie egzaminy. Nic dotąd nie było dla nas tak ważne jak zapieczętowane koperty, przysłane z ministerstwa edukacji, które dyrektor liceum otworzył na naszych oczach. Powiedzieć, że uczyliśmy się, nawet w połowie nie oddaje rygoru, jaki sobie narzuciliśmy. Było to na miarę wyczynu sportowego. Nie zależało nam tylko na dobrych stopniach, zdobyciu stypendium i dostaniu się na studia - chcieliśmy ocen najwyższych z najwyższych, satysfakcji, chwały i spokoju.

Po kolacji zamykałam się w salonie. Nadchodziła wiosna, wieczory wydłużały się, więc później zapalałam światło. Nie dostrzegłam jednak rzeczy w tym pokoju, który stał się moją celą lub kaplicą. Wyblakły desen dywanu ze słomkowymi szwami, stare zepsute radio jak grobowiec, z pokrętłami obiecującymi Rzym, Amsterdam i Meksyk, zgniłozielona kanapa wśród paproci i zdjęcia - zamku w Chillon, wynurzającego się z perłowej wody, i drugie, małej dziewczynki ułożonej na dwóch niepasujących

krzesłach w różowym świetle, z zapłakanymi rodzicami w ciemnym tle i lekarzem o spokojnym, acz zatroskanym wejrzeniu... Ale wszystko to, co ciągle miałam przed oczami, wkuwając czasowniki, daty, wojny, podgatunki, nabierało takiej wagi, mobilizującej siły, jakby te zwykłe kształty i konfiguracje rzeczy były w istocie zewnętrzną formą faktów i relacji, które opanowywałam, a które przyswojone okazywały się przyjazne, proste i posłuszne. Wychodziłam stamtąd blada, wykończona, niezdolna do myślenia jak mniszka po długiej modlitwie albo kochanka po wyczerpującym zbliżeniu - i szłam główną ulicą do restauracji Hainesa, gdzie zawsze o dziesiątej czekał na mnie Jerry. Pod okienkami z bursztynowego szkła piliśmy kawę i paliliśmy. Gawędziliśmy trochę i odkrywaliśmy się przed sobą, patrząc ze zrozumieniem na swoje mizerne i napięte twarze.

Potrzeba miłości przeszła mi jak uporczywy ból zęba.

Tej wiosny miało odbyć się w ratuszu spotkanie ruchu odnowy religijnej. Pan Buchanan, nasz nauczyciel historii, stał na szczycie schodów szkoły i rozdawał plakietki z hasłem „Przyjdź do Jezusa”. Był starszym Kościoła prezbiteriańskiego, ale baptystom, odpowiedzialnym za przygotowania do zjazdu, udzielili wsparcia członkowie wszystkich wyznań w Jubilee, wyjąwszy katolików i małą, nieznaczącą grupkę anglikanów. Spotkania takie, organizowane w całym kraju, znowu nabrały dawnej rangi.

- Nie chciałybyś takiej, Del...? - zagadnął pan Buchanan swoim bezbarwnym żalonym głosem.

Wysoki, oschły, chudy, z włosami rozdzielonymi pośrodku głowy a la cyklista z końca wieku (którym zresztą mógł być, sądząc po metryce), bez połowy żołądka, którą wycięto mu wraz z wrzodami - uśmiechnął się do mnie z ledwie uchwytną ironią, z jaką odnosił się zwykle do bohaterów historycznych (na przykład Parnella), którzy w ogólnym rozrachunku okazywali się lekkomyślni. Poczułam się więc zobligowana przekornie odpowiedzieć:

- Owszem, bardzo dziękuję.

- Wybierasz się na to? - spytał Jerry.

- Pewnie.

- Po co?

- Naukowa ciekawość.

- Pewne sprawy nie są godne ciekawości.

Spotkanie odbywało się na piętrze ratusza, gdzie kiedyś wystawialiśmy szkolne operetki. Był pierwszy tydzień maja i ociepliło się nagle jak każdego roku po powodzi. Już przed ósmą salę wypełnił szczelnie tłum ludzi. Taki, jaki widuje się na paradzie w Dniu Oranżystów albo na festynie rodzinnym - masa osób z miasteczka, ale znacznie więcej ze wsi. Wzdłuż głównej ulicy i w bocznych stały zaparkowane samochody, obryzgane błotem. Część mężczyzn prażyła się w czarnych garniturach, niektóre kobiety włożyły kapelusze. Inni mężczyźni przyszli w czystych kombinezonach roboczych, a kobiety w luźnych wzorzystych sukienkach, w sportowych butach, z gołymi ramionami, wielkie, różowe jak szynki, z niemowlętami w kocach na rękę. Staruszków trzeba było brać pod rękę i prowadzić do krzeseł. Odgrzebani z wiejskich kuchni, mieli ubranie jakby zarosłe pleśnią. Zastanawiałam się, czy z ich twarzy można wyczytać, skąd przybyli. Obserwując z sali biologicznej załadunek trzech szkolnych autobusów - jaskrawych, rozklekotanych, które, gdyby wypełnić je jeszcze żywymi kurczętami, wprost idealnie pasowałyby do wyboistej górskiej drogi w Ameryce Południowej - Jerry i ja bawiliśmy się tak czasem; mówiliśmy jak naukowcy, wytwornym, powściągliwym tonem.

- Z Błękitnej Rzeki są nieźle ubrani i wyglądają przyzwoicie. Jest tam dużo pracowitych Holendrów. Dbają o zęby.

- Mhm, trzymają poziom, prawie jak ci z miasta.

- Z St. Augustine są przeciętni. Rolnicy. Mają żółte zębiska. Wyglądają, jakby żywili się owsianką.

- Z Jericho Valley są tępi i groźni dla otoczenia. Ich iloraz inteligencji nie przekracza 100. Mają zeza, zdeformowane stopy...

- Rozszczep podniebienia...

- Są garbaci...

- Przez endogamię. Ojcowie śpią z córkami, dziadkowie z wnuczkami, bracia z siostrami, matki z ojcami...

- Matki z ojcami?

- Wyprawiają tam okropne rzeczy.

Wszystkie miejsca zostały zajęte. Stałam z tyłu, za ostatnim rzędem krzeseł. Ludzie przybywali nadal, tłocząc się po bokach sali, wypełniając przestrzeń za mną. Chłopcy obsiedli parapety. Okna były otwarte na oścież, ale mimo to panował straszny zaduch. Słońce przemykało po starych spękanych i poplamionych ścianach, otynkowanych i wyłożonych boazerią. Pierwszy raz zobaczyłam, że sala jest tak zapyziała.

Pan McLaughlin ze Zjednoczonego Kościoła wygłosił modlitwę inauguracyjną. Jego syn, Dale, uciekł z domu przed laty. Gdzie był teraz? Ostatnio, gdy o nim słyszano, strzygł trawę na jakimś polu golfowym. Poczułam się tak, jakbym mieszkała w Jubilee od zarania; ludzie wyjeżdżali, wracali, zawierali związki małżeńskie, zaczynali życie, kiedy ja wciąż chodziłam do szkoły. Przyszła Naomi z koleżankami z nabiłowego. Ich włosy były ułożone identycznie, zebrane w kucyki przy uszach i związane

kokardami.

Na scenę weszło czworo Murzynów, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Zgromadzeni wyciągnęli szyje, milknąc z uznaniem. Wiele osób w sali, łącznie ze mną, nie widziało nigdy Murzyna podobnie jak żyrafy, drapacza chmur albo liniowca. Szczupły i czarny jak suszona śliwka mężczyzna o potężnym groźnym głosie był basem. Tenor, gruby, o żółtawej skórze, rozdawał hojnie uśmiechy. Obie kobiety, pulchne, ściśnięte gorsetami wyszczuplającymi, o kawowej karnacji, miały wspaniałe suknie, szmaragdowozieloną i jaskrawoniebieską. Gdy śpiewali, pot zalewał im twarze i szyje. Podczas ich występu kaznodzieja, którego oblicze zdobiło od tygodni słupy telegraficzne i wystawy - w istocie drobniejszy, bardziej zmęczony i siwy - wyszedł skromnie na scenę i stanął na mównicy, zwracając się ku śpiewakom z wyrazem błogości, z głową przechyloną w taki sposób, jakby ich śpiew spadał na nią deszczem.

Z drugiego krańca sali przyglądał mi się bacznie jakiś młody mężczyzna, chłopiec. Widziałam go chyba pierwszy raz w życiu. Niewysoki, śniady, miał kościstą pociągłą twarz i głęboko osadzone oczy, lekko zapadnięte policzki i poważną, nieświadomie arogancką minę. Pod koniec występu śpiewaków przesunął się z miejsca pod oknem i zniknął między ludźmi. Stwierdziłam, że pewnie zmierza w moją stronę, ale zaraz odrzuciłam tę myśl jako absurdalną; takie rzeczy zdarzają się tylko w operach i niedobrych łzawych balladach.

Wszyscy wstali, odkleili spocone ubrania od pleców i zaintonowali pierwszy hymn.

Do namiotu, gdzie cygański chłopiec leżał,

Samotnie umierając u dnia kresu,

Wieść o Zbawieniu ponieśliśmy, a on rzecze

Nikt tego nigdy jeszcze mi nie wskazał...

Desperacko wypatrywałam chłopca. Skupiłam się cała na szczerej modlitwie, by pokazał się gdzieś niedaleko, powtarzając sobie: właśnie mnie mija, kieruje się do drzwi, schodzi po schodach...

Gdy głosy za mną przycichły na sekundę, wiedziałam, że się zjawił. Ludzie rozstąpili się na boki; stał tam, ale nie śpiewał. Poczułam woń cienkiej bawełnianej koszuli, skóry ogorzałej od słońca i smaru. Otarł się ramieniem o mój bark (jak mówią: niby płomień) i wśliznął się na miejsce obok.

Patrzyliśmy prosto przed siebie, na scenę. Pastor baptystów przedstawił kaznodzieję, który zaczął przemawiać przyjaznym gawędziarskim tonem. Po chwili położyłam dłoń na oparciu krzesła przed sobą. Siedząca tam mała dziewczynka zdzierała strup z kolana.

Chłopiec oparł dłoń tuż przy mojej. Spłynęły w nią całe moje czucie,
wszelkie nadzieje, życie, siła.

Kaznodzieja, który rozpoczął tak łagodnie, za mównicą, rozkręcał się stopniowo i zaczął przemierzać scenę tam i z powrotem, a jego głos, rozpaczliwy teraz i pełen smutku, przybrał na sile. Raz po raz otrząsał się z żalu i - odwracając się gwałtownie - ryczał jak lew w publiczność. Kreślił wizję mostu sznurowego, takiego jaki rzekomo widział, będąc misjonarzem w Ameryce Południowej. Most ów, słaby i chybotliwy, wisiał nad bezdennym kanionem, a kanion wypełniały płomienie. Była to Rzeka ognia, Rzeka ognia, w której tonęła, lecz nie topiła się skamląca, rozwrzeszczana, złorzecząca, udręczona horda - tu wyliczył - polityków, gangsterów, hazardzistów, opojów, cudzołóżników, gwiazd filmu, finansistów i niewiernych. Każdy z nas, powiedział, nosi w sobie taki most sznurowy, rozchybotany nad otchłanią piekieł, przywiązany do brzegów Raju po drugiej stronie. Ale Raju nie da się zobaczyć i usłyszeć, a czasem nie można go sobie nawet wyobrazić przez jazgot skłębionej w dole szumowiny i ulatujące stamtąd opary grzechu. Jak zwie się ten most? Łaską Bożą. Jest cudownie mocny, ale od wszelkich grzechów naszych, grzesznych słów, myśli i czynów sznur przeciera się i nadwyreża...

„I u wielu z was sznur nie wytrzyma dłużej! Dla niektórych jest niemal nie do naprawienia. Nadwątlony grzechem, pożerany przez grzech, zmienił się w cieniutką nitkę! I tylko ta wątła nić chroni was przed piekłem! Wiecie, wszyscy dobrze wiecie, w jakim stanie są teraz wasze mosty! Jeden jeszcze kęs owocu piekieł, jedna jeszcze noc i dzień występku, a sznur ten zerwie się i nikt nie ofiaruje wam drugiego! Lecz nawet i nitka utrzyma was, jeśli zechcecie! Bóg nie zaprzestał cudów w dniach biblijnych! Nie, powiadam z serca i z własnego doświadczenia, że czyni je tu i teraz, między nami. Uchwyćcie się Go i trwajcie przy Nim aż do Dnia Sądnego, a zło nie będzie wam straszne”.

Normalnie słuchałabym tego z zaciekawieniem i patrzyłabym, jak odbierają to ludzie; na ogół spokojnie i z przyjemnością, poruszeni nie bardziej, niż gdyby śpiewał kołysankę. Pan McLaughlin, siedzący na scenie, miał uprzejmą przygaszoną minę - przemowa nie była w jego stylu. Pastor baptystów miał szeroki uśmiech impresaria. Staruszkowie na widowni śpiewali Aaaameeen!, kołysząc się łagodnie. W oczach słuchaczy dla gwiazd kina, polityków i cudzołożników zgasła wszelka nadzieja - co natchnęło ich kojącą otuchą. Zapalono światło i przez okna wleciało kilka zbłąkanych owadów. Raz po raz słychać było wstydlive, dyskretne

pacnięcie.

Ale moją uwagę pochłaniały dłonie na oparciu krzesła. Poruszył lekko swoją. Ja swoją. I znowu. Musnęliśmy się delikatnie, wymownie, cofnęliśmy dłonie i znów je przybliżyliśmy, mocno, aż zetknęły się ze sobą. Gdy delikatnie ocieraliśmy się małymi palcami, pomału położył swój na moim. Wahanie. Rozpostarłam dłoń, a wtedy jego mały palec dotknął mojego serdecznego palca. Pomału - taktownie, nieodwołalnie - z opanowaniem i pewnością zamknął moją dłoń w swojej dłoni. Kiedy to się stało, zsunął ją z oparcia, nie wypuszczając jej ani na chwilę. Rozpierała mnie radość tak ekstatyczna, jakbym przeniosła się w inny wymiar istnienia. Nie potrzebowałam nic więcej; tak jakbyśmy nie mogli się już bardziej zbliżyć.

Zaśpiewano ostatni hymn.

Z umiłowaniem głoszę tę historię,

Na Niebieskie Łąki także ją poniosę,

Potęgą jej niebiańską będę sycić rosę...

Prowadzili nas Murzyni. Niski nawoływał do śpiewu, a pozostałych troje wznosiło w górę głosy, podkreślając to gestami ramion. Zgromadzeni kołysali się razem w śpiewnym rozmodleniu. Ostra cierpka woń potu, jakby cebuli, zapach końskiej sierści, obornika, poczucie zamknięcia, zniewolenia, znużone zasmucone szczęście spowijały salę niczym obłok. Nie przyjąłem tekstów pieśni, rozdawanych wcześniej przez pana Buchanana i innych duchownych, ale pamiętałam słowa i śpiewałam. Mogłabym zaśpiewać wszystko.

Ale kiedy hymn wybrzmiał, chłopiec puścił moją rękę i oddalił się, dołączając do ludzi, którzy tłoczyli się pod sceną, zachęceni, by przyrzec coś Panu Bogu, złożyć lub odnowić śluby, przypieczętować wieczór jakimś dokonaniem. Sądziłam, że poszedł kogoś szukać. Powstał straszliwy zamęt i w jednej chwili straciłam go z oczu. Przedarłam się przez tłum do wyjścia, rozglądając się kilkakrotnie w nadziei, że go zobaczę (gotowa udać, gdybym na niego natrafiła, że szukam kogoś innego). Kręciłam się po głównej ulicy, zaglądając w okna. Nie przyszedł.

Było to w piątek wieczorem, a myśl o nim była jak cyrkowy batut, na który rzucałam się, uciekając od innych myśli. Próbowałam odtworzyć fakturę jego skóry, dotykając własnej, przypomnieć sobie nacisk jego palców.

Rozpościerałam dłoń przed sobą, zdumiona, jak niewiele ma mi do powiedzenia. Była zagadkowa jak eksponaty w muzeum, które niegdyś trzymali w rękach królowie. Analizowałam tamten zapach, wydobywając jego oswojone i obce mi elementy. Wyobrażałam sobie chłopca jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałam go po drugiej stronie sali, bo nie widziałam jego twarzy, nawet kiedy już stał obok. Jego mroczne, czujne, uparte wejrzenie. W jego twarzy mieściły się wszelkie warianty dzikości i słodczy, dumy i uległości, agresji, swobody. Nie dostrzegłam w niej nic więcej, bo

wtedy zobaczyłam wszystko. Wszystko, co miałam w nim pokochać, wszystko, co nieuchwytnie i niewytłumaczalne.

Nie wiedziałam, jak się nazywa, skąd pochodzi, ani czy jeszcze kiedyś się spotkamy.

W poniedziałek po szkole szłam z Jerry'ym ulicą Johna. Ktoś na nas zatrąbił - i zza szyby starej zakurzonej pyłem ciężarówki wyłoniła się ta twarz. W świetle dziennym nie zmieniła się i nie zbrzydła ani trochę.

- Encyklopedie - powiedziałam do Jerry'ego. - Ma forszę dla matki. Muszę z nim pogadać. Nie czekaj.

Oszołomiona tym niespodziewanym, choć wyczekiwanym spotkaniem, naruszeniem realności przez moje fantazje, wsiadłam do ciężarówki.

- Myślałem, że chodzisz do szkoły.

- Niedługo kończę - odparłam pospiesznie. - Jestem w trzynastej klasie.

- Fajnie, że cię zauważyłem. Muszę wracać do składu drzewnego. Czemu na mnie nie zaczekałaś?

- Dokąd poszedłeś? - spytałam, jakbym go nie obserwowała.

- Musiałem przejść do przodu. Była tam masa ludzi.

Dotarło do mnie, że „przejść do przodu” znaczyło, że poszedł złożyć śluby albo usłyszeć słowa zbawienia kaznodziei. Nigdy nie wdawał się w konkrety, niczego nie wyjaśniał, chyba że musiał. Tamtego popołudnia w ciężarówce, i później, nie mówił o sobie nic poza tym tylko, o co go pytałam. Nazywał się

Garnet French. Mieszkał na farmie gdzieś za Jericho Valley, ale pracował w Jubilee w składzie drzewnym. Dwa lata temu przesiedział cztery miesiące w areszcie za udział w strasznej bijatyce pod piwiarnią w Porterfield, w której jeden człowiek stracił oko. W więzieniu odwiedzał go pastor baptystów, który go nawrócił. W ósmej klasie rzucił szkołę, ale w więzieniu zaczął parę kursów licealnych, bo wybierał się do seminarium duchownego i też chciał zostać pastorem. Mówił o tym ze zniecierpliwieniem. Miał dwadzieścia trzy lata.

Na początek zaprosił mnie na spotkanie Towarzystwa Młodych Baptystów. A ściślej - bez zapraszania oznajmił: „Dobra, przyjadę po ciebie po kolacji”. Wieczorem podjechaliśmy zaledwie na koniec naszej ulicy, gdzie zaprowadził mnie, oszołomioną i milczącą, do ostatniego miejsca w Jubilee, w którym spodziewałabym się znaleźć, wyjąwszy burdel.

Odtąd w każdy poniedziałkowy wieczór od wiosny aż do lata miałam siedzieć w ławce pośrodku kościoła baptystów, nigdy do niego nienawykła, niezmiennie odrętwiiała i samotna jak rozbitek. Nie pytał, jak się tam czuję, czy mi się tam podoba, o nic. Raz tylko powiedział: „Gdyby nie baptyści, pewno znów poszedłbym siedzieć. To dla mnie wszystko”.

- Czemu mieliby cię zamknąć?

- Bo lubię pijaństwo i bójki.

Na spodzie ławek były poprzyklejane gумы, srebrzysto-czarne, twarde jak głaz. W kościele unosił się kwaśny zapach kuchni zmytej wodą z szarym mydłem, w której suszą się jeszcze szmaty. Okazało się, że Młodzi Baptyści wcale nie są tacy młodzi. Była wśród nich niejaka Caddie McQuaig, która w masarni Dutcha Monka miała w maszynie płaty surowego mięsa i dzieliła udźce wołowe wielką piłą, ubrana w biały fartuch, zwalista i rubaszna jak sam Dutch. W kościele, w prześwitującej sukience w kwiaty, z różowym, krótko wystrzyżonym karkiem, z wyszorowanymi do czysta dłońmi na fisharmonii, zachowywała skromność i powagę. Byli też dwaj bracia ze wsi, Ivan i Orrin Walpole'owie, krępi, o małych twarzach, którzy pokazywali sztuki gimnastyczne. I cycata nieokrzęsana dziewczyna, która kiedyś

pracowała z Fern Dogherty na poczcie, nazywana przez nią „Świątą Betty”. Dziewczęta ze sklepu Chainway, o ziemistej cerze, najgorzej zarabiające, najniższe w hierarchii towarzyskiej ekspedientek Jubilee. Jedna z nich, nie pamiętam która, spodziewała się dziecka.

Prezesem był Garnet. Czasami prowadził modlitwę, zaczynając stanowczym, ujmującym tonem: „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie...”. Pierwszy upał majowy zelżał i okna zalewały strugi zimnego wiosennego deszczu. Doznawałam dziwnego, przejmującego uczucia budzenia się ze snu. W domu, na stole w salonie leżały, pootwierane, moje książki i wiersz Andrea del Sarto, który czytałam zawsze przed wyjściem i który potem jeszcze długo brzmiał mi w myślach:

Powszednia szarość srebrzy wszystko,

O zmierzchu ty i ja jednacy...

Po nabożeństwie adoracyjnym schodziliśmy wszyscy do piwnicy kościoła, gdzie czasem grywaliśmy w ping-ponga. Caddie McQuaig i jedna z ekspedientek odwijały przyniesione z domu kanapki i gotowały kakao na kuchence. Garnet uczył ludzi grać w pingponga, dodawał otuchy ekspedientkom, które, zabiedzone, ledwie utrzymywały raketkę, przekomarzał się z Caddie McQuaig, która w piwnicy robiła się figlarna jak w masarni.

- Uważaj na tym taboreciku, Caddie.

- Jak to? Na co mam uważać?

- Ciut za mały dla ciebie.

- Boisz się, że zniknie? - wykrzyknęła niby z oburzeniem, zachwycona.

Jej twarz poczerwieniała jak surowe mięso.

- Ależ skądże znowu! - odparł Garnet z frasobliwą miną.

Rozdawałam uśmiechy na prawo i lewo, ale byłam zazdrosna, zde gustowana, czekałam, aż to się wreszcie skończy, kubki zostaną pozmywane, światła w kościele pogaszone i Garnet wyprowadzi mnie do ciężarówki. Wracaliśmy błotnistą drogą, mijając dom Porka Childsa („Znam Porka, pożycz mi łańcuch i wyciąga z błota, jak tu utknę” - rzekł Garnet i myśl o jego komitywie z Porkiem, też baptystą, zbiła mnie nieco z pantałyku). Teraz nie liczyło się nic. Poczucie obcości, przeciągające się zakłopotanie, marazm wieczoru pierzchały w szoferce ciężarówki, ulatniały się w zapachu starych rozdartych siedzeń i karmy dla kur, kiedy patrzyłam na podwinięte rękawy i gołe przedramiona Garneta, jego dłonie na kierownicy, rozluźnione, czujne. Ochraniał nas czarny deszcz za zamkniętymi oknami, a gdy ustawał, opuszczaliśmy okna i czuliśmy przenikliwą woń niewidocznej rzeki, wdychaliśmy zapach mięty miazdzonej kołami wozu, zjeżdżając na pobocze. Powoli wjeżdżaliśmy między krzewy, które ocierały się o maskę. Ciężarówka zatrzymywała się z lekkim podskokiem, jakby na znak spełnienia, aprobaty, jej światła, wcinające się w gęstwę wieczoru, gasły i Garnet odwracał się do mnie zawsze z tym samym westchnieniem, tą samą nieodgadnioną poważną miną - i przenosiliśmy się w krainę niezmaconego spokoju, gdzie najmniejsze nawet drgnienie sprawiało przyjemność, a rozczarowanie było niemożliwe. Dotąd tylko w chorobie, w gorączce doznawałam tej słabości, rozleniwienia przy jednoczesnym poczuciu nieograniczonej władzy. Zbliżając się do siebie, okrążaliśmy się i cofaliśmy, zwlekaliśmy nie z lęku ani obawy, by nie „posunąć się za daleko” (w krainie tej, przy Garnecie, taka trywialność była nie do pomyślenia), lecz dlatego, że - jak w grze naszych dłoni na oparciu krzesła - czuliśmy, że pośpiech jest nie na miejscu, że czekająca nas rozkosz wymaga nieśmiałych odwrotów. Samo słowo „rozkosz” nabrało nowego sensu. Dotąd uważałam je za łagodne, subtelne, wskazujące dyskretne dogadzanie sobie. Teraz wydawało mi się wybuchowe; jego pierwsza sylaba strzelała w górę jak fajerwerk, opadając z sennym pomrukiem.

Gdy wracałam do domu z tych spotkań nad rzeką, nieraz nie mogłam zmrużyć oka aż do świtu, ale nie - jak można by sądzić - z nierozładowanego napięcia, tylko dlatego, że musiałam przejrzeć w myśli te wielkie dary, które dostawałam, te cudowne nagrody. Usta na nadgarstkach, w zgięciach łokci, na ramionach, piersiach... Dłonie na brzuchu, udach, między nogami. Dary.

Niezliczone pocałunki, muśnięcia języka, błagalne, pełne wdzięczności jęki. Śmiałość i objawienie. Wargi obejmujące szczerze sutek zdawały się wyznawać niewinność, bezbronność nie dlatego, że udawały dziecięce, ale dlatego, że nie obawiały się ośmieszenia. Seks jawił mi się jako uległość - nie wobec mężczyzny, ale wobec ciała, jako akt czystej wiary, wyzwolenie w poniżeniu. Rozmyślenia te, odkrycia niosły mnie do rana jak zanurzoną w przejrzystej ciepłej i nęcącej wodzie.

Garnet zabierał mnie też na mecze baseballu, rozgrywane czasem tuż po deszczu. Mecze odbywały się wieczorami na terenie jarmarku przy końcu Stromej i w sąsiednich miasteczkach. Garnet był pierwszym bazowym drużyny Jubilee. Zawodnicy nosili czerwono-szare trykotowe stroje. Trybuny boisk były koślawe i rozklekotane, a ich drewniane ogrodzenia zdobiły stare reklamy napojów bezalkoholowych i papierosów. Miejsc na trybunach nie zapełniano nawet w jednej trzeciej. Przychodzili starsi mężczyźni - ci sami, którzy latem przesiadywali na długiej ławce przed hotelem albo grali w warcaby na szachownicy namalowanej na chodniku za cenotafem, którzy każdej wiosny zbierali się nad wezbraną rzeką i kiwając głowami, komentowali powódź tak, jakby sami ją spowodowali. Na trawie za płotem siedzieli i palili dziesięcio-, jedenastoletni chłopcy. Na koniec długiego ponurego dnia wychodziło nieraz słońce i kładło się cicho na murawie smugami złota. Siadałam wśród kilku kobiet, młodych żon i dziewczyn zawodników, które krzyczały i podskakiwały na trybunie. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, urzeczona baseballlem tak jak kościołem baptystów, ale też nie czułam się niezręcznie. Traktowałam ten męski rytuał jako wstęp do naszego.

A w inne wieczory nadal się uczyłam. Nadal miewałam długie sny na jawie i spotykałam się z Jerryem w restauracji Hainesa.

- Czemu chodzisz z tym troglodytą? - spytał kiedyś.

- Jakim troglodytą? Jest kromaniończykiem - odparłam z radosną haniebną perfidią.

Ale Jerry nie miał mi nic nowego do zaoferowania. Ciężyły mu decyzje

o przyszłości. „Jakbym studiował na McGillu... - mówił. - Gdybym się przeniósł do Toronto...” Zastanawiał się, stypendium którego uniwersytetu byłoby najkorzystniejsze i zapewniłoby mu najlepsze studia doktoranckie. Interesowałam się tym. Przeglądałam z nim harmonogramy zajęć, porównywałam oferty uczelni - i równocześnie roztrząsałam w myśli rozbijające szczegóły ostatniego spotkania z Garnetem.

- Ale pójdziesz na studia?

- Czemu miałabym nie pójść?

- W takim razie bądź ostrożna. To nie sarkazm. Nie jestem zazdrosny. Chcę tylko twojego dobra.

Myślała o tym też matka.

- Słyszałam o tych Frenchach z Jericho Valley. Toż to najgorsza prowincja, dziura zabita dechami! - Nie wspominałam jej o Młodych Baptistach, dowiedziała się sama. - Niepojęte, czyś ty dostała rozmiękczenia mózgu?

- Nie mogę chodzić, gdzie mi się podoba? - odpowiedziałam szorstko.

- Dałaś się ogłupić chłopcu. Ty, z taką inteligencją. Zamierzasz mieszkać tu do końca życia? Chcesz być żoną robotnika ze składu drzewa? Chcesz wstąpić do stowarzyszenia pań baptystów?

- Nie!

- Próbuje tylko otworzyć ci oczy. Dla twojego dobra.

Gdy Garnet przyszedł do nas, odnosiła się do niego z kurtuazją, wypytywała o szczegóły handlu drewnem. Mówił do niej „pszepani”, jak Jerry do mnie, kiedy nabijaliśmy się z wieśniaków. „Aż tak się na tym nie znam, pszepani” - odpowiadał grzecznie ze spokojem. Na każdą jej próbę przeobrażenia zwykłej pogawędki w konwersację towarzyską, skłonienia go do lotnych uogólnień, reagował obojętną, leciutko urażoną i wyniosłą miną. Nie znosił wielkich słów, silenia się na znawstwo. Nie cierpiał syntetyzowania rzeczy. Ciekawe, że mnie znosił, bo ja to uwielbiałam. Może tak dobrze ukrywałam przed nim prawdę o sobie. Albo, co bardziej prawdopodobne, czerpał ze mnie tylko to, co mu odpowiadało. Tak jak ja z niego. Ubóstwiałam jego mroczną, nieodgadnioną stronę, intrygowało mnie nie tyle jego nawrócenie, ile to, że przy całej dumie ze swej wiary bawił się nią, używał jej jak maski, gotowy w każdej chwili ją odrzucić. Chciałam, by opowiedział mi o bójce przed piwiarnią, o

pobyć w więzieniu. Frapowała mnie jego zmysłowość, a nie zapatrywania.

Chciałam dowiedzieć się, dlaczego podszedł do mnie wtedy w ratuszu.

- Spodobałaś mi się.

Słowa nie zbliżały nas bynajmniej, słowa były naszym wrogiem. Jedynie zakłócały to, co wiedzieliśmy na swój temat, wiedzę, którą stanowił, jak to mówią, „czysty seks”, „pociąg seksualny”. Zdumiewało mnie - i wciąż zdumiewa - to lekkie, wręcz pogardliwe podejście do rzeczy, której nie znajduje się ot tak, po prostu.

Zabrał mnie do siebie na wieś, bym poznała jego rodziców. Było niedzielne popołudnie. W poniedziałek zaczynały się egzaminy. Gdy mówiłam, że muszę się uczyć, odparł: „Nie możesz, mama już zabiła dwa kurczaki”.

Ale i tak porzuciłam myśl o nauce. W towarzystwie Garneta nie zrozumiałabym nawet najłatwiejszej książki, nie złożyłabym jednego zdania. Gdy jechaliśmy, nie chciało mi się czytać nawet haseł na billboardach.

Zupełnie inaczej, niż kiedy przechadzałam się po mieście z Jerrym. Przy Garnecie świat nie przerażał mnie swoją zawiłą gęstwą, widziałam go tak, jak pewnie widzi zwierzę, nie musiałam niczego nazywać.

Znałam drogę do Jericho Valley, bo jechałam nią już kiedyś z ojcem. W wielu miejscach zwężała się nieomal do szerokości ciężarówki. O szoferkę ocierały się dzikie róże. Długo przedzieraliśmy się przez gęste zarośla. Minęliśmy las pniaków. Przypomniły mi się słowa matki: „Dawniej było tu tak wszędzie, w całym kraju. Jeszcze nie wyszli z etapu osadnictwa. Może im się nie chce. Albo ziemia nie jest tego warta. Albo jedno i drugie”.

Ujrzałam szkielety wypalonego domu i stodoły.

- Podoba ci się u nas? - spytał Garnet.

Dom, w którym mieszkał Garnet, stał w kotlinie, otoczony roślami drzewami tak ciasno, że nie można było zobaczyć go w całości. Zobaczyłam tylko pokrytą brązowym gontem, wyblakłą ścianę szczytową i żółtą werandę, pomalowaną tak dawno, że farba łuszczyła się na popękany drewnie. Kiedy skręcaliśmy na podwórze, wystraszone kury poderwały się z trzepotem skrzydeł, a do otwartych okien ciężarówki przyskoczyły, ujadając, dwa brytany.

Po materacu sprężynowym, który leżał przed domem od tak dawna, że trawa pod nim spopieliała, skakały dwie dziewczynki, dziewięcio-, dziesięcioletnie. Przerwały zabawę i przyglądały się nam szeroko otwartymi oczami. Prowadząc mnie do domu, Garnet nie przedstawił nas sobie. Nie przedstawił mnie nikomu. Pojawiali się różni jego krewni - nie wiedziałam, kto jest najbliższy, a kto jest wujkiem, ciotką czy kuzynem - i zagadywali go, patrząc na mnie z ukosa. Imiona kilkorga poznałam, słuchając, jak rozmawiają. Żadne z nich nie zwróciło się do mnie po imieniu.

Była wśród nich dziewczyna, którą kojarzyłam z ogólniaka. Bosa, jaskrawo umalowana, smętnie kiwała się na boki, oparta o słupek werandy.

- Spójrz na Thelmę! - zawołał Garnet. - Kiedy się maluje, zużywa całą tubkę. Jakby kto chciał jej dać całusa, toby się przykleił. Trzeba byłoby odrywać go siłą.

Thelma wciągnęła powietrze w uróżowane, pokryte pudrem policzki i wypuściła je hałaśliwie, ordynarnie.

Z domu wyszła niska okrągła kobieta z gniewną miną, w trampkach bez sznurówek. Jej łydki były tak spuchnięte, że walcowate nogi wyglądały jak rury. Ona pierwsza odezwała się do mnie:

- Jesteś córką tej pani od encyklopedii. Znam twoją mamę. Nie masz gdzie usiąść?

Zepchnęła chłopczyka i kota z bujanego fotela i stała przy nim, dopóki nie usiadłam. Sama usadowiła się na najwyższym stopniu werandy i zaczęła rozkazywać wszystkim wokół, rozeźlona.

- Zamknijcież te kury! Przynieś no z ogródka sałatę, dymkę i rzodkiewkę! Lila! Phyllis! Przestańcie mi tu skakać! Nie macie nic innego do roboty? Boyd, wyłaż z ciężarówki! Weźcie go z tej ciężarówki! Raz zostawił ją na wolnym biegu, to przetoczyła się

przez podwórze i prawie wjechała w werandę.

Wyjęła z kieszeni fartucha paczkę tytoniu i kilka bibułek.

- Nie jestem baptystką. Lubię czasem zapalić. Jesteś baptystką?

- Nie. Chodzę tam z Garnetem.

- Garnet zaczął do nich chodzić, odkąd wpadł w kłopoty... Wiesz, co mam na myśli?

- Tak.

- Więc nigdy mu nie broniłam, choć też mam swoje zasady. Należeliśmy... należymy do Zjednoczonego, ale tam się długo jedzie, a ja nieraz pracuję, w szpitalu niedziela to taki dzień jak każdy inny. Dawniej pracowałam w szpitalu w Porterfield, jako pomoc pielęgniarska. Utrzymuję z Garnetem rodzinę. W tej okolicy nie ma mowy o zarobku.

Opowiadała o wypadkach, o przywiezionym do szpitala dziecku z zatruciem, które parę dni temu szerniało jak pasta do butów, o mężczyźnie ze zmiążdżonym barkiem, o chłopcu z haczykiem na ryby w oku. Opowiadała o ręce zwisającej z łokcia na kawałku skóry. Garnet zniknął. W kącie werandy siedział mężczyzna w owerolu, wielki i żółty jak Budda, acz nie tak ujmujący. Raz po raz unosił brwi i szczyrzył się w nikłym uśmiešku. Sądziłam, że to ironiczny grymas, komentarz do opowieści ze szpitala, ale, jak się później okazało, był to tik nerwowy.

Dziewczynki przestały skakać i podbiegły do matki, zaaferowane. Chłopcy zaczęli się okładać na podwórzu. Przewracali się po twardej ziemi, zaciekli, milczący, z plecami brązowymi i gładkimi jak kora po wewnętrznej stronie.

- Idę zagotować wodę! - ostrzegła matka. - I tak was poparzę, że popamiętacie!

- Chciałaby zobaczyć strumyk? - spytała jedna z dziewczynek.

Miała na myśli mnie. Zabrały mnie nad strumyk, strużynkę brunatnej wody wśród

płaskich białych kamieni. Pokazały mi, dokąd dopływa wiosną. Któregoś roku zalała dom. Zabrały mnie na strych na siano i pokazały mi gromadkę kociąt, rudo-czarnych, jeszcze ślepych. Poprowadziły mnie przez pustą stajnię

i pokazały oborę popodpieraną belkami i żerdziami. „Jak przyjdzie kiedyś wichura, to obora się zawali”.

- Stara obora zawali się, zawali... - zaśpiewały, podrygując.

Oprowadziły mnie po domu. Pokoje były duże, z wysokimi sufitami, umeblowane oszczędnie i dziwnie. W pomieszczeniu służącym chyba za salon stało mosiężne łóżko, a w kątach leżały na podłodze sterty ubrań i kołder, tak jakby rodzina dopiero co się wprowadziła. W wielu oknach nie było zasłon. Słońce wpadało do pokoi przez prawie nieruchome drzewa i na ścianach mrugały cienie liści. Dziewczynki pokazały mi ślady po wodzie na ścianach i poprzypinane zdjęcia wycięte z czasopism. Fotografie gwiazd kina i pań w ślicznych zwiewnych sukienkach, reklamujących podpaski higieniczne.

W kuchni matka myła warzywa.

- Nie chciałybyś tu zamieszkać? Dla miastowych jest trochę przasnianie, ale jedzenia mamy pod dostatkiem. Powietrze dobre, przynajmniej latem, świeże i chłodne przy strumyku. W lecie chłodno, w zimie bezpiecznie. Nie wyobrażam sobie lepszego położenia domu.

Linoleum było czarne i pofałdowane, pod stołem i pod oknami pozostały jeszcze wysepki nieprzetartego deseni. Poczulałam mdły zapach gotowanej kury.

Garnet otworzył drzwi z siatką i stanął w progu w rażącym świetle podwórka. Był w spodniach roboczych, bez koszuli.

- Muszę ci coś pokazać.

Wyszliśmy na tylny ganek, jego siostry także, i kazał mi spojrzeć w górę. Na spodzie jednej z belek zadaszenia były wyrzyte nazwiska kobiet, z

krzyżykami obok.

- Dziewczyny Garneta! - wykrzyknęła jedna z sióstr i obie roześmiały się zachwycone.

Garnet zaczął odczytywać spis z powagą.

- Doris McIver! Jej ojciec miał tartak za Błękitną Rzeką. Ma go nadal.
Gdybym się z nią ożenił, byłbym bogaty!

- Marna to droga do bogactwa! - powiedziała jego matka, która przyszła za nimi aż do drzwi.

- Dulie Fatherstone. Była katoliczką, pracowała w barze kawowym hotelu Brunswick.

- Z taką żoną byłbyś biedakiem - rzekła znacząco matka. - Wiesz, co im zaleca papież!

- Ty, mamó, jakoś nie przejmowałaś się papieżem... Margaret Fraleigh. Ruda.

- Z rudymi nigdy nie wiadomo, bo kapryśne.

- Nie była bardziej kapryśna od kurczęcia. Thora Wiloughby. Sprzedawała bilety w kinie Publika. Teraz mieszka w Brantford.

- Co znaczą te krzyżyki, synku? Rozstania?

- Nie, pszepani.

- Więc co takiego?!

- Tajemnica wojskowa! - Garnet wskoczył na balustradę („Złamie się!” - ostrzegła matka) i zaczął ryć coś pod spisem kobiet. Moje nazwisko. Skończywszy, wyrwał wokół niego gwiazdki i podkreślił je mocną linią.

- Myślę, że to ostatnie - stwierdził.

Złożył scyzoryk i zeskoczył.

- Pocałuj ją! - Zachęciły siostrzyczki, rozchichotane.

Objął mnie.

- Całuje ją w usta, jejku, Garnet całuje ją w usta!

Obskoczyły nas. Garnet odepchnął je ręką, nie przerywając pocałunku. A potem zaczął mnie łaskotać i stoczyliśmy wielką bitwę na łaskotki. Siostry wzięły moją stronę i razem próbowałyśmy powalić Garneta na ganku, ale wyrwał się nam i pognał do stodoły. Wróciłam do kuchni i dumnie zaoferowałam matce pomoc przy kolacji.

- Pobrudzisz sukienkę - odparła, ale poddała się i pozwoliła mi pokroić rzodkiewkę.

Na kolację jedliśmy duszonego kurczaka, miękkiego, ze smacznym sosem, lekkie kluseczki, kartofle („Niestety za wcześnie na młode!”), okrągłe płaskie placuszki, fasolkę w pomidorach domowej roboty, kilka rodzajów marynat, sałatę z dymką i rzodkiewką, przyprawioną octem, ciasto z melasą i konfitury z jeżyn. Przy stole siedziało dwanaście osób, jak policzyła Phyllis. Po jednej

stronie wszyscy siedzieli na ławie z desek ułożonych na dwóch kozłach. Ja siedziałam na krześle lakierowanym z salonu. Żółtego grubasa posadzono u szczytu stołu. Był to ojciec. Garnet przyprował ze stodoły starszego, acz żwawego mężczyznę, który oznajmił, że nie mógł spać tej nocy z bólu zęba.

- Lepiej nie ruszaj kurczaka - poradził mu Garnet z kpina. - Zagrzejemy ci mleczka i pójdiesz do łóżka!

Staruszek jadł z ochotą, opisując, jak ratował się ciepłym olejkiem goździkowym.

- Stawiam obrączkę ślubną, że jeszcze czymś mocniejszym! - rzekła matka Garneta.

Siedziałam między Lilą a Phyllis, które przekomarzały się, odmawiając sobie podawania potraw, i nakrywały masło spodkiem. Garnet i staruszek opowiadali o sąsiedzie, farmerze z Holandii, który zastrzelił szopa, bo myślał, że to groźny drapieżnik. Piliśmy herbatę. Phyllis ukradkiem wysypała soli do cukiernicy i podała ją staruszkowi, ale matka zdążyła wyrwać jej cukiernicę.

- Obedrę cię kiedyś ze skóry! - zagroziła.

Nie da się ukryć, że było mi tam dobrze.

Gdy wracaliśmy do domu, chciałam powiedzieć Garnetowi: „Fajną masz rodzinę”, uznałam jednak, że byłoby to nie na miejscu, bo pewnie nawet nie przyszło mu do głowy, że mogłabym jej nie polubić, nie stać się jej częścią. Dla niego wydawanie takich sądów było żenujące i pretensjonalne.

Ledwie skręciliśmy z głównej drogi w Jubilee, ciężarówka nawaliła. Garnet wysiadł, zajrzał pod maskę i potwierdził to, co podejrzewał:

- Skrzynia biegów.

Zaproponowałam, by przespał się u nas w salonie, ale czułam, że nie chce, ze względu na moją matkę. Odparł, że zatrzyma się na noc u kolegi ze składu drzewnego.

Nie sygnalizując przybycia hałasem ciężarówki, pobiegliśmy za dom, przywarliśmy do siebie w uścisku i zaczęliśmy namiętnie się całować. Sądziłam, że nasz akt miłosny poprzedzi jakieś preludium, uroczyste otwarcie jak podniesienie kurtyny przed ostatnim aktem spektaklu. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Gdy uzmysłowiłam sobie, że Garnet przystąpił do rzeczy, chciałam położyć się na ziemi, pozbyć się majtek, które krępowały kostki, zdjąć pasek od sukienki, bo klamra boleśnie wrzynała mi się w brzuch. Ale nie było czasu. Rozłożyłam nogi najszerzej jak pozwoliły na to majtki i oparłam się o mur, próbując zachować równowagę. Inne od poprzednich zbliżeń, to wymagało wysiłku i czujności. I było bolesne, choć jego palce już mnie tam rozciągnęły. W dodatku musiałam trzymać w górze jego spodnie, by nie zdradziły nas jego białe pośladki. Akurat gdy chciałam prosić go, by przerwał, zczekał, bym mogła rozprostować nogi, jęknął, napał gwałtownie i osunął się na mnie z łopotem serca. Nieprzygotowana, zachwiałam się pod jego ciężarem i, wciąż zwarci, padliśmy na rabatę piwonii. Przesunęłam dłońią po mokrej nodze. Była ciemna. Krew - natychmiast pojęłam wagę tego, co się stało.

Rano zesłam obejrzeć połamane piwonie i plamę krwi (tak - zaschłej krwi!) na ziemi. Musiałam się tym z kimś podzielić.

- Koło domu jest krew - powiedziała matce.

- Krew?

- Wczoraj widziałam, jak kot rozszarpuje ptaka. Wielki pasiasty kocur, nie wiem, skąd się tu wziął.

- To złośliwe bestie!

- Może byś zerknęła.

- Co?! Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty?

Tego dnia zaczęły się egzaminy. Prócz mnie i Jerry'ego pisali je Murray Heal i George Klein, którzy wybierali się odpowiednio na stomatologię i inżynierię, June Garnett, której ojciec zabronił wydawać się za cherlawego zbereźnika z Banku Handlowego, dopóki nie zrobi magisterium, i jeszcze dwie dziewczyny ze wsi, Beatrice i Marie, które chciały zostać nauczycielkami.

Dyrektor przełamał pieczęć na naszych oczach i podpisaliśmy oświadczenie, że przedtem była nienaruszona. Byliśmy w szkole sami, bo młodsze klasy miały już wakacje. Nasze głosy, kroki niosły się po korytarzach wielkim echem. W budynku było gorąco i śmierdziało farbą. Woźni opróżnili jedną z sal z ławek i lakierowali w niej podłogę.

Czułam się w tym wszystkim obco. Pierwszy egzamin był z literatury angielskiej. Zaczęłam pisać o L'Allegro i Il Penseroso. Mimo że rozumiałam treść pytania, wydało mi się absurdalne, zawoalowane, złowieszcze jak ze snu. Pisałam wolno. Przerywając co chwilę, marszczyłam czoło i poruszałam palcami, żeby się zmobilizować, ale na próżno. Gdy wreszcie dobrnęłam do końca, brakło mi czasu, energii i ochoty, aby przejrzeć całość. Prawie pewna, że pominęłam część jednego z pytań, postanowiłam już nie sprawdzać, czy się nie mylę.

Rozpierało mnie poczucie ważności, cielesnej wzniosłości. Poruszałam się leniwie,

przesadnie uwydatniając lekki dyskomfort. Raz po raz przypominała mi się twarz Garneta sekundę przed tym, jak upadliśmy, wyraz potwornego wysiłku i zarazem triumfu. Zdumiało mnie, że potrafię przysporzyć komuś takiego bólu i odprężenia.

Beatrice, jedna z dziewcząt ze wsi, przyjechała autem rodziców, bo szkolne autobusy już nie kursowały. Zaprosiła mnie na colę w restauracji dla zmotoryzowanych, otwartej niedawno w odnowionym warsztacie kowalskim na południowym krańcu miasteczka. Ciekawiło ją, co napisałam. Dorodna, gorliwa, nosiła popelinowe sukienki zapinane z przodu. Naomi i ja śmiałyśmy się z niej, bo zimą przychodziła do szkoły w płaszczu oblepionym białą końską sierścią.

- Jak odpowiedziałas na to? - zapytała, odczytując powoli: „W osiemnastowiecznej Anglii ceniono dobre maniery i stabilność społeczną. Omów na przykładzie wybranego wiersza z epoki”.

Pomyślałam, że gdybym wysiadła z wozu i przeszła na koniec zwirowanego parkingu, znalazłabym się na ulicy biegnącej tuż za składem drzewnym. Pracownicy składu stawiali tam samochody. Gdybym poszła tam i stanęła na środku drogi, dojrzałabym ogrodzenie, wejście, dach podłużnej otwartej szopy i szczyt sterty drewna. Skład drzewa, kościół baptystów, stacja benzynowa, gdzie Garnet tankował, zakład fryzjerski, w którym strzygł włosy, domy jego kolegów... Wyraźne, stałe punkty miasteczka. Zawieszona między nimi, wyobraziłam sobie ulice, po których zwykle jeździł, jako jaskrawo oznaczoną mapę.

Nadszedł kres tamtych pierwszych czułych muśnięć, igraszek w skąpanej deszczem ciężarówce. Odtąd uprawialiśmy miłość naprawdę. Kochaliśmy się na siedzeniu ciężarówki przy otwartych drzwiach, w krzakach, w nocnej trawie. Wiele się zmieniło. Z początku byłam otepiała, przytłoczona powagą, nazwą i myślą o tym, co robiliśmy. Potem przeżyłam orgazm. Wiedziałam, że tak się nazywa, z książki matki Naomi i wiedziałam, czym jest, bo doświadczałam go już nieraz z niecierpliwymi, wręcz żarłocznymi wyimaginowanymi kochankami. Ale doznanie go, by tak rzec, w towarzystwie, w bliskości drugiej osoby było czymś porażającym. Doświadczeniem niemal zbyt intymnym, na granicy samotności. Stał się dla nas celem tak szybko, iż nie mogłam pojąć, że kiedyś tak gwałtownie przerwaliśmy... Rozpoczęliśmy nowy etap - prozaiczniejszy, etap sankcjonowania przyczyn i skutków, gdy miłość zaczyna toczyć się według ustalonego wzorca.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tych sprawach.

Było to pierwsze lato, kiedy matka i ja nie przeniosłyśmy się z Jubilee do domu przy Drodze na Moczary. Matka oświadczyła, że nie czuje się na siłach, a ojciec, Owen i wujek Benny i tak świetnie radzą sobie bez niej. Czasami chodziłam ich odwiedzać. Pili piwo przy stole w kuchni i czyścili jajka druciakiem. Hodowla lisów została zamknięta, bo po wojnie ceny skór drastycznie spadły. Lisy zniknęły, zagrody rozebrano, ojciec przestawiał się na kury. Usiadłam, próbując czyścić jajka jak oni. Owen miał pół butelki piwa. Gdy chciałam się poczęstować, ojciec powiedział, że matka nie byłaby zadowolona, a wujek Benny dodał: „Pijące dziewczęta na ogół źle kończą”.

To samo słyszałam kiedyś z ust Garneta.

Z zapalem i niezadowoloną miną szorowałam podłogę, myłam okna, wyrzucałam zapleśniałe jedzenie i wykładałam szafki świeżym papierem. Owen burczał na mnie, by pokazać, że jest mężczyzną, i wyciągał nogi jak panisko, a gdy mówiłam: „Rusz się, widzisz, że sprzątam!”, usuwał je ledwie odrobinę. Czasem trącałam go, a on podstawiał mi nogę i biliśmy się, kopaliśmy, rozjuszeni. Wujek Benny śmiał się z nas, przetykając ślinę, wstydliwie jak to on, ale ojciec powstrzymywał Owena i wyrzucał go z kuchni. Ojciec odnosił się do mnie grzecznie, chwalił moją troskę o dom, lecz nigdy nie żartował ze mną jak z dziewczętami z Drogi na Moczary, jak z Potterówną, która rzuciła szkołę pod koniec ósmej klasy i zatrudniła się w zakładzie rękawiczniczym w Porterfield. Aprobował mnie, ale też jakby go drażniłam. Być może dostrzegał w mojej ambicji cień pychy?

Sypiał na kanapie w kuchni, nie na piętrze jak dawniej. Na półce nad nią, obok radioodbiornika i kałamarza, leżały trzy książki - Historia świata Herberta George'a Wellsa, Przypadki Robinsona Crusoe i zbiór opowiadań Jamesa Thurbera. Czytał je w kółko przed snem. Nigdy o nich nie wspomniał.

Wracałam do miasteczka przed wieczorem, gdy chowające się powoli

słońce rzucało długi cień na żwirowej drodze przede mną. Patrząc na tę osobliwą wydłużoną postać z małą okrągłą główką (któregoś popołudnia ostrzygłam się z nudów na zero), widziałam dostojną obcą Afrykankę. Nie patrzyłam na domy przy Drodze ani na samochody, które

wzbijały kurz, zajęta tylko własnym cieniem przesuwanym się po żwirze.

Gdy przychodziłam do domu - późno w nocy, z obolałymi piersiami, ramionami, wilgotna i przerażona własnym zapachem - matka zrywała się z łóżka. Światło lampy przenikało jej rzadkie włosy, odsłaniając delikatną skórę. Na stoliku przy łóżku stała filiżanka ostygłej herbaty, a wokół piętrzyły się porzucone tego i minionego dnia filiżanki, kubki, niektóre odstawił tak dawno, że mleko w nich zdążyło skisnąć. Czytała mi fragmenty broszur informacyjnych różnych uczelni, które zamawiała pocztą.

- Powiem ci, co ja bym wybrała... - jej obawy w związku z Garnetem przygasły w obliczu mojej świetlanej przyszłości. - Wybrałabym astronomię i grekę. Greka. Zawsze skrycie marzyłam, żeby nauczyć się greckiego.

Astronomia, greka, języki słowiańskie, filozofia Oświecenia - atakowała mnie nimi, gdy stawałam w progu. Jej słowa nie docierały do mnie. Byłam zdolna myśleć tylko o ciemnych rzadkich włoskach na przedramionach Garneta, równych i gładkich jak uczesane, o krągłych szczupłych nadgarstkach, brwiach zmarszczonych skupieniem, gdy kierował ciężarówką, o tym szczególnym wyrazie zniecierpliwienia i rozwagi, z którym prowadził mnie wśród krzewy czy nad rzekę, szukając miejsca, gdzie moglibyśmy się położyć. Czasem nie czekaliśmy nawet do zmroku. Nie obawiałam się zdemaskowania, tak jak nie bałam się ciąży. Wszystko, co robiliśmy, działało się jakby poza zasięgiem innych, poza zwykłymi konsekwencjami.

Rozmawiałam o sobie ze sobą. „Jest zakochana. Właśnie wróciła ze schadzki. Oddała się ukochanemu. Nasienie ścieka jej po nogach”. W środku dnia ogarniało mnie nieraz takie rozleniwienie, że najchętniej zamknęłabym oczy, padła na ziemię i zasnęła.

Po zakończeniu egzaminów Jerry Storey wyjechał z matką na wycieczkę autem po Stanach. Przez lato dostawałam co jakiś czas widokówki z Waszyngtonu, Richmond, Wirginii, znad rzeki Missisipi, z rezerwatu Yellowstone - ze zwięzłymi zabawnymi komunikatami typu: JEDZIEMY PRZEZ KRAJ WOLNYCH LUDZI, WYKAŃCZAJĄ NAS WŁAŚCICIELE MOTELI, GARAŻE ITP. ŻYJEMY O HAMBURGERACH I WSTRĘTNYM TUTEJSZYM PIWIE. W RESTAURACJACH CZYTAMY KAPITAŁ, BY ZDZIWIĆ MIEJSCOWYCH. MIEJSCOWI NIE REAGUJĄ.

Naomi szykowała się do ślubu. Zadzwoiła, aby się pochwalić, i zaprosiła mnie do siebie. Kamieniarska wyglądała tak jak dawniej, tyle że dom panny Farris zajęli jacyś nowożeńcy i pomalowali go na turkusowo.

- Hej, nieznajoma - powiedziała Naomi z pretensją, jakby nasza przyjaźń osłabła przeze mnie. - Chodzisz z Garnetem Frenchem, prawda?

- Skąd wiesz?

- Raczej się z tym nie kryłaś. Zostałaś baptystką? I tak lepszy od Storeya.

- Za kogo wychodzisz?

- Nie sędzę, żebyś go znała - odparła niechętnie. - Jest z Tupperton. Właściwie z Barrie, tylko dojeżdża do Tupperton do pracy.

- Co robi? - spytałam kurtuazyjnie, ale Naomi skrzywiła się.

- Nie myśl, że to jakiś geniusz. Nie ma studiów. Zakłada telefony w sieci Bella. Nazywa się Scott Geoghagen.

- Jak?

- Geoghagen - przeliterowała. - Muszę się powoli przyzwyczajać, to będzie moje nazwisko. Cztery miesiące temu nawet o nim nie słyszałam. Chodziłam z kim innym, gdy się poznaliśmy. Ze Stuartem Claymore'em. Jak z nim zerwałam, kupił nowego plymoutha. Chodź na górę, pokażę ci ciuchy.

Po drodze minęliśmy pokój jej ojca.

- Jak się czuje?

- Kto, on? Ma tyle dziur we łbie, ptaki składają w nim jaja.

Na szczycie schodów pojawiła się jej matka i weszła do jej pokoju razem z nami.

- Zdecydowaliśmy się na skromne wesele - powiedziała. - Huczne wyprawia się tylko na pokaz.

- Zostaniesz moją druhną - rzekła Naomi. - W końcu jesteś moją najstarszą przyjaciółką.

- Kiedy?

- Za tydzień od tej soboty - odpowiedziała matka. - Chcemy urządzić je w ogrodzie pod altaną, o ile utrzyma się pogoda. Krzesła wypożyczymy z kościoła, poczęstunek nie będzie specjalnie wyszukany. Musisz sobie sprawić sukienkę, moja droga. Naomi ma bladoniebieską. Pokaż jej, Naomi. Byłoby ci ładnie w koralowej.

Naomi pokazała mi sukienkę, bieliznę i suknię ślubną. Rozchmurzyła się przy tym trochę. Później otworzyła skrzynię z posagiem, kufer, kilka szuflad, powymowała z szafy pudła i zaczęła pokazywać wszystko, co nabyła do

wyposażenia i utrzymywania domu. Pomyślałam, niezadowolona, że jako druhna będę musiała wydać przyjęcie na jej cześć, ozdabiać krzesła różową krepiną, obcinać brzegi kanapek, robić różyczki z rzodkiewki i lilie z marchwi. Kupiła gładkie powłoczki i wyhaftowała na nich girlandy kwiatów, kosze owoców i dziewczynki w kapturkach, z konewkami.

- Bella Phippen podaruje ci igielnik - powiedziałam z tęskną myślą o naszych wyprawach do biblioteki po szkole.

Naomi ucieszyła się.

- Oby tylko zielony, żółty albo oranżowy, bo takie będą dekoracje.

Pokazała mi wycięte własnoręcznie serwetki, które usztywniła wodą z cukrem, tworząc z nich koszyczki.

Matka poszła na dół. Naomi poskładała wszystko, pozamykała szuflady i pudła i zapytała:

- Wiesz o mnie?

- Co?

- Daj spokój, w miasteczku nic się przecież nie ukryje.

Usiadła na łóżku, które mocno ugięło się pod jej ciężarem. Przypomniało mi się, jak zostawałam u niej na noc, jak obie zjeżdżałyśmy na środek materaca i budziłyśmy się, kopiać się i trącając pupami.

- Jestem w ciąży. No, co tak patrzysz? Wszystkie to robią. Tylko nie każdej udaje się nie zajść. Wszyscy to robią. Teraz to już prawie tak, jak pstryknąć

palcem. - Z nogami na podłodze położyła się na łóżku, podparła głowę rękami i zmrużyła oczy od światła. - W tej lampie jest pełno robaków.

- Wiem, też to robię - powiedziałam.

- Naprawdę? - Usiadła prosto. - Z kim? Storey by nie umiał. Garnet...?

- Tak.

Położyła się z powrotem.

- I jak było? - spytała podejrzliwie.

- Nieźle.

- Im dalej w las, tym przyjemniej. Za pierwszym razem strasznie mnie bolało. Nie był to Scott. Chłopak miał się czym pochwalić. Oj, bolało! Nie mogliśmy użyć wazeliny, bo skąd wziąć wazelinę w krzakach w środku nocy? Gdzie to robiłaś pierwszy raz?

Opowiedziałam jej o piwoniach, krwi na ziemi, kocie, który niby zakatrupił ptaka. Położyłyśmy się na brzuchu i zaczęłyśmy się sobie zwierzać. Mówiłyśmy o wszystkim, z detalami. Powiedziałam jej nawet o panu Chamberlainie, jak pierwszy raz w życiu zobaczyłam członek i jak się nim zabawiał. Słyszając to, walnęła pięścią w łóżko, roześmiała się i zawołała:

- Jeszcze się z czymś takim nie spotkałam, rany boskie!

Po chwili jednak znowu posmutniała i podniosła się, by spojrzeć na brzuch.

- Masz farta. Powinnaś się zabezpieczać. Bądź ostrożna, choć nigdy nic nie wiadomo. Te cholerne gumki lubią pękać. Jak się okazało, że jestem w ciąży,

brałam chininę. Piłam korę wiązu, syrop przeczyszczający i głożynę, robiłam nasiadówki z gorczycy, wiesz, musztarda, tak że o mało nie zmieniałam się w hot doga. Nic nie działa.

- Nie radziłaś się matki?

- Gorczyca to jej pomysł. Wbrew pozorom nie wie za wiele.

- Nie musisz wychodzić za mąż. Mogłabyś pojechać do Toronto...

- Taaa, wyślij mnie Armii Zbawienia, Chryste Panie! - wykrzyknęła drżącym głosem i dodała trochę nielogicznie wobec prób z gorczycą i chininą: - I tak nie zdecydowałabym się oddać dziecka obcym.

- Dobrze, ale jeśli nie chcesz tego ślubu...

- Kto mówi, że nie chcę? Skoro już to zgromadziłam, czemu się nie wydać. Przy pierwszej ciąży zawsze jest depresja. To hormony. W dodatku mam straszne zaparcie.

Odprowadziła mnie przed dom. Rozglądała się po ulicy, z rękami na biodrach, z brzuchem ledwie mieszczącym się pod starą spódnicą w szkocką kratę. Zobaczyłam ją jako żonę, apodyktyczną, znękaną zadowoloną młodą matkę, która wypatruje dzieci, by położyć je do łóżka, zapleść im warkocze, zbesztać.

- Żegnaj, rozprawiczona - powiedziała czule.

Gdy byłam w połowie kwartału, pod latarnią, zawołała „Hej, Del!” i, doganiając mnie ciężkim krokiem, złożyła dłonie w trąbkę i głośno szepnęła:

- Nie wierz w przerywany!

- Jasne!

- Ci dranie nigdy nie wyjmują na czas!

I rozeszliśmy się, każda w swoją stronę, odwracając się dwa, trzy razy i machając do siebie z przesadą dla wygłupu, tak jak dawniej.

Po kolacji Garnet i ja chodziliśmy popływać pod trzeci most. Najpierw kochaliśmy się w wysokiej trawie, wyszukawszy miejsce bez ostów, a potem przechadzaliśmy się, przytuleni, wążiuteńką ścieżką, przystając i całując się po drodze. Pocałunki Garneta zmieniły się z namiętych w kojące, z błagalnych w cierpliwe. Jak zwykle podnosił oczy, rozedrgany, i zapadając we mnie niby ustrzelona mewa, wydawał zawsze ten sam okrzyk - ale teraz trzeźwiał znacznie prędzej. Przedtem, kiedy go pytałam, zdyszanego, o czym myśli, odpowiadał: „Kombinuję, jak wymienić tłumik...”, a teraz: „Kiedy się chajtniemy”.

Naomi wzięła ślub i przeprowadziła się do Tupperton. Pełnia lata była już za nami. Zaowocowała jarzębina. Po tygodniach skąpego deszczu woda w rzece opadła, odkrywając półwyspy bujnych wodorostów, tak gęstych, że niemal można było po nich stąpać.

Weszliśmy do wody, grzęznąc w mule przed dotknięciem stopą kamienistego, piaszczystego dna. W tym tygodniu ogłoszono wyniki egzaminów. Zdałam. Nie zdobyłam stypendium. Dostałam za słabe noty.

- Chciałabyś mieć dziecko?

- Tak - odpowiedziałam.

Woda, ciepła prawie jak powietrze, muskała moje podrapane pośladki. Słaba po stosunku, rozgrzana i rozleniwiona, zanurzyłam się po szyję.

Powolnie otwierałam się pod wodą jak wielka kapusta, gdy rozkłada na ziemi znużone słońcem liście.

Skąd nagle kłamstwo? To nie było kłamstwo.

- Najpierw musisz przystąpić do Kościoła - powiedział nieśmiało. - Musisz zostać ochrzczona.

Położyłam się na wodzie z rozpostartymi ramionami. Na poziomie oczu przelatywały mi panicznie drżące muchy.

- Wiesz, jak wygląda chrzest w naszym Kościele?

- Jak?

- Zanurzają cię w wodzie. Za amboną jest zbiornik, zasłonięty. Tam to robią. Ale lepiej w rzece, kilka osób na raz.

Zanurkowałam, podpłynął do mnie i próbował złapać mnie za stopę.

- Kiedy byłabyś gotowa? Może w tym miesiącu.

Obróciłam się na plecy i odpłynęłam, kopiąc mu wodą w twarz.

- Kiedyś musisz zostać wybawiona.

Rzeka, wciąż nieruchoma jak staw, płynęła, nie wiadomo dokąd. Odbijał się w niej drugi brzeg, okręgu Fairmile, ciemny od sosen, świerków i cedru.

- Dlaczego muszę?

- Wiesz dlaczego.

- Po co?

Dogonił mnie, chwycił za ramiona i kilka razy zanurzył delikatnie w wodzie.

- Ochrzczę cię i będzie po sprawie. Zrobię to teraz.

Roześmiałam się.

- Nie chcę być ochrzczone. Bez sensu, skoro nie chcę.

Byłoby to dziecinnie proste, a jednak nie umiałam się poddać. Powtarzał: „Chrzczę cię!” i zanurzał mnie już nie tak miękko, a ja nadal odmawiałam, kręcąc ze śmiechem głową. Stopniowo w miarę walki śmiech osłabł i nasze twarze wykrzywił grymas bolesnej determinacji.

- Sądzisz, że jesteś na to za dobra - rzekł cicho.

- Skądże!

- W ogóle uważasz się za lepszą.

- Bzdura!

- Więc bądź ochrzczone! - Wepchnął mnie pod wodę.

Wypłynęłam, plując i prychnając.

- Na drugi raz nie pójdzie ci tak łatwo! Będę cię trzymał pod wodą, dopóki się nie zgodzisz! Zgódź się, a jak nie, i tak cię ochrzczę...

Zanurzył mnie znowu, ale teraz byłam przygotowana. Wstrzymując oddech, walczyłam. Walczyłam zaciekle jak każdy w takiej sytuacji, nie bardzo myśląc, kto mnie trzyma. Gdy jednak pozwolił mi wypłynąć na chwilę, bym znów usłyszała: „Zgódź się!” i zobaczyła jego twarz zalaną wodą, ogarnęło mnie zdumienie - ale nie tym, że się szamoczymy. Poraziło mnie, że ktoś uzurpuje sobie prawo do władzy nade mną. Zapomniałam o złości i o strachu. Wydawało mi się niemożliwe, by nie widział, że władza, którą mu przyznałam, to część gry, że sam jest igraszką, że liczy się dla mnie tylko jego złocista zmysłowa skóra, choć jeszcze przed chwilą obiecywałam mu małżeństwo. Olśniona, rozchyliłam usta, by jakoś dać mu to do zrozumienia, ale poczułam, że wie wszystko. Wiedział, że w zamian za prostotę ofiarowałam mu pozory, świadomie czy nieświadomie dopasowując swoją zawziętość i obłudę do jego szczerych intencji.

„Sądzisz, że jesteś na to za dobra”.

- Zgódź się wreszcie!

Jego śniadą, życzliwą, ale skrytą twarz zmącił gniew, bezradne poczucie zniewagi. Zawstydziłam się tego znieważenia, ale musiałam się go trzymać, bo szło o moją odrębność, moje zastrzeżenia, moje życie. Wyobrażałam sobie, jak kopie do nieprzytomności tamtego człowieka przed piwiarnią. Kiedyś sądziłam, że chcę go poznać, ale właściwie nie chciałam, nigdy nie chciałam wyciągać jego sekretów, porywczoci ani jego z kontekstu tej dziwnej, magicznej i chyba też zgubnej gry.

Sen, w którym ochoczo pakujemy się do dołu, uradowani, że ktoś obrzuca nas leciutko łaskoczącą trawą, i kiedy mamy już zupełnie zasypane oczy, usta - okazuje się, że to nie zabawa, a nawet jeśli zabawa, to w grzebanie żywcem... Wyrywałam się spod wody tak jak we śnie, z desperacją, która wprawdzie musiała przedrzeć się przez niedowierzanie. A jednak pomyślałam, że mógłby mnie utopić. Myślałam, że walczę o życie.

Gdy znowu pozwolił mi wypłynąć, próbował ochrzcić mnie w konwencjonalny sposób, wyginając mnie w pasie do tyłu. I tu popełnił błąd. Zaczęłam kopać go w podbrzusze, nie w genitalia, choć nie starałam się w nie trafić, było mi obojętne, w co kopię - tak mocno, że na sekundę przestał panować nad ciałem - i odpłynęłam. Ledwie to się stało, oboje pojęliśmy absurd i grozę naszych zmagania i nie potrafiliśmy ich już wznowić. Nie gonił mnie. Bezpiecznie wyszłam z wody, która o tej porze roku sięgała nie wyżej niż po pachy. Roztrzęsiona, łapałam powietrze.

Ubierając się pod plandeką, potykałam się o nogawki pospiesznie wciąganych spodni, wstrzymywałam oddech, by opanować się i pozapinać bluzkę.

Garnet zawołał.

- Odwiozę cię do domu.

- Chcę się przejść.

- Przyjadę po ciebie w poniedziałek wieczór.

Nie odpowiedziałam. Poczułam, że mówi to z grzeczności. Nie przyjechałby. Gdybyśmy byli starsi, zapewne trzymalibyśmy się siebie kurczowo, targowali się o cenę pojednania, tłumaczylibyśmy się, usprawiedliwiali i - wybacząc sobie - powędrowalibyśmy w przyszłość. Nie przekroczywszy jednak progu dzieciństwa, sądziliśmy, że pewne konflikty są nieodwracalne, że pewnych ciosów nie da się wybaczyć. Zobaczyliśmy w sobie coś przykrego, nieznośnego i byliśmy nieświadomi, że inni, widząc to, trwają przy sobie, nienawidzą się, walczą, gotowi się nawzajem pozabijać, a potem kochają się mocniej.

Idąc ścieżką w stronę drogi, uspokoiłam się po chwili i zaczęłam odzyskiwać siły. Nogi nie były już tak przeraźliwie słabe. Przeszłam Zgody,

kierując się do Cmentarnej. Miałam do pokonania mniej więcej trzy i pół mili.

Ruszyłam na skróty przez cmentarz. Ściemniało się. Przejmująca myśl o nieuchronnym końcu lata... Zobaczyłam chłopca i dziewczynę (nie rozpoznałam ich z daleka), leżących na przystrzyżonej trawie obok mauzoleum Mundych, na którego cementowym murze ja i Naomi nabazgrałyśmy kiedyś „epitafium”. Mimo że było złośliwe i zabawne, prawie już uleciało mi z pamięci:

Tu spoczywają ciała wielu Mundych;

Pomarli, bo co niedziela w zupę szczali...

Patrzyłam na zakochanych na trawniku bez zazdrości i zaciekawienia.
Wchodząc w

Jubilee, powracałam do rzeczywistości. Drzewa, ulice, płoty, domy znowu jawiły mi się w oswojonych kształtach. Oderwany od miłości, nienaznaczony jej barwami świat odzyskiwał swoje naturalne, bezwzględne znaczenie. Najpierw jest to jak cios, a potem dziwna pociecha. I znów byłam dawną sobą - pokrętną, ironiczną i wyobcowaną, lecz mimo całego odprężenia moim ciałem wstrząsał niedorzeczny ból utraty.

Matka już się położyła. Odkąd nie przyznano mi stypendium (które według niej miałam w kieszeni), jej nadzieje na przyszłość dzieci legły w gruzach. Musiała zmierzyć się z obawą, że ja i Owen nigdy do niczego nie dojdziemy, że nic z nas nie będzie, że jesteśmy mierni lub skażeni beznadziejną, pyszną niezłomną przekorą rodziny ojca. Owen mieszkał na wsi, mówił niepoprawnie i posługiwał się gramatyką wujka Benny'ego. Ja spotykałam się z Garnetem Frenchem, nie chciałam o tym rozmawiać i nie dostałam stypendium.

- Będziesz musiała robić, co chcesz - powtarzała z goryczą.

Nie było to dla mnie takie oczywiste. Weszłam do kuchni, zapaliłam światło i zrobiłam sobie wielką zapiekankę z kartofli, jajek, pomidorów i cebuli, którą zjadłam łączywie i ponuro prosto z garnka, na stojąco. Czułam się wolna i zarazem skrępowana. Zadowolona i bezbrzeżnie smutna. A gdybym nigdy się nie przebudziła... Gdybym tak dała ochrzcić się w tej rzece...

Bawiłam się tą możliwością, jakby wciąż istniała - jak cienie liści na ścianach, płamy po wodzie w jego domu i jego szczodre rozkochane ciało.

Nie przyjechał w poniedziałek. Czekałam, ciekawa, czy się zjawi. Uczesałam się i jak zwykle stanęłam za firanką w salonie. Nie wiedziałam, jak zachowałabym się na jego widok. Dojmujące pragnienie ujrzenia jego ciężarówki, twarzy pochłonęło mnie bez reszty. Myślałam, czyby nie podejść pod kościół baptystów i zobaczyć, czy nie ma tam jego wozu. Gdybym to zrobiła, gdybym się tam znalazła, musiałabym wejść do środka, sztywna jak lunatyczka. Dotarłam zaledwie do schodów werandy. Płakałam, zanosząc się monotonnym szlochem jak skrzywdzone dziecko. Zawróciłam do korytarza i spojrzałam na swoje niewyraźne, wykrzywione i zapłakane odbicie w lustrze. Przyglądałam się sobie, ból nie ustępował. Zaskoczyło mnie, że ta cierpiąca osoba to ja. Bo wcale nie byłam sobą. Patrzyłam. Patrzyłam i cierpiałam. Powiedziałam do lustra wers z Tennysona, z Dzieł zebranych,

podarowanych matce przez jej dawną nauczycielkę, pannę Rush.
Powiedziałam to z całą szczerością i ironią: „Nie przybywa, rzekła”.

Słowa te, z Mariany, jednego z najgłupszych wierszy, jakie znałam, jeszcze wzmogły płacz. Wciąż zerkając w stronę lustra, wróciłam do kuchni, zrobiłam sobie filiżankę kawy i zaniosiłam ją do jadalni, gdzie na stole leżała jeszcze dzisiejsza gazeta. Matka wyrwała z niej krzyżówkę i zabrała ją do łóżka. Otworzyłam ją na ogłoszeniach „zatrudnię” i wzięłam ołówek, by zakreślić oferty godne uwagi. Zmuszając się do skupienia, po pewnym czasie poczułam wdzięczność wobec tych drukowanych słów, nieznanymi możliwościami. Istniały miasta, szukano telefonistek; przyszłość mogła się obyć bez miłości czy stypendiów. Oto wreszcie bez marzeń i oszukiwania samej siebie, odcięta od błędów i chaosu przeszłości, z powagą i prostotą, z

niewielką walizką w rękę, wsiadając do autobusu jak bohaterki filmów, które opuszczają dom, klasztor, kochanka - mogłam zacząć prawdziwe życie.

„Garnet French, Garnet French, Garnet French.

Prawdziwe życie”.

Epilog. Fotograf

„W tym mieście szerzą się samobójstwa” - powtarzała matka i długo nosiłam w sobie to tajemnicze i dogmatyczne stwierdzenie, przekonana, że to prawda, że Jubilee przoduje pod tym względem jak Porterfield z jego pijackimi burdami, że samobójczość wyróżnia je jak kopuła ratusza. Później zaczęłam traktować wszystko, co mówiła, sceptycznie i z pogardą, i upierałam się, że liczba samobójstw u nas jest niewielka, że na pewno nie przekracza średniej - i domagałam się przykładów. Metodycznie przywołując w myśli kolejne ulice miasteczka, wyliczała: „... powiesił się, gdy żona z dziećmi byli w kościele... wyszedł z pokoju po śniadaniu i strzelił sobie w łeb...”, lecz w istocie nie było ich wiele i chyba to ja byłam bliższa prawdy.

Dwie osoby utopiły się, jeśli liczyć pannę Farris, moją dawną nauczycielkę. Druga to panna Sherriff, o której rodzinie matka i inni mówili z szacunkiem: „Ci to się nacierpią w życiu!”. Jeden brat zapił się na śmierć, drugiego zamknęli w zakładzie dla obłąkanych, a Marion weszła do rzeki Wawanash. Mówiono o niej „weszła”, o pannie Farris zaś, że się rzuciła. Ponieważ nikt nie widział, jak to zrobiły, różnica określeń wynikała zapewne z różnic ich charakteru. Panna Farris była we wszystkim impulsywna i dramatyczna, a Marion Sherriff zawsze rozważna i cierpliwa.

Przynajmniej tak wyglądała na zdjęciu, które wisiało w głównym korytarzu ogólniaka, nad gablotą z jej trofeum sportowym, srebrnym pucharem, który co roku wyjmowano spod szkła, wręczano najlepszej sportsmence w szkole i wkładano go tam z powrotem, z wygrawerowanym jej nazwiskiem. Na fotografii Marion trzymała raketę tenisową, ubrana w białą plisowaną spódniczkę i biały sweterek z obwiedzionym dwoma ciemnymi paskami dekoltem w szpic. Włosy z przedziałką na środku miała nietwarzowo zaczesane na skroniach. Była przysadzista i poważna.

„Cięża, wiadomo” - mówiła Fern Dogherty, podobnie Naomi i wszyscy z

wyjątkiem matki.

„Nigdy tego nie stwierdzono - odpowiadała. - Nie można jej oczerniać”.

„Facet zrobił jej dziecko, a potem ją zostawił - mówiła z przekonaniem Fern.
- Czy siedemnastolatka miałaby inny powód, by się topić?”

Nadszedł czas, gdy przestały mi wystarczać książki z biblioteki w ratuszu. Zapragnęłam własnej. Stwierdziłam, że by zrobić coś ze swoim życiem, muszę napisać powieść. Jako temat wybrałam rodzinę Sherriffów, ich tragedie aż prosiło się o opisanie. Zmieniłam nazwisko z Sherriff na Halloway, a ze zmarłego ojca sklepikarza zrobiłam sędziego. Wiedziałam z literatury, że zarówno w rodzinach sędziów, jak i wielkich właścicieli ziemskich, zawsze można liczyć na degenerację i szaleństwo. Matkę zostawiłam taką, jaka była, jaką widywałam, odwiedzając swego czasu kościół anglikański - a była tam zawsze, mizerna i czcigodna w swej wyzywającej pokorze. Przeniosłam ich jednak z musztardowego bungalowu za budynkiem „Herald-Advance”, gdzie mieszkali od zawsze i gdzie pani Sherriff dotąd utrzymywała schludny trawnik i wypielegnowane rabaty - do wymyślonego przez siebie ceglanego domu z wąskimi podłużnymi oknami i porte cochere, otoczonego niezliczonymi krzewami, przyszyżonymi przewrotnie w kształt kogutów, psów i lisów.

Nikt nie wiedział o mojej książce. Nie miałam potrzeby się chwalić. Po napisaniu kilku zdań doszłam do wniosku, że mija się to z celem, że zepsułyby książkę - w zamyśle piękną i spójną.

Nosiłam ją, właściwie pomysł, wszędzie jak zaczarowaną szkatułkę, którą znajduje postać z ulubionej bajki, szkatułkę, której wystarczy dotknąć, by zniknęły wszelkie troski. Żyła we mnie, gdy przechadzałam się z Jerrym Storeyem po torach i gdy opowiadał, że kiedyś, o ile świat przetrwa, niemowlęta, stymulowane falami elektrycznymi, będą wyrastały na geniuszy rangi Beethovena i Verdiego. Tłumaczył, jak ludziom będzie można wszczepiać inteligencję, zdolności, preferencje i pragnienia, rzecz jasna, nie bez umiaru.

- Jak w Nowym wspaniałym świecie? - zapytałam.

- Co to? - nie zrozumiał.

Kiedy mu wyjaśniłam, odparł, że nie czyta beletrystyki.

Trzymałam się myśli o książce; dodawała mi otuchy. Wobec niej jego słowa zdawały się nieważne, nawet jeśli były prawdą. Podśpiewywał sentymentalne piosenki z niemieckim akcentem i próbował maszerować, co chwilę spadając z szyny.

- Wierz mi, że gdy czar młodości pryśnie...

Musiałam pozbyć się z powieści starszego brata, alkoholika, uznawszy, że trzy tragiczne przypadki w jednej książce to przesada, a na pewno zbyt wiele jak na moje możliwości. Młodsze wyobrażałam sobie jako subtelny i czuły, drażniący naiwny, o różowej piegowanej twarzy, bezbronny w swojej ościężałości. Tyranizowany w szkole, niezdolny nauczyć się arytmetyki czy geografii, rozpromieniał się raz do roku, kiedy pozwalano mu jeździć na karuzeli podczas festynu. (Jego pierwowzorem był naturalnie Frankie Hall, głupek, który mieszkał kiedyś przy Drodze na Moczary, już nieżyjący. Wpuszczany na karuzelę za darmo, jeździł na niej do wieczora, machając do gapiów z wyniosłą pogardą, choć poza tym zwykle nie zważał na nikogo.) Chłopcy wiecznie drwili z jego siostry... Caroline! Tak miała na imię. Wzięta znikąd, z powietrza, złośliwa i skryta, całkowicie przyćmiła pulchną Marion, tenisistkę. Czy była wiedźmą? Nimfomanką? Nic z tych rzeczy!

Krnąbrna i wiotka jak liść, przemykała po ulicach Jubilee, tak jakby chciała przejść przez szparę w niewidzialnym murze, bokiem. Miała długie czarne włosy. Kapryśnie obdarzała sobą mężczyzn - nie przystojnych młodzieńców, którzy rościli do niej sobie prawo, nie posepnych herosów ogólniaka, sportsmenów, którzy obnosili swe podboje na płomiennych twarzach, tylko zmęczonych małżonków w średnim wieku, przejeżdżających przez miasteczko smętnych akwizytorów, a czasem nawet kaleki i postrzelonych.

Ale jej hojność drwiła z nich, jej „słodko-gorzkie ciało barwy obranych migdałów” spalało mężczyzn szybko, zostawiając śmiertelny posmak. Była jak ofiara, składana do seksu na cuchnących pleśnią niewygodnych nagrobkach, przypierana do ostrej kory drzew; jej kruche ciało, wciskane w błoto i kurze odchody, znosiło morderczy ciężar mężczyzn, jednak to ona, a nie oni, odchodziła z triumfem.

Pewnego dnia do szkoły przyszedł jakiś człowiek, żeby zrobić zdjęcia. Po raz pierwszy ujrzała go nakrytego szaroczanym sukniem, zgarbionego za statywem, wielkim okiem, smolistą niby-harmonią staroświeckiego aparatu fotograficznego. Gdy się zza niego wyłonił, jak wyglądał? Miał ciemne włosy z przedziałką na środku, zaczesane do tyłu w dwie fale, łupież, zapadniętą klatkę piersiową i wąskie barki, ziemistą łuszczącą się skórę - i mimo niechlujnego mizernego wyglądu otaczała go niezwykła aura bezpretensjonalnej radości.

Był bezimienny. Nazywałam go „fotografem”. Jeździł po wsiach wiekowym samochodem, którego dach z czarnego sukna łopotał na wietrze. Zdjęcia, które robił, były niesamowite, wręcz przerażające. Ludzie wyglądali na nich dwadzieścia, trzydzieści lat starzej. Osoby w średnim wieku spostrzegały w swoich rysach straszliwe, rosnące, nieuniknione podobieństwo do rodziców. Młodziutki dziewczęta i chłopcy widzieli siebie jako zniszczonych, nudnych, otepiałych pięćdziesięciolatków. Panny młode wyglądały na ciężarne, a dzieciom rosły wielkie nosy. Choć tani, nie był więc popularny. Ale nikt nie odmawiał mu współpracy, wszyscy się go bali. Na widok jego wozu dzieciaki kryły się w przydrożnych rowach. Tymczasem Caroline uganiała się za nim, szukała go, tułając się po rozgrzanych drogach, czekała na niego, nie dawała mu spokoju i oddawała mu się bez tej czułej pogardy, obojętnej gotowości, jaką częstowała innych mężczyzn - lecz z zapalem, nadzieją i w jękach. Aż któregoś dnia („z łonem spęczniałym jakby w jej brzuchu urosła tykwa”) zobaczyła auto przewrócone nieopodal mostu, w rowie przy wyschłym strumieniu. Było puste. Przepadł. Tej nocy weszła do rzeki.

I koniec. Tyle że gdy umarła, jej nieszczęsny brat, oglądając - zrobione przez fotografa - zdjęcie jej klasy, zauważył, że oczy Caroline są białe.

Nie obejmowałam wszystkich zawartych tu aluzji, miałam jednak poczucie, że są zróżnicowane i głębokie.

Na potrzeby powieści zmieniałam też Jubilee, a ściślej - wybrałam pewne jego cechy, odrzucając inne. Moje miasteczko było starsze, mroczniejsze, mocno zapuszczone, pełne niemalowanych drewnianych płotów pokrytych wystrzępionymi plakatami cyrków, jesiennych festynów, wyborów, o których dawno zapomniano. Jego mieszkańcy byli bardzo szczupli, jak Caroline, albo grubi jak balony. Rozmawiali taktownie, wymijająco i niedorzecznie. Wypowiadane przez nich frazesy pobrzmiwały szaleństwem. Wiecznie panowała pełnia lata - przeraźliwy skwar, w którym psy leżały na chodnikach jak nieżywe, a fale powietrza drgały nad pustą autostradą niczym galareta. Skąd więc dosyć wody w rzece? W trosce o wiarygodność uznałam, że Caroline nie może wejść w jej odmęty naga i potulna, ze spuszczoną głową, tylko musi położyć się na brzuchu, tak jakby topiła się w wannie.

Obrazy. Ich relacje, chronologię czułam tylko intuicyjnie, nie potrafiłam jej uzasadnić i liczyłam, że w końcu spuentują się same. Niemniej wszystko jawiło mi się jako prawdziwe, nie realne, tylko prawdziwe, tak jakbym odkrywała - nie tworzyła - tych ludzi i tę historię, jak gdyby to miasteczko istniało obok tego, z którym obcowałam co dnia.

Odkąd przeobraziłam Sherriffów na potrzeby fikcji, nie interesowałam się nimi zbytnio. Bobby Sherriff, syn, który przebywał w zakładzie dla umysłowo chorych, przyjechał na jakiś czas do domu (jak chyba już wcześniej) i czasem gawędził z kimś na ulicy. Nieraz miałam okazję słyszeć jego cichy, grzeczny, spokojny głos. Był zawsze świeżo ogolony i oprószony talkiem, nosił porządne ubrania. Niski i tęgi, poruszał się beztroskim lekkim krokiem właściwym ludziom, którzy nie mają co robić - i z obłąkanym Hallowayem z mojej książki łączyło go niewiele.

Kiedy Jerry i ja wracaliśmy ze spacerów, Jubilee ujawniało nam całą swoją zwyczajność. Odkąd drzewa potraciły liście, roztaczało się przed nami jako niezawila siatka ulic nazwanych na cześć bitew, dam, monarchów i pionierów. Któregoś dnia, gdy szliśmy wiaduktem i przejechał pod nim, trąbiąc na nas, samochód pełen naszych kolegów z ogólniaka - doznałam

wizji. Zobaczyłam nagle dziwność tego, jak Jerry wyczekuje przyszłości, która unicestwi Jubilee wraz z mieszkańcami, jak ja skrycie planuję zmienić je w mroczną historię i uwiecznić w książce, podczas gdy ludzie, którzy tworzą je naprawdę, wciskając tylko klakson, by obśmiać każdego, kto w niedzielne popołudnie porusza się nie autem, lecz pieszo - nawet nie podejrzewają zagrożenia, jakie mu gotujemy.

Od bodaj połowy lipca ostatniego lata, w którym mieszkałam w Jubilee, co dzień rano między dziewiątą a dziesiątą chodziłam do śródmieścia. Dochodziłam aż do budynku „Herald-Advance”, patrzyłam na okno od frontu i wracałam. Czekałam na wyniki egzaminów ministerialnych, które zdawałam w czerwcu. Wyniki wysyłano do zainteresowanych pocztą, ale dzień wcześniej otrzymywała je redakcja i wywieszała w oknie. Przychodziły tylko z poranną pocztą, nie później. Każdego ranka, gdy w oknie nie było kartki, niczego poza wykopanym przez Poraka Childsa kartoflem w kształcie gołębia, który siedział na parapecie, czekając, aż wystawią obok niego dwa zrosnięte kabaczki, dziwacznie pokrzywioną marchew i monstrualną dynię - czułam ulgę. Mogłam przeżyć jeszcze jeden dzień w spokoju.

Wiedziałam, że źle mi poszło. Zawiodła mnie miłość i miałam niewielkie szanse na stypendium, na które, jak inni, liczyłam, by móc wyrwać się z miasteczka.

Któregoś poranka, po kolejnej wizycie pod „Herald-Advance”, zamiast wracać główną ulicą jak zwykle, wybrałam trasę obok domu Sherriffów - gdzie zaskoczył mnie Bobby stojący przy furtce.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry.

- Może zechcesz wstąpić do ogrodu i spróbować tortu? Rzekł pajak do muchy, hm? - W jego ogładzie było coś unizonego i zarazem zjadliwego. - Matka pojechała do Toronto pociągiem o szóstej, stwierdziłem więc, że skoro

nie śpię, to może bym coś upiekł.

Przytrzymał mi furtkę. Nie wiedząc, jak się wykręcić, ruszyłam za nim po schodach.

- Na ganku tak przyjemnie, chłodno. Siadaj. Może szklaneczkę lemoniady? Przyrządzam ją mistrzowsko.

Usiadłam więc na ganku domu Sherriffów, w nadziei, że nikt mnie nie zobaczy, a Bobby przyniósł mi kawałek tortu na talerzyku, specjalny widelczyk i haftowaną serwetkę. Wrócił do kuchni i po chwili przyniósł jeszcze szklankę lemoniady z lodem i listkami mięty oraz likier z czereśni. Przepraszając, że nie wniósł wszystkiego razem na tacy, wyjaśnił, że tace są w kredensie pod wielką stertą talerzy, więc trudno się je wyciąga, i zamiast gmerać na kolanach w ciemnym kredensie, woli posiedzieć ze mną. Potem przeproszał za ciasto, mówił, że nie bardzo zna się na pieczeniu, ale lubi czasem wypróbować jakiś przepis. Dodał, że nie powinien mnie częstować niepolukrowanym tortem, ale nie udało mu się opanować sztuki robienia lukru i jeśli o to chodzi, musi zdawać się na matkę. Wyraził nadzieję, że lubię liście mięty w lemoniadzie, jakby usunięcie ich ze szklanki miało stanowić pierwszorzędny problem. Zachowywał się tak, jakbym - siedząc tam, jedząc i pijąc - dawała wyraz jakiejś niesłychanej uprzejmości wobec niego, niebotycznej łaski.

Na podłodze ganku, drewnianej, pomalowanej na szaro i mocno popękanej, leżał

chodnik. Stary i zniszczony, zapewne wzięty z korytarza. Były też dwa krzesła, na których siedzieliśmy, ze spłowiałymi nierównymi poduszkami z kretonu, i okrągły wiklinowy stół. Na stole stał porcelanowy kubek albo flakon, pusty, z maleńką czerwoną banderą i flagą brytyjską - jedna z tych pamiątek, które sprzedawano podczas wizyty pary królewskiej w Kanadzie w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Na flaconie widniały młodzińcze dostojne twarze króla i królowej, promieniejące godnością, takie same jak na zdjęciu na przedzie sali ósmej klasy w szkole podstawowej. Obecność tego przedmiotu na stole bynajmniej nie świadczyła o patriotyzmie Sherriffów. Podobne pamiątki spotykało się w wielu domach Jubilee. Poza

tym ganek nie miał żadnych ozdób. Jego zwyczajność osadziła mnie w miejscu, przypomniała, że to dom Sherriffów. Przez drzwi z siatką widziałam fragment korytarza, brązowo-różową tapetę. Właśnie wtedy wychodziła co dnia Marion. Do szkoły. Na tenisa. Nad Wawanash... Marion, czyli Caroline. Na początek miałam tylko ją, jej czyn i skrytą naturę. Nie przyszło mi to do głowy, gdy dałam się zaprosić Bobby'emu, ani kiedy czekałam, aż przyniesie mi kawałek tortu. Nie pomyślałam o powieści. Przestałam się nią zajmować, uznawszy, że mam pomysł w głowie i pewnie go kiedyś jeszcze wykorzystam. Ale też, prawdę mówiąc, coś załamało się we mnie na jej temat; Caroline, Hallowayowie i ich miasteczko osłabli jakby w moich oczach, utraciłam wiarę. Przestałam się jednak nad tym zastanawiać.

Lecz teraz przypomniałam sobie ze zdumieniem, jak budowałam całą tę tajemniczą i - niestety - zawodną konstrukcję, poczynając od tego domu, Sherriffów, kilku niesprawdzonych faktów i pogłosek.

- Znam cię - rzekł nieśmiało Bobby. - Sądziłaś, że nie wiem, kim jesteś? Wybierasz się na studia, ze stypendiów.

- Na razie nic nie dostałam.

- Jesteś mądrą dziewczyną.

Co przydarzyło się Marion, pytałam siebie. Nie Caroline. Co przeżyła Marion? Co działo się z Bobbym Sherriffem, gdy musiał przerwać pieczenie i wracał do zakładu? Pytania pozostają, istnieją obok powieści... Tak zręcznie rozprawiłam się z rzeczywistością, a ona powracała, nadal niezgłębiona. Czy Bobby da mi teraz znak, że jest obłąkany? Czy powie, jak

zwykle, uprzejmie i swobodnie: „Mym ojcem był Napoleon”? A może, spluwając w szczelinę między klepkami, pochwali się: „Zsyłam deszcz na Gobi”? Czy tak zachowują się wariaci?

- Studiowałem. Uniwersytet w Toronto. Kolegium Trójcy Świętej... Nie zdobyłem stypendium - podjął po chwili, jakbym go zapytała. - Uczyłem się średnio. Matka liczyła, że zrobią ze mnie adwokata. Poświęcała się, bym mógł studiować. Wielki kryzys... Nikt wtedy nie miał pieniędzy. Teraz raczej mają. Odkąd się skończyła wojna. Każdy coś kupuje. Fergus Colby, wiesz, handlarz samochodów, pokazał mi raz listę, jak ludzie robią zapisy na nowe oldsmobile, nowe chevrolety. W kolegium trzeba pilnować diety. To bardzo ważne. Na ogół jada się rzeczy bogate w skrobię, bo są tanie i pożywne. Znałem dziewczynę, która sama sobie gotowała, żyła o makaronie i chlebie. Makaron i chleb! Moje załamanie wzięło się z jedzenia. Nie miałem czym karmić mózgu. A mózg trzeba karmić, żeby działał sprawnie. Witaminy z grupy B: B1, B2, B12. Na pewno o tym słyszałaś. Występują w ryżu nieoczyszczonym, w nierafinowanej mące... Nudzę cię, prawda?

- Nie - odpowiedziałam z miną winowajczyni. - Skądże.

- Jeśli tak, to wybacz. Czasem mnie poniesie. Bo myślę, że moje problemy, wszystkie moje problemy od najmłodszych lat, wynikają z niedożywienia. Z wyczerpanej nauki i niezapełniania niedoborów w mózgu. Nie żebym miał jakąś tęgą głowę, nigdy nie uważałem się za wybitnego.

Patrzyłam na niego z uwagą, by znowu nie spytał, czy mnie nudzi. Był w miękkiej, starannie uprasowanej żółtej sportowej koszuli, rozpiętej pod szyją. Miał różową skórę. Przypominał nieco brata Caroline, którego stanowił pierwowzór. Czułam zapach płynu po goleniu. Przedziwne: golił się, miał zarost jak mężczyzna, w spodniach członek. Wyobraziłam go sobie - zwiniętego, wilgotnego, wrażliwego. Bobby uśmiechał się do mnie uroczo, mówił z sensem... Czy wiedział, o czym myślę? Szaleńcy noszą jakąś tajemnicę, dar, coś nieodgadnionego.

Powiedział, że nawet szczury nie chcą jeść białej mąki, bo zawiera te same substancje co wybielacz. Przytakując, spostrzegłam za jego głową pana Fouksa, który wyszedł z tylnych drzwi „HeraldAdvance”, wyrzucił odpadki do pieca i wrócił do budynku. Na ścianie bez okien, zasmużonej, z wyszczerbionymi ceglami, biegła ukośna szczelina, od środka do

dolnego rogu tuż przy sklepie Chainway.

O dziesiątej otwierano banki, Kanadyjski Handlowy i Dominion, po drugiej stronie ulicy. Pół do pierwszej przejeżdżał przez miasteczko autobus z Owen Sound w kierunku południowym. Kiedy ktoś chciał się tam zabrać, w oknie restauracji Hainesa wywieszano chorągiewkę.

Bobby Sherriff opowiadał o szczurach i białej mące. W korytarzu ogólniaka, w towarzystwie szumiącego wodotrysku z wodą pitną, wisiał portret fotograficzny jego siostry. Jej twarz była zacięta, nieodgadniona, głowa spuszczone tak nisko, że pod oczami miała cienie. Życie w Jubilee jak wszędzie było nudne, banalne, zdumiewające i niepojęte - głębokie pieczary wyłożone linoleum.

Nie przypuszczałam, że kiedyś będę go tak złaźniona. Że zapragnę spisać wszystko, nienasycona i zbłąkana jak wujek Craig, gdy tworzył swoją historię.

Sporządzałam rozmaite listy. Spis wszystkich sklepów i firm przy głównej ulicy, łącznie z właścicielami. Spis rodów, nazwisk na nagrobkach na cmentarzu i inskrypcji pod nimi. Spis filmów, które grano w kinie Publika między trzydziestym ósmym a pięćdziesiątym. Nazwisk z pomnika poległych (głównie w pierwszej wojnie). Nazw ulic wraz z ich układem.

Takie mozolne próby zbliżenia się do prawdy graniczą wręcz z obłądem, rozdzierają serce.

I żadna lista nie objęłaby tego, na czym mi zależało, bo zależało mi na najdrobniejszych szczegółach, na każdym słowie, zdaniu, myśli, najmniejszej smużce światła, jaka musnęła korę albo ścianę, każdym zapachu, wyboju, bólu, rysie i złudzeniu. Bo chciałam uchwycić to wszystko i połączyć w spójną promienną całość. Na zawsze.

Teraz nie przyglądałam się miasteczku.

Bobby Sherriff zwrócił się do mnie tęsknym tonem, zbierając ze stołu widelczyk, serwetkę, pusty talerz.

- Życzę ci szczęścia w życiu. Z całego serca.

I zrobił dla mnie coś specjalnego, ten jeden jedyny raz wyłącznie dla mnie. Uniósł się na palcach jak tancerka, jak gruba balerina. Uśmiech, którym mnie przy tym poczęstował, był nie tyle żartobliwy, ile demonstracyjny, i zdawał się mieć znaczenie symboliczne, jak znak, a raczej całe słowo z nieznanego mi alfabetu.

Pragnienia innych i ich dary przyjmowałam wtedy naturalnie, niemal odruchowo, jakby mi się należały.

- Tak - odpowiedziałam, zamiast podziękować.

Przekład dedykuję Barbarze Górskiej

P.Ł.

1 Oranżyści - założone w roku 1795 stowarzyszenie protestantów w Irlandii (przyp. tłum.).

2 Mt 25, 18. Cyt. za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu,
Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1983.

Table of Contents

Cover

Table of Contents

Droga na Moczary

Wiek wiary

Przemiany i ceremonie

Ochrzczenie

Epilog. Fotograf